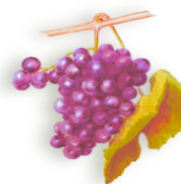


RENZO ALLEGRI



CUDA OJCA PIO





SPIS TREŚCI

WIELKI CUDOTWÓRCA	8
ISTOTA CUDÓW.....	10
PROCES BEATYFIKACYJNY	11
WIZYTÓWKI BOGA.....	11
ZNAK UMIŁOWANIA	12
TAJEMNICA STYGMATÓW.....	13
CUDA OJCA PIO.....	13
STYGMATY ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU I WIELU INNYCH ŚWIĘTYCH.....	14
RANY I SYMBOLE MĘKI I ŚMIERCI JEZUSA W SWYM SERCU OTRZYMAŁO WIELU ŚWIĘTYCH BOŻYCH...	14
NAUKA ZAPRZECZA.....	15
W SZOPIE POD WIĄZEM	16
OGNISTA WŁÓCZNIA	17
BADANIA LEKARSKIE.....	19
ZAGADKA GEMELLEGO	20
OSTATNIE BADANIE LEKARSKIE	22
„TO NIE SĄ MEDALE"	23
NOWY CUD	24
PRZYBYSZE Z ZAŚWIATÓW	25
RZECZYWISTOŚĆ JEDYNA.....	25
KOŃCOWE ZDANIE	25
„A OJCIEC NIGDY NIE WIDUJE MATKI BOSKIEJ?"	26
„MNICH UMARŁ!"	27
RAK PŁUC.....	28
„UZDROWIŁA MNIE NAJŚWIĘTSZA MARYJA PANNA "	29
„WIDZĘ DWIE MAMY"	30
CZTERECH PIELGRZYMÓW.....	31

„PRZYCHODZĘ Z CZYŚĆCA"	32
RAJSKI ZAPACH	33
TO NIE JEST ZJAWISKO PARANORMALNE	34
„ZAPACH ŚWIĘTOŚCI"	35
GŁOSY KRYTYKI I DRWINY	35
NA MSZY ŚWIĘTEJ U OJCA PIO	36
NIESAMOWITA NIESPODZIANKA	37
PLAMA ZE SKRZEPŁEJ KRWI	38
„TO NIE BYŁA AUTOSUGESTIA"	39
„FAKT SPRZECZNY Z WSZELKIMI PRAWAMI NATURY I ROZUMU"	40
NA ZNAK ZBAWIENIA	41
„NIE CHCIAŁEM UWIERZYĆ"	43
„POOTWIERALIŚMY WSZYSTKIE OKNA"	43
KIEDY SZYBOWAŁ Z ANIOŁAMI	44
CENNY DOKUMENT	45
„ŚPIĘ TYLKO SIEDEM GODZIN W ROKU"	46
ŚW. ANTONI I ŚW. FRANCISZEK KSAWERY	47
„DZIĘKUJĘ ZA URATOWANIE MI ŻYCIA"	48
„NO CO, GENERALE, USZLIŚMY CAŁO W TAMTĄ NOC"	50
ZJAWA ZAWRACAJĄCA SAMOLOTY	51
PRZELOT DO URUGWAJU	52
ŚLAD NA SZYBIE	53
CODZIENNIE, PRZEZ CAŁY ROK, UDAWAŁ SIĘ DO RZYMU	54
„BYŁ OBECNY W CHWILI MOICH NARODZIN"	54
SPOTKANIE W BAZYLICE ŚW. PIOTRA	56
„BĘDZIESZ OBECNA PRZY MOJEJ ŚMIERCI"	57
„KIPIAŁEM Z OBURZENIA"	59
„NIE CHCIAŁEM SIĘ Z NIM SPOTKAĆ"	60
„IDŹ I NIGDY NIE CZYŃ ZŁA"	61
„CHYBA ZWARIUJĘ"	63
PODZIĘKOWANIA OD SIÓSTR ZAKONNYCH Z CZECHOSŁOWACJI	64

W ŻARZE GORĄCZKI.....	66
WĄTŁY I WYMIZEROWANY.....	67
DZIWNE CHOROBY I NAGŁE WYZDROWIENIA.....	68
NIEDOŻYWIENIE	69
TRZY ZABIEGI CHIRURGICZNE	70
PROBLEMY Z TERMOMETRAMI	71
WSTAŃ I CHODŹ	73
„WYRZUĆ TĘ ŁASKĘ!"	74
PISARZ MASOŃSKI	75
„WYZDROWIEJESZ"	76
KOMEDIOPISARZ	77
„ZA WSZYSTKO TRZEBA PŁACIĆ"	78
WYPADEK NA MOTOCYKLU	79
„ DLACZEGO NIE WYBIERZECIE SIĘ DO SAN GIOVANNI ROTONDO?"	80
DRAMATYCZNA PODRÓŻ.....	81
„GIUSEPPE, TY CHODZISZ!"	82
„TAŃCZYŁEM PRZEZ DWIE GODZINY"	82
„A JAK NA TO ZAREAGOWALI LEKARZE?"	83
URODZIŁA SIĘ BEZ ŻRENIC	83
„DZIEWCZYŃKA WIDZI I TY DOBRZE O TYM WIESZ"	84
„BYŁAM GRUŹLICZKĄ"	85
„ZOBACZYŁAM WE ŚNIE JAKIEGOŚ ZAKONNIKA"	86
ANI ŚŁADU PO CHOROBIE.....	87
WIELKA AKTORKA.....	88
NAJWYŻEJ SZEŚĆ MIESIĘCY ŻYCIA	89
TRZY PODRÓŻE DO OJCA PIO	90
ŚPIEWAK ODZYSKAŁ GŁOS.....	92
„MOJA MATKA WYZDROWIAŁA"	93
DZIECKO PRZYWRÓCONE DO ŻYCIA	94
CÓRKA PROTESTANTA	95
OKO PAPINIEGO.....	96

„ILE CHCESZ DZIECI?"	97
PIŁA 170 LITRÓW WODY DZIENNIE	98
„OJCZE, PRZYJDŹ I ZABIERZ MNIE"	99
WYJĄTKOWY ŚWIADEK.....	100
WIELKA PRZYJAŹŃ	101
PRZYBRANA RODZINA	102
„OJCZE, PROSZĘ... "	103
„TEMU NIE MOŻNA ODMÓWIĆ"	103
„ZACHOWAJ TE LISTY"	104
„DLACZEGO NIE WYMUSI OJCIEC CUDU?"	105
LISTY Z CAŁEGO ŚWIATA.....	106
TONY Z TEKSASU.....	108
ALICJA Z LIVERPOOLU	109
„ZJAWIŁ SIĘ PRZED MĄ JAKIŚ STARY MNICH"	110
HISTORIE WIELKICH NAWRÓCEŃ	112
ODPRZYSIĘŻENIE SIĘ PRZYWÓDCY ŁOŻY MASONSKIEJ	113
ŁAŃCUCH NAWRÓCEŃ	114
BOHATER I KOMUNISTKA.....	116
ZAGUBIONY KOMIK	117
„ZACZYNAJ OD ROKU 1946"	119
MACARIO, TOTO I INNI.....	120
LEKARZ TOGLIATTIEGO	122
MARIO RIVA I FAUSTO COPPI	123
„ODCZUWAŁEM JAKIŚ DZIWNY NIEPOKÓJ"	124
NOCNY TELEFON.....	126
„NIE MUSISZ MI NIC MÓWIĆ"	127
„CHCIAŁAM CUDU"	128
DZIWNY NIEPOKÓJ	129
SPOJRZENIE PALĄCE JAK OGIEŃ	130
„NIE ZMIENIŁAM JEDNAK ŻYCIA"	132
„PRZYSZEDŁ SIĘ ZE MNĄ ZOBACZYĆ"	133

CZYTAŁ W SERCACH	134
WIEDZIAŁ WSZYSTKO	135
ZAGUBIENI	136
„MASZ PEWNĄ KARTĘ.. ”	137
ROBOTNIK DOBRY DO WSZYSTKIEGO	138
PRZYJECHAŁ CASANOVA.....	139
INTENSYWNA WOŃ	140
„PIERWSZY Z MYCH SYNÓW”	141
WIELKIE MARZENIE.....	142
PATENTY ZARLATTI	143
W PODRÓŻY PO EUROPIE	144
SĄ FUNDUSZE	145
„WIDZĘ WSZYSTKO W BOGU”	146
PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI	147
„BOŻE MÓJ, ILE KRWI”	148
„WŁOCHY PRZEGRAJĄ WOJNĘ”	148
„BĘDĘ Z TOBĄ”	150
„POŁÓŻ NA SVOJE MIEJSCE TO, CO WZIAŁEŚ”	151
„DAJ MI LIST TWOJEJ ŻONY”	152
„MAMY PRZED SOBĄ PIĘCDZIESIĄT LAT”	153
NICZYM FANTAZJOWANIE	154
WYZWANIE RZUCONE NAUCE	154
MSZYCE PADAŁY NICZYM PORAŻONE GROMEM	156
DIARIUSZ CUDÓW	157
„OT I DOIGRAŁEŚ SIĘ”	158
KSIĄŻKI ZE SKRZYDŁAMI	159
LIST I ANIOŁ STRÓŻ	160
„KRANEM ZAJMIJ SIĘ TY”	161
„ZWRÓĆ SIĘ DO NIEGO.....	162
„NAZWIJMY TO ZBIEGIEM OKOLICZNOŚCI”	163
„POCIĄG STAŁ”	164

„MUSIAŁEM PRZECZ CIEBIE UDWAĆ KONTROLERA"	165
„PANI MĄŻ TO CHYBA FAKIR"	165
WALKA Z SZATANEM	166
PRZECIWKO CZŁOWIEKOWI	167
CZAJĄCE SIĘ NAŃ POTWORY	168
„BIJE MNIE CODZIENNIE"	169
CIAŁO POKRYTE SINIAKAMI	170
BISKUP WYSTRASYŁ SIĘ I UCIEKŁ	171
„TO JA ZBIŁEM GO TEJ NOCY... "	172
OTO PRAWDZIWY OJCIEC PIO	173
NAPADY GNIEWU	173
„DOŚĆ TEGO!", KRZYKNAŁ	174
„MOJA NAJDROŻSZA CÓRKO"	176
NAGANY I DOWCIPY	177
NAJGORSZE Z UPOKORZEŃ	178
NAJWAŻNIEJSZA PRAWDA	179
„WIELKI ZNAK DLA LUDZI DZISIEJSZEJ EPOKI"	180
Dodatek do wydania polskiego	181
KALENDARIUM ŻYCIA OJCA PIO	181
JAN PAWEŁ II O ŚWIADECTWIE ŻYCIA OJCA PIO	184
BĄDŹCIE ZAWSZE PRZYKŁADNI W PRZYLGNIĘCIU DO NAUKI KOŚCIOŁA	184
OŁTARZ I KONFESJONAŁ	187
DWA OŚRODKI KAPŁAŃSKIEGO ŻYCIA O. PIO	187
„DOM ULGI W CIERPIENIU" WSPÓLNOTĄ ZBUDOWANĄ NA MIŁOŚCI DO CHRYSTUSA	189
GRUPY MODLITWY OJCA PIO	191
ZE STATUTU GRUP MODLITWY OJCA PIO	191
O AUTORZE KSIAŻKI	195
BIOGRAFIA RENZO ALLEGRI	195
O KSIAŻCE AUTORA	195

WIELKI CUDOTWÓRCA

Dnia 23 września 1968 roku w miasteczku San Giovanni Rotondo, w prowincji Foggia, zmarł Ojciec Pio z Pietrelciny, kapucyn zwany „bratem ze stygmatami”, ponieważ nosił na swym ciele znaki męki Chrystusa. Zmarł w wieku 81 lat. W jego pogrzebie wzięło udział ponad sto tysięcy osób przybyłych z różnych stron Włoch, cieszył się on, bowiem ogromną popularnością nie tylko wśród katolików, ale również w środowiskach laickich i agnostyków.

Od śmierci Ojca Pio minęło ponad ćwierć wieku, a były to lata ważnych wydarzeń i przemian polityczno-społecznych, które wstrząsnęły Włochami, Europą i całym światem. Człowiek stanął na Księżycu, a wysyłane przezeń satelity badały kosmos w poszukiwaniu innych cywilizacji.

Ludzie bardzo zmienili się w owym czasie. Zdają się być mniej wrażliwi na sprawy ducha, a przecież osobę Ojca Pio otaczają nieustannie wielką czcią. Grób zakonnika, jak i miejsca, w których przebywał, są celem coraz tłumniejszych pielgrzymek.

O Ojcu Pio napisano dziesiątki książek. Co pewien czas poświęcane są mu obszerne artykuły, filmy dokumentalne, specjalne programy i reportaże. Niestety, treść owych książek i publikacji dziennikarskich ogranicza się do opisu „ludzkich losów” Ojca Pio. Nie wspomina się w nich o mistycznym i taumaturgicznym aspekcie jego życia, dzięki któremu stał się wyjątkowym zjawiskiem religijnej historii naszego stulecia oraz jedną z najwspanialszych postaci w historii Kościoła.

Życie „ziemskie” Ojca Pio było nieprzerwanym pasmem dramatycznych zdarzeń. Wokół jego osoby rozgrywały się rzeczy trudne wprost nie do pomyślenia, które uwikłały wielu zakonników, kapłanów, jak również biskupów, kardynałów, a nawet kilku papieży w sytuacje niejasne i bolesne.

Dość pomyśleć, iż Ojciec Pio - uważany dziś za świętego – za życia pięciokrotnie napiętnowany został przez Kościół, jako mistyfikator i zmarł nie doczekawszy się oficjalnego odwołania ciążyących na nim zarzutów.

Dzieje życia kapucyna z Pietrelciny są bez wątpienia historią pasjonującą. Biografom dawała ona okazję do rozpisywania się o jego losach, tak mocno naznaczonych cierpieniem, zdradami, prześladowaniami, niesprawiedliwymi procesami i oskarżeniami. Lecz w ten sposób poniekąd obszerniej opowiedziano historię osób, które go „otaczały”, niż historię Ojca Pio.

Również i ja napisałem książkę o Ojcu Pio, pod tytułem „**Ojciec Pio, człowiek nadziei**”. Opublikowana została w 1984 roku przez wydawnictwo „Mondadori” i, jak śmiem przypuszczać, ze szczęściem, skoro po tylu latach wciąż jeszcze znajduje nabywców, a kilka miesięcy temu w serii „Bestseller Saggi” tegoż właśnie „Mondadori” ukazało się jej ósme z kolei wydanie. Niestety, również i ja, podobnie jak i wielu innych

autorów, popełniłem ten sam, zasadniczy błąd skupiając się głównie na tym, co tak ciężkim uczyniło ziemski żywot stygmatyzowanego kapucyna.

Z pewnych istotnych powodów owa książka miała bez wątpienia duże znaczenie. Zanim jeszcze zacząłem ją pisać, miałem możliwość sięgnąć do niezmiernie cennych dokumentów, nie oglądanych przedtem przez żadnego innego biografę Ojca Pio. Dzięki temu w mej książce mogłem wyświetlić wiele kontrowersyjnych momentów z życia kapucyna, dziś już jasnych dla wszystkich, a trzymanych ongiś w ścisłej tajemnicy, by nie „urazić” ważnych osobistości kościelnych zwalczających Ojca Pio poprzez zniekształcanie głośnych i nader ważnych faktów.

Stygmatyzowanego zakonnika poznałem osobiście w roku 1967 i do czasu jego śmierci zetknąłem się z nim dwukrotnie, publikując po każdym z owych spotkań relacje w poczytnym tygodniku włoskim.

Moje artykuły zyskały przychylność grupy osób świeckich, zwanych się „Przyjaciółmi Ojca Pio”. Utworzyli oni pod tą nazwą formalne stowarzyszenie, z siedzibą w Genewie. W 1969 roku, czyli w rok po śmierci Stygmatyka, zaproponowali mi współpracę. Usłyszałem od nich wówczas takie oto stwierdzenie: „Ojciec Pio jest świętym. Prości ludzie wierzą w to i do niego kierują swe modlitwy, lecz Ojciec Pio nigdy nie zostanie wyniesiony na ołtarze, gdyż umarł potępiony przez Święte Oficjum. Najwyższy sąd kościelny nigdy nie przyzna się do popełnionego błędu. Trzeba ogłosić artykuły w obronie Ojca Pio śmiało wyjawiając, jak naprawdę toczyły się związane z nim wypadki”.

Propozycję przyjąłem. Przyjaciele Ojca Pio wprowadzili mnie do jednej z osiemnastowiecznych willi weneckich, gdzie zebrali, uporządkowali i opracowali w woluminy tysiące dokumentów dotyczących stygmatyka. Na studiowaniu tychże materiałów spędziłem długie miesiące, po czym napisałem serię artykułów, które wywołały wówczas ogromną sensację. Pozyskane zaś w owym archiwum informacje posłużyły mi do napisania mojej pierwszej książki. Lecz niestety - powtórzę to raz jeszcze - również i ja, poruszony do głębi dramatyzmem ziemskiego żywota Ojca Pio, krzywdami, jakie mu wyrządzano, i oszczerstwami, których mu nie szczędzono - skupiłem się nad kolejami jego ludzkiego losu zaniedbując aspekt taumatyczny.

Na zaniedbanie to zwrócił mi uwagę wybitny przedstawiciel Kościoła, kardynał Giuseppe Siri, piastujący podówczas godność arcybiskupa Genui. Zdradził mi, iż choć nigdy nie poznał osobiście Ojca Pio, darzył go jednak wielkim szacunkiem. Z ciekawości chciałem sprawdzić, czy miałby odwagę publicznie wyrazić taką opinię. W owym okresie żadna instancja kościelna nie śmiała wypowiadać się przychylnie o stygmatyzowanym kapucynie, by nie popaść w niełaskę Świętego Oficjum. Kardynał Siri znany był jednakże ze swej odwagi i stanowczości.

W udzielonym mi wywiadzie z całą powagą luminarza Kościoła stwierdził: „Uważam, iż Ojciec Pio jest największą postacią charyzmatyczną naszych czasów i jedną z najznakomitszych w historii Kościoła”. Wypowiedź kardynała skierowała moją uwagę na charyzmaty i taumaturgiczny aspekt życia Ojca Pio, ten właśnie, który znamionował całą jego ludzką egzystencję i dzięki któremu skromny kapucyn z Pietrelciny przejdzie do historii.

Życie Ojca Pio wypełnione było w istocie niewytłumaczalnymi faktami. Rozmawiając z przyjaciółmi często powtarzał: „Jestem tajemnicą dla samego siebie”. Przez pięćdziesiąt lat nosił na swym ciele stygmaty, świeże, broczące krwią rany, których nie udało się uleczyć żadnemu z badających go różnorodnymi metodami lekarzy. Od jego osoby roztaczał się przyjemny zapach, wyczuwalny nawet na odległość tysięcy kilometrów. Poprzez bilokacje dokonywał niewiarygodnych wprost „przemieszczeń” poza własne ciało. Potrafił czytać w myślach innych ludzi, znał szczegóły z życia prywatnego zupełnie obcych mu osób. Rozmawiał z umarłymi. Doznawał wizji istot nadprzyrodzonych, które wykazywały mu tajemnice oraz mające się dopiero wydarzyć fakty. Dokonywał cudownych uzdrowień. Wielu zatwardziałyich ateistów za jego sprawą nagle nawracało się. Toczył bezustannie zażarte boje z nieczystymi mocami.

Ojciec Pio był człowiekiem żyjącym „w styczności” z rzeczywistością, która jest tajemnicą, dlatego też jest on jakby „specjalnym” świętym. Wielkości Ojca Pio nie należy szukać jedynie w tym, z czego utkane były jego pełne udręki ziemskie losy.

Śledząc uważnie koleje życia kapucyna z Pietrelciny, odnosimy wrażenie, że chodzi tu o jednego z owych średniowiecznych świętych, których nazywano „taumaturgami” - tymi, którzy czynili cuda. Takim na przykład był św. Antoni z Padwy. Ojciec Pio był wielkim taumaturgiem. Wokół jego osoby dokonywały się nieustannie rzeczy tak niezwykle, iż uznano je za absolutnie niemożliwe, a zatem i niegodne uwagi.

W mojej pierwszej książce o Ojcu Pio rozwinąłem szerzej wątek jego cierpień i cnót. Tym razem zamierzam skupić się na jego „charyzmatach”, czyli owych niezwykłych „darach”, jakimi szczerze obdzieliło go Niebo.

Jest to dość zuchwała próba wniknięcia w „tajemnicę”, wejrzenia w sferę ducha, która wprawdzie daje się odczuć, lecz wymyka się kontroli naszego rozumu. Jest to niełatwa próba, gdyż przyjdzie mi poruszać się po terenie podminowanym. Będę, przeto unikał skomplikowanych rozważań. Ograniczę się po prostu do jak najdokładniejszego przedstawienia faktów, popierając je materiałem dokumentalnym, zaś Czytelnikowi pozostawiam wyciągnięcie z niniejszej lektury wniosków dla siebie.

ISTOTA CUDÓW

Ziemskie życie Ojca Pio było jednym pasmem kłopotów oraz fizycznych i duchowych cierpień. Posądzony o oszustwa i mistyfikację, zwalczany przez swych

zakonnych współbraci, podejrzewany przez Kościół, upokarzany u kresu życia. Skończony, godny politowania człowiek. Jego wędrówka ziemską przypominała historię Chrystusa, którego skazano na śmierć krzyżową, jako złoczyńcę.

Po śmierci Ojca Pio przyszedł jednakże czas na ujawnienie prawdy. Ojciec Pio nie był ani oszustem, ani mistyfikatorem. Był po prostu znieważany. Z bezgraniczną cierpliwością, z wielką pokorą i z niezłomną wiarą przyjmował oskarżenia, przykrości i upokorzenia. Zachował się po bohatersku, dlatego też Kościół postanowił wynieść go na ołtarze.

PROCES BEATYFIKACYJNY

W 1969 roku, czyli rok po śmierci Ojca Pio, wszczęto postępowanie przygotowawcze do procesu beatyfikacyjnego. Pojawiło się przy tym wiele przeszkód ze strony dawnych wrogów tego zakonnika. Dopiero w listopadzie 1982 roku było możliwe rozpoczęcie właściwego procesu beatyfikacyjnego. Odtąd wszystko ruszyło w szybkim tempie. Przesłuchano dziesiątki świadków i zebrano 104 tomy zeznań i dokumentów.

W 1979 roku cały materiał przesłany został do Rzymu, gdzie zajmie się nim komisja papieska. Badanie tej sprawy można uznać za zakończone, toteż w niedługim czasie Ojciec Pio mógłby być wyniesiony na ołtarze. Tak oto upadły wszystkie wątpliwości, podejrzania i zarzuty ciężące na Stygmatyku przez całe jego życie. Ci, którzy uważali go za oszusta i mistyfikatora, zostali pokonani.

Rozwiały się również uprzedzenia względem zadziwiającego następstwa cudownych zdarzeń w życiu „brata ze stygmatami”. Niezwykłe zjawiska związane z jego osobą, z jego doznaniem duchowymi, z jego codziennym życiem; nadzwyczajne fakty, niepojęte rzeczy, jakie zdarzały się za jego przyczyną; cuda, jakimi obdarzał osoby zwracające się doń o pomoc - wszystko to nie było wywołane histerią, czy też autosugestią, jak często powtarzali wrogowie Ojca Pio. Dzisiaj sprawa jest jasna i owe fakty uważa się za autentyczne.

WIZYTÓWKI BOGA

Jaką mają wartość? Jaki jest ich właściwy sens? Jakie stanowisko przyjmuje Kościół wobec cudów i nadzwyczajnych znaków, pojawiających się w życiu świętych? W naszej książce chcemy mówić przede wszystkim o takich właśnie faktach. Zanim jednakże podejmiemy opowiadanie, wypada najpierw poszukać odpowiedzi na powyższe pytania.

Termin „cud” - po łacinie *miraculum*, czyli „rzecz budząca podziw” - w swym znaczeniu teologicznym rozumiany jest jako wydarzenie wykraczające poza działanie wszystkich sił natury. Jego dokładna definicja teologiczna brzmi następująco: „Fakt postrzegany zmysłami, zaistniały dzięki specjalnej interwencji Boga, poza zwyczajnym biegiem natury i dla celu nadprzyrodzonego”.

Cud nie jest, zatem faktem ludzkim. Nie może być dziełem człowieka. Cud możliwy jest tylko dla Boga, który dla jego spełnienia może posłużyć się istotą ludzką. Kto neguje istnienie Boga, nie uznaje też istnienia cudów. Dla naukowca - pozytywisty ze względu na metodę swej pracy i deterministy ze względu na system, któremu hołduje - cuda są po prostu faktami niewytłumaczalnymi.

Wielu naukowców tak bardzo wczuwa się w swą rolę, że nie akceptuje nawet idei cudu, jako hipotezy, stwierdzając z niemałą dozą zarozumiałości, iż cuda istnieją jedynie w wyobraźni nieuków. Również wśród wierzących wielu odrzuca możliwość cudów, uważając je za zjawiska niewytłumaczalne w świetle „obecnego” stanu wiedzy. Są jednak przekonani, iż w przyszłości, dzięki rozwojowi nauki, będziemy w stanie odkryć przyczynę każdego bez wyjątku zjawiska.

Kościół w swym nauczaniu przypisuje duże znaczenie cudom. Są one wsparciem dla wiary. Są znakiem. Wizytówką Boga. Wskazaniem mającym pomóc w zrozumieniu, że właśnie w tym, a nie innym miejscu istnieje coś niezwykłego.

Nowy Katechizm przejrzyście wyklada tę sprawę. Podaje, że wiara, która jest darem od Boga, jest również aktem ludzkim, angażującym rozum i wolę; cuda mają ten rozum pobudzić i tę wolę poruszyć. „Racją wiary nie jest fakt, że prawdy objawione okazują się prawdziwe i zrozumiałe w świetle naszego rozumu naturalnego.

Wierzmy z powodu «autorytetu samego objawiającego się Boga, który nie może ani sam się mylić, ani nas mylić». «Aby jednak posłuszeństwo naszej wiary było zgodne z rozumem, Bóg zechciał, by z wewnętrznymi pomocami Ducha Świętego były połączone także argumenty zewnętrzne Jego Objawienia». Tak więc cuda Jezusa Chrystusa i świętych, proroctwa, rozwój i świętość Kościoła, jego płodność i trwałość «są pewnymi znakami Objawienia, dostosowanymi do umysłowości wszystkich», są «racjami wiarygodności», które pokazują, że «przyzwolenie wiary żadną miarą nie jest ślepym dążeniem Ducha» (nr 156).

Cuda są nam potrzebne. Bez cudów człowiek w swej ułomności z trudem by uwierzył. Stanowią one integralną część ekonomii wiary. Jezus posłużył się cudami, aby unaocznić swym współczesnym, iż jest Synem Bożym. W historii zjawisko cudów wielokrotnie powtarzało się, by zogniskować zainteresowanie człowieka na Absolucie, na tej wspaniałej rzeczywistości, która ma po śmierci przyjść, a którą Chrystus obiecał wszystkim wierzącym w Niego. Nazwał ją „Królestwem Niebieskim”,

ZNAK UMIŁOWANIA

Ale cuda mają również inną funkcję. Dzięki nim uwaga ludzka skupia się na osobach, którymi Bóg zechciał posłużyć się, by cudów dokonać. Skoro Bóg wejrzał na te właśnie osoby, skoro wybrał je, by przekazać ludziom swe orędzie - znaczy to, że są one osobami wybranymi, miłymi Bogu, osobami Mu bliskimi i przyjaznymi. Są świętymi.

Tak, więc cuda mają szczególne znaczenie dla poznania sług Bożych. Im większe cuda Bóg przejawia za ich pośrednictwem, tym większa jest ich bliskość z Nim i tym większa ich świętość.

Niniejsza książka jest próba przedstawienia i analizy niezwykłych faktów z życia Ojca Pio; nie zamierzamy jednakże poprzestać na anegdotycznej i sensacyjnej ich stronie.

Chcemy przede wszystkim pokazać w sposób prosty i rzeczowy, jak ogromną skarbnicą świętości był ów skromny, pokorny kapucyn z San Giovanni Rotondo. „Największa postać charyzmatyczna naszych czasów” - jak określił go kardynał Giuseppe Siri.

Nie wszystkie nadzwyczajne fakty, jakie przedstawimy na stronicach naszej książki, mogą być określone, jako cuda w sensie teologicznym. Zawsze jednak są one znakami rzeczywistości nadprzyrodzonej, świadectwami ciągłej obecności Boga i bytów z niewidzialnego świata.

Chodzi tu o fakty nader delikatnej natury i treści. Omawiając je trzeba, zatem kierować się jak największą ostrożnością. Dlatego też temat ten zgłębiałem bardzo starannie, sięgając do najpewniejszych źródeł.

O wielu z relacjonowanych przez mnie faktach dowiedziałem się od osób, które zarówno ze względu na swą rolę społeczną, jak i przygotowanie naukowe zasługują na najwyższe poważanie. Niektóre z tychże osób znalazły się w grupie siedemdziesięciu pięciu świadków wybranych do procesu beatyfikacyjnego Ojca Pio przez Kongregację do Spraw Świętych. Składały one swe zeznania pod przysięgą, ich relacje nie mogą zatem nie zasługiwać na zaufanie.

TAJEMNICA STYGMATÓW

CUDA OJCA PIO

Przez pięćdziesiąt lat Ojciec Pio nosił na swym ciele stygmaty, czyli widzialne znaki Męki i Śmierci Chrystusa. Terminem „stygmaty” (gr. stigma: piętno) określa się rany pojawiające się bez zewnętrznej przyczyny na dłoniach, stopach i w boku, a przypominające rany ukrzyżowanego Chrystusa. Zwykle pojawiają się one u osób, które prowadzą intensywne życie duchowe, przepojone mistycyzmem, lecz zdarzają się również w innych przypadkach.

W dziejach Kościoła odnotowano ponad 350 stygmatyków. Siedemdziesięciu z nich to święci. Jednakże w trakcie procesu kanonizacyjnego każdego z nich stygmaty nie były brane pod uwagę, jako znaki nadprzyrodzone. Trybunał kościelny w ocenie świętości owych osób nie uwzględniał stygmatów, uważając je jedynie za niewytłumaczalne zjawisko.

STYGMATY ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU I WIELU INNYCH ŚWIĘTYCH

W jednym tylko przypadku stygmaty uznane zostały przez Kościół, jako autentyczne, czyli jako rzeczywiste zjawisko nadprzyrodzone, wywołane interwencją Boską. Było tak w przypadku św. Franciszka z Asyżu, pierwszego stygmatyka w historii ludzkiej. Dwa lata przed śmiercią, 14 września 1224 roku, podczas mistycznej ekstazy na górze Yerna, w tokańskim regionie Casentino - św. Franciszek otrzymał tajemnicze rany, które na trwałe pozostały na jego ciele i widzialne były dla wszystkich stykających się z nim osób.

U niektórych świętych stygmaty, mimo że nigdy nie uznane oficjalnie przez Kościół, uważane są w tradycji chrześcijańskiej oraz w pobożności ludu za autentyczne znaki interwencji mocy nadprzyrodzonych.

Tak było w przypadku św. Katarzyny ze Sieny. Przez pięć lat Święta - patronka Włoch i „Doktor Kościoła” - nosiła na swym ciele autentyczne, jakkolwiek niewidzialne dla innych stygmaty. Otrzymała je w 1375 roku w Pizie, w kościółku na brzegu rzeki Arno (dziś pod jej wezwaniem). Kiedy była pogrążona w modlitwie przed krucyfiksem, rozmyślając o Męce Chrystusa, nagle z krucyfiks wydobły się świetliste promienie i przebiły jej dłonie, stopy i bok, zostawiając żywe i bolesne rany.

Św. Katarzyna była głęboko zaniepokojona. Znaki te wzbudziłyby z pewnością ludzką ciekawość, ona zaś pragnęła żyć w odosobnieniu. Dlatego też prosiła Boga, by uczynił je niewidzialnymi dla ludzkich oczu. Jej prośbie stało się zadość. Tylko ona widziała swe stygmaty, lecz tuż po jej śmierci ukazały się one oczom wszystkich.

Błogosławiona Łucja z Narni, żyjąca w latach 1476-1544, nosiła stygmaty przez siedem lat.

Św. Katarzyna Ricci (1522-1589) nosiła stygmaty, z których promieniowało tajemnicze światło, niekiedy tak silne, że oślepiało ludzki wzrok.

RANY I SYMBOLE MĘKI I ŚMIERCI JEZUSA W SWYM SERCU OTRZYMAŁO WIELU ŚWIĘTYCH BOŻYCH

Św. Teresa z Avila (1515-1582) otrzymała stygmaty na sercu. To wyjątkowy przypadek. Na jej ciele nie pojawiła się nigdy żadna rana. Ona sama zwierzyła się swemu spowiednikowi, a także napisała w jednym ze swych utworów mistycznych, iż „nosi stygmaty odcisnięte w sercu”. Nie stygmaty mistyczne, duchowe, lecz prawdziwe rany.

Fakt ten sprawdzono dopiero po śmierci Świętej, kiedy zwłoki jej poddano autopsji. Na jej sercu widniało pięć ran, dokładnie takich, jak je opisała za życia. Jedna z ran była długości pięciu centymetrów. Lekarze stwierdzili, iż każda z tych ran wystarczyłaby, żeby spowodować śmierć człowieka, zaś Święta nosiła je w swym sercu przez 23 lata. Jej serce, w nienaruszonym po 411 latach stanie, przechowywane jest w

relikwiarzu, w hiszpańskim miasteczku Alba de Torres. Wciąż jeszcze można oglądać świeże rany na sercu św. Teresy z Avilli.

Równie zadziwiający był przypadek św. Weroniki Giuliani (1660 - 1727), wielkiej mistyczki z umbryjskiego miasteczka Citta di Castello. Otrzymała ona stygmaty 4 kwietnia 1697 roku i nosiła je przez trzydzieści lat - aż do śmierci. Również i u Weroniki symbole Męki i Śmierci Chrystusa odcisnęły się na sercu. Ujawniła to swemu spowiednikowi. Podczas jednej z wizji, wiedzioną ręką Chrystusa, nakreśliła coś na kształt serca, na którym zaznaczyła wszystkie przedmioty „wryte” na wewnętrznej stronie jej mięśnia sercowego.

Rysunek ten ogromnie zaintrygował pozostałe siostry zakonne, przełożone Weroniki, spowiednika, miejscowego biskupa – wszystkich tych, którzy od lat ze zdumieniem i zajątkowaniem oglądali wiele mistycznych faktów z życia Świętej. Lecz by zaspokoić swą ciekawość, musieli oni czekać aż do jej śmierci. Wtedy to biskup Citta di Castello, Alessandro Codebo, zarządził sekcję zwłok zmarłej zakonnicy.

Zadanie powierzono lekarzowi Giovanniemu Francesco Bordiga i chirurgowi Giovanniemu Francesco Gentilemu. Sekcję przeprowadzono w obecności biskupa, kilku kanoników katedralnych, spowiednika Świętej i paru księży - razem siedemnastu świadków, którzy pod przysięgą podpisali sprawozdanie z tej czynności. Była to, zatem ekspertyza udokumentowana, a zarazem zgodna z metodami naukowymi, toteż jej wiarygodności nie można podawać w wątpliwość.

Otworzywszy klatkę piersiową zakonnicy, chirurg wyciągnął z niej przebite na wylot serce, po czym przekroił je na pół. W jego wnętrzu, czyli na ścianach komór sercowych, widniały wszystkie znaki, jakie Weronika opisała i narysowała w swym „Dzienniku”.

NAUKA ZAPRZECZA

Bardzo znaną stygmatyczką była Anna Katarzyna Emmerich (1774-1824): nosiła ona na swej piersi znak krwawiącego krzyża.

Louise Lateau (1850-1883), z belgijskiej miejscowości Bois d'Haine, nosiła stygmaty na dłoniach; obficie broczyły one krwią, mimo że skóra na dłoniach była nienaruszona. Zjawisko to zostało zbadane i potwierdzone przez wielu lekarzy, między innymi przez dr Warlamente'a z Belgijskiej Akademii Medycznej.

Marie Lulie Jahenny, rówieśniczka Louise Lateau, nosiła stygmaty przez sześćdziesiąt lat; badana była wielokrotnie i dokładnie przez profesora Imberta Gourbyre'a.

Głośno rozprawiano o stygmatach Teresy Neumann, zwanej „stygmatyczką z Konnersreuth”, bawarskiego miasteczka, w którym urodziła się ona w 1898 roku i zmarła

w roku 1962. Stygmaty otrzymała w 1926. Na swym ciele nosiła nie tylko znaki ukrzyżowania, lecz także ślady biczowania Chrystusa.

Współcześnie żyje wielu stygmatyków. Udało mi się poznać kilku z nich. Najbardziej znaną i godną uwagi jest Natuzza Evolo z kalabryjskiej miejscowości Paravati.

Lecz poznałem również „stygmatyzowanych” oszustów, którzy po latach zwodzenia tysięcy wiernych zostali zdemaskowani.

Przyczyna, dla której Kościół nie wypowiada się oficjalnie na temat tego zjawiska, nawet w przypadku wielkich świętych, tkwi w złożoności problemu. Nauki medyczne wykazały, bowiem, iż podobne rany mogą być często wywołane histerią.

Parapsychologowie traktują stygmaty, jako objaw autosugestii, nazywany przez nich ideoplastią; termin ten, wzięty z greckiego eidod (wyobrażenie) i plassein (kształtować), oznacza dosłownie „formę ukształtowaną z idei”. Ideoplastią, zdaniem parapsychologów, byłaby źródłem wszystkich zjawisk wynikających z interakcji umysłu z materią.

Niemniej z całą pewnością nie można przyjąć, że to autosugestia wywołała rany w sercu św. Teresy z Avili, czy też św. Weroniki Giuliani. Niemożliwe jest również wyjaśnienie w świetle tej teorii faktu, dlaczego stygmaty św. Katarzyny ze Sieny stały się widzialne dopiero po jej śmierci, kiedy jej energia psychiczna już nie istniała.

Zjawisko stygmatów do dziś interesuje i medycynę, i teologię. Wprawia w bezgraniczne zdumienie. Ludzie poruszeni są tą tajemnicą - tajemnicą, która nieodparcie przypomina o Męce Chrystusa.

W SZOPIE POD WIĄZEM

Ojciec Pio otrzymał stygmaty w 1918 roku, w wieku 31 lat. Wydarzenie to ma swą dokładną datę, 20 września 1918 roku, chociaż w rzeczywistości „dopełniało się” ono powoli, etapami. Pierwsze jego oznaki wystąpiły w 1910 roku, kiedy zakonnik z powodu swej niewyjaśnionej choroby opuścił klasztor, by zamieszkać przez pewien czas w domu rodzinnym w Pietrelcinie.

Codziennie, po odprawieniu Mszy św., udawał się do miejscowości Piana Romana. Tam, pod rozłożystym wiązem, jego brat Michele postawił szopę, by Pio mógł się modlić i rozmyślać, pozostając jednocześnie na świeżym powietrzu dla podleczenia swych chorych płuc.

Wspominając owe lata Ojciec Pio powtarzał: „Nikt nie wie, co działo się w tej szopie”. Lecz swemu spowiednikowi wyznał, iż właśnie tam stygmaty zaczęły się objawiać na jego ciele, a było to - po południu 7 września 1910 roku. Odmawiał swoje modlitwy w cieniu wiązu, kiedy to ukazali mu się Jezus i Maryja, i w tym samym momencie na swych dłoniach zobaczył Chrystusowe rany.

Wróciwszy do domu opowiedział o wszystkim proboszczowi Pannullo: „Wujku Torę, błagam, prosimy Chrystusa, by uwolnił mnie od tych znaków. Pragnę cierpieć, umrzeć z cierpienia, ale żeby to było w ukryciu”. Modlili się razem i Bóg wysłuchał ich modlitw. Widoczne znaki stygmatów zniknęły, zostawiając jednak po sobie straszliwe cierpienia.

Po roku, we wrześniu 1911, zjawisko powtórzyło się, tym razem z większą intensywnością. Ojciec Pio napisał wówczas do swego kierownika duchowego: „W środku obu dłoni pojawiły się czerwone plamy, o wielkości centa. Towarzyszył temu silny i przenikliwy ból, dotkliwszy w lewej ręce. Ból odczuwam także i pod stopami”.

W marcu 1912 roku pisał jeszcze: „Od czwartkowego wieczora aż do soboty, a także we wtorek przeżyłem okropne bóle. Serce, dłonie, stopy jakby przeszyte szpadą - tak strasznego doznaję bólu”. 23 sierpnia 1912 roku, w kolejnym liście do swego kierownika duchowego, Ojciec Pio wspominał także o ranie w boku: „Odprawiałem w kościele dziękczynienie po Mszy św., kiedy poczułem nagle, jakby ktoś przeszył me serce ognistą, płonąca strzałą. Zdawało mi się, że umieram”.

Stygmatyzacja postępowała stopniowo. Dopełnić się miała w 1918 roku, w maleńkim San Giovanni Rotondo pod Gargano, gdzie Ojciec Pio spędzi resztę swego życia. Do klasztoru Matki Boskiej Łaskawej w San Giovanni Rotondo wysłany został niemalże za karę. Ciężły wówczas na nim zarzuty o uchylanie się od obowiązków zakonnych, pozostawał, bowiem przez podejrzanie długi okres czasu w swym rodzinnym domu, odmawiając powrotu do klasztoru. A co gorsza, lekarze nie potrafili dokładnie rozpoznać choroby Pio, co utwierdzało jego przełożonych w przekonaniu, iż jest ona zwykłą wymówką.

18 marca 1918 roku Ojciec Pio zwolniony został ze służby wojskowej z przyczyn zdrowotnych. Tym razem lekarze rozpoznali obustronne oskrzelowe zapalenie płuc. „Wysyłamy go do domu, by mógł umrzeć w spokoju” - uzasadnili swą decyzję. Młody zakonnik chciał powrócić do rodzinnych stron, lecz władze zakonne skierowały go do San Giovanni Rotondo.

OGNISTA WŁÓCZNIA

Podówczas San Giovanni Rotondo było małe, komu znaną miejsciną. Francesco Morcaldi, zaprzyjaźniony z Pio od 1918 roku, przez wiele lat był tu burmistrzem. Oddajmy mu głos: „W owych czasach San Giovanni Rotondo było maleńkim miasteczkiem, niemalże odciętym od świata z powodu braku dróg i szybkich środków komunikacji. Warunki życia jego mieszkańców bardziej niż prymitywne - brak światła, wody pitnej i najprostszych chociażby sanitariów. Wielodzietne rodziny gnieździły się pod tym samym dachem ze zwierzętami, w mrocznych i dusznych ruderach, niżej poziomu ulicy. Choroby zakaźne zbierały smutne żniwa. Częste były napady rabunkowe i zbrodnie, siejące postrach wśród ludności”.

W klasztorze Ojciec Pio pełnił funkcję spowiednika parafian oraz kierownika duchowego młodych chłopców pragnących poświęcić się życiu zakonnemu. Alumnów było niewielu, toteż Pio miał sporo wolnego czasu, który spędzał na modlitwie. W dniu 5 sierpnia 1918 roku, kiedy spowiadał swych chłopców, spotkało go nadzwyczajne doznanie mistyczne, które tak opisał w liście do swego kierownika duchowego: „Słuchałem spowiedzi, kiedy nagle zdrętwiałem z przerażenia: przed oczami mego umysłu stanął Niebiański Gość. Trzymał w ręku coś na kształt narzędzia podobnego do długiej, żelaznej klingi, zakończonej dobrze wyostrzonym szpicem, który zdawał się ziać ogniem. I tym rozpalonym narzędziem rzucił z całych sił w mą duszę. Z wielkim trudem wydobyłem z siebie jęk.

Zdawało mi się, że umrę. Chłopca, którego spowiadałem, poprosiłem, żeby odszedł, gdyż czułem się bardzo źle i nie miałem siły dalej spowiadać. Ta męka trwała nieprzerwanie aż do 7 sierpnia rano. Nie potrafię opisać moich cierpień. Miałem uczucie, jakby mi rozdierano wnętrzności. Od owego dnia zacząłem nosić w sobie śmiertelną ranę. W samej głębi duszy czuję stale otwartą ranę, źródło mych ustawicznych katuszy". Ból spowodowany tym mistycznym przeżyciem trwał aż do 20 września. Chwilami cierpienie tak się wzmacniało, że młody zakonnik błagał o śmierć.

Oto, co napisał w owych dniach do swego kierownika duchowego: „Rana jest tak bolesna, że wystarczyłaby tysiąckroć na zadanie mi śmierci. Boże, dlaczego nie umieram? A jednak jesteś okrutny - głuchy na krzyk cierpiącego, nie dajesz mu ukojenia. Wybacz mi, Ojczy, chyba tracę zmysły. Nie wiem, co mówię. Nadmiar cierpień doprowadza mnie, wbrew mej woli, do złości". „Czułem, że umieram"

Rany, jakie objawiły mu się w czasie mistycznej wizji w dniu 5 sierpnia, stały się widzialne 20 września. Ojciec Pio opisał to niezwykle wydarzenie w następujący sposób: „Siedziałem na chórze po odprawieniu Mszy świętej, kiedy owładnęła mną jakaś dziwna ociężałość, podobna do słodkiego snu. Wszystkie moje wewnętrzne i zewnętrzne zmysły, a także cała dusza pogrążyły się w nieopisanym ukojeniu. Trwałem w tym stanie, gdy zobaczyłem nagle obok siebie tajemniczą postać, podobną do tej, którą widziałem już 5 sierpnia, z tą tylko różnicą, że ta miała ręce, stopy i bok broczące krwią. Jej widok przeraził mnie. Doznałem uczuć, których nigdy nie zdołam opisać. Czułem, że umieram, i umarłbym, gdyby Pan nie podtrzymał kołającego się w piersiach serca.

Kiedy tajemnicza postać zniknęła, spostrzegłem, że moje dłonie, stopy i bok są przebite i ociekają krwią. Proszę sobie wyobrazić mękę, jakiej wówczas doznałem i doznaję nieustannie każdego dnia, Rana serca krwawi obficie, zwłaszcza od piątkowego wieczora do soboty. Obawiam się, że umrę z upływu krwi, jeśli Pan nie wysłucha mych jęków i nie odejmie mi tych ran. Niech zostawi mi ból i mękę, lecz niechaj odejmie mi te znaki zewnętrzne, które sprawiają mi nieopisane zawstydzienie i upokorzenie".

Z zeznań współbraci Ojca Pio, którzy mieszkali wówczas w San Giovanni Rotondo, wynika, iż po otrzymaniu stygmatów z trudem dowlóknął się on z chóru do swej celi

(oznaczonej wówczas numerem 5) zostawiając po sobie na posadzce korytarza krwawe ślady Jak tylko wszedł do celi, starał się zahamować krwotok obwiązując dłonie i stopy chusteczkami. Opatrunki nie mogły nie być zauważone, toteż gwardian klasztoru zażądał wyjaśnień. Ojciec Pio musiał mu pokazać swe rany.

Ojciec Paolino poinformował o wszystkim prowincjała, który nakazał zachowanie całego wydarzenia w tajemnicy, po czym bezzwłocznie udał się do San Giovanni Rotondo. Obejrzał rany i nie wiedząc, co czynić, wysłał list do generała zakonu, stwierdzając między innymi: „Nie są to plamy ani też odcisknięte ślady, lecz autentyczne rany na wylot. W boku zaś widnieje istne rozdarcie, z którego nieustannie wypływa krew bądź krwawa ciecz”. Na nic zdało się bezwzględne milczenie Ojca Pio, jak i ostrożność jego przełożonych.

Wiadomość o „bracie ze stygmatami” lotem błyskawicy obiegła Apulię, a wkrótce potem całe Włochy i inne kraje, dając początek pielgrzymowaniu do San Giovanni Rotondo tłumów ludzi, żądnych zobaczyć to dziwne zjawisko na własne oczy. Dała również początek sporom pomiędzy tymi, którzy pośpiesznie rozgłaszali światu o cudzie, a tymi, którzy z góry negowali wszystko.

Do spokojnego klasztoru kapucynów zaczęli zjeżdżać się dziennikarze. Doszło do pierwszych głośniejszych nawróceń i pierwszych „cudów”, przypisywanych „świętemu ze stygmatami”.

Przełożeni zakonni czuli się w obowiązku poddania tych dziwnych ran badaniu lekarskiemu. Trzeba było odpowiedzieć na ataki kierowane pod adresem Ojca Pio i całej wspólnoty zakonnej w San Giovanni Rotondo, oskarżanym o szalbierstwo.

BADANIA LEKARSKIE

Pierwszym lekarzem, który badał stygmaty Ojca Pio, był profesor Luigi Romanelli, ordynariusz szpitala w Barletcie. Zbadał zakonnika, z polecenia prowincjała, w dniach 15 i 16 maja 1919 roku.

W swoim sprawozdaniu napisał między innymi: „Obrażenia widoczne na dłoniach pokryte są błoną czerwono-brązowej barwy, bez punktu krwawiącego i opuchlizny. Brak również śladów zapalenia sąsiednich tkanek. Przekonany jestem, a wręcz pewny, iż nie są to rany powierzchowne, gdyż przyciskając równocześnie dłoń kciukiem, zaś palcem wskazującym wierzch ręki czuje się wyraźnie, iż w środku jest puste miejsce. Obrażenia stóp mają identyczny charakter. W boku widnieje wyraźne nacięcie, równoległe do żeber, długie na siedem do ośmiu centymetrów. Odnotowałem uszkodzenia tkanek miękkich. Jak w każdym przypadku obrażeń klatki piersiowej, nie można przeprowadzić sondowania rany, stąd trudno jest ocenić jej głębokość i kształt. Rana mocno krwawi, a krew ma charakter tętniczy”.

W dwa miesiące później, 26 lipca, na prośbę władz kościelnych, do San Giovanni Rotondo przybył profesor Amico Bignami, kierownik Katedry Patologii w Uniwersytecie Rzymskim. Badaniu ran Ojca Pio profesor poświęcił cały tydzień. Jego wnioski w zasadzie nie różniły się od wniosków profesora Romanello.

Również ocena osobowości Stygmatyka pełna była słów uznania. Będąc jednakże pozytywistą i przekonany ateistą, postawił wnioski zgodne z uznawanymi przez siebie teoriami. Stwierdził, iż jego zdaniem jedynie w początkowej fazie stygmaty były „charakteru patologicznego (wywołane neurotyczną martwicą skóry), następnie zaś wspomagane być może nieświadomie, poprzez autosugestię, jakimś środkiem chemicznym, na przykład jodyną”.

Takim stwierdzeniom ostro sprzeciwił się profesor Romanelli. Ponowił badania ran Ojca Pio i napisał nowe sprawozdanie, w którym punkt po punkcie zbijał tezy Bignamiego. Dokładne badania Stygmatyka przeprowadził wraz z profesorem Romanellim doktor Giorgio Festa. Opisał je w pokaźnym tomie opublikowanym pod tytułem „Tajemnice wiedzy i światła wiary”.

Festa podał w wątpliwość tezy profesora Bignamiego, zauważając: „Obrażenia powstałe w jakikolwiek - nieważne, w jaki – sposób powinny być zgodnie z naturą rzeczy bądź z wolna zabiżniać się, bądź przejść w stadium martwicze spowodowane działaniem zarazków, czego przecież trudno było uniknąć”.

Przeciwko profesorowi Bignamiemu obrócił się nawet eksperyment, który on sam polecił przeprowadzić. Wybitny naukowiec zakładał, iż rany Ojca Pio zagoją się, jeśli zakaże mu się smarowania ich jodyną przez jeden tydzień. Zalecony eksperyment przeprowadzono z jak największą skrupulatnością. Po ośmiu dniach rany nie tylko nie zagoiły się, lecz krwawiły jeszcze obficie.

Ojciec Paolino z Casacalendy, jeden ze świadków eksperymentu, napisał: „Ósmego dnia, po ściągnięciu opatrunków, rany Ojca Pio krwawiły tak obficie, że musieliśmy donieść mu w czasie Mszy świętej chusteczki, by mógł zetrzeć całą tę krew ze swych dłoni”.

ZAGADKA GEMELLEGO

Niedługo po wyjeździe profesora Bignamiego w San Giovanni Rotondo zjawił się o. Agostino Gemelli, założyciel mediolańskiego Uniwersytetu Katolickiego Najświętszego Serca. Po swej wizycie ojciec Gemelli negatywnie ustosunkował się i do osoby Ojca Pio, i do jego stygmatów. Opinia Gemellego miała zgubny wpływ na ocenę kapucyna z Pietrelciny zarówno pośród kleru, jak i katolików świeckich. Odtąd we wszystkich artykułach, książkach, programach radiowych i telewizyjnych poświęconych sprawie Ojca Pio powtarzało się stwierdzenie: „A jednak o. Gemelli był przeciw”.

W 1920 roku o. Agostino Gemelli miał 32 lata. Był konwertytą. Ukończył studia medyczne i posiadał specjalizację z psychologii. Cieszył się dużym autorytetem. Duchowny, lekarz i psycholog – był bez wątpienia najlepiej przygotowaną osobą wśród wszystkich tych, którym przyszło badać tego rodzaju tajemnicze zjawisko. Jednakże Gemelli nigdy nie oglądał stygmatów Ojca Pio, a zatem nie powinien był wydawać na ten temat jakiegokolwiek opinii. A jednak, kto wie, z jakich powodów, wyraził opinię potępiającą, popełniając błąd, którego historia nigdy mu nie wybaczy.

Ojciec Gemelli udał się do San Giovanni Rotondo 18 kwietnia 1920 roku. Jego podpis widnieje pod tą właśnie datą w rejestrze klasztornych gości. Towarzyszyła mu postać dość popularna w kręgach katolickich - Armida Borelli, założycielka Sekcji Młodzieży Żeńskiej przy Akcji Katolickiej i współpracowniczka o. Gemellego przy tworzeniu Uniwersytetu Katolickiego w Mediolanie.

Przebieg wizyty opisany został przez o. Benedetta z San Marco In Lamis, jej naocznego świadka: „To, co piszę, pamiętam w najmniejszym szczególe, zupełnie jakby to było wczoraj. Mogę poświadczyć to pod przysięgą. Ojciec Gemelli napisał do prowincjała, ojca Piętro, oznajmiając mu o swym zamiarze udania się do San Giovanni Rotondo. O. Piętro w odpowiedzi poinformował go, iż jeśli jego wizyta ma mieć charakter naukowy, związany z badaniem Ojca Pio, winien postarać się w Rzymie o specjalne pozwolenie przełożonych zakonu. Gemelli odpowiedział, iż wybiera się do Ojca Pio z przyczyn prywatnych i duchowych.

Traf chciał, iż w drodze do San Giovanni Rotondo zatrzymałem się akurat w Foggii. Ojciec Piętro pokazał mi odpowiedź Gemellego, przesłaną na zwykłej kartce pocztowej, i poprosił mnie, żebym poczekał w Foggii do następnego dnia. Miałem towarzyszyć zacnemu gościowi w drodze do San Giovanni Rotondo. Gemelli przybył wieczorem. Nie napomknął ni słowem o chęci zbadania ran Ojca Pio.

Następnego dnia ruszyliśmy wszyscy do San Giovanni Rotondo. Oprócz mnie Gemellemu i Armidzie Barelli towarzyszyli: wikariusz generalny, sekretarz prowincji Foggia o. Gerardo oraz gwardian Braci Mniejszych. Pani Barelli poprosiła o rozmowę z Ojcem Pio, w czasie, której zapytała go w mojej obecności, czy Bóg pobłogosławi dopiero, co utworzone dzieło, jakim jest Uniwersytet Katolicki. Ojciec Pio odpowiedział jednym tylko słowem: «Tak».

W dzień później Barelli zaczęła dopraszać się u mnie, bym pozwolił Gemellemu zbadać rany Ojca Pio. Odpowiedziałem, że nie mogę tego uczynić, gdyż prowincjał wyraźnie zabronił zmuszania Ojca Pio do tak upokarzających badań. Zresztą Gemelli nie posiadał pozwolenia z Rzymu, a przy tym, jak oświadczył wcześniej, nie z tymi zamiarami przybył do San Giovanni Rotondo. Na usilne, nie kończące się prośby pani Barelli nie mogłem powiedzieć nic ponad to, co powiedziałem wcześniej.

Odstąpiwszy w końcu od zamiaru zbadania stygmatów, Gemelli poprosił o możliwość rozmowy z Ojcem Pio. Ich spotkanie odbyło się w zakrystii i trwało parę minut. Odniosłem wrażenie, jakby Ojciec Pio pożegnał swego gościa nieco poirytowany".

Z tak dokładnej relacji z owego spotkania wynika jasno, że Gemelli nie badał Ojca Pio ani też nie widział nawet jego stygmatów. Mimo to parę miesięcy później rozeszła się wieść o „wstrząsającym sprawozdaniu" Gemellego. Nie ma po nim żadnego śladu, a przecież wszyscy je cytują. Na temat relacji Gemellego toczono rozliczne spory, do których powracano jeszcze przez wiele lat.

Gemelli powtarzał z całą stanowczością: „Zadanie zbadania tej sprawy zleciły mi władze kościelne, których nie ma potrzeby tu wymieniać. To im doręczyłem moje sprawozdanie". Zaś przy innej okazji stwierdził nawet: „Zbadałem dokładnie Ojca Pio i jego stygmaty. Był przy tym obecny ojciec prowincjał".

Z historycznego punktu widzenia powyższe stwierdzenia Gemellego nie znajdują żadnego poświadczenia w dostępnych nam dokumentach. Nie wiadomo, w jaki sposób, gdzie i kiedy badał on Ojca Pio i jego stygmaty, skoro stwierdzono, iż tylko jeden raz udał się on do San Giovanni Rotondo. A zatem negatywna ocena Gemellego nie przedstawia żadnej wartości.

OSTATNIE BADANIE LEKARSKIE

15 grudnia 1924 roku dr Giorgio Festa zwrócił się do władz kościelnych o zezwolenie na poddanie Ojca Pio ponownym, dokładniejszym badaniom medycznym. Odpowiedź była odmowna. Udało mu się jednakże zbadać stygmaty Ojca Pio raz jeszcze, 5 października 1925 roku. Dokonał owego niezamierzonego badania w czasie operacji przepukliny pachwinowej, jakiej zakonnik musiał się poddać.

W swej książce „Tajemnice nauki i światła wiary" dr Giorgio Festa tak oto pisze: „Czekałem, aż Ojciec Pio zakończy swą Mszę św., której nie omieszkał odprawić, jak zawsze, również i tamtego ranka, 5 października.

Po spowiedzi, mszy śpiewanej, błogosławieństwie, modlitwie Ojciec Pio wyszedł z przyklasztornego kościółka dopiero około południa. Kroczył powoli, blady ze zmęczenia i z bólu, jakiego przysparzały mu stygmaty i przepuklina. Gdy tylko mnie zobaczył, powiedział: «Drogi doktorze, oddaję się w pańskie ręce, ale proszę o jedno: żadnego usypiania». Na nic zdał się mój energiczny sprzeciw. Nie pomogły nawet argumenty poparte względami technicznymi. Pozostał przy swojej decyzji, zapewniając mnie, że w czasie operacji nie uczyni najmniejszego ruchu.

Wyjaśnił: «Gdybyś mnie uśpił, czy potrafiłbyś powstrzymać się od zbadania moich ran, które już raz dokładnie przebadałeś?. «Nie, Ojcie» - odpartem i dorzuciłem: „Co więcej, byłoby to pierwsze moje życzenie, którego spełnienia nie potrafiłbym sobie odmówić po wielu latach oczekiwania. «Widzisz, zatem - odpowiedział - że mam rację

rezygnując z narkozy. Właściwie, nie zabroniono mi, jak dotychczas, poddawania się badaniom lekarskim, lecz wiem, że moim przełożonym nie wolno wydawać pozwoleń na takowe kontrole. Uważam, zatem, iż moim obowiązkiem jest uczynienie wszystkiego, by zarządzenie to było respektowane. Z tego właśnie względu w czasie operacji chcę pozostać panem moich czynów i mej woli».

Ogromny hart ducha, jaki Ojciec Pio wykazał w trakcie trwającego godzinę i trzy kwadranse zabiegu, ustąpił miejsca - co było do przewidzenia - stanowi głębokiej zapaści. Zoperowany kilka razy tracił przytomność. W czasie jednego z owych omdleń mogłem dokładnie zbadać jego rany. Po pięciu latach, które minęły, od kiedy badałem je po raz pierwszy, miały ten sam wygląd, jaki opisałem w moich pierwszych sprawozdaniach".

„TO NIE SĄ MEDALE"

Doktor Festa był ostatnim lekarzem, który obejrzał i zbadał stygmaty Ojca Pio. Nie był jednakże ostatnią osobą, która je oglądała. Tysiącom osób dane było je oglądać. Wprawdzie Ojciec Pio okrywał swe rany rękawiczkami bez palców, lecz w czasie odprawiania Mszy świętej zazwyczaj ściągał rękawiczki i każdy mógł zobaczyć owe tajemnicze znaki. Mogli je oglądać codziennie współbracia Ojca Pio, pomagający mu w porannej czy wieczornej toalecie.

Miałem okazję dobrze poznać o. Alberta D'Apolito, który przez długi czas pozostawał w bliskim kontakcie z Ojcem Pio. Oto, co mi opowiedział: „Widziałem stygmaty Ojca Pio setki razy. Jako chłopiec byłem bardzo ciekawski. Często, kiedy udawało mi się chwycić Ojca Pio za rękę, ściągałem mu rękawiczki, by obejrzeć jego broczące krwią rany. Kiedy strudzony podeszłym wiekiem nie potrafił już samodzielnie umyć się, niejednokrotnie myłem mu nogi, dzięki czemu mogłem dobrze przyjrzeć się jego poranionym stopom".

Ojciec Pellegrino z Sant'Elia, również przez dłuższy czas pozostający blisko Ojca Pio, powiedział mi: „Wiele razy oglądałem rany rąk Ojca Pio - głębokie, w samym środku dłoni, pokryte zakrwawionymi strupami. Zaś tylko jeden raz, w 1958 roku, widziałem jego ranę w boku. Ojciec Pio zgubił wtedy guzik z podkoszulki, którą miał na sobie. Poprosił mnie, bym przyszył guzik. Musiał zatem rozebrać się. Ujrzałem ranę długą na sześć, siedem centymetrów i szeroką na dwa, trzy centymetry. Wydawała się dość głęboką, ale nie krwawiła".

Angelo Battisti, syn duchowy Ojca Pio, przez wiele lat sprawujący funkcję administratora Domu Ulgi w Cierpieniu (dużego szpitala, postawionego w San Giovanni Rotondo z inicjatywy Ojca Pio) miał to duże szczęście, że wielokrotnie mógł uważnie przyglądać się jego stygmatom. „Ponad sześćset razy służyłem Ojcu Pio do Mszy św. " – powiedział mi. - „Często ściągał on wtedy swe rękawiczki i wszyscy mogli oglądać jego rany, a ponieważ stałem tuż obok niego, widziałem je bardzo dobrze. Czasami te półrękawiczki podawał mnie. Oddawałem mu je w zakrystii po zakończeniu Mszy świętej.

Przed ubraniem ich pozwalał mi ucałować swe dłonie. Jego ręce pokryte były z wierzchu i od wewnątrz skrzepami krwi, lśniącymi niczym diamenty.

Pewnego niedzielnego wieczoru odprowadziłem Ojca Pio do ogrodu. Było to w przeddzień kolejnej, przypadającej 20 września rocznicy jego stygmatyzacji. Nieśmiało zwróciłem się doń z życzeniami z tej okazji, na co wybuchł płaczem i powiedział: «Tak, to nie są medale. Synu mój, ty pierwszy okazałeś, że masz dla nich poszanowanie». Nie wiem, dlaczego wypowiedział to zdanie. Być może, chciał dać mi do zrozumienia, że ran tych nie należało traktować, jakby to były jakieś ordery. Były one znakiem przypominającym o Chrystusie.

Jedno jest pewne - Ojciec Pio otaczał swe rany wielką troską. Częstokroć widziałem, z jaką pieczołowitością mył palce wystające z obciętych rękawiczek".

NOWY CUD

Przez pięćdziesiąt lat rany Ojca Pio zachowały świeżość, krwawiły i pozostały dokładnie takimi, jakimi ukazały się po raz pierwszy. Nigdy nie wywołały stanów martwiczych skóry czy też ropień bądź nieprzyjemnej woni. Nigdy nie zagoiły się. Nie uległy też żadnym zmianom zwyrodnieniowym. Były zjawiskiem o cechach pozostających w absolutnej sprzeczności z prawami przyrody. Dla medycyny są do dziś nierozwiązaną zagadką. Co więcej, po śmierci Ojca Pio zniknęły nie zostawiając po sobie choćby najmniejszej blizny.

Fakt ten wprowadził w zdumienie wszystkich, którzy, na co dzień stykali się ze Stygmatykiem. Nikt nie potrafił wyjaśnić tak zaskakującej zmiany. Skóra dłoni, stóp i boku zmarłego - miejsca, gdzie przez tyle lat widniały świeże rany - niczym nie różniła się od całej reszty ciała. Nie było żadnego śladu blizn.

Lekarze wobec tego stwierdzili, że to w rzeczy samej kolejny cud. Wiadomo bowiem, iż każda głęboka i trudno gojąca się rana, będąca skutkiem uszkodzenia tkanek, zostawia po sobie trwały ślad, jakim jest blizna. W przypadku Ojca Pio do tego nie doszło. Doszło natomiast do „regeneracji” uszkodzonych tkanek, „odrostu” ubytków ciała w szczelinach ran. A zatem doszło do kolejnego wielkiego cudu.

Lecz współbraci Ojca Pio ogarnął strach. Starali się ukryć zaistniały fakt. W istocie, zwłoki Stygmatyka wystawiono na widok publiczny w tych samych rękawiczkach bez palców, którymi przez całe życie okrywał on swe rany. Tym razem owe „półrękawiczki” niczego już nie przykrywały, tylko były mylącym zabiegiem.

Jeden z zakonników, przerażony samą myślą o „niesławie”, jaką byłaby dla zmarłego i dla całego zakonu wiadomość, że stygmaty zniknęły - zaświadczył, iż widział rany na dłoniach Ojca Pio również po jego śmierci.

Wrogowie Ojca Pio, ci, którzy zawzięcie go prześladowali i nigdy nie uwierzyli w autentyczność jego stygmatów, wykorzystali sytuację, by raz jeszcze wyrazić potępiającą opinię. Jeden z nich stojąc przy zwłokach Stygmatyka powiedział: „Skoro nie miał stygmatów, to, po co nosił rękawiczki?”.

Dopiero po ogłoszeniu przez lekarzy faktu zniknięcia ran, jako przypadku absolutnie niewytłumaczalnego dla nauki przeciwnicy Ojca Pio zaczęli coraz częściej dopuszczać do siebie myśl o tym, że tak bardzo krytykowany przez nich współbrat chyba jest jednak świętym.

PRZYBYSZE Z ZAŚWIATÓW

Stygmatyzacja uczyniła z Ojca Pio człowieka „naznaczonego”. Naznaczonego przez Boga. Istota ludzka, przynależna do tego świata, otrzymała pieczęć od Boga. I ta właśnie pieczęć miała ściśle określony sens: wskazywać na osobę, która z wyboru Bożego miała poprzez cierpienie uczestniczyć w tajemnicy Zmartwychwstania Chrystusa.

Fakty takie zachodzą jedynie w kulminacyjnym momencie wyjątkowych doświadczeń mistycznych - u osób, które po długiej wędrówce na drodze do doskonałości, poprzez modlitwę i kontemplację, uzyskały wysoki stopień zespolenia z boską rzeczywistością.

Ojciec Pio już w wieku dziecięcym wszedł w szczególny kontakt ze światem Bożym. Już od dzieciństwa jego życie duchowe nosiło znamiona niezwykłości.

RZECZYWISTOŚĆ JEDYNA

W biografiach wszystkich świętych odnotowane są fakty ich niezwykłych „kontaktów” ze sferą nadprzyrodzoną. Tak niezwykle historie niekiedy zdają się być wytworami fantazji. Na zwyczajnych ludziach wywierają bardzo silne wrażenie, ale teologowie najczęściej je „pomijają” ze względu na trudność ich obiektywnej oceny. W każdym razie chodzi o doświadczenia wyjątkowe.

Dla chrześcijanina świat nadprzyrodzony jest konkretną rzeczywistością. Co więcej, jest jedyną prawdziwą rzeczywistością, do której ma dążyć całym sobą, bowiem w tym właśnie świecie przeznaczone mu jest żyć całą wieczność, z duszą i ciałem.

KOŃCOWE ZDANIE

Wyznania wiary brzmi: „I oczekuję wskrzeszenia umarłych i życia wiecznego w przyszłym świecie”. Lecz jest jeszcze jedna prawda, którą chrześcijanin wyznaje, a łączy ona nierozdzielnie rzeczywistość doczesną ze światem nadprzyrodzonym. Owa Prawda zawiera się w teologicznej koncepcji Kościoła.

Nowy Katechizm mówi o trzech stanach w Kościele: „Dopóki Pan nie przyjdzie w majestacie swoim, a wraz z Nim wszyscy aniołowie, dopóki po zniszczeniu śmierci

wszystko nie zostanie Mu poddane, jedni spośród Jego uczniów pielgrzymują na ziemi, inni, dokonawszy żywota, poddają się oczyszczeniu, jeszcze inni zażywają chwały, widząc «wyrażnie samego Boga troistego i jedyne, jako jest»" (nr 954).

Oznacza to po prostu, iż Kościół tworzą osoby żyjące w świecie doczesnym, zmarli, którzy dostąpili już szczęścia wiekuistego, oraz ci zmarli, którzy oczyszczają się jeszcze z grzechów. Trzy stany, w trzech różnych sytuacjach, ale ściśle powiązane między sobą poprzez Chrystusa: „[...] obcowanie ze świętymi łączy nas z Chrystusem, z którego, niby ze Źródła i Głowy, wypływa wszelka łaska i życie Ludu Bożego" (nr 957).

Nie istnieją, zatem podziały poza podziałami akcydentalnymi. Nie ma, zatem przeszkód, by owe trzy stany kontaktowały się ze sobą, wręcz przeciwnie - więź między nimi urzeczywistnia się poprzez wiarę i miłość Bożą, zaś w wyjątkowych przypadkach bezpośrednio.

Wszyscy święci doświadczali takich kontaktów między ziemią a niebem. W ich biografiach nie brakuje opisów wizji Chrystusa, Matki Boskiej i innych przybyszów z Królestwa Szczęścia Wiekuistego. Pojawiają się też relacje z odwiedzin dusz czyśćcowych.

Ojciec Pio bardzo wcześnie wszedł w kontakt z światem nadprzyrodzonym. Z dziennika o. Agostina z San Marco in Lamis, kierownika duchowego Ojca Pio, dowiadujemy się o tym, że już w 1892 roku, czyli w wieku pięciu lat, miał on wiele przeżyć natury charyzmatycznej. Ekstazy i wizje zdarzały mu się wtedy tak często, że uważał je za coś zupełnie zwyczajnego.

„A OJCIEC NIGDY NIE WIDUJE MATKI BOSKIEJ?”

Ojciec Agostino pisze: „Jego ekstazy i wizje zaczęły się, gdy miał pięć lat - gdy w jego sercu zakiełkowało pragnienie oddania się służbie Bożej. Odtąd powtarzały się one nieprzerwanie. Pytany, jak to się stało, że tak długo nikomu o nich nie mówił, odparł z całą prostotą, iż uważał je za rzecz zwyczajną, zdarzającą się i innym duszom.

I rzeczywiście, kiedyś naiwnie zapytał mnie: «A Ojciec nigdy nie widuje Matki Boskiej?». Na moją odpowiedź, że nie, odparł: «Ojciec tak mówi przez świętą skromność»".

Inny z jego kierowników duchowych, o. Benedetto, zapisał w swym dzienniku, iż „pragnienie oddania się na służbę Bogu zrodziło się w małym Francesku w wieku pięciu lat. Aby ofiarować się Bogu, chłopiec udał się do kościoła w Pietrelcinie. Kiedy stanął przed głównym ołtarzem, ukazał mu się Chrystus. Przywołał go do siebie skinieniem ręki, po czym położył mu ją na głowie - na znak miłości i przyjęcia składanej mu ofiary".

Doznania mistyczne wzbudzały w tym małym chłopcu instynktowne pragnienie złożenia za nie podziękowania poprzez modlitwę i ofiarę. Od matki, jak i od proboszcza dowiedział się, że Chrystus, by zbawić człowieka, cierpiął przez całe życie, aż do swej

śmierci na krzyżu. I mały Francesco zapragnął cierpieć tak, jak On. Dlatego też szukał w domu najskrytszych miejsc, by z dala od niedyskretnych spojrzeń domowników modlić się i zadawać sobie pokutę.

Matka Ojca Pio opowiadała, jak to któregoś dnia zastała dziewięcioletniego wówczas syna biczującego się w ukryciu, za łóżkiem, żelaznym łańcuchem. Na nic zdały się jej błagania. Nie przestał umartwiać się. Spytała go:, „Dlaczego, synku, sam sobie zadajesz tak straszny ból?”. Francesco odparł: „Muszę bić się z taką siłą, z jaką Żydzi bili Jezusa, dopóki z Jego pleców nie wytrysnęła krew”.

Ksiądz Giuseppe Orlando, duszpasterz w Pietrelcinie, często ganił chłopca za to, że „zamiast spać w łóżeczku, które uścieliła mu kochająca go mama, kładł się na ziemi opierając głowę na kamieniu”. W okresie młodzieńczym doznania mistyczne przybrały na sile.

Towarzysze jego studiów teologicznych dobrze zapamiętali, że często pozostawał w kościele zupełnie nieruchomy, niczym pogrążony we śnie, wpatrując się w jeden i ten sam punkt, tak jakby widział tam jakiegoś swego rozmówcę. Kiedy indziej zaś, rozważając o Męce i Śmierci Chrystusa, wybuchał płaczem. Płacz był tak długi i intensywny, że poważnie osłabiał jego oczy.

Gdy chorując przebywał w Yenafo, często zdarzało się, iż odwiedzający go współbracia wchodząc do jego celi zastawali go w ekstazie. Przyklękali wtedy obok niego, pogrążając się na długo w modlitwie. Ekstazy trwały godzinami i powracały z rosnącą częstotliwością.

Zakonnicy zaczęli niepokoić się o zdrowie młodego współbrata. Bezradni szukali pomocy u lekarzy. W ten sposób ekstazy Ojca Pio stały się przedmiotem badań medycyny.

Jeden z lekarzy, Nicola Lombardi, pozostawił nam następujące świadectwo: „Ojciec Pio leżał na łóżku z otwartymi oczami i czerwoną od napływu krwi twarzą. Wzrok jego utkwiony był w jeden i ten sam punkt pokoju, jakby w kogoś. Zwracał się w słowach do Chrystusa, do Matki Bożej i do Anioła Stróża. Dialog, który prowadził, był raczej ożywiony. Stan ten trwał około pół godziny. Oprócz mnie świadkami tej sceny byli dwaj bracia zakonni. Przez cały ten czas kontrolowałem puls Ojca Pio i nie stwierdziłem żadnych anomalii. Jak tylko zakończyła się ta tajemnicza rozmowa, Ojciec Pio zapadł w głęboki sen. Kiedy niedługo potem obudzono go, był wesoły i żartował jak gdyby nic szczególnego się nie zdarzyło”.

„MNICH UMARŁ!”

„Ekstazy takie - jak poświadczył o. Agostino z San Marco In Lamis - zdarzały się ciągle, dwa czy trzy razy dziennie. Każda z nich trwała od jednej do dwóch i pół godziny.

Ojciec Pio rozmawiał z Jezusem, Matką Bożą, Aniołem Stróżem, św. Franciszkiem i innymi świętymi".

Ojciec Agostino miał szczęście być obecnym przy wielu ekstazach młodego zakonnika. Wypowiadane przezeń w owych momentach słowa starał się zanotować jak najwierniej, po czym przepisywał je do swego „Dziennika”.

Również w Pietrelcinie w okresie, jaki Ojciec Pio spędził w domu rodzinnym z przyczyn zdrowotnych, nieraz obserwowano jego ekstazy.

Każdego ranka udawał się do miejscowego kościoła parafialnego, by odprawić Mszę świętą. Po jej ukończeniu odmawiał długą modlitwę dziękczynną. Często zdarzały mu się wtedy omdlenia.

Kościelny, Michele Pilla, na widok omdleń Ojca Pio początkowo wpadał w panikę, lecz z czasem przyzwyczaił się do nich. Zostawiał klucze w drzwiach kościoła, żeby Ojciec Pio po przyjściu do siebie mógł je zamknąć.

Któregoś dnia, wróciwszy do kościoła, by oddzwonić południe, zastał Ojca Pio wciąż jeszcze nieprzytomnego. Czym prędzej pobiegł do proboszcza, krzycząc: „Mnich umarł!”. Proboszcz, dobrze znając przyczynę omdleń Ojca Pio, odpowiedział mu: „Nie martw się, zmartwychwstanie”.

Tego rodzaju zjawiska powtarzały się przez całe życie Ojca Pio. Z istotami nadprzyrodzonymi przestawał z poufałością. Zachowywał się wobec nich, jak wobec ludzi, z którymi stykał się, na co dzień.

Ze szczególną serdecznością odnosił się do Matki Bożej, zwąc Ją czule „Mamusią”. Wszyscy dobrze znający go zakonnicy zgodnie potwierdzili, iż bardzo często ukazywała mu się Maryja.

RAK PŁUC

W 1959 roku Matka Boska uzdrowiła go 25 kwietnia tego roku. Ojciec Pio ciężko zaniemógł i choroba przykuła go do łóżka. Lekarze byli ogromnie zaniepokojeni stanem zdrowia zakonnika. Zwołano konsylium złożone z trzech wybitnych specjalistów, profesorów Valdoniego, Mazzoniego i Gasbarriniego. Ich diagnoza brzmiała: złośliwy nowotwór płuc. Zawyrokowali, że Ojcu Pio pozostało tylko parę miesięcy życia.

Stan chorego pogarszał się z dnia na dzień. Ojciec Pio nie wstawał z łóżka już od czterech miesięcy, kiedy to, w sierpniu owego roku, przydarzył mu się fakt niezwykły.

„W tym czasie - wspomina o. Mario Mason, jezuita, założyciel Maryjnego Ruchu Eucharystycznego - podróżowałem po całych Włoszech, wożąc od miasta do miasta posąg Matki Bożej Fatimskiej, który znał już cały świat.

Przybyliśmy do Włoch dokładnie 25 kwietnia, czyli w dniu, kiedy Ojciec Pio nagle zachorował. W Foggii zjawiliśmy się 5 sierpnia. Stamtąd mieliśmy pojechać na dwa dni do Benewentu, lecz tamtejszy biskup z zakłopotaniem poinformował nas, że miasto opustoszało na czas urlopów i że na uroczystość przyjdzie mało ludzi. Z tejże przyczyny postanowiliśmy opóźnić nasz przyjazd do Benewentu i zatrzymać się dzień w San Giovanni Rotondo.

Wiedziałem, że 9 sierpnia przypadała rocznica święceń kapłańskich Ojca Pio. Do San Giovanni Rotondo zjeżdżali się z tej okazji liczni pielgrzymi. Przywitałyby nas, zatem rzesze wiernych. Tak też stało się. Przybyliśmy do miasteczka Ojca Pio 5 sierpnia wieczorem. Przez całą noc tłumy wiernych gromadziły się przed posągiem Matki Bożej Fatimskiej prosząc ją w modlitwie o zdrowie dla zakonnika ze stygmatami.

Następnego dnia, około godziny 10 rano, wraz z pilotem helikoptera, którym podróżowaliśmy, mechanikiem i kilkoma misjonarzami udaliśmy się do celi Ojca Pio. Opiekujący się nim bracia poprosili nas, by nie męczyć go zanadto rozmowami.

Weszliśmy do celi. Zobaczyliśmy Ojca Pio w łóżku, mokrego od potu, głośno i ciężko oddychającego. «Ojcze - rzekłem – pobłogosław nas i powiedz, choć kilka słów, bym mógł je przekazać pielgrzymom, którzy przybyli tu z modlitwami do Matki Bożej».

Z wielkim trudem i ledwie słyszalnym głosem odpowiedział: «Niechaj was Bóg błogosławi za dobro, jakie czynicie Kościołowi i Italii. Powiedźcie, więc ludziom, by posłuchali wszystkich zbawiennych rad, jakimi Maryja ich obdarza».

Około południa, kiedy w kościele było niewiele osób, przyniesiono go na noszach przed oblicze Matki Bożej Fatimskiej, by mógł Ją zobaczyć. Przez kilka minut pogrążył się w modlitwie, po czym odniesiony został do swej celi.

Z San Giovanni Rotondo wyruszyliśmy o godzinie 14. Ledwo helikopter uniósł się w powietrze, poprosiłem pilota, by zatoczył dwa koła nad klasztorem, w którym mieszkał Ojciec Pio, po czym skierowaliśmy się na Foggie".

„UZDROWIŁA MNIE NAJŚWIĘTSZA MARYJA PANNA"

„Kiedy byliśmy już daleko - wspomina o. Masone - poczułem, jak coś nieodparcie ciągnie mnie z powrotem do Ojca Pio, jakby to on sam przywoływał mnie do siebie. Powiedziałem do pilota: «Zawróć i zatrzymaj się przez chwilę nad klasztorem». Kapitan posłuchał.

Zawróciliśmy i przez kilka sekund wisieliśmy nieruchomo w powietrzu nad tą częścią klasztoru, w której - jak dobrze byłem zorientowany - znajdowała się cela Ojca Pio. Dowiedziałem się później, iż jak tylko usłyszał on warkot helikoptera, zaczął się modlić w te słowa: «Przenajświętsza Matko, kiedy przybyłaś do Włoch, wysłałaś mnie do łóżka, a teraz odjeżdżasz i zostawiasz mnie w tym stanie?».

Zaledwie wyrzekł te słowa, całym jego ciałem wstrząsnęły silne dreszcze. Stojący obok zakonnicy zdrętwieli z przerażenia, myśląc, że nadeszła już jego ostatnia chwila. Ale to dziwne zjawisko trwało kilka sekund, po czym Ojciec Pio poczuł się dużo lepiej. Jego twarz nabrała zdrowego koloru, a oddech stał się spokojny i regularny. Chory oświadczył, że nic go już nie boli i że wróciły mu siły; chciał wstać z łóżka.

Zawołano natychmiast po lekarzy. Ojca Pio poddano dokładnym badaniom. Okazało się, iż po jego straszliwej chorobie nie zostało ani śladu. Dwa dni później Ojciec Pio zaczął znów odprawiać Mszę świętą, spowiadać i spotykać się z wiernymi.

W liście z 13 sierpnia tegoż roku, pisanym do jednego ze swych synów duchowych, Ojciec Pio potwierdził, iż zawdzięcza swe nagłe, cudowne wyzdrowienie Matce Bożej Fatimskiej. «Podziękuj w moim imieniu Przenajświętszej Dziewicy - pisał - gdyż akurat w dzień Jej wyjazdu od nas poczułem się dobrze».

W kwietniu 1967 roku miałem sposobność przeprowadzenia wywiadu z Ojcem Pio w klasztorze Matki Boskiej łaskawej w San Giovanni Rotondo. Napomknąłem wtedy o tym cudownym wydarzeniu i spytałem go, czy jest prawdą, iż uzdrowiła go Matka Boska. Wybuchnął płaczem: „Tak, tak - uzdrowiła mnie Przenajświętsza Dziewica”.

Ojciec przełożony odprowadzając mnie do drzwi powiedział: „Zawsze, kiedy porusza się ten temat, Ojciec Pio wybucha płaczem. Wiele razy chciał nam o tym opowiedzieć, lecz za każdym razem, kiedy zaczyna swą opowieść, rozpłakuje się ze wzruszenia”.

„WIDZĘ DWIE MAMY”

Matka Boska była przy Ojcu Pio również w momencie jego śmierci. Potwierdził to czuwający przy nim po nocach o. Pellegrino z Sant' Elia a Pianisi. W razie potrzeby służył mu pomocą. To on towarzyszył mu również w ostatnich godzinach jego życia.

Oto, co opowiedział mi o. Pellegrino: „W pewnej chwili zauważyłem, że Ojciec Pio uporczywie wpatruje się w ścianę. Jego blada i cierpiąca twarz nagle rozpromieniła się. Podeszedłem bliżej jego łóżka. Spostrzegłszy mnie, zapytał pokazując na ścianę: «A tam, kto to jest?». «Zdjęcia najbliższych Ojca - mamy, taty oraz niektórych z naszych chorych» - odrzekłem.

A on na to: «Widzę dwie mamy». Pomyślałem, że źle widzi. Podeszedłem, więc do ściany i wskazując na zdjęcie powiedziałem: «To jest mama Ojca». Ojciec Pio spojrzał na mnie i rzekł: «Nie martw się, ja doskonale widzę. Ale tam są dwie mamy». Wtedy zrozumiałem, że tą «drugą mamą» jest Maryja.

Wszyscy wiedzieliśmy, że Ojciec Pio miewał często wizje Matki Bożej. Ja sam bywałem świadkiem takich jego niezwykłych doświadczeń. Niekiedy, z ukrycia, obserwowałem go modlącego się. Słyszałem często, że z kimś rozmawia. W czasie tych

rozmów jego twarz promieniowała jakimś dziwnym, pięknym światłem. Owej ostatniej nocy nie rozmawiał z «dwoma mamami», ale zachwyt malujący się na jego twarzy zdradzał, że kogoś widzi".

Ojciec Pio nie tylko miewał wizje Chrystusa, Maryi czy świętych. Stawały przed nim również dusze zmarłych. Prosiły o modlitwę albo też po prostu przynosiły ze sobą jakieś wieści. Wiele osób opowiedziało mi, że obserwując Ojca Pio częstokroć zdawało się najpierw jakby mówił sam do siebie. Dopiero później okazywało się, że rozmawiał z dawno zmarłymi osobami.

Oto, co przydarzyło się Angelowi Battistiemu, zarządcy Domu Ulgi w Cierpieniu, w czasie omawiania z Ojcem Pio codziennych, zwyczajnych spraw:, „Podczas gdy ja czytałem mu na głos jakiś ważny list - zeznał mi Battisti - Ojciec Pio żywo gestykulował i rozmawiał patrząc w zupełnie inną stronę. Łatwo można było się domyślić, iż dialog swój prowadził z kimś niewidzialnym dla mych oczu. Osłupiałem przerywając czytanie listu, co nie umknęło uwadze Pio.

Powiedział mi wtedy:, «Kiedy przychodzisz do mnie na pogawędkę, nie zwracaj uwagi na to, co robię. Robię cztery, pięć rzeczy naraz, bo nie mam czasu na to, by wykonywać każdą rzecz z osobna. Chyba rozumiesz? Odrzekłem wtedy: «Rozumiem Ojca. Niech Ojciec będzie spokojny, dostosuję się». Zresztą, jak mogłem tego nie wiedzieć?".

CZTERECH PIELGRZYMÓW

Ojciec Alberto D'Apolito dowiedział się wprost od samego Ojca Pio o wielu jego spotkaniach z przybyszami z zaświatów. „Kiedy był w dobrym nastroju do zwierzeń, dawał upust swym zdolnościom gawędziarskim i bardzo ciekawie opowiadał" – wyznał mi Ojciec Alberto. - „Był świetnym narratorem. Lubił snuć swe opowieści wieczorami, po kolacji. Ja i inni młodzi zakonnicy siadywaliśmy wokół niego, jakby był naszym dziadkiem, a on zaczynał swą gawędę.

Któregoś wieczora opisał nam takie oto zdarzenie: „Byłem sam w sali kominkowej i grzałem się przy ogniu, bo na dworze panował okropny ziąb. Było już późno, wszyscy bracia rozeszli się do swych cel. Nagle dostrzegłem tuż obok mnie czterech nie znanych mi zakonników. Usiedli przy kominku, z naciągniętymi na twarze kapturami. Pozdrowiłem ich słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", ale żaden mi nie odpowiedział. Zdziwiony, przyjrzałem się im uważnie, by poznać, co to za jedni, ale żadnego z nich nie rozpoznałem. Stałem obok nich parę minut i dobrze się im przypatrując odniosłem wrażenie, jakby cierpieli. Ponownie pozdrowiłem ich, lecz i tym razem nie odpowiedzieli. Poszedłem, zatem na pierwsze piętro, do celi ojca gwardiana, którego spytałem, czy czasem nie przybyli do nas jacyś bracia z zagranicy.

Przełożony odparł na to: «Ojcze Pio, a któż by wypuszczał się tu do nas w taką niepogodę?!». «Ojcze - powiedziałem - na dole, przy kominku siedzą czterej kapucyni z naciągniętymi na twarze kapturami i grzeją się. Pozdrowiłem ich, lecz nie odpowiedzieli mi. Dokładnie przyjrzałem im się, ale żadnego z nich nie rozpoznałem. Nie wiem, co to za jedni».

Ojciec gwardian krzyknął: «Jak to możliwe, żeby przybyli tu bracia z zagranicy, o których nic mi nie wiadomo?! Zejdźmy na dół». Zeszliśmy do sali kominkowej, lecz tam nie było już nikogo. Zrozumiałem wtedy, iż najprawdopodobniej byli to dawno zmarli bracia proszący o pomoc. Całą tę noc spędziłem modląc się za nich».

„PRZYCHODZĘ Z CZYŚĆCĄ”

Innym znowuż razem Ojciec Pio siedział w altanie, w przyklasztornym ogrodzie, a było to w piękne majowe popołudnie. Towarzyszyło mu pięciu braci oraz biskup Alberto Costa z Melfi. To właśnie biskup Costa spytał go, czy zjawily mu się kiedyś duchy zmarłych. - „Wiele razy”, odparł Ojciec Pio, po czym zaczął swą opowieść.

„Było to w czasie wojny. Klasztor w San Giovanni Rotondo, jak wszystkie inne, był opustoszały, gdyż większość zakonników wzięto do wojska. Wśród, niewielu, którzy zostali, byłem ja i o. Paolino. Mieliśmy się opiekować alumnami. Któregoś zimowego popołudnia, a spadło wtedy sporo śniegu, do klasztoru przybyła na parę dni siostra ojca Paolina, Assunta Di Tommaso. Przed nadejściem zmroku o. Paolino powiedział swej siostrze, by na noc udała się do jednej z usługnych nam parafianek, Racheliny Russo. Assunta bała się jednak wyjść z klasztoru w taką niepogodę. W drodze do najbliższej osady mogły ją spotkać różne niebezpieczeństwa - czy to błakający się wygłodniały wilk, czy to jakiś złoczyńca.

Wielce zakłopotany o. Paolino odrzekł: «Assunto, przecież wiesz, że w klasztorze obowiązuje klauzura i kobiety nie mają tu wstępu. Co mamy zrobić?». Assunta zaproponowała: «Wystarczy mi łóżko polowe tu, w tym pokoju, i tej nocy jakoś to będzie. Jutro pójdę do Racheliny». «Jeśli cię to urządza - odpowiedział o. Paolino - każę przygotować ci tu łóżko, byś mogła spokojnie odpocząć». Zawołał do siebie kilku alumnów, którym polecił przynieść łóżko i rozpaść ogień w kominku, tak by salę nieco ogrzać. Po kolacji, kiedy nasi podopieczni udali się już spać, zeszliśmy jeszcze na chwilę na dół. W czasie rozmowy o. Paolino zwrócił się do swej siostry: «Assunto, idę do kościoła odmówić różaniec, zostawię cię tu z Ojcem Pio». «Pójdę z tobą» - odpowiedziała.

Wychodząc z sali zamknęli za sobą drzwi, a ja zostałem przy kominku. Modliłem się z przymkniętymi oczyma, kiedy nagle drzwi otworzyły się i do sali wszedł jakiś starzec, opatulony w płaszcz, jaki nosili zazwyczaj wieśniacy z San Giovanni Rotondo. Przysiadł się koło mnie. Spojrzałem nań nie zadawszy sobie nawet pytania, w jaki sposób wszedł do

klasztoru o tak późnej porze. Potem odezwałem się do niego i zapytałem: „Kim jesteś? Czego chcesz?».

Starzec odrzekł: «Ojcie Pio, jestem Piętro Di Mauro z ojca Nicoli, zwany Precoco». Po czym dodał: «Zmarłem w tym klasztorze 18 września 1908 roku w celi nr 4, kiedy był tu jeszcze przytułek dla żebraków. Któregoś wieczoru, kiedy leżałem w łóżku, zasnąłem z zapalonym cygarem i spaliłem się. Przychodzę z czyśćca. Mogą mnie wybawić modlitwy. Bóg pozwolił mi tu przyjść, aby prosić Ojca o ratunek».

Wysłuchawszy go powiedziałem: «Bądź spokojny, jutro odprawię za ciebie Mszę świętą». Wstałem i odprowadziłem go do bramy klasztornej. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że brama była zamknięta na klucz. Otworzyłem ją i pożegnałem dziwnego gościa. Plac, przykryty śniegiem, tonął w świetle księżyca. Mężczyzna nagle zniknął mi z pola widzenia, jakby się rozpułnął w powietrzu.

Ogarnął mnie strach, zamknąłem pośpiesznie bramę i wszedłem do sali. Z przerażenia o mało, co nie zemdlałem. O. Paolino wraz ze swą siostrą wrócił do sali, a ujrawszy mą bladość, pomyślał od razu o jakiejś mojej dolegliwości.

Ojciec Paolino odprowadził mnie do celi. O spotkaniu ze zmarłym nie powiedziałem mu ani słowa. W kilka dni po odjeździe swej siostry o. Paolino spytał mnie, co przydarzyło mi się owego wieczoru. Opisałem mu wszystko w najdrobniejszym szczególe, po czym dodałem: «Nie mogłem wtedy powiedzieć przy twojej siostrze, że zjawił mi się właśnie w Sali hospicjum duch zmarłego. Gdybym to uczynił, bałaby się tam spać». Ojciec Paolino zaraz poszedł do archiwum, by sprawdzić wszystko to, co usłyszałem od zjawy. Księgi rejestracyjne potwierdziły prawdziwość mojej opowieści".

RAJSKI ZAPACH

Człowiek, który nosił na swym ciele znaki Męki Pańskiej, a także nader często kontaktował się z przybyszami z zaświatów, bez wątpienia powinien mieć w sobie cząstkę Raju. Tak też w istocie było. Od osoby Ojca Pio emanowała przyjemna woń, którą wielu zwało właśnie „rajskim zapachem"; za życia Ojca Pio rozpisywali się o tym bez końca jego biografowie i liczni dziennikarze.

Był to nad wyraz ciekawy fakt, potwierdzony tysiące razy. Nie tylko przez wierzących, czy też wielbicieli Ojca Pio, lecz również przez jego zaciekle wrogów. Zapach ten pojawiał się z nagłą, bez konkretnej przyczyny. Ustępował po kilku chwilach lub nawet po paru godzinach. Mogły go odczuć w tym samym czasie tłumy ludzi. Niekiedy był intensywny, i przenikliwy, niekiedy zaś łagodny i nieuchwytny. Nie wszyscy jednocześnie i jednakowo odczuwali tę przedziwną woń, nawet, gdy przebywali w tym samym miejscu, czy stali jeden przy drugim. Dla niektórych był to zapach róż, dla innych fiołków, jaśminu, kadzidła bądź lawendy. Wszystkim jednakże przynosił odczucie wielkiego spokoju i pogody ducha.

Zjawiska tego nie dało się wyjaśnić w żaden logiczny sposób Ojciec Pio nie używał perfum. W okresie, gdy fenomen ten odnotowano po raz pierwszy, małe klasztor w San Giovanni Rotondo był brudną rudera, a zatem trudno było tam o wonne zapachy.

Doktor Festa, jeden z lekarzy, którzy w latach dwudziestych badali stygmaty Ojca Pio, w swych wspomnieniach zanotował: „Warunki higieniczne w klasztorze w San Giovanni Rotondo dalekie były od zadowalających, chociażby z braku wody i kanalizacji. Mnisi starali się na wszelkie sposoby przeciwdziałać ewentualnym infekcjom, wlewając do latryn roztwór nieoczyszczonego fenolu. Ojciec Pio roztworem takim polewał często podłogę w swej celi”.

Uciekał się do tegoż środka, gdyż również i w jego celi czyhały niebezpieczeństwa, jakie niósł ze sobą brud. Jego odzież, również sama jego osoba zapewne przesiąknięta była ostrą wonią kwasu karbolowego. A przecież stykający się z nim ludzie czuli jedynie ów, przedziwny, bardzo miły zapach.

TO NIE JEST ZJAWISKO PARANORMALNE

Zjawisko wydzielania się z niektórych osób tajemniczych zapachów znane jest zarówno w mistyce, jak i parapsychologii. Dla zajmujących się parapsychologią jest to „halucynacja węchowa”, na którą z reguły podatne są jedynie media, czyli osoby o specjalnym „czuciu”. W rzadkich przypadkach medium byłoby w stanie wywołać zapachy odczuwalne również przez inne osoby. Jest to możliwe zazwyczaj w czasie seansów spirytystycznych.

Pascal Forthuny (1872-1962), słynny francuski paragnosta, przyszedł kiedyś na pogawędkę do swej znajomej. W czasie ich rozmowy zadzwonił telefon. Pani domu opuściła swego gościa na chwilę, a kiedy wróciła, Forthuny poczuł silny zapach kleju i lakieru. Jak tylko powiedział o tym swej rozmówczyni rozbawił ją na dobre? - „Osoba, która dzwoniła do mnie - rzekła śmiejąc się - cały dzień spędziła na lakierowaniu mebli”.

Anglik David Duguid (1832-1907), medium w zakresie zjawisk fizycznych, potrafił wytwarzać „płynne” zapachy. W czasie jednego ze swych seansów napełnił szklanek płynem o zapachu eukaliptusa. Okazało się, że jeden z obecnych był przeziębiony i owego dnia zażył balsamiczne pastylki o tymże smaku. Po chwili zapach płynu przemienił się z eukaliptusowego na tytoniowy, albowiem ktoś inny uczestniczący wówczas w seansie trzymał w kieszeni tabakę o identycznym aromacie.

Jeszcze inny przykład angielskiego medium, pastora Williama Staintona Mosesa (1839-1892). W transie jego czoło zraszał pot o zapachu werbeny i sandałowca.

Amerykanka Leonore Eveline Piper (1859-1950) będąc w transie „pozbywała” woni kwiaty, które trzymała w pokoju; ich zapachem wypełniała całe pomieszczenie, zaś kwiaty stawały się zupełnie bezwonne.

„ZAPACH ŚWIĘTOŚCI”

Paranormalne zjawiska węchowe występują w bardzo licznych odmianach. Wszystkie jednak ograniczone są przestrzennie oraz zachodzą jedynie u osób znajdujących się obok medium. A zatem można by je wytłumaczyć, jako przypadki, „telergii”, czyli tej energii, która zdaniem parapsychologów jest źródłem zjawisk telepatycznych. Teorie te nie tłumaczą jednak sposobu powstawania zapachów na gruncie przeżyć mistycznych.

Mistyk to osoba o przykładowej moralności, żyjąca w ukryciu, z dala od świata. Nie wystawia na pokaz i na każde żądanie niezwykłych „darów”, jakimi została obdarzona, jak i zresztą nie jest w stanie przewidzieć momentu ich objawienia się. Nie wie, kiedy i dlaczego z jej ciała emanuje ów tajemniczy, wonny zapach. Ona sama takiej woni nie czuje. Czują natomiast osoby stojące przy niej, jak i również oddalone od niej o tysiące kilometrów. Badacze hagiografii zwą ów fenomen „zapachem świętości”.

Zazwyczaj zapach ten pojawia się po śmierci osoby. Zwłoki „świętego” roztaczają miłą woń, jakby na poświadczenie faktu, że zgubny proces rozkładu ciała ludzkiego w tym uprzywilejowanym ciele nie ma miejsca.

Działo się tak w przypadku św. Umiliana, św. Dominika, założyciela Zakonu Kaznodziejskiego (dominikanów), św. Paschalisa, św. Róży z Limerko, św. Alfonsa Liguoriego, św. Marii Magdaleny Pazzi i wielu innych. Stwierdzono, że zwłoki św. Kazimierza, patrona Polski, wydzierały silną woń przez 120 lat po jego śmierci.

Byli również święci, którzy za życia roztaczali wokół siebie wonne zapachy. U św. Teresy od Dzieciątka Jezus delikatny, przyjemny zapach promieniował z jej szat i ust. Podobnie było u św. Józefa z Kupertynu, św. Rity z Cascii, św. Jana od Krzyża, św. Franciszka z Paoli.

GŁOSY KRYTYKI I DRWINY

Zjawisko mistycznych zapachów miało w życiu Ojca Pio znaczenie ogromne, lecz po części negatywne, gdyż wywołało falę krytyki i drwin. Wrogowie Ojca Pio fakt ten wykorzystywali za każdym razem, gdy chcieli udowodnić, iż jest on oszustem i symulantem. Powtarzali wówczas, iż to on „wywołuje” owe zapachy, używając odpowiednich substancji chemicznych.

Powiadali, że naiwne i histeryczne kobiety, które go otaczały, tak bardzo podatne były na sugestię, że czuły w powietrzu nie istniejące zapachy i gotowe były uznać za znak boski woń zwykłej lawendy rozsiewaną wokół przez kogoś z ukrycia. Kiedy w 1967 roku po raz pierwszy przybyłem do San Giovanni Rotondo, również i ja śmiałem się słysząc opowiadania o zapachach Ojca Pio. Byłem wtedy służbowo. Wyślany zostałem do San Giovanni Rotondo z gazety, dla której miałem napisać artykuły o „bracie ze stygmatami”.

W owym okresie Ojciec Pio raz jeszcze znalazł się w oku cyklonu. Watykan poddał go nie wiadomo, którym już z rzędu badaniom, zakończonym i tym razem negatywnym orzeczeniem. Ojciec Pio uznawany był przez wielu za oszusta, zaś wszystkie tajemnicze zjawiska z nim związane, włącznie ze stygmatami, określano, jako fałszywe i nie mające nic wspólnego ze sferą nadprzyrodzoną.

Katolicy mieli podporządkować się zarządzeniom kościelnym; kto udawał się do San Giovaani Rotondo na spotkanie z Ojcem Pio, popełniał grzech. Jednakże zarządzenia Świętego Oficjum nie zrobiły na ludzkich rzeszach większego wrażenia. Codziennie klasztor w San Giovanni Rotondo brany był szturmem przez tysiące pielgrzymów z różnych stron świata. Wśród nich nie brakowało księży i zakonników. To była prawdziwa bomba, dlatego i mnie wysłano na miejsce, bym przeprowadził dziennikarskie rozpoznanie.

Zabrałem się do dzieła wyzbywszy się wszelkich uprzedzeń. Postawiłem sobie za cel opisanie zdarzeń i faktów, i to z jak największą dokładnością. Nie byłem jednak skłonny popaść w naiwną łatwowierność i bezkrytycznie przyjąć opowieść o zapachach Ojca Pio. Uważałem, iż jest ona wymysłem fanatyków.

NA MSZY ŚWIĘTEJ U OJCA PIO

Przyjechałem do San Giovanni Rotondo w pierwszych dniach września. Powiedziano mi, że jeśli chcę zobaczyć Ojca Pio, muszę pójść na Mszę, którą odprawia o piątej rano. Wstałem o świcie. Z wiszącym u szyi aparatem fotograficznym wszedłem do przyklasztornego kościoła OO. Kapucynów, zapełnionego już wiernymi.

Przeciskałem się między ludźmi, by znaleźć jak najlepsze miejsce na wykonanie zdjęć w czasie liturgii. Chciałem sfotografować Ojca Pio w różnych ujęciach, tak by mieć pierwszy plan nie tylko całej jego osoby, lecz przede wszystkim jego twarzy i jego dłoni. Chciałem również wykonać długie rzuty na tłum wypełniający kościół i na ołtarz z celebrującym Ojcem Pio. Z trudem przesuwalem się wśród tłumu. Wszyscy okazywali jednak wyrozumiałość, widząc, bowiem mój pokaźny aparat fotograficzny domyślali się, kim jestem, i nie utrudniali mi pracy.

Msza św. rozpoczęła się dokładnie o piątej rano. Ojciec Pio wyszedł z zakrystii ubrany w szaty liturgiczne i posuwając się chwiejnym krokiem przystąpił do ołtarza. Zobaczyłem wtedy Ojca Pio po raz pierwszy. Dokładnie obserwowałem go, nie odczuwając bynajmniej odrobiny emocji. Skupiony byłem na mej pracy.

Ojciec Pio miał na dłoniach rękawiczki bez palców, przykrywające jego rany. Wiedziałem, że w momencie Przeistoczenia ściągał je, toteż czekałem na tę chwilę, by sfotografować tajemnicze rany. Aby fotografie wyszły jak najlepiej, ulokowałem się na prawo od ołtarza, możliwie najbliżej Ojca Pio. Dzieliło mnie od niego pięć, a może sześć

metrów. Miałem bardzo dobry aparat fotograficzny marki japońskiej. Wymierzyłem już wcześniej naświetlenie; było zadowalające.

Msza odprawiała się, a ja poruszałem się dyskretnie między ludźmi pogrążonymi w modlitwie. Wybierałem najdogodniejsze punkty kościoła, by zrobić jak najwięcej fotografii. Ministrant potrząsnął dzwonkiem. Nadszedł moment Przeistoczenia, najważniejszy w całej Mszy. Kapłan wymawiając słowa, jakie Chrystus pozostawił swemu Kościołowi, odnawia na ołtarzu misterium męki i śmierci Chrystusa. Wielu obecnych przyklęknęło. W całym kościele zapanowała głęboka cisza.

NIESAMOWITA NIESPODZIANKA

Nagle poczułem w nozdrzach bardzo intensywną woń, mieszaninę - jak mi się zdawało - zapachu fiołków i róż. Była ona silna i delikatna zarazem, przenikliwa, ale i łagodna. Istna rozkosz. Nie przemknęło mi nawet przez myśl, że mógłby to być zapach Ojca Pio. Zaabsorbowany całkowicie wykonywaniem zdjęć, o niczym innym nie myślałem. Zresztą już od początku zjawisko przedziwnych zapachów Ojca Pio uważałem za nazbyt absurdalne, by zaprzętać sobie nim myśli.

Zapach nie dawał mi spokoju. Zacząłem rozglądać się wokół. Dyskretnie sprawdziłem, czy nie były to perfumy któreś ze stojących obok mnie pań. Nic takiego. Stałem tak odurzony ową wonią, dopóki nie usłyszałem dzwonka ministranta oznajmającego koniec konsekracji chleba i wina. Wszyscy wstali, ja również. Dalej próbowałem dociec, wachając, skąd wziął się ów zapach. Obszedłem osoby stojące na lewo i na prawo ode mnie. Dopchałem się nawet do środka kościoła. „Obwąchałem” przede wszystkim najelegantsze panie. Bez skutku. Zapach czułem z tą samą intensywnością w każdym punkcie kościoła. Nie były to perfumy żadnej z osób, do których zbliżyłem się. „Zapewne braciszkanie rozpylili go z góry jakimś urządzeniem” - pomyślałem spoglądając na sufit kościoła.

W tym samym momencie przypominałem sobie o „zapachu Ojca Pio”, zupełnie jakby umysł mój nagle został oświetlony błyskiem fleszu. „Czyżby to było to zjawisko, o którym wszyscy mówią?” – pytałem sam siebie. Tkwiałem w jednym i tym samym miejscu, niczym skamieniały pośród wszystkich tych osób. Byłem oszołomiony. Nigdy, przenigdy nie pomyślałbym, że poczuję ten zapach i że będę go czuł tak wyraźnie. A przy tym byłem absolutnie pewny, iż nie są to perfumy któreś ze stojących koło mnie kobiet.

Nie dałem za wygraną. Raz jeszcze zacząłem krążyć po kościele i węszyć, zupełnie jak pies policyjny. Poszedłem aż za ołtarz, by sprawdzić, czy przypadkiem zakonnik ze stygmatami nie ma jakiegoś rozpylającego ten zapach wspólnika. Postanowiłem w końcu spytać innych, czy czują jakieś zapachy. „Przepraszam, czy Państwo też czują ten dziwny zapach?” – pytałem półgłosem, by nie przeszkadzać w czasie nabożeństwa.

Zagadnięci obrzucali mnie ganiącym spojrzeniem i ruchami głowy dawali negatywną odpowiedź. Niektóre z osób miały twarz zalaną łzami. Podeszedłem do kobiety, której wygląd i typ ubioru był oznaką, jak wywnioskowałem, szczególnej dystynkcji i pewności siebie. Nie wyglądała na osobę skłoną do ślepej wiary. „Przepraszam, czy nie zdaje się Pani, że kościół wypełnił się nagle jakimś dziwnym zapachem?” - zagadnąłem. Spojrzała na mnie badawczo, po czym oznajmiła: „Owszem, wyraźnie czuję ten zapach. To zapach Ojca Pio. Często woń tę czuje się w momencie Przeistoczenia. Ojciec Pio ściąga wtedy rękawiczki, a jego święte stygmaty roztaczają rajskie wonności”.

PLAMA ZE SKRZEPŁEJ KRWI

Przypomniałem sobie o stygmatach. Zaplanowałem przecież, że sfotografuję je z bliska, a tymczasem owe zapachy rozproszyły moją uwagę. Podeszedłem jak najbliższej ołtarza, ustawiłem się w miejscu, z którego dobrze było widać uniesione ręce Ojca Pio. Włączyłem aparat fotograficzny i skierowałem obiektyw na dłonie sędziwego kapłana. Wierzch jego lewej ręki i dłoń prawej - które dość dobrze widziałem z mojego miejsca - były jednym wielkim strupem ze skrzepłej krwi. Rany te nie były ani piękne, ani czyste. I jak wszystkie rany, winny były wydzielać nieprzyjemną woń, a przecież odurzający mnie zapach, który roznosił się po całym kościele, zdawał się rozchodzić właśnie z tychże ran.

Zjawisko dało się wyraźnie odczuć z chwilą, kiedy Ojciec Pio tuż przed Konsekracją ściągnął swe rękawiczki, by wziąć do ręki hostię i przeistoczyć ją w Ciało Chrystusa. Zapach ustawał zazwyczaj – jak dowiedziałem się później od obeznanych z tą sprawą - gdy Ojciec Pio zakładał znów rękawiczki, chowając przed wzrokiem ludzkim swe stygmaty.

W czasie mojego pierwszego pobytu w San Giovanni Rotondo widziałem Ojca Pio jeszcze kilka razy. Zobaczyłem go ponownie w rok później, kiedy powróciłem tam, bo miałem przygotować nowe artykuły o bracie ze stygmatami. Tym razem nie poczułem zapachu Ojca Pio. Mimo że od owego wydarzenia z zapachami minęło wiele lat, do dziś przeżycie to świetnie pamiętam.

Umieściłem tu moje świadectwo nie po to, by spełniało funkcję materiału dowodowego. Być może, stałem się ofiarą autosugestii. Poznałem jednakże setki osób, które „poczuły” zapach Ojca Pio, a wśród nich nie zabrakło naukowców, lekarzy, adwokatów. Niektórzy byli absolutnymi agnostykami; zainteresowali się Ojcem Pio ze zwykłej ludzkiej ciekawości bądź z racji swego zawodu. Trudno byłoby uznać, iż wszyscy oni poczuli owe wonności pod wpływem autosugestii. Wszystkie osoby, które z jakiegoś powodu szukały kontaktu z Ojcem Pio, a zwłaszcza te, które prosiły go o łaski – doświadczyły owego zapachu.

„TO NIE BYŁA AUTOSUGESTIA"

Współbracia zakonnici poczuli po raz pierwszy niezwykle miłe zapachy tuż po stygmatyzacji Ojca Pio; zdawały się one nierozdzielnie związane z pojawieniem się owych ran. Zapachy wydzielały się z ciała Ojca Pio, a także z przedmiotów, których dotykał, z jego ubrań i wszędzie tam, którędy przechodził. Można było je odczuć na dużą odległość - wystarczyło pomyśleć o Ojcu Pio bądź rozmawiać o nim.

Doktor Luigi Romanelli, jeden z pierwszych lekarzy, którym zlecono zbadanie stygmatów zakonnika, poczuł owe wonności już w czasie pierwszej wizyty. Później, kiedy inni uczeni starali się szukać źródeł tego zjawiska w autosugestii, Romanelli zdecydował się ogłosić w tej sprawie bardzo dla nas interesujące oświadczenie: „Ileż słyse rozmowy o zapachu Ojca Pio, przypomina mi się to, co mnie się przydarzyło w czerwcu 1919 roku, kiedy po raz pierwszy udałem się do San Giovanni Rotondo. Jak tylko zostałem przedstawiony Ojcu Pio, poczułem emanujący od jego osoby dziwny zapach.

Powiedziałem wtedy do stojącego obok nas przełożonego: «Nie wydaje mi się rzeczą stosowną, by zakonnik, wielce do tego poważany, używał perfum». W ciągu dwóch dni mego pobytu w San Giovanni Rotondo nie odczułem już żadnych zapachów, mimo że przebywałem w celi Ojca Pio i zawsze w jego towarzystwie.

W dniu mego wyjazdu, po południu, kiedy szedłem po klasztornych schodach, poczułem nagle ten sam, co na początku zapach. To nie mogła być autosugestia. Po pierwsze, dlatego, że nikt przedtem nie mówił mi nigdy o tym zjawisku; po drugie, gdyby to była autosugestia, czułbym z pewnością ten zapach bezustannie, nie zaś po tak długiej przerwie. Postanowiłem ogłosić niniejsze oświadczenie, ponieważ stało się zwyczajem przypisywanie autosugestii, jako czynnikowi sprawczemu, wszystkich zjawisk, których nie da się wyjaśnić lub nie chce się wyjaśnić".

Dr Giorgio Festa, który w latach dwudziestych również badał stygmaty Ojca Pio, odnotował w swej relacji nader znamienne zdarzenia: „Było to w czasie mojej pierwszej wizyty u Ojca Pio. Po opatrzeniu jego rany w boku wziąłem stary, przesiąknięty krwią opatrunek i zabrałem go ze sobą do Rzymu - do badania laboratoryjnego. Osobiście nigdy nie stwierdziłem, żeby od opatrunku rozchodził się jakiś specjalny zapach.

Tymczasem podczas podróży powrotnej towarzyszące mi osoby, wśród których był m. in. dystyngowany dostojnik wojskowy, odczuwały wyraźnie unoszącą się w samochodzie przyjemną woń, która - jak zapewniły mnie - miała identyczny odcień, co zapach emanujący od Ojca Pio. A przecież nikt z nich nie wiedział, że wiozę ze sobą ów kawałek płótna, a w pędzącym samochodzie dostęp świeżego powietrza był zapewniony.

W Rzymie długo jeszcze ów kawałek płótna, zamknięty w szafce, tak bardzo nasączał wonnościami cały mój gabinet, że ktokolwiek do mnie przychodził, pytał chcąc nie chcąc o źródło tak miłego zapachu".

„FAKT SPRZECZNY Z WSZELKIMI PRAWAMI NATURY I ROZUMU”

Doktor Romanelli utwierdził się w pewności, iż źródłem owego zapachu są stygmaty.. Jestem przekonany - napisał - iż zapach emanuje nie tyle z osoby Ojca Pio, ile z krwi sączącej się z jego ran". Lecz takie przekonanie dodatkowo jeszcze powiększało zdziwienie u doktora.

„Osoby zajmujące się konserwowaniem tkanek zwierzęcych - pisze dalej - wiedzą, że najpierw należy je dokładnie oczyścić z krwi, ponieważ właśnie krew, jako pierwsza z wszystkich tkanek organicznych ulega rozkładowi. Zresztą, krew wyciekająca z dopiero, co naciętych żył w żywym organizmie nie wydziela doprawdy żadnych przyjemnych zapachów.

Jakże wobec tego może pobudzać błonę śluzową narządu węchu jakimkolwiek miłym odczuciem zapachowym krew, którą nasiąknięte są opatrunki z ran Ojca Pio, choćby i dlatego, że niekiedy zmienia się je po dość długim czasie. Powinny raczej wzbudzać obrzydzenie, bo jakże tu mówić o wonnych zapachach!

Powyższe zjawisko - proste a zarazem jakże wymowne - jest, więc sprzeczne z wszelkimi prawami natury i nauki, i nie mieści się w zwyczajnej logice. Nam zaś nie pozostaje nic innego, jak potwierdzenie jego prawdziwości".

Zapach emanujący od Ojca Pio zawsze wzbudzał nie kończące się spory. Stał się także powodem drwin kierowanych pod adresem zakonnika i wiernych mu przyjaciół. Dlatego też wiele z tych osób, którym dane było odczuć ów zapach, zdecydowało się zaświadczyć o tym na piśmie.

Ojciec Rosario z Alaminusy, przez trzy lata pełniący funkcję gwardiana klasztoru OO. Kapucynów w San Giovanni Rotondo, a zatem przełożony Ojca Pio, pisze: „Czułem ten zapach każdego dnia, kiedy przychodziła godzina niesporów, przez około trzy pierwsze miesiące mego pobytu w San Giovanni Rotondo. Wychodząc z mojej celi, czułem przyjemny a zarazem silny zapach, nie wiem, czego, rozchodzący się z celi Ojca Pio, z którym sąsiadowałem. Kiedyś zapach ten emanował z krzesła, na którym Ojciec Pio siedział w czasie spowiedzi mężczyzn. Innym znowu razem wydzielał się z jego rąk".

Anita Righini z Reggio Emilia była w drodze do San Giovanni Rotondo. Chciała, by Ojciec Pio pobłogosławił jej chorą córeczkę, i dlatego wzięła ze sobą jej zdjęcie. Wsiadła do pociągu pośpiesznego jadącego z Neapolu do Foggii. W przedziale między pasażerami, wśród których był jakiś pułkownik z Messyny, nawiązała się rozmowa.

Poruszono również temat Ojca Pio i „w tym samym momencie - opowiada Righini - doszedł mnie jakiś wonny zapach. Spytałam się pozostałych pięciu pasażerów, czy czuli tę woń. Odpowiedzieli, że nie. Chwilę potem poczuli ją również i oni. Lecz na krótko. Gdy oni przestali ją czuć, ja wciąż jeszcze, aż do Beneventu, zapach ten czułam".

Siostra Caterina Cuzzaniti, przełożona Kolegium Santa Maria di Bagheria (Palermo), w nocy 18 listopada 1948 roku, po rozmowie z innymi siostrami na temat nawróceń dokonywanych przez Ojca Pio, udała się do swego pokoju. „Jak tylko zgasiłam światło i ułożyłam się do snu, owiał mnie dziwny wonny zapach. Była to woń kadzidła, lecz miała w sobie coś nowego, czego nie da się opisać”.

NA ZNAK ZBAWIENIA

Profesor Amanzio Duodo z Bielli 15 lutego 1950 roku rozmawiał z przyjaciółmi o tym, jak pokorny jest Ojciec Pio. „Ni stąd ni zowąd ogarnął wszystkich silny zapach fiołków i nie ustawał, przez co najmniej pół godziny, mimo że otworzone zostały na oścież drzwi i okna”.

Doktor Edoardo Bianco, chirurg z Yallemosso, pisze: „W wielu sytuacjach musiałem odstąpić od właściwej mi nieufności, gdyż mój własny zmysł węchu odbierał często woń róż, fiołków i goździków, której źródłem nie mogło być jakieś sztuczne i oszukańcze działanie”.

Giuseppe Onufrio, kustosz Instytutu Hipotecznego w Palermo, spowiadał się kiedyś u Ojca Pio. Zakonnik przez cały czas spowiedzi trzymał go za prawą rękę. „Przyjechawszy do Foggii - pisze Onufrio - poczułem, że moja prawa ręka wydziela zupełnie inną woń niż lewa. Był to ten sam zapach, który emanował od Ojca Pio. Nie ustawał przez parę dni, mimo że myłem ręce - jak było to w moim zwyczaju - wiele razy dziennie”. Ojciec Pio dał mu pokutę, która miała trwać dwa miesiące. „Przez cały ów czas - zaświadcza Onufrio - ten sam zapach rozchodził się u mnie od klatki piersiowej aż po nozdrza i był tak przyjemny, że wręcz odurzał mnie. Zdarzało się, iż przez pewien czas ustawał. Próbowiałem wtedy poddać się autosugestii, byleby tylko znów móc się nim delectować. Bezskutecznie. Powracał niespodziewanie. Jak tylko skończył się okres zadanej mi pokuty, ustał i zapach”.

Rosa Baldi Testori z Rebecco Pavese cierpiała na bardzo wysoką gorączkę, dochodzącą do 39-40°C. Lekarzom nie udało się odkryć jej przyczyn. Kobieta wysłała, więc do San Giovanni Rotondo swego syna, by poradził się w tej sprawie Ojca Pio. W czasie spowiedzi chłopiec poprosił go o uzdrowienie swej matki. „W dzień powrotu mego syna - pisze pani Baldi - wszyscy poculiśmy w mieszkaniu przepiękną woń kwiatów. Tego samego dnia, ku nieopisanemu zdziwieniu lekarzy, prześladowająca mnie od dawna gorączka nagle zniknęła”.

Maddalena Beltramo z Turynu, siostra nawróconego przez Ojca Pio aktora Carla Campaniniego, przekazała następujące świadectwo: „Pewnego dnia, kiedy wybrałam się w odwiedziny do jednej z moich koleżanek, wchodząc po schodach do jej mieszkania poczułam mieszany zapach fiołków, róż i lili. Na schodach nie było żadnego wazonu z kwiatami. Spytałam mojej koleżanki, co mogło tak pachnieć. «Śmietnik» - odpowiedziała. Kiedy po paru godzinach wracałam do domu, jeszcze raz poczułam tę woń. Przed

wejściem do domu zajrzałam do skrzynki pocztowej i znalazłam w niej fotografię Ojca Pio. Dostałam ją od przyjaciół z San Giovanni Rotondo. Napisali mi, że modlą się za mnie. Tego wieczora długo czekałam na powrót mojego męża z pracy. Kiedy wszedł do domu był blady i bardzo zmęczony. Padł na krzesło i rozpłakał się. «Cały dzień chodzę jak w kieracie - powiedział - a tu wracam do domu i o mało, co mnie nie zabiją». Przejeżdżał przez Corso Vittorio Emanuele - jeździł do pracy na rowerze - i nagle potrącony przez mijającego go kierowcę, wypadł na masce jego samochodu. Rower poszedł na złom, jego zaś przewieziono do szpitala. Jednakże wypisano go niemal od razu, albowiem nie odniósł żadnego obrażenia. Wszyscy zgodnie orzekli, że był to prawdziwy cud".

Ojciec Alberto D'Apolito, współbrat Ojca Pio, pozostający w bliskości z nim przez przeszło pięćdziesiąt lat, a którego miałem szczęście poznać osobiście - pamiętał wiele zdarzeń związanych z fenomenem owego zapachu. „Zapachem - opowiedział mi o. Alberto - Ojciec Pio dawał mi odczuć swą obecność przy mnie, nawet, gdy dzieliła nas spora odległość.

We wrześniu 1955 r., jako jeszcze proboszcz w San Severo, zorganizowałem dla mych parafian pielgrzymkę na Sycylię, do sanktuarium Matki Bożej Płaczącej w Syrakuzach. Grupa składała się z około pięćdziesięciu osób. Przed odjazdem poszedłem pożegnać się z Ojcem Pio. «Niech Ojciec pojedzie z nami» - zaproponowałem. «Jedźcie spokojnie, będę z wami» - odpowiedział. Ze zdania tego wywnioskowałem, że Ojciec Pio w czasie podróży będzie nas chronił.

Wyruszyliśmy. Nasza podróż obfitowała w dramatyczne sytuacje. Przeżyć było moc. Cała grupa nabawiła się bólei żołądkowych po przejedzeniu się rozgrzаныmi na słońcu melonami. Na drodze między Caltanissetta a Palermo kierowca musiał gwałtownie zahamować, gdyż na szosie leżały głazy i zwalone drzewa. Stanęliśmy w szczerym polu, i to w nocy. Zaczęliśmy wzywać pomocy Ojca Pio. Nagle autobus wypełnił się miłym zapachem: poznaliśmy, że Ojciec Pio jest z nami i że nic złego nam się nie przydarzy.

Wróciwszy do domu, udaliśmy się następnie do San Giovanni Rotondo, by podziękować Ojcu. Nie zdążyliśmy nawet opowiedzieć mu o naszych przygodach, bo on sam na powitanie zawołał: „Ładnieście wyglądali po tych melonach A i tego wieczora na drodze do Palermo najedliście się strachu!....

W niebezpieczeństwie czy też w trudnościach zawsze czułem zapach Ojca Pio, również po jego śmierci. W 1972 r. byłem na Sycylii, gdzie miałem wygłosić kilka wykładów dla Grup Modlitwy. Podróżowałem samochodem w towarzystwie czterech osób: Umberta Di Girolamo, profesora Pietra Mirabile, profesora Giulia Palumbo i Giovanni Gaudesi. Za kierownicą siedział Di Girolamo. Wtem w pobliżu Corleone samochodem bardzo niebezpiecznie zarzuciło, i to na skraju urwistego wąwozu. Krzyknęliśmy ze strachu. Kierowca zatrzymał się i w tym samym momencie poculiśmy

intensywną woń kwiatów. Di Girolamo powiedział, że nie widział dobrze drogi z powodu nagłego zawrotu głowy".

„NIE CHCIAŁEM UWIERZYĆ"

Dziennikarz Giovanni Gigliozzi, autor tekstów teatralnych i rewiowych, należał do najpopularniejszych głosów radia włoskiego, w którym pracował już od pół wieku. Odpowiedzialny był za harmonogram programów drugiej sieci radiofonii. Wyreżyserował i prowadził liczne, cieszące się dużą popularnością programy, jak na przykład „Tu Radio Due”, „Na żywo z Caffè Greco” i wiele innych. Był pierwszym, który nagrał głos Ojca Pio. Mógł to zrobić, bo był jednym z synów duchowych najbliższych sercu Ojca Pio.

Również Gigliozzi w swych pierwszych spotkaniach z Ojcem czuł tajemniczy zapach. „Po raz pierwszy usłyszałem o Ojcu Pio - opowiedział mi – tuż po wojnie, od mojego przyjaciela Carla Trabucco. On był krytykiem teatralnym w «Popolo», zaś ja w «Avanti». Spotykaliśmy się na premierach. Trabucco znał dobrze Ojca Pio, toteż opowiadał o nim z entuzjazmem, który zdawał mi się wręcz przesadny*'- Moją reakcją na ów jego entuzjazm była obojętność i niedowierzanie, zwłaszcza, gdy przychodziło mi słuchać o takich zjawiskach, jak zapach emanujący z Ojca Pio, który rzekomo wiele osób czuło będąc daleko od zakonnika.

I oto te dziwne zjawiska zaczęły zdarzać się i u mnie. Niespodziewanie zacząłem czuć intensywny zapach fiołków w miejscach, gdzie absolutnie nie było to możliwe. Moja myśl biegła wtedy do Ojca Pio, ale natychmiast buntowałem się wewnętrznie, przekonując samego siebie o tym, że padam ofiarą autosugestii.

Pewnego dnia, kiedy wraz z żoną spędzałem urlop w Francavilla a Mare, w Abruzzach, zjawisko to powtórzyło się. Poszedłem na stację, by nadać ekspres, i właśnie w miejscu, gdzie zazwyczaj trudno jest mówić o wonnych zapachach, poczułem wyraźny zapach fiołków. Kiedy zastanawiałem się nad tym faktem, moja żona spytała: «Skąd tutaj taki zapach?». «A więc ty też go czujesz?!» - Wykrzyknąłem zdziwiony i opowiedziałem jej o Ojcu Pio, o rozmowach, z Trabucco i o prześladowającym mnie od pewnego czasu zapachu. «Na twoim miejscu - powiedziała mi - wybrałabym się bezzwłocznie do San Giovanni Rotondo».

Następnego dnia ruszyliśmy w podróż. Jak tylko stanąłem przed Ojcem Pio usłyszałem: «Ach, oto i nasz bohater! Czegóż to nie robiłem, by skłonić go do przyjazdu». Tego samego dnia miałem sposobność porozmawiać z nim, i od tej rozmowy moje życie uległo radykalnej zmianie".

„POOTWIERALIŚMY WSZYSTKIE OKNA"

Aurelio Fierro, słynny śpiewak neapolitański, zwierzył mi się, iż otrzymał dużo łask od Ojca Pio. Po raz pierwszy odwiedził go wraz ze swą żoną Marisą. „Żegnając się z nami -

wspomina Fierro - Ojciec Pio podarował nam dwa różańce, jeden dla mnie, a drugi dla Marisy. Wsuwając nam je do rąk pobłogosławił je. Czuliśmy się uszczęśliwieni. Spotkanie z Ojcem Pio było czymś wyjątkowo wspaniałym. Pełni euforii wsiedliśmy do samochodu. Odtwarzaliśmy dokładnie całą naszą z nim rozmowę. Nagle oboje poczuliśmy, że powietrze w samochodzie nasiąknięte jest delikatnym acz wyraźnym zapachem. «Skąd wzięteś te perfumy?» - spytała mnie Marisa. «Ależ ja nie mam żadnych perfum» - odrzekłem. Obwąchaliśmy wszystkie drobiazgi zakupione w San Giovanni Rotondo, nawet różańce, które podarował nam przez Ojca Pio. Żaden z owych przedmiotów nie wydelał odczuwanego przez nas zapachu.

W pewnym momencie przypomnieliśmy sobie o tym, że – jak słyszeliśmy od innych ludzi - Ojciec Pio często sygnalizował swą obecność przy kimś delikatną wonią fiołków. «A więc zapach ten oznacza, że jest on tu z nami» - powiedziała moja żona. I ja, i ona należeliśmy raczej do osób trzymających się ziemi, toteż podobne stwierdzenie wydało się nam niepojęte. Pootwieraliśmy wszystkie okna, by przewietrzyć cały samochód. Kiedy zamknęliśmy je, ów intensywny zapach wciąż trwał. Jeszcze parę razy robiliśmy przeciąg, lecz zapach nie ustawał. Czuliśmy go nawet w hotelu w Barletcie. Towarzyszył nam aż do następnego dnia".

Zapach ten miał przyciągać uwagę osób, do których był skierowany. Miał nakłaniać je do zastanowienia się nad możliwością istnienia innej, niezbadanej rzeczywistości. Dlatego też czuli go wszyscy ci, którzy zbliżali się do Ojca Pio. Kiedyś jeden z jego synów duchowych żalił się, gdyż już od dłuższego czasu nie czuł jego zapachu, na co Ojciec Pio odpowiedział mu: „Skoro jesteś tu przy mnie, niepotrzebny ci mój zapach".

Oto, co opowiedział mi Angelo Battisti, wielki przyjaciel Ojca Pio i jego wierny współpracownik: „Kiedyś Ojciec Pio zlecił mi załatwienie sprawy, która wymagała rozmówienia się z pewnym kardynałem. Byłem speszony. Powierzone mi zadanie kosztowało mnie dużo wysiłku. Po powrocie do San Giovanni Rotondo powiedziałem Ojcu Pio, że powinien być dać mi odczuć swą obecność jakimś zapachem. On na to odparł: «Czy wciąż jeszcze muszę nagradzać cię cukierkami? Przecież ja byłem przy tobie». W ten sposób chciał mnie zganić: skoro znałem go od tak dawna, powinienem był wiedzieć, że nigdy nie opuszcza swych synów duchowych. Nie było konieczne, by potwierdzał to zapachem".

KIEDY SZYBOWAŁ Z ANIOŁAMI

Głęboko w umyśle ludzkim tkwi marzenie o tym, by móc latać, przełamać prawo ciężenia, które przytwierdza nas do ziemi – pragnienie unoszenia się w powietrzu i pokonywania przestrzeni dzielących nas od najbardziej nawet odległych miejsc, tak jakby ta przestrzeń w ogóle nie istniała. Przemieszczać się jak ptaki, a nawet szybciej - błyskawicznie, jak myśli.

Dotychczas człowiekowi udało się skonstruować skomplikowane maszyny naśladowujące lot ptaków, lecz jego odwieczne marzenie jeszcze nie spełniło się. A jednak niektórym zostało to dane. Chodzi o nieprzeciętne jednostki, osoby zgłębiające wiedzę ezoteryczną, doświadczające intensywnych mistycznych przeżyć. Są to święci i guru. W książkach czytamy o ich podróżach gwiazdnych, o bilokacji, o ich wędrówkach bez balastu ciała, rozpalających naszą wyobraźnię.

Do takich osób zaliczał się Ojciec Pio. „Prawie nigdy nie spał” - twierdzili wszyscy jego najbliżsi przyjaciele. Wieczorem, kiedy każdy normalny człowiek kładł się do łóżka, by odpocząć po trudach dnia, on rozpoczynał nowy „dzień” pracy. Godziny nocne wykorzystywał na modlitwę i swe „podróże” po świecie. Tak - „podróżował”. Poprzez bilokację docierał, bowiem do najprzeróżniejszych miejsc na globie ziemskim, by spotkać się z osobami, które potrzebowały pocieszenia i wsparcia duchowego.

Termin „bilokacja” oznacza pojawianie się jednej osoby w kilku miejscach równocześnie. Rzecz niełatwa do przyjęcia, dla wielu z nas po prostu absurdalna - coś przynależnego jedynie do świata fantazji. A przecież przypadki bilokacji znane są już od wieków. Zjawisko to składa się na doświadczenia duchowe wszystkich najstarszych kultur.

Co prawda, mamy tu do czynienia z doświadczeniem graniczącym z nierealnością, niemniej jednak nie może ono być negowane tylko, dlatego, że umyka kontroli naszego rozumu. W przypadku Ojca Pio bilokacje powtarzały się bardzo często i niektóre z nich udokumentowane zostały w zdumiewająco dokładny sposób.

CENNY DOKUMENT

Wśród dokumentów, którymi posłużyłem się w pisaniu tej książki, jeden uważam za niezmiernie cenny. Jest to około dwudziestu kartek wypełnionych linijkami gęstego pisma, które dostałem od Angela Battistiego na krótko przed jego śmiercią.

Angelo Battisti był wielkim przyjacielem Ojca Pio. Poznał go w 1940 roku i niedługo potem stał się jego synem duchowym. Do San Giovanni Rotondo przyjeżdżał często i za każdym razem udawało mu się rozmawiać z Ojcem Pio oraz służyć mu do Mszy świętej, co było przywilejem nielicznych.

W 1957 roku, po uroczystym otwarciu Domu Ulgi w Cierpieniu, wielkiego dzieła Ojca Pio, wykonanego z myślą o niesieniu pomocy chorym - Angelo Battisti wybrany został przez niego na zarządcę tego dużego szpitala. Spotykali się teraz częściej. Battisti pośredniczył w kontaktach Ojca Pio z personelem szpitala, zarządzał ogromnym funduszem utworzonym z darów pieniężnych napływających z całego świata, wiernie spełniał marzenia i projekty Ojca Pio. Wiedział, zatem, o czym Ojciec Pio myślał, czego chciał i o czym marzył.

Będąc w tak uprzywilejowanej sytuacji, miał wiele okazji, by poznać najskrytsze tajemnice Stygmatyka. Często odwiedzał go w jego celi i przez długie godziny pozostawał przy nim. Mógł „podglądać” go w czasie modlitwy czy też w czasie jego rozmów z niewidzialnymi osobami. Mógł przypatrywać się mu, kiedy podejmował ważne decyzje. Mógł też „zmierzyć”, przekonać się osobiście, jak wielkie były charyzmaty jego świętości.

Battisti był szczerym, dobrym człowiekiem, tylko, że z natury dość ciekawskim. Czasami zwracał się do Ojca Pio z pytaniami z pozoru niedyskretnymi, lecz w rzeczywistości podyktowanymi chęcią poznania i - być może - poświadczenia owej tajemnicy, w którą został włączony. Ojciec Pio rzadko pozostawiał owe pytania bez odpowiedzi, udzielając Battistiemu informacji, które zdradzają, w jak nieznanym dla nas świecie ów skromny kapucyn poruszał się. Battisti zdawał sobie sprawę z wagi tego, co Ojciec Pio przekazywał mu w czasie ich wspólnych rozmów, toteż skrzętnie chował dla siebie owe poufne wyznania. Być może ujawniał je niekiedy swej żonie lub komuś bliskiemu - nie wiadomo. Kiedy jednak wyczuł, iż nadszedł kres jego wędrówki ziemskiej, uznał za konieczne przekazanie komuś wszystkich zebranych przez siebie informacji. Battisti nie chciałby aby poszły w niepamięć.

W tym czasie pisałem moją pierwszą książkę o Ojcu Pio i szukałem Battistiego, gdyż wiedziałem, że może on być niezrównanym świadkiem. Naszemu spotkaniu zawsze coś stało na przeszkodzie, rozliczne i przedziwne powody, toteż w końcu z mojego pierwotnego zamiaru zrezygnowałem. Minęło kilka miesięcy, i oto zadzwonił do mnie sam Battisti z prośbą o jak najszybszy przyjazd do niego, do Rzymu. Chciał się ze mną koniecznie rozmówić. Pojechałem do niego. Spędziliśmy na rozmowie sporo czasu. Na pożegnanie wręczył mi okazałą teczkę. „Jest tu wszystko, co chciałem i powinienem był Panu powiedzieć” - wyjaśnił.

W teczce znalazłem nadzwyczajne wręcz dokumenty, a głównie dokładny zapis odpowiedzi Ojca Pio na pytania, które Battisti zadawał mu od czasu do czasu na temat tajemnic jego życia.

„ŚPIĘ TYLKO SIEDEM GODZIN W ROKU”

Niektóre z tych odpowiedzi odnoszą się do bilokacji i mają bezcenną wartość, gdyż wyjawiają, co Ojciec Pio wiedział i sądził o zjawisku, którego był żywym przykładem. „Pewnego wieczoru - zapisał Battisti w swych cennych notatkach - Ojciec Pio powiedział mi: «Odpocznij, bo jesteś zmęczony».

Spojrzałem na Ojca Pio i zauważyłem, że na jego twarzy malowało się większe niż zazwyczaj cierpienie, toteż odparłem: «To Ojciec powinien wypocząć. My Ojca potrzebujemy». «Dla mnie - odrzekł - zaczyna się teraz nowy dzień. **Wystarczy, jeśli śpię siedem godzin w roku**».

Zdumiały mnie te słowa. «Ojciec chciał chyba powiedzieć: sześć, siedem godzin dziennie?». On zaś na to, spojrzawszy mi prosto w oczy: «Powiedziałem ci wyraźnie: w roku. **Czy nigdy mnie nie rozumiesz, gdy do ciebie mówię?**».

Dla niego zaczynał się dzień bilokacji. Udawał się tam, gdzie posyłał go Pan. Spytałem go: «Ojcie, w czasie bilokacji Ojciec wie, gdzie, do kogo i w jakiej sprawie przemieszcza się?». «Pewnie, że wiem». «Czy mógłbym towarzyszyć Ojcu, jako pomocnik?». «Nie, synu mój. Muszę podróżować sam. Czasami towarzyszy mi św. Franciszek z Asyżu lub św. Antoni Padewski». «A przecież któregoś wieczoru razem z Henrykiem byliśmy przy Ojcu, kiedy Ojciec położył się spać i od razu zasnął». «Nie chciałem was wtedy wypraszać z mej celi. Jak tylko zobaczyliście, że śpię, wyszliście, a ja wtedy zabrałem się do wypełniania mych obowiązków»".

Jest to szokujące świadectwo. Zapisane nadzwyczaj prostym językiem, uchyla rąbka tajemnicy, którą otoczone było jedno z najdziwniejszych i najbardziej złożonych zjawisk w mistyce i w życiu Ojca Pio - jego podróże w „bilokacji”. Jak już powiedziałem wcześniej, termin „bilokacja” oznacza stan, w którym dana osoba znajduje się równocześnie w dwóch różnych miejscach.

Po raz pierwszy użyty został w hagiografii katolickiej w odniesieniu do licznych przypadków „podróży poza własne ciało”, odnotowanych w życiu świętych i mistyków. „Jest to jedno z najbardziej zaskakujących zjawisk w mistyce i jedno z najtrudniejszych do wyjaśnienia, jeśli nie chce się zaliczyć go do cudów” - stwierdza teolog Royo Marin.

Badali je również tacy naukowcy, jak Cesare Lombroso, Gabriele Delanne, Enrico Durville czy dr Mattiesen. Przedmiotem swych badań uczyniła je ostatnio parapsychologia. Ważne studia w tym zakresie prowadził Ernesto Bozzano z Genui. Parapsychologowie zajmują się całym szeregiem zjawisk o złożonej naturze, podobnych do bilokacji; przedstawiają się one w różny sposób i dają początek wielu innym zjawiskom, zwanym przez parapsychologów „doświadczeniami pozacielesnymi”, „doświadczeniami pozasomatycznymi” bądź „projekcjami gwiazdnymi”.

ŚW. ANTONI I ŚW. FRANCISZEK KSAWERY

Jednakże wszystkie te przypadki mają niewiele wspólnego z bilokacją, której przykłady udokumentowane zostały w hagiografii katolickiej. Głośne były bilokacje św. Antoniego Padewskiego.

W Wielki Czwartek 1226 roku Antoni odprawiał Mszę św. w katedrze w Saint-Pierre-du-Queyroix, w pobliżu Limoges. Nagle przypomniał sobie, że obiecał niektórym swym współbraciom, iż pójdzie z nimi, właśnie o tej samej godzinie, pomodlić się do klasztoru. Osobom uczestniczącym owego dnia we Mszy św., odprawianej w katedrze, utknęło w pamięci, iż na parę minut święty zupełnie znieruchomiał. W tym samym momencie bracia zakonnicy w klasztorze odległym od katedry o parę kilometrów zobaczyli,

że Antoni wszedł do ich kaplicy, uklęknął przed ołtarzem i pogrążył się w modlitwie, po czym w jakiś dziwny sposób zniknął z ich pola widzenia.

Innym razem święty wygłaszał kazanie w którymś z kościołów hiszpańskich, i nagle zamilkł, jakby wchodząc w rodzaj w transu. Wrócił do siebie po upływie godziny, wyjaśniając wiernym, iż musiał udać się do Padwy, gdzie wystąpił, jako świadek obrony w procesie przeciw swemu ojcu, oskarżonemu o coś poważnego.

Św. Alfons Liguori przebywając w Sant'Agata dei Goti, gdzie piastował godność biskupią, udał się w bilokacji do Rzymu, by być obecnym przy łożu śmierci papieża Klemensa XIV i wziąć udział w jego pogrzebie. Współbracia Alfonsa w Sant'Agata widzieli go przez dwa dni siedzącego bez ruchu w fotelu, jakby skamieniałego.

W Rzymie natomiast widziano, jak pocieszał konającego papieża. Św. Franciszek Ksawery, wielki misjonarz jezuicki, który jako pierwszy głosił Ewangelię w krajach Wschodu - jest przykładem nieprawdopodobnej bilokacji, jaka miała miejsce w czasie jego podróży z Japonii do Chin. Statek, którym płynął, znalazł się w samym środku straszliwej burzy morskiej. W tajemniczy sposób święty dowiedział się, iż w tym samym czasie pośród rozszalałego morza dryfowała szalupa z piętnastoma jego współbraćmi.

Zakonnicy pogodzili się już ze śmiercią, gdy oto pośród fal ujrzeli nagle Franciszka, który stanąwszy na pokładzie łodzi, uchwycił ster i sprowadził ją do portu. Tymczasem marynarze i pasażerowie statku, którym Franciszek wraz z nimi podróżował, nigdy nie stracili go z pola widzenia.

Podobne opowieści przyjmowane są na ogół z niedowierzaniem. Zdrowy rozsądek podpowiada nam, by traktować je jak legendy. A przecież fakty tego rodzaju nader często występują w życiu świętych i wielkich mistyków, i nierzadko są bardzo dobrze udokumentowane.

„DZIĘKUJĘ ZA URATOWANIE MI ŻYCIA”

Życie Ojca Pio obfitowało w podobne, jakby wzięte wprost z fantastyki naukowej przygody. Dla Ojca Pio nie istniały żadne granice. Przemieszczał się z jednej części świata do drugiej, jak na skrzydłach fantazji - niczym anioł, wróżka, myśl.

„Zjawisko bilokacji Ojca Pio zostało bogato udokumentowane” - powiedział mi swego czasu o. Domenico Mondrone, jezuita, biograf stygmatyzowanego kapucyna. Ojciec Mondrone, autor około trzydziestu książek, był naukowcem zawsze kierującym się rozwagą.

Przez przeszło pół wieku należał do najznakomitszych piór «Civiltà Cattolica», popularnego czasopisma wydawanego przez jezuitów. „Według badaczy mistycyzmu - wyjaśnił mi o. Mondrone - bilokacja (obecność tej samej osoby w dwóch różnych miejscach równocześnie) jest czymś zupełnie innym od «lotności», czyli cielesnego,

niemal błyskawicznego przemieszczenia się z jednego miejsca na drugie. W życiu Ojca Pio owo zjawisko miało miejsce tylko jeden raz, podczas gdy bilokacje zdarzały się często.

Faktu tego nie da się wyjaśnić racjonalnie. Można przypuszczać, iż to duch opuszcza ciało, by udać się w inne miejsce, lecz sposób, w jaki dokonuje tego, jest nam nieznany. Podczas gdy duch «podróżuje», ciało pozostaje w bezruchu. Niekiedy nawet w samym środku rozmowy zdarzało się Ojcu Pio niespodziewanie zamilknąć i na pewien czas jakby zasypiać. Można mniemać, iż podróżował wtedy, w bilokacji".

Maria Pompilio, córka duchowa Ojca Pio, zebrala wiele przypadków związanych z jego bilokacjami. Któregoś wieczoru jej brat Nicola modląc się zasnął. Wtem ktoś nagle wymierzył mu siarczysty policzek. Zdało mu się, że ręka karciciela ubrana była w półrękawiczkę. Od razu więc pomyślał o Ojcu Pio, toteż następnego dnia zapytał go o to. W odpowiedzi usłyszał: „Tak właśnie odgania się sen w czasie modlitwy".

Maria Pompilio była też świadkiem następującego zdarzenia. Pewnego dnia do zakrystii, gdzie Ojciec Pio zawsze rozbierał się z szat liturgicznych po odprawieniu Mszy św., wszedł jakiś mężczyzna i bacznie przyjrawszy się zakonnikowi, rzekł: „Tak, to on, nie mylę się". Zbliżywszy się do Ojca Pio, upadł na kolana i płacząc powtarzał: „Ojcze, dziękuję za uratowanie mi życia".

Mężczyzna opowiedział potem Marii Pompilio tę oto historię: „W czasie wojny byłem kapitanem piechoty i któregoś dnia na polu bitwy, kiedy wokół wrzała straszliwa walka, ujrzałem niedaleko od siebie jakiegoś zakonnika, bladego, z bardzo wyrazistymi oczyma. Nie miał na sobie munduru kapelana wojskowego, lecz ubrany był w zwykły habit zakonny. Skinął na mnie i powiedział: «Panie kapitanie, niech pan odejdzie, czym prędzej z miejsca, na którym pan teraz jest, i stanie tu, koło mnie». Skierowałem się ku niemu i zanim jeszcze zdążyłem doń podejść, w miejsce, gdzie wcześniej stałem, uderzył granat pozostawiając po wybuchu ogromny lej. Odwróciłem wzrok ku braciszкови, ale nie było po nim śladu".

„W listopadzie 1921 r. - wspomina o. Michelangelo Bellini - kiedy byłem jeszcze studentem, napisałem do Ojca Pio list prosząc go o modlitwę w intencji mojego umierającego dziadka, który miał ponad osiemdziesiątkę. Byłem do niego bardzo przywiązany, gdyż zastępował mi ojca. Prosiłem, by mógł dożyć choćby do moich święceń kapłańskich. Po kilku dniach, kiedy odwiedziłem go znowu, był w stanie agonalnym. Pomyślałem, że tej nocy pewnie umrze. Ale nad ranem okazało się, że dziadek nagle wydobrał. Opowiedział mi potem, jak to we śnie ujrzał jakiegoś zakonnika, który przyniósł mu dziesięć lat życia. Mój dziadek żył jeszcze równe dziesięć lat od tego wydarzenia".

Kardynałowie Piętro Gasparri i Augusto Sili znajdowali się w rzymskim domu księżnej Yirginii Salviucci, wdowy po księciu Sili; mieli tam poświęcić kaplicę rodową. W czasie uroczystości zjawiała się jakaś zakonnica, która przyniosła szkatułkę z relikwią

Krzyża Świętego. Opowiedziała, że w nocy wszedł do jej celi Ojciec Pio we własnej osobie i wręczył jej ten właśnie relikwiarz, polecając, by nazajutrz zaniósła go do domu księżnej Sili-Salviucci. Kiedy w kilka dni później księżna pojechała do San Giovanni Rotondo, gdyż chciała sprawdzić wiarygodność zdarzenia - Ojciec Pio potwierdził, że to on osobiście przekazał relikwię owej zakonnicy z Rzymu.

„NO CO, GENERALE, USZLIŚMY CAŁO W TAMTĄ NOC”

W listopadzie 1917 r. Ojciec Pio odbywał jeszcze służbę wojskową, jakkolwiek w tym okresie był na przepustce w San Giovanni Rotondo. Wieść o klęsce wojsk włoskich pod Caporetto przepełniła jego serce goryczą. Modląc się w półmroku kościółka Matki Bożej Łaskawej był myślami przy żołnierzach walczących i umierających na polach bitew we Friuli i Veneto. Dużo myślał o generale Luigim Cadornie, dowódcy wojsk włoskich, czyli także jego przełożonym.

Dla Włoch Caporetto było zbyt wielką klęską, dlatego też, Cadorna bezzwłocznie zastąpiony został na stanowisku dowódcy przez generała Armanda Diaza. Dla Cadorny była to ogromna zniewaga. Cała jego kariera wojskowa została raz na zawsze zaprzepaszczone. Czuł się poniżony, znieważony i zrozpaczony. Gotów był skończyć z sobą i owego dnia,

9 listopada, postanowił popełnić samobójstwo. Zamknął się w swoim gabinecie, w Pałacu Zara w Treviso (mieścił się tam sztab główny), nakazując ordynansowi, by nie wpuszczał nikogo. Na biurku miał już przygotowany pistolet. Generał zamierzał jeszcze spisać swą ostatnią wolę.

Wtem zobaczył, że do gabinetu wchodzi młody mnich w podniszczonym habicie. Miał brodę i płonące oczy. Generał z oburzeniem pomyślał, że ktoś wbrew jego rozkazom wpuścił mnicha. Już miał zawołać straż, gdy tymczasem braciszek podszedł do niego, uścisnął go serdecznie i powiedział, iż wysłany został przez Boga. I tak zaczęła się między nimi rozmowa. Braciszek pocieszał generała i w końcu przekonał go, by odstąpił od swych samobójczych zamiarów, po czym, tak jak przyszedł, w równie w tajemniczy sposób i odszedł.

Minęło kilka lat. Był rok 1920. Któregoś dnia Cadorna czytał artykuł o stygmatyzowanym kapucynie z przylądka, Gargano, gdy nagle w załączonej do tekstu fotografii zakonnika rozpoznał braciszka, który uratował mu życie. Generał postanowił sprawdzić wszystko na miejscu. Wybrał się więc do San Giovanni Rotondo. Przybywszy do klasztoru Matki Bożej Łaskawej spytał o Ojca Pio. Kazano mu czekać. Po chwili ujrzał grupę kapucynów. Od razu rozpoznał wśród nich owego tajemniczego mnicha, który w nocy dziewiątego listopada 1917 roku odwiedził go w Treviso. Podszedł do Ojca Pio, a on, przywitawszy go uśmiechem, powiedział: „No co, generale, uszliśmy cało w tamtą noc”.

ZJAWA ZAWRACAJĄCA SAMOLOTY

Wielu pilotów brytyjskich i amerykańskich sił powietrznych, różnej narodowości (Anglicy, Amerykanie, Polacy, Palestyńczycy) i różnego wyznania (rzymskokatolickiego, prawosławnego, islamskiego, protestanckiego, żydowskiego), stacjonujących podczas wojny, po 8 września 1943 roku, w okolicach Bari - było świadkami nadzwyczajnego wydarzenia. Za każdym razem, kiedy w czasie swych lotów zbliżali się nad Gargano, w okolicy San Giovanni Rotondo, widzieli na niebie postać zakonnika, który swymi zranionymi rękami powstrzymywał ich przed zrzucaniem bomb.

Foggia i niemalże wszystkie miejscowości w Apulii ucierpiały mocno od bombardowań, jedynie na San Giovanni Rotondo nie spadła ani jedna bomba. Naocznym świadkiem zdarzenia, o którym powiedzieć, że niesłychane, to za mało - był generał pilot Bernardo Rosini z dowództwa eskadr włoskich w Bari, wspierających działania lotnictwa alianckiego. „Ilekoć piloci wracali ze swych misji - powiedział mi generał Rosini - mówili o mnichu pojawiającym się na niebie, który zawracał ich samoloty.

Zrazu wszyscy śmiali się, z niedowierzaniem słuchając tak nieprawdopodobnych historyjek, lecz ponieważ o czymś takim opowiadali coraz to inni piloci - naczelny dowódca postanowił osobiście sprawdzić wszystko. Poprowadził małą eskadrę bombowców, która miała zniszczyć niemiecki magazyn broni, usytuowany właśnie w San Giovanni Rotondo. Żadnemu z pilotów nie udało się przedtem dotrzeć tam z powodu owej tajemniczej zjawy, która zawracała samoloty.

W tym dniu Włochy oficjalnie zerwały sojusz z hitlerowskimi Niemcami i podpisały kapitulację przed wojskami aliantów zachodnich. Atmosfera w jednostce była napięta. Wszyscy ciekawi byliśmy, jak tym razem powie się operacja. Gdy tylko eskadra wróciła do bazy, zasypaliśmy naszych kolegów pytaniami.

Amerykański generał był zaszokowany. Opowiedział nam, że w momencie, kiedy znaleźli blisko celu wyprawy, zarówno on, jak i inni piloci dostrzegli na niebie postać jakiegoś zakonnika z uniesionymi w górę rękami. W tym momencie bomby same odzepiły się spadając na okoliczne lasy, zaś samoloty same, bez manewru pilotów; zatoczyły piękny łuk zmieniając kierunek lotu.

Przez cały wieczór zdarzenie to było głównym tematem naszych rozmów i dyskusji. Wszyscy zastanawiali się, kim była zjawy, której poddawały się samoloty. Ktoś wreszcie zasugerował generałowi, iż owym „sabotażystą” mógł być stygmatyzowany kapucyn mieszkający w San Giovanni Rotondo, a uważany przez wszystkich za świętego. Generał odniósł się do tej informacji raczej sceptycznie, powiedział jednakże, że jak tylko będzie to możliwe, sprawdzi ten fakt osobiście.

Po wojnie wybrał się z kilkoma innymi pilotami do klasztoru w San Giovanni Rotondo. Zaraz u wejścia do zakrystii powitała go grupa zakonników, wśród których generał rozpoznał tego, który zatrzymywał jego samoloty; Ojciec Pio podszedł do niego i

położywszy mu dłoń na ramieniu powiedział: „Ach, więc to ty chciałeś nas wszystkich wysadzić w powietrze!”.

Wzrok i słowa Ojca Pio wstrząsnęły generałem do głębi. Padł przed nim na kolana.

Ojciec Pio rozmawiał z generałem bardzo długo. Rozumieli się wyśmienicie - kapucyn używał swego rodzinnego dialektu z Benewentu, zaś przybysz z daleka wystawiał się po angielsku. Wkrótce obaj - zakonnik i generał - zostali przyjaciółmi, a generał, protestant, stał się katolikiem.

PRZELOT DO URUGWAJU

Urugwajski biskup Alfredo Viola z Salto pozostawił takie oto świadectwo: „W 1937 roku biskup Ferdinando Damiani, będący podówczas wikariuszem generalnym w diecezji Salto, wiedząc, że jest nieuleczalnie chory na serce, udał się do Włoch, do San Giovanni Rotondo, by umrzeć blisko Ojca Pio. Ten zaś kazał mu wracać spokojnie do pracy w swej diecezji, zapewniając, iż kiedy wybijie jego ostatnia godzina, z pewnością zaopiekuje się nim.

W 1941 roku zorganizowałem w mojej diecezji kongres, w którym uczestniczyli m. in.: nuncjusz papieski Alberto Levame, arcybiskup Montevideo Antonio Maria Barbieri oraz biskup Floridy Michele Paternain.

W nocy arcybiskup Barbieri usłyszał pukanie do drzwi swego pokoju, po czym ujrzał stojącego w nich jakiegoś kapucyna. Zakonnik rzekł, by czym prędzej udał się do pokoju biskupa Damiani, gdyż ten jest umierający. Tak też uczynił. W istocie biskup Damiani dostał silnego ataku dusznicy. Z całkowitą świadomością przyjął sakrament namaszczenia chorych, a potem zmarł.

Kiedy 13 kwietnia 1949 roku arcybiskup Barbieri odwiedził San Giovanni Rotondo, rozpoznał w Ojcu Pio kapucyna, który tamtej nocy zastukał do jego drzwi, by pościć go do biskupa Damiani.

Ojciec Alberto D'Apolito, współbrat i uczeń Ojca Pio, był świadkiem wielu jego bilokacji. Oto, co mi opowiedział: „Pewnego popołudnia, gdy przechodziłem korytarzem, dostrzegłem Ojca Pio stojącego przy oknie, ze wzrokiem utkwionym w pobliską górę. Zbliżyłem się, by ucałować jego dłoń, ale on zdał się nie dostrzegać mojej obecności, zaś ja odniosłem wrażenie, jakby ręka jego była sztywna. W tymże momencie usłyszałem, jak dobitnym, wyraźnym głosem wypowiada słowa rozgrzeszenia. Przerażony, pobiegłem po gwardiana i razem wróciliśmy do Ojca Pio, który po chwili drgnął, jakby budząc się ze snu. Zobaczywszy nas, zareagował: «To wy? Nie zauważyłem was wcześniej».

Po kilku dniach nadszedł z Turynu telegram do ojca gwardiana, z podziękowaniem za wysłanie Ojca Pio do umierającego współbrata. Z telegramu można było

wywnioskować, iż kiedy Ojciec Pio wymawiał słowa rozgrzeszenia przy oknie klasztoru w San Giovanni Rotondo, w Turynie umierał ów zakonnik.

W maju 1951 roku w Pietrelcinie, rodzinnej miejscowości Ojca Pio, otwarty został uroczyste nowy kościół, wybudowany właśnie na jego cześć. W ceremonii otwarcia miał uczestniczyć jej główny bohater, lecz nie było to możliwe.

Kiedy w kilka dni później poszedłem do niego w odwiedzin, zdałem mu dokładną relację z całej uroczystości, a na podsumowanie dodałem: «Niech Ojciec któregoś dnia przyjedzie do nas, by obejrzeć nowy kościół. Jest wspaniały». «Wasz kościół znam lepiej niż ty» - odparł Ojciec Pio. «Czyżby Ojciec widział go już na zdjęciach?» - spytałem. «Byłem w środku» - odrzekł. - «Jeśli chcesz, mogę ci podać każdy najdrobniejszy szczegół. Na przykład, ile schodków prowadzi do wejścia, czego ty nawet nie wiesz».

ŚLAD NA SZYBIE

„W 1957 roku byłem świadkiem zadziwiającego uzdrowienia o. Placida Buxa, chorego na skomplikowaną formę marskości wątroby. Leżał w szpitalu w San Severo i mimo intensywnej kuracji stan jego był beznadziejny.

Pewnej nocy o. Placido spostrzegł, że obok jego łóżka stoi Ojciec Pio, który zaczął go pocieszać i zapewniać, iż wyzdrowieje. Potem podszedł do okna, odcisnął dłoń na szybie i zniknął. Rankiem o. Placido poczuł się lepiej. Przypomniawszy sobie nocne zdarzenie, spojrzął na okno - na szybie widniał ślad jakiejś dłoni. Dla pewności przyjrzał się mu z bliska i rozpoznał dłoń Stygmatyka. W ten sposób przekonał się, iż wizyta Ojca Pio to nie były zwykłe nocne majaki.

Opowiedział o wszystkim siostronom zakonnym i pielęgniarkom. Wiadomość rozeszła się po szpitalu, a wkrótce po całym mieście. Do pokoju o. Placida schodziło się mnóstwo ciekawskich. Wszyscy chcieli obejrzeć ślad dłoni Ojca Pio.

Lekarze poirytowani kręceniem się po szpitalu obcych ludzi, a przy tym sceptycznie nastawieni do tak nieprawdopodobnej historii, kazali zetrzeć ów ślad. Próbowano umyć szybę różnymi środkami czyszczącymi, lecz ślad nie zniknął.

Nie mogąc uwierzyć w to, co widziałem na własne oczy, udałem się natychmiast do San Giovanni Rotondo, by szukać wyjaśnień wprost u Ojca Pio. Spotkałem go na klasztornej korytarzu. Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, jak zapytał mnie: «No, jakże się tam czuje nasz o. Placido?». «Coraz to lepiej» - odpowiedziałem, po czym dodałem: «Czy to prawda, że ubiegłej nocy Ojciec był u niego w szpitalu i zostawił ślad swej dłoni na szybie?». Utkwiwszy we mnie wzrok Ojciec Pio zapytał: «A ty w to wątpisz? Byłem tam, ale nic nikomu nie mów».

Wróciłem do San Severo i przekazałem wszystkim odpowiedź Ojca Pio. Lekarze pozostawili ją bez komentarzy. O. Placido wkrótce całkowicie wyzdrowiał".

CODZIENNIE, PRZEZ CAŁY ROK, UDAWAŁ SIĘ DO RZYMU

„W 1970 pojechałem do Collevalenzy, w prowincji Perugia, by poznać matkę Speranzę, słynną hiszpańską zakonnicę, stygmatyczkę, która zmarła w 1983 roku w opinii świętości. Towarzyszył mi adwokat Guglielmo Giordanelli oraz ojciec Gino, superior Instytutu, w którym mieszkała Matka Speranza.

Odbyła się wówczas między nami rozmowa, którą - gdybym nie był najgłębiej przekonany o świętości Matki Speranzy - uznałbym za jakąś halucynację. «Matko, jestem kapucynem z San Giovanni Rotondo» - rzekłem witając się z nią. - «Nie chcę zabierać Matce czasu, pragnę tylko prosić o modlitwę za mnie, a także w intencji beatyfikacji Ojca Pio».

Matka Speranza podniosła wzrok i patrząc na mnie powiedziała: «Zawsze modliłam się za Ojca Pio». «Znała go Matka?». «Tak, widziałam go wiele razy». «Gdzie? W San Giovanni Rotondo?». «Nie, nigdy nie byłam w San Giovanni Rotondo». «A więc gdzie?». «W Rzymie».

«Matko, to niemożliwe. Ojciec Pio był w Rzymie tylko jeden raz, i w 1917 roku, towarzysząc swojej siostrze, która wstępowała wtedy do klasztoru Św. Brygidy. Matka mieszkała wówczas w Hiszpanii. Na pewno Matka pomyliła się biorąc jakiegoś innego kapucyna za Ojca Pio» - orzekłem.

«Nie, nie pomyliłam się» - powiedziała Matka Speranza i dorzuciła: «To był na pewno Ojciec Pio». «A gdzie w Rzymie Matka widziała go?» - zapytałem. «W Świętym Oficjum, każdego dnia, przez cały rok. By ukryć rany nosił rękawiczki bez palców. Witałam go, całowałam jego dłoń, czasem zwracałam się do niego z jakimś słowem, a on odpowiadał mi. Było to między rokiem 1937 a 1939, czyli w okresie, kiedy wezwano mnie przed Święte Oficjum».

«Czy Matka się nie obrazi, jeśli wyznam, że trudno mi w to wszystko uwierzyć?». Matka Speranza z całą łagodnością odparła: «Ojciec ma prawo myśleć co chce. Powtarzam, że widywałam Ojca Pio codziennie, przez cały rok, w Rzymie. Zawsze modliłam się za niego i teraz też się modlę o jego uczczenie»".

„BYŁ OBECNY W CHWILI MOICH NARODZIN"

Jeden z najbardziej złożonych przypadków bilokacji Ojca Pio zaświadczony został przez markizę Giovannę Rizzani Boschi, z którą spotkałem się w jej domu w Trevi Umbro, w pobliżu Foligno. Markiza była teściową aktorki Giovanny Raili, która w 1977 roku poślubiła jej syna Ettore, znanego adwokata.

Odwiedziłem markizę dokładnie po to, by usłyszeć od niej opowieść o doprawdy wyjątkowych jej związkach z osobą Ojca Pio. Swe przeżycia opisała mi w sposób szczerzy i z pedantyczną dokładnością. Poznała Ojca Pio w 1923 roku i od razu stała się jego córką

duchową, zawsze była blisko przy nim, wspomagając go w sprawach budowy Domu Ulgi w Cierpieniu.

„Moje życie - wspomina markiza - związane było z Ojcem Pio od chwili, gdy przyszedłem na świat. Oczywiście, nie pamiętam tego dnia, ale istnieje tajemniczy dokument, napisany własnoręcznie przez Ojca Pio, z którego wynika, że był obecny przy moich narodzinach.

18 stycznia 1905 roku mój ojciec, Giovanni Battista Rizzani, leżał w agonii, w swoim pałacu w Udinie. Moja matka, Leonilde Serrao, czuwała przy nim. Była osobą o silnym charakterze i bardzo pobożną. Mimo że była w stanie zaawansowanej ciąży, nie myślała o niczym innym, jak tylko o swym mężu.

Kiedy zapadł zmrok, psy, może czując bliski koniec swego pana, zaczęły wyć i matka zeszła na dziedziniec, by je uspokoić. Kiedy była już na dole, chwyciły ją nagłe bóle porodowe. Wspomagana przez zarządcę dóbr rodzinnych, urodziła mnie dokładnie tam, gdzie stała. Potem miała jeszcze siły, by wziąć mnie na ręce i wspiąć się po schodach do pokoju męża, który wkrótce umarł.

Od najmłodszych lat słuchałam opowieści mojej matki o tym wydarzeniu; zawsze zaznaczała ona, że w chwili gdy ja przychodziłam na świat, widziała na dziedzińcu jakiegoś młodego kapucyna. Matka nigdy nie miała pewności, czy była to wizja, czy halucynacja, czy też rzeczywistość, tym bardziej, że nikt w rodzinie nigdy nie znał kapucynów.

Wiele lat później, kiedy byłam już córką duchową Ojca Pio, poznałam pewne szczegóły, które rzuciły przedziwne światło na to wydarzenie.

Spowiednik Ojca Pio, o. Agostino z San Marco in Lamis, poznawszy mnie ofiarował mi kartkę z zeszytu, którą otrzymał od swego ucznia w 1905 roku. Wówczas Ojciec Pio nie miał jeszcze święceń kapłańskich. Studiował filozofię i mieszkał w klasztorze Sant'Elia w Pianisi, w prowincji Campobasso. Miał osiemnaście lat i dopiero od dwóch lat był w zakonie kapucynów. Już wtedy jednak w jego życiu zdarzały się tajemnicze fakty, które opisywał swemu spowiednikowi w długich listach. W lutym 1905 roku napisał właśnie do o. Agostino, między innymi, tę oto kartkę; o. Agostino zachował ją wraz z innymi listami na pamiątkę".

Markiza Giovanni Rizzani Boschi wyjęła z biurka ową kartkę z zeszytu i pokazała mi ją z bliska. „Nie ma wątpliwości, co do faktu, iż list ten napisany został własnoręcznie przez Ojca Pio" - powiedziała. - „Potwierdzili to eksperci, a poza tym, jakże mogłabym wątpić w słowa spowiednika Ojca Pio".

Wziąłem kartkę z rąk markizy i zacząłem czytać to, co Ojciec Pio pisał w odległym 1905 roku: „Niedawno zdarzyło mi się coś dziwnego. Kiedy przebywałem w chórze z bratem Anastasio, a było to 18 stycznia około godziny 23, nagle znalazłem się gdzieś

daleko, w jakimś wielkopańskim domu, gdzie umierał ojciec, a rodziła się córka. Ukazała się mi wtedy Przenajświętsza Maryja i rzekła mi: «Powierzam ci tę istotę. To cenny kamień w surowym stanie, obrób go, wypoleruj i spraw, by zalśnił w całej krasie, ponieważ pewnego dnia zechcę przystroić się nim. Nie popadaj w zwątpienie, ona sama przyjdzie do ciebie, ale przedtem spotkasz ją w bazylice Św. Piotra». Po czym znowu znalazłem się w chórze".

„Trudno dać jakieś racjonalne wyjaśnienie tych zdań" - stwierdziła markiza biorąc z mych rąk ową kartkę. - „Być może Ojciec Pio opisuje jakiś swój sen, wizję albo też doświadczył wtedy autentycznej bilokacji. Zupełnie niewyjaśnione pozostają zbieżności z moim życiem: data 18 stycznia 1905 roku - dzień moich urodzin; miejsce - «jakiś wielkopański dom» - oraz okoliczność wskazana w zdaniu «gdzie umierał ojciec, a rodziła się córka»".

SPOTKANIE W BAZYLICE ŚW. PIOTRA

Markiza pozostała przez chwilę w milczeniu patrząc na kartkę z zeszytu, którą trzymała jeszcze w dłoniach. W domu panowała głęboka cisza. Potem podjęła przerwany wątek: „Owdowiawszy, moja matka przeniosła się do Rzymu, do swoich rodziców. Wyrósłam w tym mieście. Tam skończyłam gimnazjum i liceum. Otrzymałam wychowanie religijne, lecz w okresie licealnym. Dręczyły mnie wątpliwości w sprawach wiary. Chciałam spotkać jakiegoś kapłana, który pomógłby mi, ale nie natrafiłam na kogoś odpowiedniego.

Pewnego letniego popołudnia 1922 roku postanowiliśmy z przyjaciółką zwiedzić bazylikę Św. Piotra. Kiedy chodziłam po tym dostojnym wnętrzu, pod jego ogromnymi arkadami, tym mocniej odezwało się we mnie pragnienie podzielenia się z jakimś kapłanem moimi wątpliwościami.

Zwróciłam się w tej sprawie do jednego ze strażników, lecz ten odpowiedział mi, że jest już za późno i księża poszli już do domu. «Za pół godziny zamykamy» - dorzucił. Poszłyśmy, więc z przyjaciółką dalej zwiedzać bazylikę. Przyglądałyśmy się jakiejś rzeźbie, gdy nagle dostrzegłam na wprost mnie jakiegoś kapucyna.

Podeszłam do niego i spytałam, czy mógłby mnie wysłuchać. Zgodził się i wszedł do pobliskiego konfesjonatu. Od razu wyjaśniłam mu, że nie mam zamiaru się spowiadać, lecz pragnę tylko pewnych wyjaśnień. Długo rozmawialiśmy. Jego wywody były przekonujące i precyzyjne. Poczułam się nagle zupełnie inną osobą.

Przy wyjściu rzekłam do mojej przyjaciółki: „Jaki ten zakonnik jest świątły. Poczekajmy na niego. Chciałabym go spytać, gdzie mieszka, żeby móc jeszcze kiedyś z nim porozmawiać>>. W tej samej chwili podszedł do nas strażnik i poprosił, byśmy wyszły, bo musi zamknąć bazylikę. «Czekamy na kapucyna, który został jeszcze w konfesjonale>> - wyjaśniłam. «On również musi wyjść, bo inaczej przyjdzie mu tu

nocować» - odparł strażnik, po czym podszedł do konfesjonału, odsunął zasłonkę, ale w środku nie znalazł nikogo. «Poszedł już do domu» - stwierdził. Popatrzyłam ze zdumieniem na przyjaciółkę i wyszeptałam: «Którędy mógł on wyjść». Moje wątpliwości religijne nie ustępowały. Nie znalazłam już drugiego takiego księdza, jak ów kapucyn z bazyliki Św. Piotra.

Latem następnego roku po raz pierwszy usłyszałam o Ojcu Pio i natychmiast zapragnęłam spotkać się z nim. Podróż zorganizowałam wraz z jedną moją ciotką oraz kilkoma przyjaciółkami. W niewielkim klasztorze w San Giovanni Rotondo zastałyśmy dużo ludzi. Było tam również wiele wybitnych osobistości. Zatłoczony był cały korytarz z zakrystii do klauzury. Udało mi się przedostać do pierwszego rzędu. Ojciec Pio przechodząc koło mnie zatrzymał się, popatrzył mi prosto w oczy i uśmiechając się powiedział: «Giovanno, ja cię znam. Urodziłaś się w dniu, w którym umarł twój ojciec».

Nazajutrz z rana poszłam wypowiadać się. Zaledwie uklęknąwszy, Ojciec Pio pobłogosławił mnie i powiedział: «Córko moja, nareszcie przyszłaś. Czekałam na ciebie od tylu lat». «Ojciec chyba mylił mnie z kimś innym?» - odparłam. «Nie, nie mylę się. Zresztą i ty mnie znasz» - dodał. «Nigdy jeszcze nie byłam w San Giovanni Rotondo, a do niedawna nie miałam nawet pojęcia o istnieniu Ojca» - odpowiedziałam.

«W zeszłym roku - oznajmił mi Ojciec Pio - w letnie popołudnie poszłaś z przyjaciółką do bazyliki Św. Piotra szukając kapłana, który umiałby wyjaśnić ci twe wątpliwości religijne. Spotkałaś pewnego kapucyna i długo z nim rozmawiałaś. Tym kapucynem byłem ja». Po krótkiej przerwie Ojciec Pio ciągnął dalej: «Kiedy miałaś urodzić się, Matka Boska przeniosła mnie do Udine, do twojego pałacu. Kazała mi być przy łożu śmierci twego ojca, a potem poleciła mi, bym się o ciebie troszczył. Powierzyła mi cię Przenajświętsza Panna, muszę, więc mieć pieczę nad twoją duszą».

Na te słowa wybuchnęłam płaczem. Od owego momentu Ojciec Pio stał się moim spowiednikiem, moim duchowym opiekunem. Był dla mnie wszystkim". Markiza Giovanna Rizzani Boschi wstała i zaniósła do biurka ową cenną kartkę z zeszytu. Jej ruchy były powolne i spokojne. Na jej twarzy malowała się pogoda ducha.

„BĘDZIESZ OBECNA PRZY MOJEJ ŚMIERCI"

„Kilka lat później - wspominała dalej markiza - Ojciec Pio poprosił mnie, bym wstąpiła do Trzeciego Zakonu św. Franciszka, przeznaczonego dla świeckich. Założony został przez samego św. Franciszka i daje sposobność życia w duchu franciszkańskim bez konieczności porzucenia świata zewnętrznego. Propozycję Ojca Pio przyjąłam z entuzjazmem. On sam pokierował moim przygotowaniem. Wchodząc do Trzeciego Zakonu trzeba wybrać sobie nowe imię.

Ojciec Pio wybrał dla mnie imię Jacopa. «Co za brzydkie imię» - zareagowałam? - «Nie podoba mi się. Niech mnie Ojciec nazwie Klarą» - poprosiłam. Wyjaśnił mi:

«Będziesz się nazywać Jacopa. Czy czytałaś żywot św. Franciszka? Jacopa, szlachetna rzymska matrona, była obecna przy śmierci świętego z Asyżu. Zapamiętaj: któregoś dnia ty będziesz przy mojej śmierci». Słowa te utkwiły mi głęboko w pamięci, lecz tamtego dnia dłużej nad nimi nie zastanawiałam się.

We wrześniu 1968 roku, w czasie mojego pobytu w Rzymie, usłyszałam nagle głos Ojca Pio: «Przyjedź szybko do San Giovanni Rotondo, bo na mnie już czas, odchodzę. Jeśli się spóźnisz, nigdy już mnie nie zobaczysz».

Wyjechałam z Rzymu następnego dnia z moją przyjaciółką Margheritą Hamilton. Wynajęłyśmy pokój w pensjonacie nie opodal klasztoru. Mogłam dzięki temu spotykać się z Ojcem Pio i u niego wypowiadać. Powiedział mi wtedy: «To ostatnia twoja spowiedź u mnie». «Dlaczego?» - zapytałam. «Bo nadeszła już moja godzina. Odchodzę» - oznajmił.

Po spowiedzi ucałowałam jego dłoń i dałam mu ofiarę na szpital. «Zatrzymaj te pieniądze dla siebie, będą ci jeszcze potrzebne» - powiedział mi. «Mam jeszcze tyle, że wystarczy, by opłacić hotel i podróż powrotną do Rzymu» - zapewniłam go. - «Sumę tę przeznaczam na Dom Ulgi w Cierpieniu». «Zatrzymaj te pieniądze, córko. Będziesz musiała pozostać w San Giovanni Rotondo jeszcze przez kilka dni i te pieniądze bardzo ci się przydadzą».

Po południu w rozmowie z moją przyjaciółką wspominałam o moich spotkaniach z Ojcem Pio i wszystkim tym, co mi mówił. Opowiedziałam, jak zostałam tercjarką, jak nie podobało mi się moje nowe imię oraz przypomniałam zdanie, jakie wyrzekł wtedy: «Zapamiętaj, że będziesz obecna przy mojej śmierci».

W niedzielę, 22 września, po odprawieniu porannej Mszy św. Ojciec Pio poczuł się słabo, ale lekarze uznali, że życiu jego nic nie zagraża. W nocy jednakże zdarzyło się coś, o czym nie śmiałabym mówić, gdyby nie potwierdzała tego pisemna relacja mojej przyjaciółki, Margherity Hamilton. Zajmowałyśmy ten sam pokój. Długo nie mogłam zmrużyć oka. Słyszałoby wycie psów. Wreszcie zasnęłam.

Nie wiem, co stało się wkrótce - czy to był sen, jakaś wizja, czy może za sprawą Ojca Pio doświadczyłam bilokacji, która dla niego była codziennością. Nagle znalazłam się w jego pokoju. Byłam w zupełności świadoma tego, co oglądałam. Ojciec Pio siedział w fotelu i czuł się bardzo źle. Oddychał z trudem. Obok niego stał o. Pellegrino i inni zakonnicy. Byli też dwaj lekarze. Wszyscy pochylali się nad Ojcem Pio, byli smutni i zatroskani.

Nagle rozbudziłam się i krzyknęłam: «Margherito, Ojciec Pio umiera». «To niemożliwe, po południu dobrze się czuł. To tylko zły sen» - odpowiedziała. «Nie, on umiera. Widziałam go» - odparłam. Wstałam z łóżka, pośpiesznie ubrałam się i pobiegłam na plac przed klasztorem. W tym samym momencie z klasztoru wyszedł jeden z braci i oznajmił, że Ojciec Pio zakończył życie".

„KIPIAŁEM Z OBURZENIA”

O ciekawym przypadku bilokacji Ojca Pio opowiedział mi Gino Latilla, popularny śpiewak, który podobnie jak Nilla Pizzi, Carla Boni, Giorgio Consolini, Claudio Villa należał do czołówki włoskiego świata piosenkarskiego lat pięćdziesiątych.

Latilla swe niezwykle spotkanie z Ojcem Pio miał w 1962 roku. Nigdy przedtem nie był w San Giovanni Rotondo. Nie należał bynajmniej do sympatyków Ojca Pio i śmiał się do rozpuku, kiedy opowiadano mu o tajemniczych zjawiskach związanych z osobą kapucyna ze stygmatami. Jego świadectwo, zatem, jako osoby sceptycznie nastawionej do podobnych zdarzeń, nie jest bez znaczenia.

„9 lipca 1962 roku - opowiadał mi Latilla - Luciano Rispoli (później jedna z pierwszoplanowych postaci w telewizji włoskiej) miał wstąpić w związek małżeński. Ponieważ w rodzinie jego otaczano Ojca Pio wielkim szacunkiem, zaś jeden z jego wujków pozostawał nawet z nim w bliskich kontaktach, Lucianowi udało się w drodze wyjątku uzyskać pozwolenie na zawarcie małżeństwa w San Giovanni Rotondo i mieć, jako celebransa samego Ojca Pio.

Rispoli miał doprawdy duże szczęście. Dość pomyśleć, jak długie podróże odbywały tysiące osób, by móc zobaczyć się ze Stygmatykiem, i to często dopiero po dwóch czy trzech tygodniach pobytu w San Giovanni Rotondo.

Znałem Ojca Pio z opowiadań. Nie zaliczałem się do jego entuzjastów. Byłem wychowankiem szkół jezuickich, gdzie odebrałem otwarte wychowanie religijne, w którym nie przykładano wielkiej wagi do wszystkich tych tajemniczych zjawisk, jak bilokacje, czytanie w myślach, zapachy, stygmaty - czyli do tego, co charakteryzowało życie Ojca Pio. Z tego też względu nigdy nie czułem potrzeby spotkania się z Ojcem Pio ani też wcale nie podnieciła mnie perspektywa wyjazdu do San Giovanni Rotondo w związku ze ślubem przyjaciela.

Wyruszyliśmy 7 lipca. Moim pasażerem był pan młody. Nazajutrz, 8 lipca, poszedłem z ciekawości na Mszę świętą odprawianą przez Ojca Pio o piątej rano. Zdziwiłem się widząc o tak wczesnej godzinie tłumy wiernych. Śledziłem nabożeństwo z uwagą. Trwało dość długo i odprawiane było przez Ojca Pio z dużym zaangażowaniem.

Tuż po Mszy św. udałem się wraz z krewnymi Rispolego do zakrystii, gdzie można było przyjrzeć się zakonnikowi z bliska oraz otrzymać jego błogosławieństwo. Ojciec Pio ściągnął szaty liturgiczne, po czym uklęknął na uboczu i pogrążył się w modlitwie, z twarzą ukrytą w dłoniach.

W zakrystii zapanowała głęboka cisza. Wewnątrz było około piętnastu osób. Ktoś z małym dzieckiem. Długo jeszcze trwaliśmy w milczącym oczekiwaniu. Zacząłem odczuwać zmęczenie. Widziałem, że Ojciec Pio modli się, i wiedziałem też, że modlitwa

jest dlań sprawą ważną, lecz myślałem również o mnóstwie osób wyczekujących na niego w kościele.

Pomyślałem sobie, że uczyniłby z pewnością rzecz miłą Bogu, gdyby udał się do tych biednych ludzi i wysłuchał ich prośb. Nagle stojące pośród nas dziecko wyrwało się swemu rodzicowi z rąk i z całą prostotą, właściwą jedynie dziecięcej niewinności, podeszło do zakonnika. Być może dotknęło jego habitu, a może jedynie zakłóciło jego modlitwę - nie wiem. Ojciec Pio gwałtownie odwrócił się i dobitnie powiedział: «Zostawcie mnie w spokoju».

Ostępiałem. Słyszałem wcześniej, że jest szorstkiego usposobienia, ale nigdy nie przypuszczałem, aby traktował w ten sposób również i dzieci. Od razu przypomniał mi się urywek z Ewangelii, w którym przytacza się słowa Chrystusa: Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie. - «Ten zaś dzieci odpycha» - pomyślałem sobie. „Kipiałem z oburzenia”. Nie byłem w stanie dłużej przyglądać się tej scenie i po cichu wyszedłem z zakrystii nie czekając na przyjaciół, z którymi przyjechałem"

„ NIE CHCIAŁEM SIĘ Z NIM SPOTKAĆ"

„Przez cały dzień wyklócałem się z wszystkimi. Krewni Rispolego, darzący Ojca Pio wielką czcią, bronili go zażarcie. Krytykowałem zakonnika również, dlatego, że spędza tyle godzin na modlitwie, podczas gdy wszyscy ci nieboracy musieli czekać całymi dniami, by zobaczyć się z nim.

«Celem jego misji jest zbawienie dusz» - wyjaśnił mi ze spokojem wuj Rispolego, ten właśnie, który od lat znał Ojca Pio. - «On sam dobrze wie, kiedy przyjąć daną osobę lub kiedy zmusić ją do czekania, by mogła zastanowić się dłużej nad swym postępowaniem. Jeśli tylko tego zechce, zadziała tak, że już jutro spotkacie się. Nic z tego, co tu widzisz, nie jest dziełem przypadku».

Słowa te zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Zdanie: „Jeśli zechce zadziała tak, że już jutro spotkacie się» ciągle powracało mi na myśl. Niczym groźba, która wywoływała we mnie dziwny lęk. «Ależ ja wcale nie chcę spotkać się z Ojcem Pio, nie mam mu nic do powiedzenia>> - powtarzałem sobie w myślach.

Owej nocy spałem niespokojnie. Wstałem wcześniej rano, by przygotować się do uroczystości. Wśród przeróżnych prezentów ślubnych Rispoli otrzymał kamerę telewizyjną. Wiedział, że umiem posługiwać się kamerą, toteż poprosił mnie o nakręcenie filmu. «Bardzo zależy mi na tym, by mieć jakąś pamiątkę z tej uroczystości, a tylko ty możesz mi w tym pomóc» - powiedział. «Ależ chętnie to zrobię» - odrzekłem.

Przygotowałem kamerę, podwiozłem pod kościół pannę młodą, zaparkowałem samochód i wszedłem do kościoła, by zająć odpowiednie miejsce do kręcenia filmu. Pomyślałem, że najlepszym miejscem do sfilmowania wejścia orszaku ślubnego byłaby górna galeria usytuowana tam, gdzie zazwyczaj znajdują się organy.

Szukałem schodków, by się tam dostać. Pod galerią było dwoje drzwi: jedno po lewej stronie, drugie zaś po prawej. Bez większego namysłu wybrałem te po lewej. Wyszedłszy na górę znalazłem się w jakimś korytarzu. Przeszedłem parę kroków i znowu znalazłem jakieś drzwi. Otworzywszy je, ku memu zdumieniu ujrzałem przed sobą Ojca Pio. Od razu przypomniało mi się zdanie: „Jeśli tylko tego zechce, zadziała tak, że już jutro spotkacie się».

Zakonnik siedział w jakimś starym fotelu. W pomieszczeniu czuło się ostry zapach kwasu karbolowego. Jak tylko wyrzałem zza drzwi Ojciec Pio spiorunował mnie wzrokiem. Nie było to spojrzenie karcące, lecz surowe i twarde, przenikające do szpiku kości. Byłem wystraszony, a zarazem zauroczony. Cierpiałem, a zarazem odczuwałem wielkie szczęście.

Nie wiem, jak długo zakonnik milcząco wpatrywał się we mnie. Może była to sekunda, a może godzina. Aż wreszcie silnym głosem przemówił: «A ty, co tu robisz?». «Szukam organów» - wyjąkałem. «I to tu przyszedłeś ich szukać?» - powiedział, po czym władczym tonem dodał: «Wyjdź stąd, wyjdź».

Wyszedłem z pomieszczenia, zamknąłem za sobą drzwi i oddaliłem się w popłochu. Piekła mnie twarz, zupełnie jakbym wiele godzin przesiedział przy ogniu. Kręciłem się w kółko szukając owych organów. Najpierw zszedłem w dół, potem znów wszedłem po jakichś schodach.

Zacząłem się niepokoić o to, że nie zdążę sfilmować wejścia państwa młodych do kościoła. Znowu otworzyłem jakieś drzwi i raz jeszcze ujrzałem przed sobą Ojca Pio. «To znowu ty? Czego ty ode mnie chcesz?» - zapytał, lecz tym razem jego twarz była pogodna, prawie uśmiechnięta. «Przepraszam» - wybąknąłem, i odszedłem. «Jeśli Ojciec, który ma odprawiać Mszę ślubną, jest tutaj, to znaczy, że uroczystość jeszcze nie zaczęła się» - pomyślałem sobie i zabrałem się znów do szukania organów".

„IDŹ I NIGDY NIE CZYŃ ZŁA"

„Jako że nie mogłem ich znaleźć, postanowiłem zejść po schodach do kościoła, ale znowu znalazłem się w jakimś korytarzu. Otworzyłem widniejące przede mną drzwi i po raz trzeci ujrzałem Ojca Pio. Był w towarzystwie kilku chłopców i uśmiechał się. Chłopcy od razu rozpoznali mnie: «To Gino Latilla! Ten, co śpiewa w radiu». Ojciec Pio uśmiechając się powiedział: «Ach, to radio... ».

Zbliżył się do mnie, spojrzał mi prosto w oczy, w ten sam sposób co wcześniej, kiedy wszedłem do jego celi - i tym razem to przedziwne jego spojrzenie wywołało we mnie odczucia nie do opisania. Miałem wrażenie, jakby kręciło mi się w głowie, jakby ktoś wymieszał mi wszystkie myśli.

Po chwili Ojciec Pio uniósł do góry swą dłoń w półrękawiczce i uderzył mnie trzy razy po głowie. To nie były uderzenia pieszczotliwe. Były tak zdecydowane i silne, jakby

miały mi przywieść na pamięć coś bardzo ważnego. «Idź i nigdy nie czyń zła, i nie lękaj się nikogo» - powiedział łagodnym głosem. Kiedy jego dłoń dotknęła mej głowy, poczułem, jak dreszcz przebiegł po całym moim ciele, otrząsnąłem się i od razu pomyślałem o ślubie? «Muszę już iść» - powiedziałem do siebie.

Ruszyłem. Przeszedłem jakiś jeszcze korytarz i znalazłem się w kościele, lecz nie zastałem tam już nikogo. Rozejrzałem się wokół z przerażeniem i domyśliłem się, że było już po ślubie. To niemożliwe! Od kiedy zacząłem szukać organów minęło może pięć czy sześć minut, a przecież Msza święta ślubna powinna była trwać, co najmniej godzinę. A poza tym Ojciec Pio był na górze, w klasztorze, bo widziałem go tam trzykrotnie. Nie mógł, zatem udzielić ślubu.

Wybiegłem z kościoła. Natrafiłem na jednego z krewnych Rispolego. «Gdzieś się ty zapodział? Szukaliśmy cię wszędzie» - odezwał się tonem wymówki. - «Przecież miałeś odwiedzić państwa młodych do hotelu». «Tak, to prawda.

A gdzie są teraz?» - zapytałem. «Jeszcze przed chwilą byli tu i czekali na ciebie, lecz w końcu pojechali innym samochodem>>». «A ślub?» - spytałem. «Już dawno po ślubie!». «A kto odprawiał?». «Ojciec Pio».

Skamieniałem. Patrzyłem na kamerę, którą trzymałem w ręku i którą miałem sfilmować ślub. Co mi się stało? Co robiłem przez cały ten czas? Gdzie byłem? A Ojciec Pio? Czy widziałem go naprawdę, czy to wszystko śniło mi się? Jakże mógł być on równocześnie w klasztorze, gdzie przecież widziałem go na własne oczy, i w kościele, by dać ślub Rispolemu?

Wszystkie tłoczące się w moim umyśle pytania pozostawały bez odpowiedzi. Ból głowy rozsadał mi czaszkę. Moja sytuacja zakrawała na absurd, a przecież przez cały ten czas zachowałem trzeźwość umysłu, byłem świadomy tego, co się wokół mnie dzieje – byłem w pełni moich władz umysłowych.

Pojechałem do hotelu, w którym miał się odbyć bankiet ślubny. Wszyscy czynili mi wymówki, że nie sfilmowałem uroczystości. «No i jak poszło?» - zwrócił się do mnie wuj Luciano, przyjaciel Ojca Pio. «Co?» - Zareagowałem podejrzliwie. «Widziałeś Ojca Pio?» - zapytał uśmiechając się pod nosem. «To Pan coś wie. Czy może rozmawiał Pan z Ojcem Pio?». «Nie, nie rozmawiałem z nim. Zresztą, już od wielu lat nie widzieliśmy się».

Na tym kończy się - podsumował Latilla - moja dziwna i trudna do wyjaśnienia przygoda z Ojcem Pio. Od tamtego dnia nie widziałem go już nigdy więcej, lecz zawsze czułem jego obecność przy mnie. Był blisko mnie przez całe życie. Nie zrobię niczego, zanim nie poradzę się Ojca Pio.

Moje życie nie było łatwe. Spotkały mnie rozczarowania, rozgoryczenia, porażki. Ojciec Pio nie obdarował mnie bynajmniej radościami czy przywilejami, lecz nigdy nie opuszczał mnie - tego jestem pewien".

„CHYBA ZWARIUJĘ"

Carlo Campanini, popularny aktor kina włoskiego, wspomniał «pomocnik» Waltera Chiariego w niezliczonych programach rozrywkowych, zasilił szeregi - o czym dokładnie opowiem – nawróconych przez Stygmatyka. Również i on był świadkiem jednej z bilokacji.

Oto jego opowieść:

„Zdarzyło się to w 1955 roku. Otrzymałem widokówkę od brata Daniele, który pozostawał zawsze bardzo blisko Ojca Pio – był właściwie jego pielęgniarzem. Na widokówce napisane było: «Pozdrowienia od Ojca Pio. Odwiedzi cię: nie lękajcie się go prosić i nie lękajcie się go przyjąć». Jedno z typowych konwencjonalnych zdań. Myślałem, że odnosi się do duchowej wizyty Ojca Pio, i byłem z tego powodu bardzo zadowolony.

Następnego dnia, kiedy o ósmej rano przy śniadaniu rozmawiałem z moim synem o opłatach, jakie miał uiścić za nowy rok akademicki, ujrzałem nagle w przedpokoju Ojca Pio. Uśmiechał się do mnie. Ośłupiałem. Nie wiedziałem, co czynić. Skinieniem ręki dałem mu do zrozumienia, że wysłę, czym prędzej mego syna z domu i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Dałem synowi pieniądze i dosłownie wypchnąłem go za drzwi, po czym skierowałem się ku miejscu, w którym ukazał mi się wcześniej Ojciec Pio, lecz nie zostało po nim ani śladu - ulotnił się jak kamfora.

Nie wierzyłem własnym oczom. Chodziłem po pokoju zadając sobie pytanie, czy naprawdę widziałem Ojca Pio, czy może miałem halucynację. Owszem, słyszałem już nieraz o jego bilokacjach, ale do historii tych podchodziłem z nieufnością. Ojcu Pio wierzyłem całą mą duszą, a jednak uważałem, iż tylko osoby egzaltowane mogły opowiadać podobne historie. Tym razem przyszła kolej na mnie – to samo doświadczenie przytrafiło się teraz i mnie, i nie wiedziałem doprawdy, co to znaczy.

Przez cały dzień rozmyślałem nad tym porannym zdarzeniem. Świetnie zapamiętałem postać Ojca Pio i powtarzałem sobie w myślach: «Tak, to na pewno był on». Po czym dodawałem: «Nie, to niemożliwe». Przystawałem na ulicy i chwytając się za głowę wykrzykiwałem: «Chyba zwariuję>>». Potem przypominałem sobie o widokówce brata Daniele, i znów myśli, przypuszczenia, domysły...

Po trzech dniach tej straszliwej tortury postanowiłem pojechać do San Giovanni Rotondo, by wyjaśnić całą tę historię. Ledwie wszedłem do klasztoru i natknąłem się na brata Daniele, powiedziałem mu: «Wiesz, że widziałem się z Ojcem Pio?» «Dziękuj za to Bogu» - odrzekł i oddalił się w pośpiechu, gdyż był bardzo zajęty.

Kiedy zobaczyłem go ponownie, dorzucił: «Mógłbyś mu przynajmniej podziękować>>». «Pewnie, że chcę mu podziękować. I będę mógł wyjaśnić dręczącą

mnie wątpliwość». Jak tylko Ojciec Pio zszedł na dół, zbliżyłem się do niego. Patrzył na mnie z ironicznym uśmiechem. «Czy mogę podziękować Ojcu za wizytę, jaką Ojciec złożył mi w domu?» - zacząłem. «Oczywiście, że możesz» - odrzekł. «Ojcze, ale Ojciec naprawdę był u mnie?» - Dodałem po chwili. Nagle spoważniał i obrzuciwszy mnie straszliwym spojrzeniem powiedział: «I to ty w to wątpisz?», po czym odszedł bez słowa pożegnania.

Opowiedziałem o mojej przygodzie zakonnikom. Zganili mnie za to, że jestem fanatykiem i że moim fanatyzmem jedynie mogę zaszkodzić Ojcu Pio. Wiedzieli wszakże, że wcale nie jestem fanatykiem i że mam zwyczaj ważyć każde słowo przed wyrażeniem jakiejś opinii. Dlatego też dwóch z nich próbowało szukać wyjaśnień u samego Ojca Pio.

Brat Eusebio, pozostający zawsze w bliskim kontakcie ze Stygmatykiem, owego wieczoru spytał go: «Ojcze, znacie dom Campaniniego w Rzymie?». «Nie byłem przecież w Rzymie od 1917 roku» - odpowiedział mu Ojciec Pio. «Campanini mówi, iż byliście u niego w Rzymie» - dodał brat Eusebio. «Zaraz, zaraz, to wymaga wyjaśnień» - odparł na to Ojciec Pio. «Spytałeś mnie dosłownie, czy znam jego dom. Kiedy Pan daje nam możliwość dostąpienia 'tych rzeczy' nie wysyła nas, byśmy oglądali czyjeś domy, lecz byśmy pomogli czyjeś duszy». Odpowiedź Ojca Pio była mimo swej ogólności bardzo wymowna. Nie powiedział, że nie był u mnie w domu, lecz powiedział, że nie oglądał mojego domu.

Również o. Mariano zechciał dowiedzieć się czegoś w tej samej sprawie wprost od Ojca Pio. Pewnego wieczoru w obecności wielu innych konfratrów zaczął żartować sobie z niego i nieco kpiącym tonem zagadnął go: «No tak, Ojcze, wy sobie jeździcie do Rzymu w odwiedziny do Campaniniego». Ojciec Pio cierpko odparł: «A co? Myślisz, że nie mogę tego zrobić?»".

PODZIĘKOWANIA OD SIÓSTR ZAKONNYCH Z CZECHOSŁOWACJI

O bilokacjach Ojca Pio Campanini przekazał mi jeszcze jedno, bardzo ważne świadectwo markiza Bernarda Patriziego, który wspomagał Ojca Pio przy budowie Domu Ulgi w Cierpieniu. „Patrizi często przyjeżdżał do San Giovanni Rotondo i prowadził długie, poufne rozmowy z Ojcem Pio.

Któregoś dnia, gdy wracałem do Rzymu, poprosił mnie, żebym go zabrał ze sobą. W czasie podróży opowiedział mi wiele zdarzeń związanych z Ojcem Pio. Znał o. Domenico, z pochodzenia Amerykanina, zajmującego się odpisywaniem na listy w języku angielskim, jakie przychodziły do Ojca Pio.

Kiedyś do jego rąk trafił list sióstr zakonnych z Czechosłowacji. Żyły one w ukryciu, pośród gór. W Czechosłowacji walczano wówczas z religią. Zniesione zostały zakony i uwięziono księży. Owe siostry prowadziły życie zakonne w ukryciu. Nie nosiły habitów. W ciągu dnia pracowały na roli i jedynie w nocy zbierały się na wspólną modlitwę. I to

właśnie one w liście do Ojca Pio dziękowały mu za to, że przyjechał do nich, by odprawić Mszę świętą. Ubolewały nad tym, że nie zechciał zatrzymać się u nich na skromnym posiłku. Pytały, czy szczęśliwie zajechał do domu i czy miał problemy na przejściu granicznym.

Z długiego i pełnego szczegółów listu wynikało, iż czechosłowackie siostry były absolutnie przekonane o tym, że Ojciec Pio «rzeczywiście» odwiedził je. A przecież, jak wiadomo, nie wyjeżdżał on wówczas z San Giovanni Rotondo".

Jeszcze za życia Ojca Pio krążyły wieści, że często udawał się on w bilokacji do krajów Europy Wschodniej. Tamtejsze reżimy zwalczały religię we wszystkich jej przejawach, dlatego też Ojciec Pio niósł pociechę chrześcijanom tego „milczącego Kościoła", którzy praktykowali w ukryciu, narażając się każdego dnia na uwięzienie za wiarę.

Mówiono, że Ojciec Pio był w Jugosławii przy arcybiskupie Alojzym Stepinacu w czasie jego procesu; że wspomagał kardynała Stefana Wyszyńskiego i jego współpracowników; że nigdy nie opuścił kardynała Józefa Mindszenty'ego, prymasa Węgier, długi czas więzionego i torturowanego przez budapeszteńską milicję.

Były to tylko pogłoski, trudne do sprawdzenia ze względu na brak dowodów z pierwszej ręki. Tym razem jednak posiadam dokument, który w sposób wyjątkowy naświetla owe nieprawdopodobne wydarzenia.

Mowa o świadectwie, jakie pozostawił w swych notatkach Angelo Battisti, który szukał potwierdzenia owych pogłosek bezpośrednio u Ojca Pio. Jest to świadectwo, w którego wiarygodność nie można wątpić. Battisti spisał je, bowiem tuż przed śmiercią, i to, dlatego, że czuł się w obowiązku zapoznania nas z autentycznymi faktami z życia Ojca Pio. Notatki swe wręczył właśnie mnie, dziennikarzowi, bym mógł je rozpowszechnić. Również Battisti usłyszał od ludzi o podróżach Ojca Pio, w bilokacji, do krajów Europy Wschodniej. Prawdopodobnie i on przeczytał list od czechosłowackich zakonnic. Nie był jednakże nazbyt skłonny, by zawierać pogłoskom.

Ale któregoś dnia jakiś węgierski ksiądz opowiedział mu w szczegółach zdarzenie z życia kardynała Mindszenty'ego rozbudzając na dobre ciekawość. Lepiej będzie w tym miejscu oddać głos samemu Battistiemu. Zajrzyjmy do notatek, jakie przygotował specjalnie dla mnie.

„Sprecyzuję: był rok 1956. Pewien węgierski ksiądz wyznał mi w zaufaniu, iż dowiedział się od sekretarza kardynała Józefa Mindszenty'ego, więzionego w Budapeszcie, że Ojciec Pio odwiedził kardynała w więzieniu. Ponieważ kardynał bardzo pragnął odprawić Mszę św., Ojciec Pio» przyniósł mu wszystko, co niezbędne, a nawet służył mu do Mszy. Wychodząc zabrał wszystko ze sobą. «Dlaczego nie miałbyś spytać Ojca Pio o potwierdzenie tego faktu?» - Podsunął mi tę myśl ów węgierski ksiądz. «To

sprawa delikatna. Jeśli zadam mu podobne pytanie, z pewnością mnie przepędzi» - powiedziałem. Lecz mimo wszystko fakt ten wbił mi się głęboko w pamięć.

Ojciec Pio miał wiele nadprzyrodzonych darów, między innymi potrafił czytać w cudzych myślach. Znał, zatem, czego pragnąłem się od niego dowiedzieć. Byłem pewien, że prędzej czy później podejmie dręczące mnie pytanie.

Widywaliśmy się często. W 1957 r. wyznaczył mnie na swego oficjalnego pełnomocnika i zarządcę Domu Ulgi w Cierpieniu, toteż nasze rozmowy w cztery oczy stawały się coraz częstsze i coraz dłuższe. Ilekroć przychodziłem do celi Ojca Pio, w notatkach, co do spraw, które miałem poruszyć, pisałem literę „M”, oznaczającą właśnie Mindszenty. Pisałem ją specjalnie, by nie zapomnieć zapytać się go o te tajemnicze podróże.

I tak przez trzy lata w moich notatkach pojawiała się zawsze litera „M”, lecz z różnych przyczyn wciąż okazywało się niemożliwe zagadnięcie Ojca Pio w tej sprawie. Aż w końcu przestałem w ogóle o tym myśleć; zrezygnowałem z mojego zamiaru.

Minęło siedem lat. Pewnego kwietniowego wieczoru 1964 roku, po omówieniu z Ojcem Pio codziennych spraw administracyjnych, szykowałem się już do wyjścia, gdy zawołał do mnie: «Ej, poczekaj jeszcze chwilę». Zatrzymałem się, więc i - nie wiem, dlaczego - bez zastanowienia zapytałem: «Ojcze, kardynał Mindszenty rozpoznał Ojca, kiedy Ojciec odwiedził go w więzieniu?». Ojciec Pio zganił mnie. Odpowiedziałem: «Ojcze, Ojciec przeniknie wszystko i dobrze wie, że kardynał Mindszenty nie zaprzętał teraz moich myśli. A zatem chyba z woli Boskiej zadałem Ojcu to pytanie».

Na moje stwierdzenie jego szorstkość ustąpiła miejsca łagodności, po czym wyrzekł: «Widzieliśmy się i rozmawialiśmy, a więc jak mogliśmy się nie rozpoznać? Diabeł jest brzydki, lecz prześladowcy kardynała zadawanymi mu torturami uczynili go brzydszym od diabła».

W istocie, wręcz niemożliwe jest, żeby przetrzymać to wszystko, co przeżył kardynał, a o czym czytamy w jego wspomnieniach. Ze słów Ojca Pio wynioskowałem, iż opiekował się on kardynałem i bezustannie".

W ŻARZE GORĄCZKI

„Ojcze, chciałabym zostać świętą” - powiedziała kiedyś do Ojca Pio jedna z oddanych mu osób. - „Dobrze, moja córko, lecz wiedz, że to psi los” - odrzekł. Użycie tak dosadnego określenia zdradza wielkie poczucie humoru Ojca Pio, a zarazem jego trzeźwe spojrzenie na własną rzeczywistość.

Życie charyzmatycznego kapucyna było w istocie wielką katorgą. Od lat dziecięcych aż do śmierci jego organizm był nośnikiem zjawisk „nadprzyrodzonych”, które przekraczały możliwości ludzkie, a zatem wywoływały wstrząs i wyniszczały.

Bardzo wcześnie u Ojca Pio wystąpiły niewytłumaczalne, wysokie gorączki oraz tak silne ataki migreny, że powalały go z nóg i powodowały poważne osłabienie wzroku. Często zdarzało się też, iż długie tygodnie jego żołądek nie przyjmował żadnego pokarmu, i Ojciec Pio po prostu głodował. Nieraz, wycieńczony, upadał na ziemię i pozostawał w bezruchu, niczym martwy.

Tak dziwne schorzenia budziły zakłopotanie i niepokój nie tylko u osób stykających się z Ojcem Pio, na co dzień, lecz także u wielu lekarzy, do których zwracano się o pomoc. Nawroty gorączki, omdlenia, długie głodówki dręczyły go przez całe życie i nikomu nie udało się wyjaśnić ich przyczyn. Można przypuszczać, iż wszystkie wyjątkowe zjawiska psychiczne i duchowe, jakie zachodziły w nim, odbijały się negatywnie na jego organizmie.

Organizm Ojca Pio ukształtowany był, jak każdy inny, do normalnych funkcji życiowych. Nie miał w sobie nic szczególnego, co odróżniałoby go od jakiegokolwiek innego ludzkiego organizmu; miał być środowiskiem dla myślącego ducha. Czas pokazał jednak, iż duchowi dane było doświadczać wyższych doznań, coraz śmielszych przygód wychodzących daleko poza granice ludzkich możliwości.

Duch porywał się na nie z zapalem i pasją, pociągając za sobą ciało, które tym samym poddane zostało niesłychanym próbom, burzącym całą fizjologiczną równowagę.

Ojciec Pio świadomie i z entuzjazmem wybrał drogę ku świętości, drogę mistycznych doświadczeń. Szybko jednakże odczuł na własnej skórze, jak straszliwe były skutki takiego wyboru. Święci nie należą do grona uprzywilejowanych. Każdy święty jest bohaterem walki, niemożliwej do podjęcia przez zwykłych śmiertelników.

WĄTŁY I WYMIZEROWANY

Ciało Ojca Pio nie wykazywało odchyłeń od normy. Można to wywnioskować z oświadczeń lekarzy, którzy badali go dokładnie na zlecenie Świętego Oficjum, tuż po pojawieniu się stygmatów. „Mimo że wątły i wymizerowany, nie wygląda jednakże na osobę starszą wiekiem” - napisał dr Giorgio Festa po pierwszym zbadaniu Ojca Pio w 1919 roku. - „Wzrost badanego - czytamy dalej – jest nieco większy od średniego wzrostu mężczyzn. Jakkolwiek nie stwierdziłem żadnych anomalii w systemie mięśni i stawów kończyn dolnych, badany wykazuje niekiedy chwiejność w stawianiu kroków, spowodowaną bólem fizycznym, jaki sprawiają mu poranione stopy”.

Doktor Festa opisał następnie charakter Ojca Pio, po czym przeszedł do uwag na temat poszczególnych narządów wewnętrznych badanego, opisując nader dokładnie jego system krążenia, trawienia, oddechowy oraz nerwowy. Z raportu wynika, iż organizm Ojca Pio był w normie.

Rzecz trudna do wytłumaczenia, ale dr Festa nie znalazł żadnego śladu po chorobach, jakie rozpoznano u Ojca Pio w czasie jego służby wojskowej w Neapolu. A

przecież dwa lata wcześniej zwolniono go z wojska właśnie z powodu „gruźlicy płuc”, którą stwierdzono u niego na podstawie zdjęć rentgenowskich. Dr Festa w czasie swego pierwszego badania, w 1919 roku, nie znalazł potwierdzenia owej diagnozy „pomimo wielokrotnie powtarzanych, skrupulatnych badań kontrolnych”.

Oto pierwszy z zadziwiających faktów: w organizmie Ojca Pio choroby pojawiały się i znikły ze zdumiewającą szybkością - jednego dnia rozchorował się, a w dzień potem nic mu już nie było. Niekiedy choroba była tak groźna, że lekarze obawiali się najgorszego.

Mijało trochę czasu, i nagle, w niewytłumaczalny sposób, wszystkie jej objawy zniknęły. Takie wahania powtarzały się przez całe życie Ojca Pio i nigdy nie zostały wyjaśnione. „Ojciec Pio był ciągle na coś chory” - stwierdził kiedyś jego przyjaciel, doktor Michele Capuano, pracujący w San Giovanni Rotondo.

Doktora Capuano poznałem pod koniec lat sześćdziesiątych, w czasie mojej pierwszej wizyty w San Giovanni Rotondo. Był człowiekiem mądrym i rozważnym. Ojciec Pio bardzo go lubił. Nazywał go pieszczotliwie „Michelino”. Ilekroć potrzebowałem jakiejś rzetelnej informacji o Ojcu Pio, zwracałem się właśnie do niego, wiedząc, iż jest zawsze najlepiej we wszystkim zorientowany.

Po śmierci Ojca Pio doktorowi Capuano zlecono delikatne i ważne zadanie. Powołano go do „komisji historycznej” procesu beatyfikacyjnego Ojca Pio; jako lekarz miał się zająć sprawą jego stygmatów oraz licznych chorób. Dano mu w związku z tym sposobność przejrzenia wszystkich - włącznie z tajnymi - dokumentów związanych z osobą Ojca Pio, które znajdowały się w archiwum klasztornym oraz w kurii prowincjonalnej. Na zapoznanie się z wszystkimi materiałami poświęcił dr Capuano kilka lat.

Zawarte w nich informacje konfrontował z własnymi obserwacjami, które zgromadził w czasie swych stałych wizyt u Ojca Pio. Powstał dzięki temu liczący 250 stron dokument, który przedstawił władzom kościelnym; został on włączony do akt procesu beatyfikacyjnego. Nikt inny nie mógł mieć tak dokładnego rozeznania w chorobach i dolegliwościach, jakie trapiły Ojca Pio.

W czasie pobytu w Altamurze, w prowincji Bari, gdzie wygłosiliśmy kilka odczytów o bracie z Pietrelciny, dużo czasu spędziłem na rozmowach z doktorem Capuano, pytając o ów dokument i relację, jaką przygotował w charakterze świadka na procesie beatyfikacyjnym.

DZIWNE CHOROBY I NAGŁE WYZDROWIENIA

„Z czysto medycznego punktu widzenia - powiedział mi to dr Capuano - Ojciec Pio był prawdziwym męczennikiem, człowiekiem udręczonym przez okropny, nie ustający ni w dzień ni w nocy ból fizyczny, którego żadna normalna osoba by nie zniosła.

Wiedziałem, że częstokroć zapadał na zdrowiu. Nigdy jednakże nie przypuszczałem, że choroby, które cierpliwie znosił, były tak liczne i tak groźne. Lektura udostępnionych mi dokumentów była dla mnie wstrząsająca.

Pierwsze choroby dotknęły go już w dzieciństwie. W wieku sześciu lat przeszedł silne zapalenie jelit i przeleżał wiele dni w łóżku. Wyzdrowiał nagle i w sposób niewyjaśniony. W wieku dziesięciu lat zachorował na gorączkę tyfusową. Długo chorował też w Venafrò, w 1911 r. Sporo czasu przeleżał wtedy w łóżku, a przez 21 dni jedynym jego pokarmem była ranna Komunia św.

Badający go wówczas lekarze nie mogli doszukać się przyczyn choroby; poza tym zdumieni byli niespotykaną wytrzymałością na głód. Kiedy zaś stan jego zdrowia pogorszył się jeszcze bardziej, lekarze zaczęli stawiać przedziwne diagnozy. Doktor Francesco Nardacchione rozpoznał „oskrzelowe zapalenie szczytu lewego płuca”, zaś jego koledzy, w tym również lekarze z jednostki wojskowej w Neapolu (Ojciec Pio odbywał tam służbę wojskową), diagnozę tę potwierdzili.

W okresie młodzieńczym Ojciec Pio zachorował nadto na astmę oskrzelową, która dokuczała mu przez całe życie. Czasami ataki astmy były bardzo groźne i dosłownie dusiły go. Z biegiem lat astma stała się dlań prawdziwą torturą, zwłaszcza w nocy.

Cierpiał również na kamicę nerkową; bardzo często zdarzały mu się ataki kolkowe, które trwały nawet kilka dni. Sprawiały mu tak silny ból, że zginał się we dwoje, by je przetrzymać. Lekarze radzili, by pozostawał w łóżku, lecz Ojciec Pio wiedząc, jak wiele osób przyjeżdżało doń z daleka po radę i pomoc, mimo swej fizycznej udręki schodził do kościoła.

Inną jeszcze, dającą mu się we znaki dolegliwością było coś w rodzaju chronicznego nieżytu żołądka, który w rezultacie doprowadził do wrzodów. Zaczęło się to już w latach młodzieńczych; niekiedy nie potrafił przełknąć nawet odrobiny płynu. Zwracał wszystko. Odruchy wymiotne nie dawały mu spokoju ni dniem ni nocą, toteż z wycieńczenia często mdlał".

NIEDOŻYWIENIE

„Pożywienie Ojca Pio było zawsze bardzo skąpe. W ciągu dnia jadł jedynie zupełną fasolową lub grochową i trochę jarzyn. Niekiedy pozwolił sobie na szklaneczkę wina, które latem, w czasie upałów, zastępował zimnym piwem. Było to nader ubogie pożywienie i zupełnie niewystarczające, jeśli zważyć ilość godzin pracy i modlitwy. Dość pomyśleć, że wstawał o trzeciej rano, a kładł się spać około godziny jedenastej wieczorem.

W okresach nawrotów nieżytu żołądka Ojciec Pio nie przyjmował nawet tak skromnego ilościowo pokarmu, jakim żywił się, na co dzień. Chudł wtedy jeszcze bardziej. Nieżyt żołądka nigdy nie ustąpił, przeciwnie, wywołał inne dolegliwości układu

trawiennego, które Ojciec Pio trzymał w tajemnicy; lekarze dowiedzieli się o nich dopiero po jego śmierci.

Miewał często stany zapalne oczu, uszu, nosa i gardła. Dręczył go zwłaszcza chroniczny katar, który z czasem przerodził się w hipertroficzny i zajął zatoki przynosowe, czołowe i szczękowe, sprawiając mu przy tym bardzo silny ból. Oprócz tego dokuczało mu tak silne zapalenie ucha, że o mało, co nie stracił słuchu.

Choroba ta bardzo zaniepokoiła Ojca Pio. Głuchota, bowiem nie pozwoliłaby mu spowiadać wiernych, a zatem wypełniać wielkiej swej misji. Dlatego też prosił Boga, by odjął mu wzrok, a pozostawił słuch, mimo że dobrze wiedział, jaką udręką jest ślepotą. W istocie, wielokroć w swym życiu przechodził okresy całkowitej ślepoty, której przyczyn nikomu nie udało się odkryć.

Niemal wszystkie choroby Ojca Pio pozostały niewyjaśnione dla opiekujących się nim lekarzy, zarówno, co do ich przyczyn, jak i przebiegu. Nie były to jednakże urojone choroby, na tle autosugestii, obsesji czy hysterii. Były to choroby rzeczywiste, sprawdzalne za pomocą badań laboratoryjnych i zdjęć rentgenowskich, ale nie dawały się wyleczyć żadną metodą. Pojawiały się nagle, bez żadnej przyczyny, i ustępowały w ten sam sposób.

Ojciec Pio poddany został również badaniom, które miały określić jego stan psychiczny. Wszystkie orzeczenia lekarskie, wydane na podstawie takich badań, były dla niego pozytywne, włącznie z opinią profesora Amico Bignamiego, specjalisty o międzynarodowej sławie, który w latach dwudziestych kierował Katedrą Patologii na Uniwersytecie w Rzymie.

Zbadawszy Ojca Pio, profesor Bignami - ateista nie dopuszczający do siebie myśli o mistycznej naturze stygmatów - stwierdził, że Stygmatyk jest osobą zrównoważoną, prawdomówną, sympatyczną i w zupełności normalną".

TRZY ZABIEGI CHIRURGICZNE

„W 1925 roku Ojciec Pio poddany został operacji przepukliny pachwinowej; na jego życzenie przeprowadzono ją, stosując tylko znieczulenie miejscowe.

Niedługo potem utworzył mu się na szyi guz, który przeszkadzał w poruszaniu głową, nawet w czasie snu. Trzeba było raz jeszcze uciec się do chirurgii. I tym razem zabieg wykonano w klasztorze i bez narkozy.

Trzeci z kolei zabieg, jakiemu poddał się Ojciec Pio, miał na celu usunięcie przysuszonego nowotworu skóry. Z biopsji wykonanej w Rzymie wynikało, iż był to rak złośliwy. W owych czasach nikt nie marzył nawet o wyleczeniu z nowotworu złośliwego. Stosowane wówczas kuracje były nieskuteczne, miały jedynie przynieść chwilową ulgę. Ojciec Pio musiał przejść operację.

Jak poprzednio, tak i teraz zastosowano jedynie znieczulenie miejscowe. Jego przełożeni byli bardzo zaniepokojeni. Lekarze zalecili radioterapię, lecz Ojciec Pio po dwóch dawkach zrezygnował z niej, stwierdziwszy, iż nie jest już potrzebna. Wyzdrowiał. Biorąc zaś pod uwagę rodzaj choroby, z której wyszedł cało, trudno nie mówić o cudzie.

W maju 1956 roku Ojciec Pio zachorował na ciężkie zapalenie opłucnej z wysiękiem do jamy opłucnej. Chorobę rozpoznano dzięki zdjęciom rentgenowskim, a potwierdzona została przez sławnego klinicystę profesora Cataldo Cassano, który osobiście pobrał płyn surowiczy z ciała Ojca Pio. Sytuacja była bardzo poważna. Ojciec Pio nie ruszał się z łóżka przez cztery miesiące.

W sierpniu owego roku do San Giovanni Rotondo zawitała figura Matki Boskiej Fatimskiej, odwiedzająca całe Włochy. Dlatego też zwano ją „Madonną pielgrzymującą”. Ojciec Pio poprosił Matkę Bożą o łaskę uzdrowienia, i choroba ustąpiła bez śladu.

Do wszystkich dolegliwości dołączył artretyzm, na który cierpiał w podeszłym wieku. Jego stawy były unieruchomione i każdy, najmniejszy nawet ruch sprawiał mu ogromny ból. Bez pomocy zakonnego współbrata nie był w stanie unieść do góry ręki, by pobłogosławić wiernych. Nie mógł już chodzić o własnych nogach, poruszał się na wózku inwalidzkim. Prawie nigdy nie używał środków przeciwbólowych, by ulżyć sobie w cierpieniach.

Poświęcił swe życie Bogu i pragnął cierpieć dla dobra ludzi. Otrzymanie stygmatów miało go upodobnić do Chrystusa. Jego powołaniem było cierpienie - chciał cierpieć jak Chrystus na krzyżu, i choroby nie były dlań niczym innym jak jedynie «dodatkiem» do cierpień wywołanych tajemniczymi ranami, które nosił na dłoniach, stopach i boku.

By zrozumieć, jak wielkie było cierpienie Ojca Pio, trzeba pamiętać, że rozliczne jego dolegliwości, ataki bólu i wycieńczenie tyloma chorobami sumowały się ze straszliwym, przenikliwym bólem od stygmatów".

PROBLEMY Z TERMOMETRAMI

Jednym z zagadkowych zjawisk w organizmie Ojca Pio, o którym dr Capuano wiele mi mówił, była hipertemia, czyli bardzo wysoka gorączka. Do dziś hipertemia Ojca Pio pozostaje wyjątkowym przypadkiem w historii medycyny. Wszyscy lekarze, którzy mniej lub więcej zajmowali się Ojcem Pio, nie mogli ukryć swego zakłopotania wobec tegoż faktu.

Termin medyczny „hipertermia” oznacza podwyższenie temperatury ciała znacznie powyżej normy. Zjawisko to znane jest w mistyce. Badacze tej dziedziny odkryli je u św. Jana od Krzyża, św. Teresy z Avili oraz św. Małgorzaty Marii Alacoque, zwanej „ognistą świętą”. Ich serce było przepełnione tak wielką miłością do Boga, że biło z wyjątkową siłą, wywołując gorączkę podobną do agonalnej. Przypadki te nigdy jednakże nie zostały zbadane przez naukę. Inaczej było z Ojcem Pio.

Pierwszymi, którzy badali jego wysokie gorączki, byli lekarze ze szpitala wojskowego w Neapolu. Pod koniec 1915 roku Ojciec Pio wezwany został do swej jednostki, by odbył służbę wojskową.

Trafił do Dziesiątej Kompanii Sanitarnej w Neapolu. Miał wówczas 28 lat. Już od dłuższego czasu jego stan zdrowia nie był najlepszy. Lekarze wojskowi od razu zorientowali się, że nie jest okazem zdrowia, i poddali go badaniom kontrolnym.

W ten sposób, jako pierwsi odkryli wysokie gorączki Ojca Pio. Żaden z termometrów, które używali, nie mógł jej zmierzyć. Czoło młodego zakonnika biło żarem, oczy błyszczały, puls pędził jak oszalały. Gdy wkładano mu termometr pod pachę, słupek rtęci podskakiwał tak gwałtownie w górę, że rozsadzał rurkę. A zatem temperatura przewyższała 42°C, maksymalną granicę podziałki każdego normalnego lekarskiego termometru. Zdumieni tym faktem, lekarze po długich naradach postanowili, z braku innych rozwiązań, odesłać młodego żołnierza do domu na rok urlopu zdrowotnego.

Gorączka była dla Ojca Pio nieodłączną towarzyszką życia. Można to wywnioskować z listów, jakie pisał do swego kierownika duchowego. Można się też z nich domyślić, iż prawdopodobnie nigdy jej nie mierzył.

Pierwszym, któremu udało się dokładnie zmierzyć gorączkę Ojca Pio, był pewien lekarz z Foggii. W okresie swego urlopu zdrowotnego Ojciec Pio mieszkał w jednym z foggiańskich klasztorów. Stan jego zdrowia nie uległ poprawie. Opiekujący się nim lekarz zniszczył kilka termometrów, zanim wpadł na pomysł, by posłużyć się termometrem używanym do mierzenia temperatury wody, czyli po prostu termometrem kąpielowym. Słupek rtęci zatrzymał się na 48°C. Lekarz nie wierzył własnym oczom. Spróbował raz jeszcze, z tym samym rezultatem. Aż w końcu dał sobie spokój: podobnego przypadku nie przewidywał żaden z podręczników medycyny, jakie przestudiował na uniwersytecie.

W 1920 roku zjawisko wysokiej gorączki Ojca Pio badał naukowo dr Giorgio Festa. „Słyszałem o tej anomalii” - zanotował w swoim sprawozdaniu. - „Uważałem, że jest ona niemożliwa, toteż chcąc rzecz sprawdzić z dokładnością naukową, na drugą wizytę u Ojca Pio wziąłem ze sobą specjalny termometr, jakiego używa się przy eksperymentach naukowych, bardzo dokładny”.

Dr Festa mierzył temperaturę Ojca Pio systematycznie, dwa razy dziennie. Polecił też przełożonemu, żeby w razie jego nieobecności postępowano w identyczny sposób. Wyniki badań były zadziwiające. Wykazały, iż w pewnych okresach temperatura wynosiła tylko 36, 2° - 36, 5°C, w innych zaś dochodziła do 48°-48, 5°C.

„Kiedy miał tak wysoką gorączkę - zapisał dr Festa- na jego twarzy malowało się cierpienie, był też trochę niespokojny, lecz nie wpadał w stan delirium ani nie okazywał objawów towarzyszących zazwyczaj znacznym zaburzeniom temperatury ciała. Po dwóch lub trzech dniach wszystko wracało do normy i Ojciec Pio znów schodził do konfesjonału, by pełnić swą służbę”. Fakt nie odnotowany przez medycynę

Wszystko to wyglądało na rzecz wręcz niemożliwą z naukowego punktu widzenia. Dr Festa nie mógł wyjść ze zdziwienia. Postanowił dogłębnie zbadać to zjawisko. „Ponieważ zjawisko zostało dokładnie stwierdzone – napisał a także występowało z wystarczająco dużą częstotliwością, zasługiwało, więc na zgłębienie. Wiedziałem, że badania kliniczne odnotowały przypadki wyjątkowych hipertermii, związanych z pewnymi schorzeniami, a także u osób cierpiących na silne zaburzenia psychiczne. Wydawało mi się jednakże, iż nigdy przedtem nie stwierdzono w organizmie ludzkim tak wysokich skoków temperatury, jak w przypadku Ojca Pio”.

Dr Festa rozpoczął swe naukowe dociekania. I tak doczytał się u Juliusza Friedricha Cohnheima, w jego Traktacie o patologii ogólnej, iż przy atakach epilepsji oraz mocznicy, a zwłaszcza w przypadku zachorowań na tężec, wielokrotnie odnotowano zadziwiająco wysoką temperaturę ciała: 42, 5°-43°C, a nawet 44°C. Temperatury te doprowadzały do śmierci, i po zgonie dodatkowo jeszcze rosły.

Doktor Baumler, zajmujący się patologią porażenia słonecznego, opisał przypadek, zakończony śmiercią, w którym chory w godzinę po przybyciu do szpitala miał 42, 9° gorączki.

Niemiecki uczony Wunderlich zwrócił uwagę lekarzy na fakt, iż w rozlicznych chorobach centralnego układu nerwowego, pod koniec życia danej jednostki, temperatura ciała mogła znacznie wzrosnąć, aż do 42° lub niekiedy nawet do 43-44°C.

Wielu badaczy potwierdziło te spostrzeżenia, zaś tak wysokie temperatury nazwane zostały „agonalnymi lub przedagonalnymi”, jako znak tego, co zapowiadały. We wszystkich przestudiowanych przez dr Festę materiałach medycznych odnotowane przypadki dalekie są jednakże od 48°C, czyli temperatury występującej u Ojca Pio.

Z tego też powodu dr Festa podsumował swe badania następującym wnioskiem: „Co się zaś tyczy Ojca Pio należy jedynie zauważyć, iż stwierdzona u niego hipertermia, nie raz jeden, lecz wielokrotnie, i to z bezwzględną dokładnością, mimo że znacznie przekraczająca granice uważane przez najlepszych znawców materii za zwiastuny śmierci - nie tylko, że nie wywołała w jego organizmie ubocznych skutków, lecz po trzech dniach silnego kryzysu całkowicie ustępowała, a Ojciec Pio, spokojny i pogodny, wracał do swej służby”.

WSTAŃ I CHODŹ

Ciężka choroba jest najgorszym wrogiem człowieka – wrogiem skazującym na bezwzględną śmierć. Wobec choroby nawet najbogatszy i najsilniejszy czuje się pokonany. Odkrywa w chorobie własną słabość, całkowite zagubienie, niewypowiedziane osamotnienie, a nade wszystko granice ludzkich możliwości.

Uzmysłowienie sobie tego stanu niektórych prowadzi do rozpacz, innych zaś skłania do szukania wartości nadprzyrodzonych. W istocie, często w tych właśnie

okolicznościach człowiek szuka Boga i ludzi bliskich Bogu, w nadziei uzyskania od nich rzeczy niemożliwych.

Kiedy rozeszła się wieść, że w San Giovanni Rotondo mieszka zakonnik uważany przez wielu za świętego i który nosi na swym ciele znaki Męki Pańskiej, do miejsciny zaczęli zjeżdżać się zewsząd ludzie zrozpaczeni, szukający pomocy, z nadzieją na cud.

Już wiele lat przed stygmatyzacją Ojciec Pio uchodził, wprawdzie w wąskim gronie przyjaciół, za świętego. Współbracia zakonni stykający się z nim, na co dzień w czasie studiów teologicznych, byli świadkami wielu tajemniczych zdarzeń. Jedno z nich sięga okresu młodości Ojca Pio i uważane jest przez jego biografów za pierwsze cudowne uzdrowienie.

Miał wówczas około dwudziestu lat i studiował teologię. Przebywał wtedy w klasztorze w Montefusco. W pobliżu klasztoru rozciągał się duży las kasztanowców i pewnego popołudnia brat Pio postanowił zebrać woreczek kasztanów, by wysłać je cioci Darii, z Pietrelciny, która darzyła go wielką serdecznością.

Kobieta otrzymane kasztany zjadła, a woreczek zachowała na pamiątkę. Pewnego wieczoru ciocia Daria szukała czegoś w szufladzie, w której jej mąż trzymał proch strzelniczy. Przyświecała sobie lampką oliwną, i nagle z knota lampki prysnęła iskra. Proch wybuchnął jej ogniem prosto w twarz.

Krzycząc z bólu ciocia Daria wyjęła pośpiesznie z komody woreczek po kasztanach od Ojca Pio i odruchowo przycisnęła go do oparzonej twarzy, w nadziei, że przyniesie jej to odrobinę ulgi. Ból zniknął natychmiast, a na twarzy nie widać było żadnego śladu oparzeń.

„WYRZUĆ TĘ LASKĘ!”

Dopiero po otrzymaniu stygmatów Ojciec Pio zaczął regularnie dokonywać uzdrowień. O kilku z nich czytamy w pierwszym artykule poświęconym Ojcu Pio. Artykuł został wydrukowany na łamach neapolitańskiego „Mattino” dnia 20 czerwca 1919 roku.

Jego autor, Renato Trevisani, pisał: „Byłem świadkiem dokonanego cudu, a wraz ze mną tenże fakt mogą potwierdzić: królewski prokurator Sądu w Lucera, Alessandro Mione; radca Prefektury w Sanseverino, Angelo Delio Russo; dr Giura; sędzia Nicola Siena oraz sekretarz Królewskiej Prokuratury, Luigi Trevisano”.

Cudownie uzdrowionym był 36-letni Pasquale Di Chiara, sekretarz Sądu Okręgowego w San Giovanni Rotondo. Kilka miesięcy wcześniej Di Chiara przewrócił się tak nieszczęśliwie, że odtąd mógł poruszać się tylko o lasce. Trevisani opisuje całe to wydarzenie przytaczając relację uzdrowionego.

„11 listopada 1918 roku - opowiada Di Chiara - z okazji podpisywania rozejmu, w hotelu «Sicilia» zorganizowano małe przyjęcie. Wychodząc z hotelu wywróciłem się na

schodach. Po trzech miesiącach leżenia w łóżku, a leczyli mnie doktorzy Merla i Giuva, zmuszony byłem chodzić podpierając się na lasce. Właściwie to wlokłem za sobą chorą nogę, i nie mogłem przejść dłuższej drogi. W Foggii doktor Buccì poddał mnie radioskopii, która wykazała zwichnięcie stopy.

Po raz pierwszy wybrałem się do klasztoru wraz z moją żoną, by poprosić o łaskę dla mojej trzyletniej córeczki, Italii, którą dotknął paraliż dziecięcy. Ojciec Pio powiedział, żeby wyrzucić aparat ortopedyczny, jaki zakładaliśmy jej na obie nóżki. Moja żona, niezbyt ufna, nie chciała iść za podobną radą. Następnego dnia aparat zepsuł się. Kiedy żona powiedziała Ojcu Pio, że nie doszło do cudu, odrzekł jej: «To z waszej winy! Zawierzcie jednak Bogu».

Któregoś dnia zjawiłem się w klasztorze towarzysząc moim przełożonym; przybyli oni do San Giovanni Rotondo z krótką wizytą. Zauważywszy mnie, zakonnik uczynił pod moim adresem łagodny gest ręki na znak nagany, której wtedy nie zrozumiałem, toteż nie ruszyłem się z miejsca i pozostałem na korytarzu. Po godzinie, kiedy Ojciec Pio przechodził tędy powtórnie, zatrzymał się przy mnie i zwróciwszy wzrok w inną stronę, wypowiedział zdanie, z którego zdołałem usłyszeć jedynie słowo «laska». Stojący przy mnie Michele Campanile i Benedetto Ventrella powtórzyli mi je całe. Brzmiało ono: «Wyrzuć tę łaskę!». Kiedy zakonnik po raz drugi wypowiedział je, odrzuciłem łaskę i wsparłem się o ścianę. «Człowieku małej wiary, rusz się stąd i nie bój się chodzić» - usłyszałem. W tym samym momencie w stopie poczułem ogień, który niebawem rozlał się po całym moim ciele. Teraz chodzę jak dawniej i nie potrzebuję żadnej laski".

62-letni Pasquale Urbano z Foggii chodził wspierając się na dwóch laskach. Spadł kiedyś z bryczki łamiąc sobie obie nogi. Lekarze nie zdołali go wyleczyć. Po spowiedzi u Ojca Pio usłyszał: „Wstań i idź, a te laski wyrzuć”. Pasquale Urbano ku zdumieniu wszystkich uczynił dokładnie to, co mu rozkazał Ojciec Pio.

Głośne w całym okręgu foggiańskim było to, co przytrafiło się, również w 1919 r., 14-letniemu Antoniemu d'Onofrio. W wieku czterech lat, po przebytych tyfusie, nabawił się krzywicy, która poważnie zniekształciła jego ciało pozostawiając dwa duże garby. Któregoś dnia chłopak był u spowiedzi u Ojca Pio. Po spowiedzi Ojciec Pio wstał i dotknął go swymi stygmatyzowanymi dłońmi. Chłopiec podniósł się z klęcznika prosty jak świeca.

Mały i zdeformowany Francesco Vicio, zwany „świętoszkiem”, miał już 75 lat i poruszał się przez całe życie na czworakach, niemal dotykając ziemi podbródkiem. Jego całkowite uzdrowienie było kolejnym głośnym cudem Ojca Pio.

PISARZ MASOŃSKI

Uzdrowienia nie ustawały. Różne gazety w wielu miastach włoskich rozpisywały się o Ojcu Pio i o dokonywanych przezeń cudach. W krótkim czasie fama o jego taumatycznych zdolnościach rozeszła się niemal wszędzie i nikt nie był w stanie

powstrzymać pielgrzymów. Próbowano tego wielokrotnie Święte Oficjum, ale bez żadnego skutku, bo ludzie dawali posłuch jedynie tym, którzy zostali uzdrowieni.

Zaczęto wówczas publikować książki o życiu Ojca Pio, w których dużo miejsca zajmowały właśnie relacje o dokonanych przezeń uzdrowieniach. Kościół ostro książki krytykował, zaś ludzie kupowali je i rozczytywali się w nich.

W 1952 roku Święte Oficjum napiętnowało osiem publikacji na temat cudów Ojca Pio. Dziś uważane są one za „źródła historyczne”, cytowane nawet w oficjalnych biografiach Stygmatyka. Jedną z tych książek napisał Alberto Del Fante; jego nawrócenie przez Ojca Pio stało się bardzo głośne. W swej książce Del Fante zebrał dokumentację 37 cudownych uzdrowień.

Zresztą do nawrócenia samego autora doszło właśnie po dokonaniu się jednego z opisanych cudów. Del Fante był członkiem loży masońskiej, pogardzał Ojcem Pio i w kilku artykułach opublikowanych na łamach florenckiego czasopisma „Italia laica” nazwał go zwodzicielem, „który potrafi omotać łatwowiernych i rozgorączkowanych ludzi”.

Kilka lat później jego siostrzeniec Enrico, do którego był on bardzo przywiązany, poważnie zaniemógł - objawy wskazywały na gruźlicę kości i płuc. Lekarze nie dawali nadziei. Dwóch krewnych dziennikarza wybrało się do Ojca Pio. Po powrocie oznajmili rodzinie, że według jego słów wszystko dobrze się skończy.

Alberto Del Fante podszedł sceptycznie do usłyszanego zapewnienia. „Jeśli Enrico wyzdrowieje, to i ja udam się w pielgrzymkę do San Giovanni Rotondo” - powiedział, pewny, iż nic podobnego się nie przydarzy. A tymczasem chłopczyk wyzdrowiał. Del Fante, wstrząśnięty, pojechał do San Giovanni Rotondo, gdzie nawrócił się i wkrótce stał się jednym z najbardziej żarliwych głosicieli dzieła Ojca Pio.

„WYZDROWIEJESZ”

Savino Grieco był powszechnie znanym na południu Włoch komunistą i działaczem z Cerignola. W okresie tuż po wojnie stał się postacią sztandarową. W obronie klasy robotniczej nauczył się walczyć od swego ziomka, Giuseppe Di Vittorio, słynnego działacza socjalistycznego ruchu związkowego. Grieco był jeszcze bardziej radykalny w swych poglądach. Popierał teorie Marksa i grę polityczną Togliattiego. Nienawidził Kościoła i zwalczał wszelakie formy religii.

W 1950 roku ciężko zaniemógł. Diagnoza lekarzy była dokładna i bezwzględna: jeden guz na mózgu, drugi za prawym uchem. Żadnej nadziei na przeżycie. „Odwieziono mnie do szpitala w Bari” - zaczął swą opowieść Grieco. - „Bardzo bałem się choroby i śmierci. To właśnie ten strach zrodził we mnie chęć zwrócenia się do Boga, czego nie robiłem od dziecka. Z Bari przewieziono mnie do Mediolanu, gdzie miałem być operowany. Badający mnie lekarz powiedział, iż czeka mnie niezmiernie skomplikowany zabieg, a jego wyniki są niepewne.

Którejś nocy ujrzałem we śnie Ojca Pio. Podszedł do mnie i dotknąwszy mej głowy, powiedział mi: «Zobaczysz, że wyzdrowiejesz» Rano poczułem się lepiej. Lekarzy wielce zdziwiło moje nagłe polepszenie, niemniej uważali, iż operacja jest konieczna. Ja zaś ze strachu uciekłem ze szpitala tuż przed przewiezieniem mnie na salę operacyjną. Schroniłem się u mych krewnych z Mediolanu, którzy gościli wtedy moją żonę.

Po kilku dniach znów odezwały się straszliwe bóle. Były o wiele silniejsze niż przedtem, nie do wytrzymania, toteż dobrowolnie wróciłem do szpitala. Lekarze nie chcieli w ogóle ze mną rozmawiać, lecz w końcu obowiązek zawodowy wziął górę. Przed poddaniem mnie operacji zdecydowano raz jeszcze przeprowadzić wszystkie badania. Ich wyniki zdumiały całą ekipę lekarską, po guzach, bowiem nie było najmniejszego śladu. Również i ja byłem zdumiony, lecz nie tyle orzeczeniem lekarzy, ile tym, że podczas wykonywania owych badań przez cały czas czułem intensywny zapach fiołków, a wiedziałem, że oznaczał on obecność przy mnie Ojca Pio.

Przed wypisaniem ze szpitala spytałem profesora o wysokość honorarium. «Nic mi pan nie jest winien, bo nie uczyniłem niczego, by pana wyleczyć» - oznajmił. Wróciwszy do domu wybrałem się z żoną do San Giovanni Rotondo, by podziękować Ojcu Pio. Byłem przekonany, że to jemu zawdzięczałem powrót do zdrowia. Zaledwie jednak stanąłem w klasztornej kościele Matki Boskiej Łaskawej, silne bóle powaliły mnie z nóg. Dwóch mężczyzn zanieśli mnie zemdłego do konfesjonatu Ojca Pio.

Odzyskałem przytomność. Jak tylko go ujrzałem, powiedziałem mu: «Mam pięcioro dzieci i jestem bardzo chory. Uratuj mnie, Ojcze, uratuj mnie od śmierci». «Nie jestem Bogiem ani nie jestem Chrystusem. Jestem takim samym księdzem jak wielu innych - niczym więcej, a może nawet mniej. To nie ja czynię cuda» - odrzekł. «Błagam Cię, Ojcze, uratuj mnie» - wołałem przez łzy. Ojciec Pio przez chwilę pozostał w milczeniu. Wzniósł oczy ku niebu i spostrzegłem, jak poruszał wargami w modlitwie. W tym samym momencie poczułem silny zapach fiołków. Ojciec Pio powiedział: «Jedź do domu i módl się. Ja będę modlił się za ciebie. Wyzdrowiejesz ». Wróciłem do domu i od tej chwili zniknęły wszelkie oznaki choroby".

KOMEDIOPISARZ

Komediopisarz Luigi Antonelli (1882-1942) trwale zapisał się w dziejach teatru włoskiego. Z pewnością wywarł duży wpływ na teatr lat dwudziestych. Wraz z Rosso di San Secondo, Luigim Chiarellim i Enrico Cavacchiolim stał się wyrazicielem „teatru groteski”, jako reakcji na przesadny psychologizm ówczesnej sceny włoskiej. Jego komedie były przesycane atmosferą baśniową i przetkane lekką ironią. Do najbardziej znanych zaliczają się: Człowiek, który spotkał samego siebie, oraz Wyspa małp.

Za sprawą Ojca Pio Antonelli doświadczył cudownego uzdrowienia. On sam opowiedział wszystko swemu przyjacielowi – nawróconemu zresztą przez Ojca Pio - pisarzowi turyńskiemu Pitigrillemu, który opowieść tę umieścił w swej książce Pitigrilli

rozmawia z Pitigrillim. „«Lekarze - powiedział mi Antonelli - znaleźli u mnie, między uchem a ramionami, guz i chcieli go zoperować. Oczywiście, musiałem wysłuchać tych samych formułek, co wszyscy. W przypadku nowotworów współczesna nauka ma tyle do powiedzenia, co dwa tysiące lat temu, kiedy stosowano maksymę opium et mentiri, czyli": podać opium i okłamać.

Dziś okłamuje się używając bardziej uczonych słów; zaś miast podawania napoju z opium wstrzykuje się choremu do żyły pantopon. Powiedziałem chirurgowi Donatiemu: «Właściwie mam już za sobą średnią życia ludzkiego. To, co mógłbym jeszcze przeżyć, jest dodatkiem, z którego nie jestem skłonny zrezygnować. Proszę powiedzieć mi całą prawdę. Ile z niego mi jeszcze zostało?». «Z operacją sześć miesięcy, zaś bez operacji trzy» - usłyszałem. «A zatem operujcie mnie. Nie można wyrzucić trzech miesięcy życia» - stwierdziłem. Właśnie miałem się poddać operacji, gdy ktoś podsunął mi myśl, bym wybrał się do Ojca Pio.

Zasięgnąłem różnych informacji i dowiedziałem się z wielu źródeł, iż w klasztorze OO. Kapucynów w San Giovanni Rotondo, 40 kilometrów od Foggii, mieszka zakonnik czyniący cuda. Nie wiem, czy w moim przypadku użycie słowa 'cud' jest właściwe z teologicznego punktu widzenia. Pojechałem do Ojca Pio. Byłem na odprawianej przez niego Mszy św. i w czasie spowiedzi długo z nim rozmawiałem. Nie potrafiłbym powtórzyć tego wszystkiego, co mi powiedział, ponieważ kiedy rozmawiał ze mną, zdawał się być w jakimś nieziemskim świecie.

Wróciłem do domu. Znalezione u mnie guz przestał powiększać się. Piszę jak zawsze. Co niedzielę w gazecie pojawia się mój artykuł. Chodzę na polowania. Od miesiąca pracuję nad nową komedią, która za kilka tygodni wystawiona będzie w mediolańskim Teatro Manzoni.

Nie wiem, co o tym wszystkim myślą lekarze. Nie wiem, co wykazałyby zdjęcia rentgenowskie i biopsje, których zresztą nie mam zamiaru robić. Wiem tylko, że czuję się cudownie uzdrowionym»".

„ZA WSZYSTKO TRZEBA PŁACIĆ"

Opowiedzieć o wszystkich uzdrowieniach dokonanych przez Ojca Pio - to rzecz nie do wykonania. Chyba nikt nigdy nie będzie w stanie spisać ich w uporządkowany sposób, między innymi dlatego, że te, które znamy, są tylko znikomą częścią dzieła Ojca Pio. Niewielu z szukających u niego ratunku nie otrzymało łaski.

Ojciec Pio był wielkiego serca. Tragiczne sceny, jakim przypatrywał się każdego dnia, wstrząsały nim tak głęboko, że często wybuchał płaczem ściskając w objęciach chorych błagających go uzdrowienie. Zdarzało się, że był szorstki w obcowaniu z ludźmi, nawet z dziećmi. Wymawiał mu to jego współbrat, o. Pellegrino. I wtedy Ojciec Pio

wyjaśnił mu: „Zachowuję się tak, by pohamować moje wzruszenie. Na widok cierpiących chce mi się płakać, a wtedy nie mogę wypełniać mej misji”.

Angelo Battisti zostawił mi takie oto świadectwo: „Ojciec Pio nie był panem swego czasu. Wszędzie oblegali go chorzy proszący o pomoc. Widząc ich cierpią. Wiele razy powtarzał mi, że te prośby rozdzierały mu serce”. By uzyskać uzdrowienie chorych, którzy błagali go o ratunek, Ojciec Pio ofiarował Bogu własne cierpienia.

Zapewniał mnie o tym Angelo Battisti. Oto jego słowa: „Któregoś wieczoru zastałem Ojca Pio w opłakanym stanie. Nie miał nawet siły, by ze mną rozmawiać. Powiedziałem mu wtedy: «Ojciec troszczy się o wszystkich, ale nigdy o siebie samego. Ojciec powinien leczyć się w Domu Ulgi w Cierpieniu. Jutro będę w Rzymie i poproszę profesora Valdoniego i innych lekarzy, by Ojca zbadali».

Powiedział mi, żebym tego nie robił, i dodał: «To nie są sprawy dla ludzi, mój synu. Za wszystko trzeba płacić. Muszę płacić za to wszystko, o co proszą mnie moje dzieci».

WYPADEK NA MOTOCYKLU

Poznałem wielu cudownie uzdrowionych, przez Ojca Pio i bezpośrednio od każdego z nich mogłem usłyszeć opowieści o tym, co przeżywali. Giuseppe Canaponi z Arezzo został uzdrowiony przez Ojca Pio w 1948 roku. Ja sam poznałem go w roku 1983. Miał wówczas 70 lat i według postawionej mu ongiś diagnozy nie powinien był w ogóle chodzić, on zaś, szczęśliwy i pełen energii, był w ciągłym ruchu. Jego dziwny przypadek omawiany był nawet na specjalnym kongresie medycznym w Rzymie.

Kiedy poznałem go, był już na emeryturze. Prowadził bez problemów swą «Giulię Sprint». Bardzo też lubił długie spacery. Trzeba było mu się uważnie przyglądać, by zauważyć, iż z lekka utyka. „Moja lewa noga - powiedział mi - jest krótsza od prawej o dwa centymetry i cztery milimetry. Powinienem nosić obuwie ortopedyczne, ale po cudownym uzdrowieniu zrezygnowałem z niego”.

Spotkałem się z Canaponim w jego domu na peryferiach Florencji, przy ulicy Elia Dalia Costa. Przytoczę tutaj jego świadectwo. „W 1945 roku mieszkałem w Sarteano, byłem żonaty i miałem małego synka. Pracowałem na kolejach państwowych przy kontroli urządzeń elektrycznych jednej z głównych linii kolejowych. Rankiem 21 maja wstałem, jak zawsze, bardzo wcześnie, wsiałem na motocykl i pojechałem do pracy.

Przejechałem około dwustu metrów, kiedy potracił mnie samochód ciężarowy. Zawieszony zostałem do szpitala w stanie nie rokującym żadnych niemal nadziei na przeżycie. Wskutek zderzenia się z ciężarówką doznałem pęknięcia podstawy czaszki, pęknięcia lewego łuku brwiowego, uszkodzenia bębienka usznego, złamania kilku żeber i złamania lewej nogi aż w pięciu miejscach. Długo pozostawałem na granicy życia i śmierci. Powoli jednak dochodziłem do siebie, aż wreszcie uznano, że niebezpieczeństwo minęło.

Powrót do zdrowia był wprawdzie długi, ale niemal całkowity. Wyjątek stanowiła noga. Była tak fatalnie połamana, że lekarze nie zdołali jej dobrze złożyć. Jeździłem od szpitala do szpitala. Leżałem w Sarteano, Chiusi i Montepulciano, aż w końcu, 10 maja 1946 roku, trafiłem do kliniki ortopedycznej w Sienie, gdzie przez półtora roku byłem pod opieką profesora Leopolda Giuntiniego. Później przyszła kolej na szpital Rizzoli w Bolonii. Po pierwszych operacjach uszkodzenia kości udowej zostały częściowo zaleczone, lecz wskutek całego szeregu powikłań noga pozostała zupełnie sztywna.

Lekarze mówili o «włóknistym zeszywnieniu lewego stawu kolanowego » i nie potrafili mnie wyleczyć. Ponadto rany wywołane rozlicznymi zabiegami chirurgicznymi nie goiły się. Ponieważ wszelkie próby uelastycznienia stawu zawiodły, lekarze ze sieneńskiej kliniki ortopedycznej postanowili spróbować «prowokowanego zgięcia stawu kolanowego na aparacie Zuppinger'a, z zastosowaniem narkozy ». Narkoza nie tylko miała służyć, jako środek znieczulający, lecz działać również rozluźniające na mięśnie nogi, tak żeby kolano było swobodne. Niemniej jednak blokujące je przystawowe mięśnie i więzadła były tak silne, że i ten zabieg okazał się bezskuteczny. Na domiar złego z powodu przesilenia nogi na aparacie doszło do ponownego pęknięcia kości udowej i musiałem przeleżeć trzy kolejne miesiące z nogą w gipsie".

„ DLACZEGO NIE WYBIERZECIE SIĘ DO SAN GIOVANNI ROTONDO?"

„Na początku 1948 roku - opowiada Canaponi - wypisano mnie ze sieneńskiej kliniki ortopedycznej jako nieuleczalnie chorego. Słowem, przez całe życie miałem pozostać ze sztywną nogą. Szukałem pomocy w klinice Rizzoli w Bolonii. Po badaniach, prześwietleniach i konsultacjach uznano, że można by spróbować jeszcze jednej operacji, lecz z nikłymi szansami na powodzenie. Dodano też, że nawet gdyby zabieg przyniósł poprawę, byłaby ona minimalna. Wobec podobnych perspektyw nie odważyłem się na kolejną operację.

Byłem załamany i rozwścieczony jak zranione zwierzę. Nie chciałem z nikim się widywać. Nie chciałem żyć. Cały mój ból wyładowywałem na żonie, która starała się dodawać mi otuchy. Poruszałem się o kulach, lecz udawało mi się wlec sztywną nogę i jedynie przez parę metrów, więcej nie dawałem rady. Noga, bowiem pokryta była krwawiącymi ranami, które sprawiały mi ogromny ból. Często próbowałem chodzić sam, ale kiedy upadałem na ziemię, krzyczałem z wściekłości, bluźniąc przeciw Bogu i wszystkim ludziom.

Moja żona była wierząca, ja nie. Chodziła do kościoła, a ja jej ubliżałem. Bluźniłem przeciwko Bogu, żeby jej dokuczyć. Często z tego powodu płakała. Kiedyś przybył do naszej parafii zakonnik, który miał poprowadzić katechezę. Pochodził z Sarteano. Dowiedziawszy się o moim wypadku, chciał porozmawiać z moją żoną, by dodać jej otuchy. Podszedł do niej i spytał: „Dlaczego nie zawiezie pani swego męża do San Giovanni Rotondo, do Ojca Pio, kapucyna, który czyni cuda?».

Żona powtórzyła mi te słowa z nadzieją w głosie, lecz ja wybuchnąłem ironicznym śmiechem, wykrzykując przekleństwa i obelgi również pod adresem Ojca Pio".

DRAMATYCZNA PODRÓŻ

„Żona nie chciała stracić tej szansy, toteż kilka razy napisała do Ojca Pio, nie otrzymując jednakże żadnej odpowiedzi. Nie dała za wygraną i znów zaczęła ze mną rozmawiać na ten temat, i nalegać, bym w końcu przystał na jej prośby. A tymczasem moja sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Przeczuałem, że to już koniec. Wpadłem w bezgraniczną rozpacz.

Pod koniec roku poddałem się. «Dobrze - powiedziałem do żony - spróbujmy jeszcze tego». Postanowiliśmy wyjechać w Wigilię Bożego Narodzenia, ale dwa dni wcześniej dostałem silnego ataku kolki nerkowej. Po nocy pełnej cierpienia jakoś wróciłem do siebie i 24 grudnia ruszyliśmy w drogę.

To była okropna podróż. W przedziale leżałem na noszach, lecz kiedy przychodziło przesiadać się z pociągu do pociągu najmniejszy ruch sprawiał mi okropny ból. Najpierw dojechaliśmy do Rzymu, następnie do Foggii. Z Foggii do San Giovanni Rotondo było tylko jedno połączenie autobusowe, i to bardzo wcześnie rano.

Postanowiliśmy, zatem spędzić noc w jakimś małym pensjonacie. Kiedy z trudem wlokłem się o kulach, poślizgnąłem się na kałuży i niefortunnie upadłem. Podnieśli mnie jacyś kolejarze. Dowiedziawszy się, że jestem z ich branży, dali nam do dyspozycji pokój w stacyjnych biurach, i tam spędziliśmy noc.

Nad ranem wsiedliśmy do autobusu - ja, moja żona i nasz syn Augusto. W pociągu mogłem leżeć, w autobusie musiałem jakoś usadowić się. Ta część podróży była dla mnie prawdziwą torturą. W owych czasach San Giovanni Rotondo było maleńką miejsciną, bez udogodnień. Od przystanku autobusowego do kościoła OO. Kapucynów czekały nas dwa kilometry pieszej wędrówki. Drogi nie były jeszcze pokryte asfaltem. Nie wiem, jak zdołałem dojść do kościoła. Zaraz po wejściu do wnętrza padłem wpół zemdłony na ławkę.

Nigdy nie widziałem zdjęć Ojca Pio, nie mogłem, więc rozpoznać go wśród wielu obecnych w kościele zakonników. Obok mnie jeden z nich spowiadał kobiety. Zasłonka konfesjonału była rozsunięta. Mogłem przyrzeć się spowiadającemu kapucynowi. Miał spuszczone wzrok, dłonie ukryte w rękawach habitu. Kiedy podniósł rękę do rozgrzeszenia, dostrzegłem, że nosi rękawiczki bez palców. «To on» - pomyślałem.

W tym samym momencie Ojciec Pio podniósł oczy i utkwiał je we mnie przez kilka sekund. Ten wzrok wprawił całe moje ciało w takie drżenie, jakbym był pod działaniem silnego wstrząsu elektrycznego. Po kilku jednakże minutach Ojciec Pio wyszedł z konfesjonału i oddalił się".

„GIUSEPPE, TY CHODZISZ!”

Zapytaliśmy kościelnego, kiedy Ojciec Pio przyjdzie z powrotem. «O czwartej po południu, by wyspowiadać mężczyzn» - odpowiedział. O czwartej byliśmy tam znowu. Mój syn zaprowadził mnie do zakrystii. Ojciec Pio już spowiadał. Przede mną stało tylko parę osób. Po mniej więcej kwadransie przyszła kolej na mnie. Podpierając się na kulach zbliżyłem się do spowiednika. Nie zdążyłem wypowiedzieć słowa, kiedy on zaczął mówić, kreśląc zdanie po zdaniu dokładny obraz mego życia, postępowania i charakteru. Tak jakby znał mnie od wielu lat.

Mówił bardzo łagodnym głosem, zupełnie bez tonu nagany. Niemniej jednak dawał mi do zrozumienia, jak bezsensowne było moje zachowanie. Jego słowa wprawiły mnie w zupełne oszołomienie i w ogóle nie myślałem o mojej nodze. Kiedy uniósł rękę, by udzielić mi rozgrzeszenia, znowu poczułem ten straszliwy wstrząs na całym ciele. Bezwiednie klęknąłem i przeżegnałem się.

A potem, zapomniawszy o nodze, wstałem, wziąłem kule w ręce i odszedłem równym krokiem. Wszystko to zrobiłem nie zdając sobie sprawy, że zupełnie normalnie chodzę. Żona była w kościele. Podeszedłem do niej z kulami w rękę, lecz również i ona w pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi. Powiedziała mi tylko: «Masz taką pogodną twarz».

Zatrzymaliśmy się na krótką modlitwę, po czym skierowaliśmy się do wyjścia. Dopiero w tym momencie moja żona uświadomiła sobie, co zaszło. «Giuseppe, ty chodzisz!» - zawołała. Zatrzymałem się i ze zdziwieniem spojrzałem na kule, które trzymałem w ręku. «Rzeczywiście chodzę! I nie czuję najmniejszego bólu!» - odrzekłem. «Tato, kiedy byłeś u Ojca Pio, uklęknąłeś bez niczyjej pomocy» - dodał mój syn.

Poczułem, jak ogarnia mnie ogromne wzruszenie. Oczy nabiegły mi łzami. «Co się stało?» - pytałem sam siebie. Z niedowierzaniem zginałem wciąż nogę. Szybkim krokiem pokonałem trasę od kościoła do hotelu. Wszedłszy do pokoju, wziąłem poduszkę, położyłem ją na ziemię i uklęknąłem. Wstałem i jeszcze raz uklęknąłem. Wszystkie te ruchy wykonywałem z całą naturalnością, bez najmniejszego bólu czy trudności.

Ściągnąłem spodnie i zacząłem oglądać nogę. Wszystkie rany, które dotąd krwawiły i okropnie mnie bolały, zagoiły się. Pozostały jedynie gładkie blizny. «Jestem zupełnie zdrowy!» - zawołałem do żony i wybuchnąłem płaczem. Wieść o cudzie bardzo szybko rozniosła się po hotelu".

„TAŃCZYŁEM PRZEZ DWIE GODZINY"

Wszyscy pamiętali, bowiem, w jak żałosnym stanie przyjechałem do San Giovanni Rotondo. Świątowaliśmy do późna. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Nazajutrz rano poszedłem podziękować Ojcu Pio. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się, a potem,

podnosząc wzrok ku niebu, powiedział mi: «To nie ja uczyniłem cud. Ja tylko modliłem się za ciebie. Uleczył cię Bóg».

Powrót do domu był jak marsz triumfalny. Wszędzie, gdzie zatrzymaliśmy się, opowiadałem moją historię. Do naszego miasteczka przyjechaliśmy dokładnie w wieczór sylwestrowy, około północy. W miejscowym teatrze ludzie bawili się. Weszliśmy do środka i zaczęliśmy tańczyć. Wszyscy dobrze znali mój poprzedni stan, toteż widząc mnie puszczającego się w taniec, osłupieli. Rozstąpili się i wpatrzeni w nas trwali w milczeniu. Po chwili rozległy się oklaski. Tego wieczoru tańczyłem przeszło dwie godziny. I odtąd nigdy już nie cierpiałem z powodu nogi".

„A JAK NA TO ZAREAGOWALI LEKARZE?”.

„Pojechałem na badania do kliniki w Sienie" - ciągnął dalej Canaponi. - „Lekarze byli zaszokowani. Po pierwsze, widząc mnie poruszającego się bez najmniejszego problemu. Po drugie, zdjęcia rentgenowskie wykazały, iż nic się w mojej nodze nie zmieniło - włókniste zeszytnienie lewego stawu kolanowego nie ustąpiło: w świetle nauki było niemożliwe, żebym chodził. Wobec tego profesor Giuntini mój dziwny przypadek postanowił przedłożyć szerszemu audytorium lekarskiemu na kongresie w Rzymie.

Zbadało mnie wtedy wielu specjalistów i wszyscy nie mogli wyjść ze zdumienia". Giuseppe Canaponi pokazał mi opinię profesora Giuntiniego, z nagłówkiem: „Uniwersytet Sieneński - Klinika Ortopedyczna - Dyrektor Prof. Leopold Giuntini" i podpisem profesora. Kazał mi przeczytać na głos ostatni akapit, kończący się następującym stwierdzeniem: „Słuszna jest, zatem opinia, iż nagłe odzyskanie zdolności ruchowych stawu jest w przypadku Canaponiego faktem wyjątkowym, który nie znajduje logicznego wytłumaczenia w świetle dotychczasowych osiągnięć nauki".

Giuseppe Canaponi dorzucił jeszcze: „Przed spotkaniem z Ojcem Pio zaliczono mnie do przypadków nieodwracalnego inwalidztwa. Takim pozostałem, gdyż przyczyny fizyczne mego inwalidztwa nie ustąpiły. Do dziś jestem inwalidą i w świetle nauki, i w świetle włoskiego prawa".

URODZIŁA SIĘ BEZ ŻRENIC

Innym nadzwyczajnym przypadkiem uzdrowienia jest Gemma Di Giorgi, mieszkająca obecnie w Riberze, w prowincji Agrigento. Poznałem ją w 1969 roku. Miała wtedy trzydzieści lat. „Urodziłam się bez źrenic" - powiedziała mi. - „Jeśli pan dobrze przyjrzy się moim oczom, zauważy pan, że nie są normalne. Według medycyny powinnam być zupełnie ślepa, ja zaś widzę jak każdy normalny człowiek.

Z tym, że nie zawsze tak było. Urodziłam się w 1939 roku, w dzień Bożego Narodzenia. Niemal od razu moja matka zauważyła, iż moje oczy różniły się czymś od

oczu innych dzieci. Kiedy miałam trzy miesiące, coś podpowiadało jej, że chyba nie widzę. Poszła ze mną do miejscowego lekarza. Ponieważ nie potrafił on dokładnie rozeznąć się w tej sprawie, posłał nas do dwóch palermitańskich okulistów, dr. Cucco i dr. Contino. To oni rozpoznali, że jestem niewidoma, bo urodziłam się bez źrenic.

Cała rodzina była zrozpaczona, ale nic nie można było zrobić. Moi rodzice opowiadali mi później, że często prowadzili mnie do kościoła przed ołtarz Matki Boskiej, licząc już tylko na cud. Kiedyś - miałam wtedy siedem lat - odwiedziła nas jedna z naszych krewnych, zakonnica. Zobaczywszy mnie w takim stanie, poradziła moim rodzicom, by szukali pomocy u Ojca Pio, kapucyna, który - jak powiedziała - jest święty i nosi stygmaty.

Moja babcia nie chciała zrezygnować z tej furtki nadziei i wszystkie swoje modlitwy kierowała do Ojca Pio, zaś naszą krewną zakonnice poprosiła o napisanie do niego listu. Wróciwszy do klasztoru, nasza krewna napisała do Ojca Pio powierzając mu moją sprawę, lecz nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Pewnej nocy jednakże przyśnił jej się Ojciec Pio i powiedział: «Gdzie jest ta Gemma, przez którą tyloma modlitwami miesza mi w głowie?». Zakonnica - ciągle we śnie - przedstawiła mnie wtedy, on zaś zbliżył swe dłonie do mych oczu i zniknął.

Następnego dnia nasza krewna otrzymała list od Ojca Pio. «Droga córko, zapewniam cię, że będę modlił się za dziewczynkę» - napisał. Nasza krewna była zdumiona tak dziwnym zbiegiem okoliczności - sen i zaraz po nim list. Od razu też napisała do nas, zachęcając moich rodziców, by jak najszybciej wybrali się do San Giovanni Rotondo".

„DZIEWCZYNKĄ WIDZI I TY DOBRZE O TYM WIESZ”

„W owych czasach, tuż po wojnie - wspomina Gemma - podróżowanie było bardzo uciążliwe. Mimo to wyruszyliśmy do San Giovanni Rotondo bezzwłocznie. Towarzyszyło nam kilku naszych ziomków.

Podczas podróży, kiedy pociąg przemierzał długi odcinek trasy wzdłuż morza, w pewnej chwili zdało mi się, że już coś widzę. Powiedziałam o tym babci, ale ona nie uwierzyła, gdyż moje oczy były takie jak zawsze, bez źrenic.

Dotarłszy na miejsce, poszliśmy wypowiadać się u Ojca Pio. Babcia wiele razy przypominała mi, żebym poprosiła go łąskę uzdrowienia, ale ja zapomniałam. Pamiętam dobrze, że zaledwie uklękłam przed nim, dotknął mych oczu zranioną częścią swej dłoni i zrobił znak krzyża. Moja babcia płakała dowiedziawszy się, że zapomniałam poprosić Ojca Pio o łąskę. Tak długo pozostawała w kościele, dopóki nie przyszła jej kolej na spowiedź. I to ona poprosiła Ojca Pio o łąskę dla mnie. «Nie trać wiary, moja córko» - usłyszała w odpowiedzi. - «Dziewczynka nie powinna płakać. Ty też nie powinnaś zamartwiać się, bo Gemma widzi, i ty dobrze o tym wiesz».

Nigdy jeszcze nie byłam u Komunii świętej. Miałam to szczęście, że po raz pierwszy przyjął ją właśnie z rąk Ojca Pio. Byłam przygotowana przez babcię. W momencie udzielania Komunii świętej jakiś mężczyzna wziął mnie na ręce i zaniósł pod ołtarz. Ojciec Pio podał mi Hostię i zrobił znak krzyża na moich oczach, w ten sam sposób, jak po spowiedzi.

Opuściliśmy klasztor pełni nadziei. Podczas podróży pociągiem w drodze do San Giovanni Rotondo widziałam cienie. Teraz cienie stawały się coraz wyraźniejsze. Odnosiłam wrażenie, jakby z wolna mój wzrok nabierał coraz to większej siły. Po drodze musieliśmy zatrzymać się przez kilka dni w Cosenzy, gdyż moja babcia nagle zaniemogła i przewieziona została do szpitala. Przed podjęciem dalszej podróży babcia koniecznie chciała, żebym została zbadana przez szpitalnego okulistę.

Lekarz od razu powiedział, iż w moim stanie jest wykluczone, żebym mogła cokolwiek widzieć. Babcia tak bardzo nalegała, że w końcu ustąpił i poddał mnie najprostszym badaniom. Zakończywszy je powiedział: «To dla mnie rzecz niewytłumaczalna. Brak źrenic jest równoznaczny ze ślepotą, dlatego nie pojmuję, w jaki sposób ta dziewczynka jest w stanie cokolwiek widzieć».

Cztery miesiące później zostałam bardzo dokładnie zbadana przez profesora Caramazzę z Perugii. Również i on stwierdził, iż moje oczy nie są zdolne do widzenia czegokolwiek i że mój przypadek jest po ludzku nie do wyjaśnienia. Tymczasem mój wzrok coraz bardziej polepszał się. Mogłam chodzić do szkoły, nauczyć się pisać i czytać, i dzięki Ojcu Pio mogę normalnie żyć".

„BYŁAM GRUŻLICZKĄ”

Martina Ghini jest bardzo aktywną kobietą, niezmordowaną w swej pracy. Mieszka w Mediolanie. Przez wiele lat działała na polu mody. Obecnie prowadzi sklep. Jej mąż jest znanym i utalentowanym malarzem.

Poznałam ją w 1985 roku. „Pochodzę z regionu Emilia - zaczęła swą opowieść - i z rozlicznych, dość szczególnych powodów moje dzieciństwo i młodość nie były nazbyt wesołe. W wieku dziewięciu lat zaczęłam pracować, by zarobić na życie. Były to bardzo trudne czasy. Musiałam przystosować się do każdego zajęcia. W czasie wojny pracowałam w jednej z bolońskich farbiarni. Para wodna i opary kwasów były bardzo szkodliwe dla zdrowia. W 1945 roku moja przyjaciółka, której udało się zadomowić w Mediolanie, znalazła mi pracę w zakładzie dziewiarskim. Bez chwili wahania przenieśliśmy się do stolicy Lombardii.

Miałam mnóstwo planów na przyszłość, lecz byłam bez środków finansowych. Musiałam sobie jakoś radzić. Nie dojadłam, nie miałam pieniędzy na ogrzewanie i pracowałam od rana do nocy. Ponieważ w zakładzie byłam «nową», najcięższe prace zlecano właśnie mnie. Zajmowałam się pakowaniem, co wymagało sporej siły fizycznej.

Cierpliwie znosiłam wszystkie trudy w nadziei na lepsze jutro, lecz mój organizm nie wytrzymał.

Pod koniec 1945 roku dały mi się we znaki pierwsze dolegliwości. Brakowało mi sił, kaszlałam i pod wieczór miewałam stany podgorączkowe. Powinnam była zacząć się leczyć, ale bałam się stracić pracę. Przychodziłam do zakładu bez względu na gorączkę. Sądziłam zresztą, że to zwykła grypa, która prędzej czy później przejdzie. Niestety, z dnia na dzień mój stan zdrowia pogarszał się, a kaszel niesamowicie się wzmacniał.

Któregoś ranka, tuż po wstaniu z łóżka, w czasie kolejnego ataku kaszlu dostałam krwotoku. Wystraszyłam się i od razu pobiegłam do lekarza. Za późno. Na moich płucach widniały plamy. Lekarz skierował mnie do specjalisty. Poddano mnie dokładnym badaniom radiograficznym, które wykazały obustronną gruźlicę płuc w daleko zaawansowanym stanie. «Pani musi pójść do szpitala, i to natychmiast» - oznajmił mi profesor.

Następnego dnia z diagnozą profesora w ręku stawiałam się w szpitalu «Litta» przy ulicy Sforza, lecz nie było tam wolnych łóżek. «Proszę przyjść jutro» - poinformowano mnie. Wróciłam tam dzień później, lecz sytuacja nie zmieniła się. I było tak codziennie rano, przez cały miesiąc. Oczywiście, mój stan zdrowia pogarszał się w bardzo szybkim tempie. Kiedy w końcu znalazło się dla mnie łóżko szpitalne, byłam tak słaba, że ledwo trzymałam się na nogach.

Zastosowane kuracje nie skutkowały. Mój stan był bardzo ciężki; organizm nie reagował na żadne lekarstwa. Zabieg chirurgiczny okazał się wobec tego nieuniknioną koniecznością. Poddano mnie ośmiu operacjom, lecz bez żadnego pozytywnego rezultatu. W związku z tym postanowiono przewieźć mnie do szpitala w Garbagnate, ale i tam było ze mną coraz gorzej. Nie mogłam jeść. Płuca wciąż wypełniały się płynem, który systematycznie odciągano. Mimo to nie mogłam pozostawać w pozycji leżącej, gdyż płyn dusił mnie. Wysoka gorączka nie ustępowała. Traciłam na wadze: z 65 kilogramów doszłam do 46".

„ZOBACZYŁAM WE ŚNIE JAKIEGOŚ ZAKONNIKA”

„Po dwóch latach męczarni nie było dla mnie, zdaniem lekarzy, żadnej nadziei. Spodziewano się jedynie rychłej śmierci. Rzeczywiście czułam, iż moje życie powoli dogasa. Któregoś wieczoru profesor powiedział opiekującej się mną siostrze Ambrogii, by trzymała w pogotowiu olej święty do ostatniego namaszczenia i by powiadomiła moich krewnych, gdyż pozostało mi niewiele godzin życia.

Mimo że słyszałam te słowa, w ogóle nie zareagowałam. Byłam tak wyniszczona przez chorobę, tak bardzo zmęczona cierpieniem, że czekałam na śmierć jak na wyzwolenie. Lecz właśnie owej nocy stał się cud. Jak już wcześniej zaznaczyłam, rzadko kiedy udawało mi się zasnąć. Nie mogłam leżeć, bo udusiłabym się, toteż pozostawałam

ciągle w pozycji siedzącej, podparta na czterech, pięciu poduszkach. Czasami zdrzemnęłam się, potwornie zmęczona, lecz zazwyczaj w ogóle nie spałam.

Owej nocy, podczas takiej właśnie drzemki, miałam «wizję». To nie był sen, jestem tego pewna. Zdawało mi się, że znajduję się w pobliżu mojego rodzinnego domu, na łące, na której w dzieciństwie często bawiłam się. Łąka tonęła w kwiatach. Przechadzał się po niej jakiś brodaty mnich. Uśmiechał się. Stanąwszy na wprost mnie, powiedział: «Nie lękaj się. Módl się do Boga, a wyzdrowiejesz». Podniósł rękę i udzielił mi błogosławieństwa. Potem powtórzył to samo zdanie, spokojnym i pewnym głosem, z urzekającym uśmiechem na ustach.

Wizja ta i usłyszane słowa natychmiast wyrwały mnie z odrętwienia, w jakie zapadłam. Odzyskałam zupełną jasność umysłu. Zastanawiałam się nad tym, co właściwie zaszło, i jak należy rozumieć to, co widziałam i słyszałam. Pragnęłam zwierzyć się z wszystkiego siostrze Ambrogii, lecz trudno było jej szukać w samym środku nocy.

Przeczekalam cierpliwie aż do rana. Odczuwałam w duszy jakąś dziwną radość, niezwykłą energię, chęć rozmowy, której nie miałam od wielu miesięcy. Jak tylko ujrzałam siostrę Ambrogię, zawołałam: «Siostro, czy mogłaby mi siostra przynieść trochę kawy».

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Od tygodni o nic nie prosiłam, bo wszystko, co próbowałamby przełknąć, powodowało wymioty. «Dajmy jej i kawę» - powiedziała do drugiej zakonnicy. - «Biedna dziewczyna, to jej ostatnie życzenie» - dorzuciła. Siostra Ambrogia kazała przynieść mi kawy i ze zdziwieniem przyglądała się, jak piłam ją bez żadnego problemu".

ANI ŚŁADU PO CHOROBIE

„Opowiedziałam jej wtedy moją wizję. Siostra wysłuchiwała mnie cierpliwie do końca, lecz wymownie potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że to zapewne halucynacje przed śmiercią. O jedenastej poprosiłam o pieczone jabłko, które przełknęłam bez trudu. Siostra przyglądała mi się z rosnącym zaniepokojeniem.

W południe przyniesiono mi list. Pisał do mnie przyjaciel, którego poznałam jeszcze w pracy. List wysłał z San Giovanni Rotondo. Pisał, że jak tylko dowiedział się o mojej chorobie, pojechał do Ojca Pio, by prosić go dla mnie o łaskę uzdrowienia. Do listu dołączył fotografię Ojca Pio: patrząc na nią, zamarłam. «To zakonnik, którego widziałam w nocnej wizji!» - krzyknęłam. Zawołałam siostrę Ambrogię i pokazałam jej zdjęcie mego nocnego gościa. «To Ojciec Pio» - rzekła, i od tego momentu całą tę historię zaczęła traktować poważnie.

Opowiedziała wszystko lekarzom. Zaniepokojeni, przychodzili do mnie i uważnie mi się przyglądali. Czułam się bardzo dobrze. Zaczęłam normalnie jeść. Odzyskiwałam straconą energię i wagę. Profesorowie nie potrafili wytłumaczyć sobie mojego nagłego

polepszenia. Po paru dniach mogłam nawet wstać z łóżka i chodzić. Z dnia na dzień wstępowało we mnie coraz więcej siły, aż wreszcie wróciłam do żywych. Wypisano mnie ze szpitala.

Kiedy żegnałam się z profesorem, przestrzegł mnie, abym była bardzo ostrożna i nie przemęczała się, unikała nadmiernego chłodu i dalekich podróży. «Jeśli nie chcesz tu już nigdy więcej wrócić, musisz bardzo dokładnie przestrzegać mych rad» - powiedział.

Ja zaś zaraz po powrocie do domu zaczęłam pracować do utraty tchu. Czułam w sobie ogrom siły i pragnęłam zawodowych sukcesów. Początkowo wróciłam do zakładu dziewiarskiego, lecz z czasem mogłam już pracować na swoim. Wyzdrowiałam całkowicie.

Wiele lat później dowiedziałam się, że w świetle prawa należy mi się renta inwalidzka. Złożyłam więc podanie. Kiedy stawiałam się na badanie kontrolne, lekarze z komisji spytali mnie wprost, czy chciałam sobie z nich zażartować – moje płuca były zupełnie zdrowe. Złożyłam trzy odwołania dołączając do nich grubą tekę dokumentów zebranych w szpitalach, w których leczyłam się. Bezskutecznie, gdyż zdjęcia rentgenowskie nie wykazywały najmniejszego śladu po chorobie, przez którą byłam o krok od śmierci".

WIELKA AKTORKA

Słynna rzymska aktorka Lea Padovani, odtwórczyni głównej roli w wielu filmach nakręconych w latach 50. i 60. (Chrystus wśród murarzy, Rzym godzina 11, Nie sprzedaje się synów), spektaklach teatralnych oraz serialach telewizyjnych (Kobietki, Dziewiętnasty wiek) - była świadkiem, a zarazem główną postacią wyjątkowego cudu.

Opowiedziała mi o tym ze wzruszeniem kilka lat przed swą śmiercią (1991). „Nikomu przedtem nie wyjawiałam - powiedziała - historii tego cudu, z tej prostej przyczyny, że wiązał się on z moim prywatnym życiem. Lecz sądzę, że przyszedł już czas, chociażby z wdzięczności dla Ojca Pio, żeby opowiedzieć o tym wydarzeniu.

Widziałam Ojca Pio po raz pierwszy tuż po wojnie. Byłam wtedy w Isernii, gdzie kręciliśmy film z Luigim Comencinim. Poznałam tam bardzo sympatycznego kapucyna. Pewnego dnia zwrócił się do mnie: «Widzę, że Pani ma samochód. Czy mogłaby mnie Pani podwieźć do San Giovanni Rotondo? Chciałbym się spotkać z Ojcem Pio i koniecznie z nim porozmawiać. Odwiozłam go. W drodze dużo opowiadał mi o Ojcu Pio, o dokonywanych przezeń cudach oraz o jego charyzmatycznych darach.

Przyjechawszy do San Giovanni Rotondo, wstąpiłam do przyklasztornego kościółka, wypełnionego po brzegi wiernymi. Nie wybudowano wtedy jeszcze dużego kościoła, który stoi tam dzisiaj. Długo czekałam wraz z innymi na przyjście Ojca Pio, aż wreszcie mogłam go zobaczyć, z dużej wprawdzie odległości. Widok Stygmatyka nie zrobił na mnie większego wrażenia.

Po raz drugi o Ojcu Pio usłyszałam kilka lat później. Kręciliśmy wtedy film w Rumunii, z Paolo Carlinim. Jeden z aktorów pochodził stamtąd. Wszyscy go tam znali, toteż któregoś dnia powiedział mi, że cała ekipa zaproszona została na kolację do mieszkających w pobliżu kapucynów. Oczywiście, zaproszenie przyjęliśmy. Spędziliśmy u kapucynów znakomity wieczór. Braciszkanie okazali nam wielką serdeczność, a przy tym byli bardzo dowcipni.

Ich przełożony opowiedział nam, że dopiero, co wrócił z San Giovanni Rotondo, gdzie poznał osobiście Ojca Pio. «Pchała mnie tam ciekawość - mówił - gdyż nie wierzyłem wszystkim tym fantastycznym opowieściom na jego temat». Wspomniał też, że zawiózł Ojcu Pio butelkę oryginalnego wina Sangiovese, robionego w klasztorze. Z winem tym stało się coś naprawdę niezwykłego. Odbierając je Ojciec Pio powiedział: «A po co mi butelka wody?». «Jaka woda? To jest nasze wyborne wino Sangiovese» - odparł ów przełożony. «No to nalej mi szklaneczkę» - powiedział Ojciec Pio. W rzeczywistości szklanka z wolna wypełniała się wodą. «Oniemiałem, bo co do zawartości butelki byłem absolutnie pewien. Ja osobiście przed wyjazdem zszedłem do klasztornej piwnicy i napełniłem butelkę naszym winem, a nawet na wszelki wypadek spróbowałem go».

Historia ta ubawiła mnie, ale szybko o niej zapomniałam. W tamtych latach byłem zbyt zajęta moją karierą. Pracowałam bez wytchnienia w teatrze i w filmie. Odnosiłam ważne sukcesy, zdobywałam sławę. Mogłam być szczęśliwą, lecz moje życie prywatne nie układało się najlepiej. Żyłam bez ślubu z mężczyzną, którego prawdziwego imienia nie chcę tu podawać. Nazwę go umownie Antonio. Bardzo go kochałam, ale nasze wspólne życie było trudne".

NAJWYŻEJ SZEŚĆ MIESIĘCY ŻYCIA

„W 1957 roku przygotowywałam się do wyjazdu do Anglii. W Anglii byłem powszechnie znana. Kilka lat wcześniej grałam w filmie „Chrystus wśród murarzy” Edwarda Dmytryka, który odnosił wtedy duże sukcesy międzynarodowe. W Londynie wystąpiłam również w Henryku IV Pirandella, w zespole Ruggera Ruggeriego.

Tym razem miałam grać w New Theatre, w języku angielskim i z angielskimi aktorami, w sztuce „Wytatuowana róża Tennessee” Williamsa. W owym okresie nasze stosunki z Antonim były bardzo napięte. Chciałam, żeby w ogóle zniknął mi z oczu. Odłożyłam nawet słuchawkę telefonu, byleby go nie słyszeć.

Wyjechałam do Londynu pociągiem, w tajemnicy przed wszystkimi. W czasie postoju w Turynie, w samym środku nocy, kiedy otworzyłam okno w przedziale, by odetchnąć świeżym powietrzem – nagle zobaczyłam przed sobą Antonia. «Co ty tu robisz? Skąd wiedziałeś, że jadę tym właśnie pociągiem? » - Spytałam. «Rozpaczliwie szukałem ciebie. Twój telefon był ciągle zajęty. Muszę z tobą porozmawiać. Jestem bardzo chory». Rzeczywiście, zauważyłam, że jest blady jak trup. Miał szarą, naciągniętą cerę. «Lekarze nie mogą rozeznaczyć się w moim stanie. Zrobili mi biopsję gruczołów.

Odpowiedź dostanę za parę dni». Zadrżałam. Po raz pierwszy w życiu wystraszyłam się. Antonio był chory. Chciałam wysiąść, pomóc mu, ale nie mogłam.

Przez całą dalszą podróż trawił mnie niepokój i straszne wyrzuty sumienia. W czasie pobytu w Londynie byłam z nim w ciągłym kontakcie telefonicznym. Chciałam koniecznie wiedzieć, co się z nim dzieje. Ale Antonio dawał mi zawsze wymijające odpowiedzi, że niby lekarze niczego konkretnego jeszcze mu nie powiedzieli.

Bardzo przejmowałam się, toteż poprosiłam dyrektora teatru o parę dni urlopu. Wróciłam do Włoch i poszłam do lekarzy. Antonio pochodził z bardzo bogatej rodziny. Leczyli go najlepsi specjaliści. Poprosiłam ich o powiedzenie mi całej prawdy. Oto, co usłyszałam: «Jest to złośliwy ziarniak limfatyczny. Wynik biopsji nie budzi żadnych wątpliwości. Pani przyjacielowi pozostało najwyżej sześć miesięcy życia». «Musicie go uratować - błagałam płacząc. «Niestety, medycyna w tym przypadku jest bezradna» - brzmiała odpowiedź.

Byłam zrozpaczona, ale nie chciałam się poddać. Wróciłam do Londynu i zasięgnęłam rady u najlepszych specjalistów angielskich. Kazałam przyjechać Antoniemu do Anglii. Badali go wszyscy słynni lekarze, nawet lekarz dworu królewskiego. Odpowiedź była ta sama: «Medycyna nie może tu nic zdziałać».

TRZY PODRÓŻE DO OJCA PIO

„W takiej sytuacji nie pozostawało mi nic innego, jak prosić o cud. I właśnie wtedy przypominałam sobie o Ojcu Pio. Wysłałam do niego rozpaczliwy list, w którym opisałam całą naszą sytuację i zakończyłam go słowami: «Bóg powiedział 'proście a będzie wam dane', toteż błagam o litość, niech Ojciec pomoże mi».

Po miesiącu przyszła odpowiedź. Była to karteczka, na której widniało jedno krótkie zdanie: «Ojciec Pio będzie się modlił». Zdanie to wcale mnie nie uspokoiło. Postanowiłam pojechać do San Giovanni Rotondo. Antonio nie wiedział, że napisałam do Ojca Pio, jak i zresztą nikt nie poinformował go o jego beznadziejnym stanie. Musiałam użyć kłamstwa, by przekonać go do towarzyszenia mi w tej podróży. Dzień po przybyciu na miejsce wybraliśmy się na Mszę świętą, którą Ojciec Pio odprawiał o świcie.

Antoniemu udało się wejść z nielicznymi innymi mężczyznami do zakrystii. Jak tylko Ojciec Pio zjawił się tam, podszedł od razu do Antonia i powiedział mu: «Idź, nie będę się oszczędzał». Antonio był zdziwiony. Opowiedział mi całą scenę z zapytaniem, co mogło oznaczać tak dziwne zdanie. «Nie wiem» - odrzekłam, lecz w moim sercu zatliła się odrobina nadziei. Skoro Ojciec Pio wyraził się w ten sposób, to znaczyło, że wziął sobie do serca naszą sprawę.

Minęły dwa miesiące. Stan Antonia ani trochę nie polepszył się. Przeciwnie, pogarszał się. Złowrogi termin sześciu miesięcy, o którym mówili lekarze, był coraz bliższy. Czułam w duszy niewymowną, wzmagającą się z każdym dniem udrękę.

Powzięłam decyzję odbycia jeszcze jednej podróży do San Giovanni Rotondo. Ale i po tej wizycie u Stygmatyka nic nie zmieniało się.

Wróciliśmy tam po raz trzeci, czwarty, piąty i szósty. Aż w końcu któregoś dnia postanowiłam wypowiadać się u Ojca Pio. Moje dotychczasowe życie nie było zgodne z regułami Kościoła. Żyłam z Antonim bez ślubu, toteż pomyślałam, że ten właśnie fakt mógł stać na przeszkodzie w dokonaniu się cudu, w którym pokładałam wszystkie moje nadzieje.

Ojciec Pio trzymał mnie w konfesjonale dwadzieścia minut. Słowami rozpraszającymi ciemności mej duszy odkrył przede mną istotne prawdy życia. Jego sposób mówienia był prosty, a zarazem niezwykle przekonujący. Pod koniec naszej długiej rozmowy był dla mnie bezlitosny. «Nędzna marzycielko, nie widzisz, że wszyscy cię zwodzą?» - powiedział. - «Chyba nie myślisz, że dam ci rozgrzeszenie? Odejdź i zastanów się nad sobą» - podsumował. Słowem, odprawił mnie z kwitkiem.

Odezwały się wtedy moja wrażliwość i poczucie godności. Płakałam ze wściekłości. Powtarzałam sobie na głos, że nigdy już tam nie wrócę. By ulżyć sobie, przez całą podróż z San Giovanni Rotondo do Rzymu klęłam na Ojca Pio, ile się dało. Potem uspokoiłam się. Słowa Ojca Pio głęboko wryły mi się w pamięć i paliły mnie jak żywy ogień. Gdy tylko przeszła mi złość, przyszła kolej na refleksję". „Uświadomiłam sobie, że miał rację. Doszłam do wniosku, że już najwyższy czas, by uporządkować własne życie. Pragnęłam uzdrowienia Antonia. Chciałam go za wszelką cenę ratować. Zrozumiałam, że w zamian za to również i ja powinnam ofiarować coś Bogu.

Wtedy złożyłam Bogu obietnicę. Modląc się powiedziałam: «Jestem gotowa utracić na zawsze jego miłość, byleby żył». Stan Antonia uległ nagle pewnej poprawie. Lekarze, którzy poddawali go ciągłym badaniom kontrolnym, nie potrafili wyjaśnić sobie takiej zmiany.

Minęło sześć miesięcy, rok, dwa lata, trzy lata – Antonio całkowicie wrócił do zdrowia. Aż w końcu któregoś dnia lekarze oznajmili mi: «Przypadek ten nie leży w naszych kompetencjach. Choroba, owszem, zniknęła, ale my nie potrafimy wytłumaczyć, jak do tego doszło».

Wraz z odzyskaniem zdrowia Antonio na nowo odzyskał chęć życia. Zostawił mnie dla innej kobiety. Cierpiałam z tego powodu, lecz taki miał być mój los: złożyłam Bogu obietnicę, a więc musiałam jej dotrzymać.

Jeszcze raz wybrałam się do Ojca Pio. Poszłam do spowiedzi. Tym razem dał mi rozgrzeszenie. Powiedziałam mu, że pragnę zostać jego córką duchową. «Dobrze, moja córko» - odrzekł dotykając ręką mej głowy. Odtąd starałam się zawsze żyć zgodnie ze wskazówkami Ojca Pio.

Moje życie było bardzo ciężkie, chwilami nawet dramatyczne. Gdyby nie pomoc ze strony Ojca Pio, chyba nie podołałabym trudnościom, jakie napotkałam. Z Antonim nie zetknęłam się już nigdy więcej. Wiem, że dopisuje mu zdrowie. Nie mam wątpliwości, co do tego, że wyzdrowienie swe zawdzięcza cudowi. Jego chorobę rozeznano dokładnie na podstawie biopsji. Wszyscy specjaliści, u których szukaliśmy pomocy, zgodnie powtarzali, iż nie było dlań nadziei na wyleczenie. Jak również, po zaniku choroby i wyzdrowieniu Antonia, wszyscy oni jednogłośnie określili jego przypadek, jako niewytłumaczalny z naukowego punktu widzenia".

ŚPIEWAK ODZYSKAŁ GŁOS

„W 1958 roku miałem brać udział w festiwalu piosenki neapolitańskiej, który odbywał się w teatrze «Mediterraneo»" – powiedział mi Aurelio Fierro, jeden z najlepszych wykonawców piosenek neapolitańskich, cieszący się w latach 50 - tych i 60-tych wielką popularnością.

„W tamtych czasach było to jedno z najbardziej popularnych wydarzeń muzycznych, transmitowanych w telewizji włoskiej, a nawet w Eurowizji. Owego roku należałem do najbardziej liczących się konkurentów, gdyż byłem zwycięzcą dwóch poprzednich edycji festiwalu.

Bardzo zależało mi na kolejnej wygranej, lecz tydzień przed rozpoczęciem festiwalu zachorowałem. Wyglądało to na zwyczajną grypę, dlatego też starałem się dobrze wypocić zażywając aspirynę. Niestety, po paru dniach gorączka podskoczyła do 40°C i musiałem wezwać lekarza. Okazało się, że to oskrzelowe zapalenie płuc. Byłem zdruzgotany. W takim stanie nie mogłem śpiewać, a tym samym rozwiła się moje wielkie marzenie o wygraniu festiwalu.

Wszyscy moi krewni i przyjaciele ubolewali z tego powodu. Wiadomość o mej niedyspozycji dotarła do mego ojca, mieszkającego ciągle jeszcze w Mantelli. Jako że był człowiekiem prostym i przy tym bardzo dobrym, postanowił odbyć pielgrzymkę do San Giovanni Rotondo i poprosić Ojca Pio o łaskę dla mnie. O jego decyzji dowiedziałem się od mojej siostry. «Cóż temu staruszkowi przyszło do głowy?» - zareagowałem śmiejąc się.

Nadszedł festiwalowy dzień. Mimo wysokiej gorączki postanowiłem pokazać się na scenie. Nie chciałem rozczarować mych wielbicieli. Czekali na mój występ, wykrzykując na ulicach moje imię. Zwlokłem się z łóżka. Lekarz oburzył się. «Zabraniam panu wychodzić z domu» — powiedział. Udało mi się jednakże przekonać go. Zaaplikowałem sobie podwójną dawkę lekarstw i udałem się do teatru.

Walka między konkurentami była zażarta. W festiwalu uczestniczyli najśłynniejsi śpiewacy i śpiewaczki owych czasów: Giacomo Rondinella, Sergio Bruni, Luciano Virgili, Gloria Christian, Maria Paris, Nino Taranto, Antonio Basurto, Marisa Del Frate, Nunzio

Galio, Mario Abbate. Wśród nich nie brakowało faworytów. W stanie, w jakim znajdowałem się, nie miałem szans na równą walkę. Czułem się pokonanym, lecz mimo to chciałem stanąć w szranki.

Wyszedłem na estradę. Byłem porządnie zakatarzony i bolało mnie gardło. W myśli wezwałem na pomoc Matkę Boską z Sanktuarium, w Montevergine, którą szczególnie czczę. Rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, zacząłem śpiewać. Zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z mojego gardła wydobył się czysty, zdrowy głos. «Co się stało?» - zadawałem sobie to pytanie, zdziwiony. Na widowni panowała głęboka cisza. Wszyscy przysłuchiwali się mej piosence jak oczarowani. Pod koniec refrenu cały teatr zahuczał grzmotem oklasków. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Śpiewałem do końca dla rozentuzjasmowanej publiczności.

Kiedy zszedłem ze sceny, miałem prawdziwy zamęt w głowie. «Jak mi poszło?» - spytałem się żony. «Wspaniale! Robiłeś wrażenie zupełnie zdrowego» - rzekła. «Nie łudźmy się; chcą dodać mi otuchy, ale na pewno wiedzą, że nie śpiewałem jak trzeba» - pomyślałem. A jednak coś dziwnego się stało, bo wszyscy składali mi gratulacje. Zdawały się być szczere. Czekałem do końca konkurencji, dopóki jury nie ogłosiło zwycięzcy. Kiedy usłyszałem moje nazwisko, myślałem, że oszaleję z radości.

Czym prędze wróciłem j do domu z powodu wysokiej gorączki. Euforia minęła i dopiero teraz poczułem, ile wysiłku kosztował mnie ten wieczór. Położyłem się do łóżka półżywy. Następnego dnia, kiedy nie dawało mi spokoju pytanie, jakim cudem udało mi się śpiewać z takim gardłem, wraz z wieloma telegramami gratulacyjnymi wpadła mi w ręce kartka pocztowa od mojego ojca. Pisał ją cztery dni wcześniej z San Giovanni Rotondo. Z ogromnym zdziwieniem przeczytałem na niej następujące zdanie: «Przyjechałem tu, by pomodlić się o twoje zdrowie. Rozmawiałem z Ojcem Pio, który powiedział mi, że masz być spokojny, bo i tak wygrasz festiwal»".

„MOJA MATKA WYZDROWIAŁA”

Również Silvana Pampanini, słynna aktorka, która w latach 50. z racji swej ogromnej popularności zyskała przydomek „narzeczonej Włoch” - otrzymała łaskę od Ojca Pio i stała się jedną z najgorętszych jego czcicielek.

„Tuż po wojnie, kiedy byłem u szczytu sławy, moja matka poważnie zaniemogła” - zaczęła swą opowieść. „Uwielbiałam moich rodziców. Byłam, więc zdruzgotana tą wiadomością. Straciłam nagle grunt pod nogami. Widok cierpienia mamy był dla mnie udręką. Nie spałam, nie jadłam. W niecałe dwa tygodnie schudłam nie do poznania.

Kręciliśmy właśnie film, w którym występował również Carlo Campanini, entuzjasta Ojca Pio. Zauważywszy, jak bardzo jestem załamana, spytał, co się stało. Ze łzami w oczach opowiedziałam mu o mojej matce. Campanini wiedział, że jestem wierzącą, a przy tym czcicielką Ojca Pio. «Dlaczego nie wybierzesz się do San Giovanni

Rotondo, by porozmawiać z Ojcem Pio?» - zapytał. «Jestem tak zrozpaczona - odrzekłam - że nie potrafię nawet modlić się. Cała moja wiara w Ojca Pio i przywiązanie, którego byłam pewna, w tym okresie jakby obumarły. Nie potrafię przekonać samej siebie, że mógłby coś zdziałać, i nie potrafię w ogóle o nim myśleć». Campanini pocieszał mnie, a nawet zdołał rozniecić we mnie nadzieję.

Postanowiłam pojechać do San Giovanni Rotondo, lecz z powodu mnóstwa problemów zawodowych nie mogłam opuścić Rzymu nawet na jeden dzień. Tymczasem stan zdrowia mojej mamy pogarszał się. Wobec tego powzięłam zamiar listownego skontaktowania się z Ojcem Pio. Sięgnęłam po pióro i kartkę papieru, i dałam upust memu bólowi. Nie wiem, co napisałam, pamiętani jedynie, że był to długi list.

Wysłałam go, lecz w rzeczy samej podchodziłam do całej tej sprawy pesymistycznie. «Kto wie, ile listów dostaje codziennie Ojciec Pio?» - pomyślałam sobie. «Nie może przecież wszystkich ich czytać. Jakżeby mógł przeczytać mój list?».

A jednak otrzymałam odpowiedź już po tygodniu. Ojciec Pio przysłał mi list pisany własnoręcznie, odpowiadając na wszystkie moje zapytania. W pierwszej kolejności zganił mnie za pesymizm, jakiemu poddałam się z powodu choroby mojej matki. Napisał: «Dmuchasz na zimne». Radził mi, żebym zawierzyła Bogu i Matce Boskiej, i modliła się. «Bądź spokojna, wszystko dobrze się skończy. Ja też będę modlił się za twoją mamę» - pisał. List ten przywrócił mi pogodę ducha. Wszystkie moje lęki i dręczący mnie niepokój zniknęły. Zaczęłam modlić się pełna nadziei. Stan mojej mamy od razu polepszył się i po tygodniu była już zdrowa".

DZIECKO PRZYWRÓCONE DO ŻYCIA

Giovanni Gigliozi, bardzo popularny dziennikarz radiowy, przyjaciel i współpracownik Ojca Pio, był naocznym świadkiem wielu uzdrowień. Opowiedział mi o niektórych z nich. „W kilka lat po tym, jak poznałem Ojca Pio, moja matka ciężko zachorowała" - zaczął. „Byliśmy u największych sław, między innymi u profesora Valdoniego, który rozpoznał u niej nowotwór i zalecił operację.

Udałem się pośpiesznie do Ojca Pio, by zapytać go, czy rzeczywiście konieczna jest operacja. «Twoja matka nie ma żadnego nowotworu» - odrzekł. Stwierdzenie to nie dawało mi spokoju. Nie wiedziałem, co robić. Zwróciłem się również do profesora Gasbarriniego. Obydwaj poprosiliśmy profesora Valdoniego o ponowne zbadanie pacjentki. Zgodził się. Z badania wynikało, iż po chorobie nie ma żadnego śladu".

Gigliozi opowiedział mi również o kolejnym nadzwyczajnym fakcie, o którym poinformował go doktor Sanguinetti, jeden z najcenniejszych współpracowników Ojca Pio. Zaznaczył Gigliozi, iż opisaną tu scenę Sanguinetti widział na własne oczy.

„Pewnego dnia do San Giovanni Rotondo przybyła jakaś kobieta z walizką fobrową w ręku. Weszła do kościoła i ustawiła się w kolejce kobiet czekających na spowiedź u

Ojca Pio. Kiedy nadeszła jej kolej, otworzyła walizkę na oczach Ojca Pio i wybuchnęła płaczem. W tej walizce leżały owinięte w stare szmaty zwłoki mniej więcej sześciomiesięcznego dziecka.

Kobieta wybrała się do San Giovanni Rotondo z ciężko chorym dzieckiem, które podczas podróży zmarło. Pełna rozpacz, ale i bezgranicznej wiary, ukryła niemowlę w walizce i jechała dalej. Sanguinetti powiedział mi, że nawet gdyby włożyła tam jeszcze żywe dziecko, to i tak umarłoby z braku powietrza. A więc z całą pewnością pokazane Ojcu Pio dziecko było martwe.

Matka krzyczała z rozpacz, gdy Ojciec Pio ujął maleńkie ciało w dłonie i trzymając je kilka chwil modlił się, po czym zwróciwszy się do matki powiedział: «No, i czegoś tak wrzeszczysz? Czyż nie widzisz, że twój syn śpi?». Biedna kobieta spojrzała na maleństwo i spostrzegła, że spokojnie oddycha".

CÓRKA PROTESTANTA

Generał włoskiego lotnictwa, Bernardo Rosini, opowiedział mi: „Byłem żonaty już od trzech lat, lecz moja żona nie mogła mieć dzieci. Odwiedzaliśmy najlepszych specjalistów i wszyscy radzili nam pogodzić się z tym faktem. Nie pozostawało mi nic innego, jak poprosić Ojca Pio o cud.

Spróbowałem. Na moją prośbę powiedział: «Nie martw się. Za rok zostaniesz ojcem». Zdawałem sobie wprawdzie sprawę z tego, że wierzyć w podobne słowa - to negować oczywistość, lecz mimo wszystko nadzieja przepełniała mnie radością. Po roku urodził mi się syn".

W 1947 roku generał Rosini przebywał, w Caux-sur-Montreux, w Szwajcarii, gdzie poznał sekretarza i prawą rękę doktora Francka Buchmana, założyciela «Uzbrojenia moralnego», dość rozpowszechnionego wówczas ruchu o inspiracji protestanckiej. Dużo opowiadał mu o Ojcu Pio.

Jako że słuchacz bardzo się tym zainteresował, Rosini podarował mu fotografię Ojca Pio z następującą dedykacją: «Z wiarą w to, że Ojciec Pio sprowadzi Pana na słuszną drogę».

W kilka lat później sekretarz doktora Buchmana znalazł się w rozpaczliwej sytuacji, gdyż jego córka miała być operowana z powodu guza mózgu. Przypomniawszy sobie o Ojcu Pio. Wziął ze sobą zdjęcie podarowane mu przez generała Rosiniego i pojechał do San Giovanni Rotondo. „Nie martw się, twojej córce nic nie jest" - powiedział mu Ojciec Pio.

Dziewczynkę operowano, lecz chirurdzy ku ogromnemu zdziwieniu nie znaleźli na jej mózgu nawet śladu rozpoznanego wcześniej nowotworu. Protestant nawrócił się i stał się synem duchowym Ojca Pio, a z czasem znalazł posadę w Watykanie.

OKO PAPINIEGO

Francesco Messina, znakomity rzeźbiarz włoski (o jego nawróceniu przez Ojca Pio opowiem nieco dalej), był świadkiem ważnego wydarzenia w życiu pisarza Giovanniego Papiniego. „Byłem bliskim przyjacielem Giovanniego Papiniego, wybitnego pisarza, zmarłego w 1956 roku” - powiedział mi Messina w czasie jednego z naszych licznych spotkań.

„Jak wszystkim wiadomo - mówił mi dalej Messina – Papini w ostatnich latach swego życia był całkiem sparaliżowany. Miał nawet unieruchomiony język, toteż porozumiewał się swoistymi odgłosami, które tylko jego siostrzenica była w stanie odszyfrować. Jedyne kontakty ze światem zewnętrznym pisarz zawdzięczał niezupełnie zamkniętemu prawemu oku. Widzieć odrobinę światła i móc przeczytać, wprawdzie z trudem, parę słów dziennie - to była jego ogromna radość.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie żona Papiniego i powiedziała mi: «Giovanni poślizgnął się w wannie, uderzył się w prawe oko i całkiem oślepl. Byliśmy u najlepszych specjalistów, lecz według nich nie da się nic zrobić. Uznali, że jego oko jest bezpowrotnie stracone. Giovanni jest tak strasznie smutny. Pomyślałam sobie, że skoro pan przyjaźni się z Ojcem Pio, to mógłby pan polecić mu Giovanniego».

Wiadomość ta wstrząsnęła mną do głębi. Darzyłem Giovanniego wielką przyjaźnią i byłem gotów zrobić wszystko, byleby ulżyć jego cierpieniom. «Co możemy zrobić?» - Spytałem panią Papini. «Myślę, że jeśli dam panu zdjęcie Giovanniego, a pan pokaże je Ojcu Pio, to może ten święty zakonnik zajmie się naszą sprawą» - odpowiedziała. «To niezły pomysł» - odrzekłem i zaplanowałem podróż.

Najpierw pojechałem do Florencji po zdjęcie Papiniego, po czym pośpiesznie udałem się do San Giovanni Rotondo. Byłem u Ojca Pio tydzień wcześniej, toteż zobaczywszy mnie, powiedział zniecierpliwiony: «Znowuż tutaj?». «Zdarzył się przykry fakt, któremu medycyna nie potrafi zaradzić, a który dotyczy mojego drogiego przyjaciela, Giovanniego Papiniego. To znakomity pisarz, o którym Ojciec zapewne słyszał» - wyjaśniłem mu. «A skąd ja mogę znać Giovanniego Papiniego?» - odpowiedział Ojciec Pio. «To ten, który napisał Historię Chrystusa» - nie zrażałem się. «Wielu o tym pisze» - odparł.

Uparcie ciągnąłem dalej: «Ten mój przyjaciel jest ciężko chory. Widział tylko jednym okiem, niewiele wprawdzie, lecz widział. Potłukł sobie głowę i teraz nic nie widzi». Wyciągnąłem zdjęcie Papiniego i podałem Ojcu Pio. Utkwił w nim wzrok przez kilka chwil, po czym, włożywszy je do kieszeni na piersi, powiedział: «Skoro tak rzeczy stoją, przekaz jego rodzinie, żeby się nie martwili. Ja o tym pomyślę».

Pojechałem do Florencji i powtórzyłem Papinim słowa Ojca Pio. Byłem zdenerwowany i przygnębiony. Widziałem ogromną udrękę żony Papiniego i w duszy byłem przekonany, że nic się nie zdarzy. Przez następne kilka dni nie miałem odwagi

zadzwoń do Florencji. A tu po tygodniu zadzwoniła do mnie pani Papini i z radością w głosie powiedziała: «Czy wie pan, że Giovanni znów widzi tak, jak przed upadkiem?». «Widocznie uderzenie nie uszkodziło mu oka» - odpowiedziałem. «Nie, nie» - odparła z naciskiem. - «Zdarzyło się coś dziwnego.

Wszyscy lekarze badający Giovanniego orzekli, że jego oko było nie do odzyskania, a teraz nie potrafią wytłumaczyć, jak takie oko może znowu widzieć. Ale ja i pan dobrze wiemy, co się stało» - stwierdziła. «No cóż, może lepiej nic nie mówić, bo jeszcze wezmą nas za egzaltowanych» - powiedziałem.

Giovanni Papini widział aż do dnia swej śmierci. Jak uzgodniliśmy z jego żoną, nie opowiedziała ona nikomu o tym wydarzeniu, lecz uważam, że należy przekazać je potomnym. Nie wiem, dlaczego oko Papiniego zaczęło widzieć, lecz jestem pewny, że Ojciec Pio zainteresował się pisarzem i modlił się w jego intencji".

„ILE CHCESZ DZIECI?"

O wielu niezwykłych uzdrowieniach przez Ojca Pio opowiedział mi aktor Carlo Campanini, który cały swój wolny czas spędzał w San Giovanni Rotondo. Nie tylko przyjaźnił się z Ojcem Pio, ale także z wszystkimi osobami, które były blisko niego; był więc wyjątkowo poinformowany.

„Ktoregoś dnia zwierzył mi się mój radca handlowy: «Ożeniłem się, by mieć dzieci. Kradłbym nawet, byleby urodziło mi się, choć jedno dziecko, lecz, niestety, moja żona nie może zajść w ciążę i lekarze nie dają nam żadnych nadziei». «Może pojechałbyś ze mną do Ojca Pio?» - zaproponowałem mu. «A kto to w ogóle jest Ojciec Pio?» - zapytał. Wytłumaczyłem mu. Dał się przekonać.

Następnego dnia pojechaliśmy do San Giovanni Rotondo. Przedstawiłem radcę Ojcu Pio. Opowiedziawszy mu całą swą historię, spytał się go wprost: «Czy moja żona ma się operować, by móc mieć dzieci?» Ojciec Pio odrzekł: «Ach, mój synu, noże to noże» - po czym odszedł. «Co chciał przez to powiedzieć?» - spytał mnie radca. «Nie wiem, lecz myślę, że nie zamierzał zachęcać do zabiegu chirurgicznego» - odpowiedziałem.

Wróciliśmy do domu. Radca był rozczarowany. Po miesiącu jednakże zapragnął jeszcze raz pojechać do Ojca Pio. W czasie podróży powtarzał: «Kto wie, czy pamięta moją sprawę?». «Oczywiście!. Ojciec Pio o niczym nie zapomina» - upewniałem go.

Zostaliśmy przyjęci. Radca zwrócił się do Ojca Pio: «Ojcze, proszę, tak bardzo chciałbym, żeby moja żona mogła mieć dziecko». «Ileż chcesz tych dzieci? Jedno przecież już masz» - oznajmił mu i oddalił się.

Radca spojrzał na mnie i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: «Widzisz, pomylił mnie z kimś innym». Wróciliśmy do Rzymu; Przez całą podróż mój kolega milczał. Był przygnębiony. Po dwóch dniach zadzwonił do mnie krzycząc z radością do słuchawki,

że jego żona jest w ciąży. Powiedział mu o tym ginekolog, u którego leczyła się. Lekarz nie mógł wyjść ze zdziwienia, gdyż był przekonany, iż jedynie zabieg chirurgiczny mógł umożliwić jej macierzyństwo".

„W 1953 roku - opowiedział mi Campanini - pojechałem do Ojca Pio z całą moją rodziną. Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na pogawędce z nim. W czasie naszej rozmowy moja córka Anna Grazia bawiła się, jak to dziecko, swymi paluszkami. Obok nas siedziała jakaś młoda, może 25-letnia dziewczyna, która miała dziwną chorobę. Co dziesięć, piętnaście sekund wydobywała z siebie jakby silne łkanie, czkawkę przechodzącą w głośny krzyk. Cierpiała tak, o czym później dowiedziałem się od towarzyszących jej krewnych, od wielu już lat. Została zbadana przez słynnych profesorów, lecz nikomu nie udało się jej wyleczyć.

Stała oparta o ścianę. Miała smutną twarz i spuszczone wzrok. Nic nie mówiła, o nic nie prosiła, lecz ten jej powracający, co parę chwil krzyk budził grozę. W pewnej chwili Ojciec Pio odwrócił się do niej i powiedział: «Teraz już przestań!», Lecz czkawka dalej męczyła jej biedne gardło.

Późnym popołudniem dziewczyna oraz towarzyszące jej osoby udali się w drogę powrotną do Foggii. Nagle w samochodzie poczuł silny zapach fiołków. «To Ojciec Pio» - powiedział kierowca. W tym samym momencie młoda kobieta przestała wydawać z siebie nieprzyjemny odgłos. Zawrócili z drogi do domu, by podziękować Ojcu Pio, lecz był on już w swej celi.

O. Pellegrino mówił, że kiedy go odprowadzał, Ojciec Pio, przypominawszy sobie o chorej dziewczynie, powiedział mu: «Biedna, bardzo było mi jej żal». I o tej samej godzinie, w samochodzie, straszliwa czkawka nagle jej przeszła".

PIŁA 170 LITRÓW WODY DZIENNIE

Campanini opowiadał też często o uzdrowieniu dwudziestoletniej Lucii Bellodi, jakiego dokonał Ojciec Pio na początku lat pięćdziesiątych. Powtarzał, że to uzdrowienie było bardzo głośne, gdyż dokonało się w szpitalu, niemalże na oczach lekarzy. Campanini darzył tę kobietę dużym szacunkiem, głównie dlatego, że z wdzięczności za otrzymaną łaskę postanowiła ona pracować zawsze w szpitalu, by wspomagać chorych.

W 1945 roku Lucia Bellodi rozchorowała się na cukrzycę diencefalityczną. Przez siedem lat leczono ją w szpitalu w Mirandoli, następnie w sanatorium w Gaiato, w szpitalu w Sondrio, w Modenie, aż w końcu - gdy chorobę uznano za nieuleczalną, a pacjentka nie miała już środków finansowych - przewieziono ją do przytułku w Modenie.

W ciągu owych siedmiu lat Lucii Bellodi podawano najnowsze wtedy leki, lecz jej stan nie polepszał się, wręcz przeciwnie. Choroba nie poddawała się żadnej terapii. Dziewczyna cierpiała na bardzo silne bóle głowy, jakkolwiek najgorszą jej dolegliwością było nigdy nie gasnące pragnienie. Piła nawet 170 litrów wody dziennie. Jak tylko

przestawała pić, język puchł jej do tego stopnia, że nie mogła zamknąć ust i wymiotowała krwią, toteż zmuszona była ciągle przyjmować płyny.

Pielęgniarki wpadły na pomysł postawienia koło jej łóżka dużego pojemnika z wodą, z którego wychodziła gumowa rurka. Chora trzymała ją w ustach i piła - nawet, kiedy spała. Oczywiście, im więcej piła, tym bardziej moczyła się i musiano zmieniać jej pościel kilka razy dziennie.

Co piętnaście dni występowało szczytowe nasilenie choroby, z ostrym bólem głowy i gorączką. Bóle były tak silne, że chora majaczyła. Leczący ją profesorowie obawiali się, że w czasie któregoś z takich przesileń pacjentka może umrzeć.

Kiedy upewniono się, że wiedza medyczna nie jest w stanie tej choroby uleczyć, zdecydowano przewieźć pacjentkę do szpitala Cottolengo w Turynie, gdzie dysponowano urządzeniami odpowiedniejszymi dla opieki nad nią. Jednakże rodzice Lucii woleli mieć ją bliżej i dlatego wysłana została do przytułku w Modenie.

„OJCZE, PRZYJDŹ I ZABIERZ MNIE”

Stan dziewczyny pogarszał się. Kryzysy chorobowe występowały coraz częściej, i to właśnie podczas jednego z nich dokonało się cudowne uzdrowienie. Już w pierwszych dniach swego szpitalnego życia Lucia usłyszała o Ojcu Pio i nabrała doń wielkiej czci i ufności. Modliła się do niego często, ale nigdy nie poprosiła o łaskę uzdrowienia. Prosiła jedynie o pomoc w znoszeniu cierpień lub o śmierć, która wyzwoliłaby ją z udręki.

W święto Bożego Ciała, w 1952 roku, jednej z pracujących w szpitalu sióstr zakonnych powiedziała, że chciałaby uczestniczyć we Mszy św. Prośbę spełniono, lecz po spowiedzi Lucia dostała kolejnego ataku, który trwał aż do drugiej po południu. Ataki bólu nasilały się coraz bardziej. Lucia przywoływała Ojca Pio: „Ojcze, pomóż mi, przyjdź po mnie, nie wytrzymam”. Również ci, którzy byli przy niej, prosili Boga, by wyzwolił ją z tak okrutnych cierpień.

O godzinie dziesiątej Lucia zobaczyła u swego łóżka zakonnika, który milcząc wpatrywał się w nią swymi czarnymi oczyma, jakby chciał ją za coś zganić. Nie wypowiedział ni słowa. Około drugiej po południu, w najbardziej krytycznym momencie, kiedy niemal wszyscy byli pewni, że tym razem to koniec, dziewczyna zasnęła. Lecz zanim weszła w stan nieświadomości, poczuła wokół siebie mocny zapach fiołków i znalazła jeszcze tę odrobinę siły, by zapytać, skąd wydobywa się tak przyjemna woń.

Kiedy zasnęła, zacisnęły się jej zęby i nie mogła trzymać w ustach rurki, przez którą piła wodę również w czasie snu. Opiekująca się nią zakonnica oraz jedna z pielęgniarek, w obawie przed krwotokiem, próbowały Lucie obudzić uderzając ją mocno po twarzy.

Nagle chora usłyszała czyjś głos i następujące słowa: «Wstań, jesteś już zdrowa, a dziś lub jutro odwiedź mnie w San Giovanni Rotondo». Słowa te wyrwały ją ze snu. Dziewczyna podniosła się krzycząc, że jest już zdrowa i że chce wstać z łóżka.

Obecni przy niej lekarze i inny personel przekonani byli, że dziewczyna oszalała z bólu. Ona zaś oznajmiła wszystkim o rozmowie z Ojcem Pio i o tym, że to on powiedział jej, że jest już zdrowa. Lucia Bellodi wstała, zeszła po schodach swobodnym, pewnym krokiem i wybrała się na procesję Bożego Ciała. Wyglądała, jakby nigdy przedtem nie chorowała.

Następnego dnia chciała pojechać do San Giovanni Rotondo, ale lekarze nie pozwolili jej, gdyż uważali, że nie znieśie długiej podróży. Jednakże trzy dni później Lucia wyjechała. Chciała podziękować Ojcu Pio. Po kilkudniowym pobycie w San Giovanni Rotondo dziewczyna wróciła do swojego domu w Modenie.

Poddano ją ponownym badaniom kontrolnym i analizom laboratoryjnym. Po cukrzycy przysadkowej nie było śladu. „Kiedy lekarze stwierdzili, że Lucia w niewytłumaczalny sposób wyleczyła się z cukrzycy tego typu - powiedział mi Campanini - przestrzegli ją, że nie będzie mogła mieć dzieci. A jednak, ufając do końca Ojcu Pio, w 1961 roku wyszła za mąż i z czasem urodziła dwie córki”.

WYJĄTKOWY ŚWIADEK

Jedno ze zdumiewających, cudownych uzdrowień za wstawiennictwem Ojca Pio zostało „wyproszone” przez Karola Wojtyłę, obecnego Papieża. To zdarzenie ujawnia wzruszające, nieznane szczegóły z życia polskiego Papieża, a zarazem jest szokującym wręcz dowodem daru przewidywania, jaki posiadał Ojciec Pio. Jest ono ważne zwłaszcza, dlatego, że poświadczono zostało dwoma odrębnymi listami Karola Wojtyły, napisanymi do Ojca Pio.

Chciałbym przedstawić to zdarzenie dokładnie, ponieważ różne okoliczności sprawiły, iż jestem jedyną bodaj osobą znającą wszystkie szczegóły. Przekazał mi je Angelo Battisti, przyjaciel Ojca Pio, zarządca Domu Ulgi w Cierpieniu. Zaznaczyłem już wcześniej, iż Battisti na krótko przed śmiercią zapisał niemałą liczbę kartek swoimi wspomnieniami, przekazując w ten sposób fakty i znamienne szczegóły z życia Ojca Pio, których był jedynym świadkiem. Znalazła się wśród nich relacja o cudzie, który uprosił u Ojca Pio Karol Wojtyła.

Battisti wiedział, jak ważnym, poniekąd decydującym jest ten fakt dla sprawy beatyfikacji Ojca Pio. Zresztą, na jego doniosłość zwrócił mu uwagę już sam Ojciec Pio. Dzięki dwóm listom, jakie Papież napisał wówczas do Ojca Pio, stał się on świadkiem pierwszorzędnej wagi, „superświadkiem” na korzyść wyniesienia na ołtarze stygmatyzowanego kapucyna. Dzięki tak wyjątkowemu świadkowi sprawa beatyfikacji z pewnością posunęła się naprzód w większym tempie. Z tego też względu Battisti nie

zadowolili się jedynie opisaniem dla mnie wszystkich detali owej historii popierając je kserowymi odbitkami listów Ojca Świętego, lecz w czasie jednego z naszych spotkań opowiedział mi wszystko osobiście.

Oto przebieg całego wydarzenia. W 1962 roku Karol Wojtyła był biskupem pomocniczym w Krakowie. 11 października owego roku rozpoczął się Sobór Watykański. Karol Wojtyła wraz z innymi 24 biskupami polskimi i kardynałem Wyszyńskim przybył do stolicy Włoch, by wziąć udział w tym nadzwyczajnym wydarzeniu w życiu Kościoła.

W Rzymie zamieszkał w Kolegium Polskim na Awentynie, w miejscu przepięknym, pełnym zieleni, skąd roztacza się widok na całe miasto. Był szczęśliwy, że mógł wrócić do Wiecznego Miasta, gdzie wiele lat temu studiował teologię. Miał pozostać w Rzymie do połowy grudnia. W chwilach wolnych od obrad zamierzał załatwić mnóstwo spraw.

Z wielką radością uczestniczył w bazylice Św. Piotra inauguracji Soboru. Każdego rana udawał się z entuzjazmem do auli soborowej. Pośród takiej radości pewnego wieczoru, wróciwszy do Kolegium, zastał list z bardzo smutną wiadomością: doktor Wanda Połtawska, żona jego przyjaciela, Andrzeja Połtawskiego, jest ciężko chora. Badania szpitalne wykazały nowotwór.

WIELKA PRZYJAŹŃ

Karol Wojtyła bardzo dobrze znał tę kobietę. Należała ona do jego najbliższych współpracowniczek. Wanda Połtawska pochodziła z bardzo katolickiej rodziny polskiej. W młodości udzielała się w organizacjach katolickich w Krakowie. Działała w ruchu Katolickiej Młodzieży Żeńskiej.

Z tego powodu po wkroczeniu do Polski wojsk niemieckich została aresztowana i osadzona w obozie koncentracyjnym. Spędziła tam pięć straszliwych lat, znosząc z wielką wiarą wszelakie cierpienia i próby.

Po powrocie do ojczyzny wznowiła studia medyczne i działalność w organizacjach młodzieży katolickiej. Po tym, co przeszła, stała się wzorem dla swych rówieśników. Właśnie wtedy poznał ją młody ksiądz Karol Wojtyła. Krótko przedtem mianowany został wikariuszem kościoła Św. Floriana, w samym centrum miasta. Jego głównym zadaniem była praca z młodzieżą studencką, z grupami młodzieży katolickiej. Wojtyła miał już stopnie uniwersyteckie z teologii i filozofii. Jego wykłady cieszyły się ogromnym zainteresowaniem młodzieży katolickiej.

Przyciągał do siebie liczne rzesze studentów szukających ideałów humanistycznych i religijnych. Wszyscy pozostawali pod wielkim wpływem wykładów księdza Karola i jego wyjątkowej postawy. Jego młodzi słuchacze czuli nieodpartą potrzebę kontaktu z nim, dyskusowania, rozmawiania. Wobec tego ksiądz Karol wpadł na pomysł wypadów w góry. Z dala od zgiełku miasta, w kontakcie z naturą, o wiele lepiej rozmawiało się o Bogu i o problemach życiowych.

Takie górskie wycieczki organizowano kilka razy do roku i trwały często ponad tydzień. Wanda Połtawska i jej mąż Andrzej nie opuścili żadnej. Oboje ukończyli studia medyczne i mieli specjalizację z psychiatrii. Byli żywo zainteresowani tematami poruszonymi przez księdza Karola na takich spotkaniach, a zwłaszcza problematyką małżeńską.

Wzbogacali dyskusję, dzieląc się doświadczeniem lekarskim. Wojtyła wyczuł, jak bardzo ta młoda para w swym postępowaniu kieruje się wiarą. Szybko stali się przyjaciółmi.

PRZYBRANA RODZINA

Karol nie miał rodziny. Jego matka, Emilia, zmarła, kiedy miał zaledwie dziewięć lat; starszy brat Edward, lekarz, zmarł niedługo po ukończeniu studiów medycznych, zaś ojciec umarł na atak serca w 1942 roku, kiedy Karol miał 21 lat. Te rodzinne tragedie zostawiły głęboki ślad w jego bardzo wrażliwej psychice.

Zostawszy sam na świecie, odczuwał nieraz ciężar samotności. Od kiedy jednakże poznał Wandę i Andrzeja, ów ból duszy niemal zupełnie zniknął. Andrzej i Wanda byli dlań jak brat i siostra, a ich rodzina zastąpiła mu jego własną rodzinę. Przez wiele lat wspólnie pracowali. Założyli grupy studyjne. Byli współautorami wielu publikacji, organizowali wykłady - wszystko na temat problemów rodziny i ludzkiej pary.

Później ks. Karol wykładał na uniwersytecie. Z czasem powołany został na biskupa. Rodzina jego przyjaciół powiększyła się. Wandzie i Andrzejowi urodziły się cztery córki.

Przyjaciół biskup przychodził do nich, bawił się z dziewczynkami, które nazywały go wujkiem. Przyjaźń ta była autentyczna, głęboka i wzbogacała duchowo Karola i młodą rodzinę Połtawskich.

Wiadomość o chorobie Wandy była prawdziwym ciosem. Karol Wojtyła zareagował na list z tym samym bólem serca, jakiego doświadczył, kiedy przyszło mu żegnać swych najbliższych. Zaczął modlić się za swą przyjaciółkę. Prosił Boga, by oszczędził tej rodzinie tak straszliwej tragedii. Wanda miała zaledwie 40 lat. Jej córeczki potrzebowały matczynej opieki.

Karol Wojtyła żarliwie modlił się, lecz z Polski nadchodziły coraz to gorsze wiadomości. Nowotwór powiększał się w szybkim tempie. Wanda Połtawska miała być operowana, lecz ze względu na rodzaj choroby, szansę uratowania jej życia były znikome.

Karol Wojtyła nasilił swe modlitwy. Prosił o modlitwę wszystkich swych przyjaciół, wszystkich znanych mu księży i zakonnic. Aż nagle przypomniał sobie o Ojcu Pio, którego poznał tuż po wojnie, w 1947 roku. Pojechał wtedy do San Giovanni Rotondo i spowiadał się u zakonnika. Ojciec Pio zrobił na nim ogromne wrażenie. Podobno wtedy

Ojciec Pio przepowiedział młodemu kapłanowi, że zostanie papieżem i że padnie ofiarą zamachu. Fakt ten nigdy nie został oficjalnie potwierdzony.

Natomiast bezsprzecznym faktem jest to, że ksiądz Karol Wojtyła nie zapomniał o Ojcu Pio. Wierzył zapewne w jego świętość, skoro postanowił zwrócić się do niego o pomoc.

„OJCZE, PROSZĘ...”

Wziął pióro i na papierze z nagłówkiem „Curia metropolitana cracoviensis” napisał niewyszukaną łaciną krótki list, opatrzony datą 17 listopada 1962 roku.

W liście czytamy: „Venerabilis Pater, rogo te orationem fundere pro quadam mater quattuor puellarum, Cracoviae in Polonia (durante ultimo bello per quinque annos in campo concentrationis in Germania), nunc in periculo gravissimo sanitatis et etiam vitae ratione canceris: ut Deus ei eiusque familiae misericordiam suam instante Beatissima Virgine ostendat. In Christo obligatissimus Carolus Wojtyla”.

W tłumaczeniu brzmi list następująco: „Wielebny Ojcze, proszę cię o modlitwę za pewną matkę czterech dziewczynek, mieszkającą w Krakowie, w Polsce (w czasie wojny pięć lat spędziła w obozie koncentracyjnym w Niemczech); jej zdrowie i również jej życie jest teraz zagrożone z powodu choroby nowotworowej. Módl się, by Bóg, za wstawiennictwem Najświętszej Marii Panny, okazał jej samej i jej rodzinie swe miłosierdzie. Zobowiązany w Chrystusie Karol Wojtyła”. List biskupa Wojtyły do Ojca Pio jest jasny i przejmujący w swej treści.

Życiu kobiety, o której mowa, zagraża poważne niebezpieczeństwo. Jej chorobę w latach sześćdziesiątych zwano „chorobą wieku”, która przerażała wszystkich, bo nie było na nią lekarstwa. Sytuacja rodzinna chorej jest dramatyczna: mowa o matce czwórki dziewczynek. Kobieta ta wiele już wycierpiała w swym życiu, w czasie wojny, kiedy miała zaledwie 20 lat, została więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych i spędziła pięć lat w tych fabrykach śmierci.

Biskup Wojtyła prosił Ojca Pio o to, by modlił się do Boga i do Najświętszej Marii Panny o miłosierdzie dla tej kobiety i jej rodziny.

„TEMU NIE MOŻNA ODMÓWIĆ”

List doręczono Angelowi Battistiemu, który bardzo znany był w Watykanie, gdyż pracował w Sekretariacie Stanu. Zaś, jako zarządca Domu Ulgi w Cierpieniu, był zarazem przyjacielem Ojca Pio i jedną z nielicznych osób, które w każdej chwili mogły do niego przyjść lub zapukać do jego drzwi. „List doręczył mi jeden z kardynałów włoskich” powiedział mi Battisti. - „Kardynał ów - mówił dalej - zaznaczył, że chodzi o sprawę wielkiej wagi i dlatego trzeba jak najszybciej przekazać ten list wprost do rąk Ojca Pio.

Nikt nigdy nie zlecił mi tak pilnej sprawy. Poszedłem natychmiast do domu, siadłem za kierownicę i ruszyłem do San Giovanni Rotondo. Dotarwszy na miejsce, poszedłem wprost do celi Ojca Pio. Podałem mu list mówiąc, iż to sprawa niecierpiąca zwłoki. «Otwórz i przeczytaj» - powiedział Ojciec Pio. Miał pochyloną głowę i, jak zawsze, modlił się.

Otworzyłem kopertę i zacząłem czytać mu list. Ojciec Pio słuchał nic nie mówiąc. I milczał dalej, gdy już przeczytałem te kilka słów. Byłem zdziwiony. Ten list nie miał w sobie nic wyjątkowego. Był jak wiele innych listów, które Ojciec Pio otrzymywał każdego dnia od osób proszących o jego modlitwę. W pewnej chwili Ojciec Pio, podniósłszy głowę i spojrzawszy na mnie swymi głębokimi oczyma, powiedział: «Miły Angiolino, temu nie można odmówić». Po czym spuścił głowę i pogrążył się w modlitwie.

Wsiadłem do samochodu, by wrócić do Rzymu. W czasie podróży nie przestawałem myśleć nad tym zdaniem Ojca Pio. Znałem go od lat. Przywykłem oglądać niesłychane rzeczy, jakie działy się wokół jego osoby. Wiedziałem, że każde jego słowo miało głęboki sens. Wciąż zadawałem sobie pytanie: „Ale dlaczego powiedział: Temu nie można odmówić”? Kim jest ów biskup polski? Pracowałem w Sekretariacie Stanu, lecz nigdy nie słyszałem o nim. A przecież Ojciec Pio darzył go dużym szacunkiem, skoro wypowiedział zdanie wyraźnie wskazujące, że to osoba bardzo dlań ważna - dlaczego? Po przyjeździe do Rzymu pytałem moich współpracowników, czy znają biskupa Wojtyłę, lecz nikt nigdy nie słyszał tego nazwiska".

Dokładnie po jedenastu dniach, 28 listopada, biskup Wojtyła napisał do Ojca Pio drugi list. „Venerabilis Pater, mulier habitans Cracoviae in Polonia, mater quattuor puellarum, die 21 XI, ante operationem chirurgicam repente sanitatem recuperavit. Deo gratias. Tique, pater venerabilis, item maximas gratias ago nomine ipsius eiusque mariti et cunctae familiae. In Christo Carolus Wojtyła vicarius capitularis cracoviensis".

Oto i jego tłumaczenie: „Wielebny Ojcze, kobieta mieszkająca w Krakowie, w Polsce, matka czterech dziewczynek, dnia 21 listopada, przed operacją chirurgiczną, nagle wyzdrowiała. Składamy dzięki Bogu. Również Tobie, czcigodny Ojcze, składam moje serdeczne podziękowania w imieniu tej kobiety, jej męża i całej jej rodziny. W Chrystusie, Karol Wojtyła, wikariusz kapitułny krakowski".

„ZACHOWAJ TE LISTY”

Ten drugi list biskupa Wojtyły wyraża radość. Bardzo zwięźle informuje o niesłychanym fakcie, podając kilka istotnych elementów, które wskazują, że to, co się zdarzyło, jest wyjątkowym cudem. Wyzdrowienie kobiety było nagłe i dokonało się w czasie jej pobytu w szpitalu, na krótko przed planowaną operacją. A zatem stało się na oczach lekarzy, pod kontrolą nauki. Prawdziwy cud, który biskup Wojtyła przypisuje bez cienia wątpliwości interwencji Boskiej uzyskanej dzięki modlitwom Ojca Pio.

Również i ten list doręczono Battistiemu, by bezzwłocznie go zawiózł do San Giovanni Rotondo. „Wyjechałem natychmiast, ponieważ i tym razem proszono mnie w Watykanie o pośpiech” - powiedział mi Battisti. - „Przybywszy do klasztoru, zjawiłem się od razu u Ojca Pio i pokazałem mu list. On zaś, jak zwykle, powiedział: «Otwórz i przeczytaj».

Tym razem czytałem z dużym zainteresowaniem, ponieważ chciałem dowiedzieć się, coś ważnego było jeszcze do powiedzenia. Przeczytawszy o tak wyjątkowym, niesłychanym uzdrowieniu, spojrzałem w kierunku Ojca Pio, jakbym chciał pogratulować mu, lecz on pogrążony był w modlitwie.

Zdawał się nie słuchać mego głosu w czasie lektury listu. Czekałem w milczeniu na jakieś jego polecenie. Po paru chwilach rzekł do mnie: «Angiolino, zachowaj te listy, bo któregoś dnia nabiorą one niezwyklej doniosłości». Wróciłem do Rzymu. Schowałem u siebie te listy, zgodnie z poleceniem Ojca Pio.

Minęło szesnaście lat. Prawie zapomniałem o tym, że mam te listy u siebie. Ale wieczorem w poniedziałek 16 października 1978 roku, kiedy ze środkowej loggii bazyliki Św. Piotra usłyszałem głos kardynała Feliciego, który oznajmił światu imię nowego papieża, następcy Jana Pawła I - zamarłem. Brzmiało ono Karol Wojtyła! To był ten sam biskup polski, który dał mi list do Ojca Pio z prośbą o uzdrowienie kobiety z Krakowa. Od razu pomyślałem o zdaniu Ojca Pio: «Temu nie można odmówić», i stanęły mi łzy w oczach”.

„DLACZEGO NIE WYMUSI OJCIEC CUDU?”

Ojcu Albertowi d'Apolito udało się wyprosić u Ojca Pio w przeddzień jego śmierci jeszcze jedno zadziwiające uzdrowienie. Był to prawdopodobnie ostatni cud, jakiego dokonał przed zejściem z tego świata. „20 września 1968 roku przypadała pięćdziesiąta rocznica pojawienia się stygmatów na ciele Ojca Pio” - zaczął swą opowieść o. Alberto. - „Zdecydowano jednak, że uroczystość odbędzie się 22 września, w niedzielę.

Do San Giovanni Rotondo przybyło wielu wiernych, by okazać cześć Ojcu Pio. Wśród nich był Gino Pin z Bielli z całą swą rodziną. Ponieważ przyjaźniłem się z Ginem, pomyślałem, że chętnie przyjmie ode mnie na pamiątkę obrazek święty z dedykacją od Ojca Pio. Poszedłem do Ojca Pio i nie mówiąc mu, komu chciałem podarować ten obrazek, poprosiłem, by napisał na odwrocie kilka słów. On zaś wziął obrazek, pobłogosławił go i napisał: «Niechaj Jezus i Maryja zawsze osładzają twoje smutki».

Przeczytawszy te słowa, zmieszałem się, gdyż dobrze znałem nieszczęścia, jakie spadły na rodzinę mego przyjaciela, toteż w pierwszej chwili pomyślałem, że nie dam mu tego obrazka. Później jednak zmieniłem zamiar.

Kiedy Gino przeczytał te słowa, ze łzami w oczach spytał mnie: «Przeczytał ojciec, co napisał Ojciec Pio?». «Nie martw się. Wiesz, że Ojciec Pio jest przy tobie» -

odpowiedziałem. Wieczorem Pin przybiegł do mnie wstrząśnięty i oznajmił mi: «Ojciec Alberto, słowa Ojca Pio sprawdziły się. Moją córkę, Marię Pię, odwieziono do szpitala z wysoką gorączką i straszliwymi bólami brzucha. Lekarze sądzą, że może to być ostre zapalenie wyrostka lub otrzewnej. Konieczna jest operacja».

Mój przyjaciel spędził całą noc w szpitalu przy córce, której stan z godziny na godzinę pogarszał się. Nad ranem powiedział mi: «Maria Pia jest bardzo chora. Chciałbym przewieźć ją do Bielli. Jeśli ma się coś złego wydarzyć, niech to będzie w domu. Tak bardzo pragnąłbym poradzić się Ojca Pio, by wiedzieć, co czynić».

Było to 22 września. Tego dnia Ojciec Pio po odprawieniu porannej Mszy św. zemdał. On też był bardzo chory. To był ostatni dzień jego życia. Nie chciałem mącić jego spokoju, lecz bardzo było mi żal mojego i przyjaciela Ginę. Zdobyłem się na odwagę i poszedłem do Ojca Pio. Siedział w fotelu, pogrążony w modlitwie. Odezwałem się, lecz nie usłyszał mnie. Dotknąłem, więc jego kolana. «Czego chcesz?» - zapytał otwierając oczy.

Opowiedziałem mu pokrótce, co przydarzyło się Ginowi Pin i dodałem: «Mój przyjaciel chciałby dowiedzieć się, czy może zawieźć małą do Bielli, czy lepiej zostawić ją tutaj». Ojciec Pio bez chwili wahania odpowiedział: «Niech zostanie w tutejszym szpitalu. Jeśli operacja jest konieczna, niechaj ją operują tutaj, nie zaś w Bielli. Będę się modlił».

Byłem sam na sam z Ojcem Pio. Może, dlatego pozwoliłem sobie na niedelikatność i nalegałem. «Ojciec, mój przyjaciel to człowiek biedny. Nie będzie mógł sprostać wszystkim wydatkom związanym z pobytem rodziny w San Giovanni Rotondo. Dlaczego nie wymusi Ojciec na Matce Boskiej uzdrowienia tej dziewczynki bez operacji?». Wypowiedziałem te słowa ze spuszczoną głową. Nie śmiałem podnieść wzroku. Wiedziałem, że to, co ośmieliłem się powiedzieć, było wręcz niedopuszczalne.

Ojciec Pio milczał. Nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy, lecz po kilku minutach głuchej ciszy musiałem zrobić to. Nieśmiało podniosłem oczy i natknąłem się na utkwione we mnie głębokie spojrzenie Ojca Pio. «Dobrze» - powiedział. - «Będę modlił się do Matki Boskiej» - zapewnił mnie.

Pobiegłem do Gina z wiadomością od Ojca Pio. Po paru godzinach lekarze zobaczyli małą pacjentkę siedzącą na łóżku. Dokładnie zbadali ją i okazało się, że dziewczynka jest całkowicie zdrowa. Tego samego dnia została wypisana ze szpitala".

LISTY Z CAŁEGO ŚWIATA

Ojciec Pio również po śmierci wysłuchiwał wielu prośb cierpiących ludzi. I jest tak do dziś. Do klasztoru Matki Boskiej Łaskawej w San Giovanni Rotondo przychodzi codziennie mnóstwo listów z podziękowaniami. Pisane są do o. Gerarda z Fulmeri, redagującego czasopismo pod nazwą „Głos Ojca Pio", w którym publikowane są niektóre z nich. Wiele osób dziękując poświadcza zarazem autentyczne cuda.

Maria Panuele z Cuneo pisze: „Mój syn Mauro dwa lata temu zachorował na raka, co - według lekarzy - było śmiertelnym zagrożeniem. Mauro leczony był w wielu szpitalach, ale wszyscy specjaliści stawiali tę samą diagnozę. Można sobie wyobrazić naszą rozpacz. Modliłam się bezustannie do Ojca Pio i ślubowałam też Bogu, że jeśli tylko Mauro wyzdrowieje, pojedziemy razem w pielgrzymce do San Giovanni Rotondo. Moje modlitwy zostały wysłuchane: Mauro czuje się już dobrze, a po chorobie nie został nawet ślad”.

Antonio Carotenuto z Boscoreale napisał: „17 maja 1976 roku dostałem paraliżu i przez pięć miesięcy byłem zupełnie unieruchomiony. Było to wypadnięcie krążka międzykręgowego. Trzymano mnie w wielu szpitalach, aż w końcu profesor Giuseppe Giuda oznajmił mi, że muszę być natychmiast operowany. Przed operacją modliłem się żarliwie do Ojca Pio. W nocy poprzedzającej operację miałem sen, w którym pojawił się przede mną Ojciec Pio. Uśmiechając się podał mi rękę i oznajmił: «Nie bój się, nic ci nie dolega. Jesteś zdrow»». Obudziłem się krzycząc z radości. Przybiegły zewsząd pielęgniarki neapolitańskiej kliniki, gdzie leżałem. Opowiedziałem im o moim śnie. Nad ranem, przed operacją, profesor zbadał mnie i oświadczył, iż jestem zdrow. Problemy z kręgosłupem zniknęły”.

Giuseppina Sireci Chimento z Turynu napisała: „Któregoś ranka, a było to w październiku 1980 roku, po siedmiu latach okropnych cierpień z powodu szczególnej formy artrozy prawej ręki, zwróciłam się w modlitwie do Ojca Pio, by odjął mi, choć trochę bólu, lecz bez skutku. Wieczorem tego samego dnia poszłam spać zapomniawszy o mej porannej modlitwie. Zazwyczaj miałam trudności z zasypianiem, tym razem jednak pograżyłam się w głębokim śnie. Nad ranem nie czułam żadnego bólu. Palce prawej dłoni były normalne i mogłam je zupełnie wyprostować”.

Rosaria Piccolo napisała z Grammichele, w prowincji Catania: „Urodziłam się bez nasady lewej kości udowej. Poruszałam się kulejąc i odczuwając jednocześnie wielki ból, toteż już w wieku dwunastu lat zmuszona byłam niemal zawsze siedzieć. Wielu znakomitych profesorów powiedziało mi, że nic się na to nie poradzi, a co gorsza, że w wieku dorosłym noga nie będzie w stanie utrzymać ciężaru ciała, toteż zdana będę na wózek inwalidzki. W maju zdobyłam adres słynnego rzymskiego ortopedy. Udałam się do niego. Polecił mi wykonać tomografię, po której powiedział, że może mnie operować, ale potrzebne byłyby aż trzy zabiegi. Pierwszy z nich wyznaczył na dzień 23 września. Niektórzy dodawali mi otuchy i wiary, gdyż był to dokładnie dzień śmierci Ojca Pio. Taki zbieg okoliczności skłonił mnie do zwrócenia się do Ojca Pio z prośbą, by oszczędził mi tych trzech operacji lub przynajmniej pomógł w uzyskaniu pomyślnego rezultatu. Kiedy 21 września chirurg ponownie zbadał mnie, zauważył coś dziwnego w mojej nodze. Kazał zrobić mi prześwietlenie, z którego wynikało, iż chora kość udowa jest zupełnie normalna. Zamiast trzech operacji poddano mnie tylko jednej, w celu wydłużenia nogi”.

Maria Immacolata Di Padova z San Marzano, w prowincji Taranto, opisała w swym liście następujące zdarzenie: „Po wielu dniach pobytu w szpitalu badania diagnostyczne wykazały, że mam raka macicy. Była konieczna natychmiastowa operacja! Byłam przerażona. Zwróciłam się z nadzieją do Ojca Pio błagając go, by w czasie operacji był przy mnie. Kiedy modliłam się, zdawało mi się, że obok mego łóżka widzę jego ojcowską postać. Jakby chciał dodać mi otuchy. Oparłszy swą dłoń na moim ramieniu zdawał mi się mówić: «Bądź spokojna, zabieg powiedzie się!». Odniosłam nawet wrażenie, że czuję ciężar jego dłoni. I czas pokazał, że nie było to jedynie «wrażenie». Otóż po zabiegu, którego wyniki były świetne, na rękawie mojego szlafroka zauważyłam ślad prawej dłoni. Ku memu zdumieniu nie dało się go zmyć i po wielu praniach pozostawał jeszcze wyraźny”.

23 października 1968 roku Giuseppe Scatigna z Palermo poddany został zabiegowi chirurgicznemu w celu usunięcia guza limfo gruczołowego w pachwinie. Wynik badania histopatologicznego nie dawał nadziei. Chory modlił się do Ojca Pio. 8 listopada przyjęty został do Domu Ulgi w Cierpieniu na badania kontrolne: nie znaleziono niczego, co mogłoby wskazywać na przerzuty rozpoznanego wcześniej nowotworu. Pacjent został wypisany ze szpitala i do dziś cieszy się świetnym zdrowiem.

Antonio Paladino, całkowicie sparaliżowany wskutek wypadku przy pracy, od 33 lat przykuty był do łóżka. W nocy 12 grudnia 1968 roku poczuł, jak ktoś dotyka jego lewego barku. Stał przy nim Ojciec Pio. I powiedział mu: „Wstań i chodź”. Wstał z łóżka i zaczął chodzić.

TONY Z TEKSASU

Dwudziestoletni Tony John Collette, mieszkający w Houston, w stanie Teksas, zapadł na nieuleczalną chorobę. Diagnoza postawiona w 1969 roku brzmiała: lipoidoza, czyli choroba niszcząca system nerwowy mięśni. Tony przeszedł wiele operacji i badań. Jego nader rzadki przypadek omawiany był nawet w fachowym czasopiśmie „Medical Journal”. Odczuwał ból w całym swym ciele. Musiał nosić metalowy pancerz wspierający jego kręgosłup oraz na nogach metalowe cholewki. Mógł poruszać się, i to z trudem, tylko o kulach. Po długim pobycie w szpitalu St. Joseph w Houston, 23 lipca 1973 roku oznajmiono mu, iż lekarze zrobili, co było w ich mocy. Tony odesłany został do domu. W nocy cierpiał okropne męki.

Około godziny trzeciej zobaczył, jak do jego pokoju wchodzi jakiś mężczyzna, który uśmiechając się, oznajmił: „Chcę ci pomóc, nie bój się”. Tony rozpoznał w nim Ojca Pio, do którego wiele razy modlił się. Kiedy zakonnik patrzył na niego, Tony czuł na całym swym ciele dreszcze i ogarniało go trudne do opisania uczucie szczęścia. Po kilku sekundach wszystkie bóle ustąpiły. Był odprężony i spokojny. Niedługo potem Ojciec Pio zniknął, a Tony zasnął. Nad ranem lekarze, krewni i przyjaciele Tony'ego byli świadkami jego nagłego, niewytłumaczalnego powrotu do zdrowia. Ze zdumieniem

zobaczyli, że Tony może chodzić szybkim krokiem, bez metalowych podpór i kul, nie odczuwając żadnego bólu.

ALICJA Z LIVERPOOLU

Frank i Alicja Jones są małżeństwem wyznania anglikańskiego. Mieszkają w St. Helens, w hrabstwie Lancashire, małym miasteczku przemysłowym niedaleko Liverpoolu. Nigdy nie słyszeli o Ojcu Pio. Nie wiedzieli, kim jest, gdzie mieszka i co robi, a mimo to ukazał się im. Alicja Jones od siedmiu lat była na wpół sparaliżowana. Ojciec Pio ją uleczył.

O tym niesłychanym zdarzeniu opowiada sama cudownie uzdrowiona - Alicja Jones: „Wypadek, wskutek którego miałam zostać do końca życia kaleką, zdarzył się 27 marca 1973 roku. Pracowałam, jako nauczycielka w miejscowej szkole podstawowej. Owego dnia przenosiłam właśnie ciężki stół, kiedy wpadł na mnie jeden z uczniów. Straciłam równowagę i upadłam na ziemię. Próbowałam podnieść się, lecz moje nogi były jak z waty.

Przybiegli inni nauczyciele, by pomóc mi. W strasznych boleściach zawieszona zostałam do domu. Lekarz przepisał mi środki przeciwbólowe i zalecił absolutny, parotygodniowy wypoczynek. Minęły miesiące, a mój stan wciąż pogarszał się, tak że w marcu 1974 roku wyładowałam w szpitalu Broadgreen w Liverpoolu, gdzie poddana zostałam długiej operacji. Stwierdzono u mnie ściągnięcie i skrzywienie kręgosłupa, odkryto również, iż paraliż lewego ramienia spowodowany był włókniakiem nerwu.

Po paru latach poddano mnie drugiej operacji, tym razem w szpitalu St. Helens. Celem zabiegu było usztywnienie kręgosłupa specjalną metalową wkładką. Nie pozwalała mi ona zginać się. Leżałam przykuta do łóżka przez 12 miesięcy, z tułowiem i lewą kończyną w gipsie. Co cztery godziny specjalne urządzenie podnosiło mnie do góry, by pielęgniarki mogły zmienić mi pozycję. Operacja okazała się absolutną klęską.

Wróciłam do domu jeszcze bardziej zrozpaczona. Mogłam poruszać się tylko i wyłącznie o kulach oraz z pomocą podpory ortopedycznej zakończonej specjalnym butem, a wyposażonej w urządzenie sprężynowe przywracające stopę do pozycji normalnej. Nosiałam stalowy gorset.

Po drugiej operacji nabawiłam się na dodatek infekcji lewej stopy. Cierpiałam straszliwie, toteż przez cały niemal dzień siedziałam skulona na podłodze i bałam się nawet głębiej oddychać, żeby nie powodować skurczów nerwów kręgowych. Wpadłam w głęboką depresję i nieraz myślałam o samobójstwie. Zażywałam nawet dwadzieścia tabletek uspokajających dziennie, a nadto wypijałam pół butelki whisky. Nie czułam się istotą ludzką, lecz wrakiem niezdolnym nawet do samodzielnego zaspokojenia swych najprostszych potrzeb fizjologicznych.

Straciłam też wiarę; nie potrafiłam się modlić. Mąż zaproponował pielgrzymkę do Lourdes, lecz odmówiłam - nie miałam zaufania do nikogo i w nic nie wierzyłam, włącznie z Bogiem. Straciłam pracę, wydaliśmy wszystkie nasze oszczędności, a już ostatecznym ciosem była śmierć mojej matki, którą uwielbiałam. Sparaliżowana, nie mogłam nawet iść na jej pogrzeb.

W 1980 roku, z okazji setnej rocznicy powstania diecezji anglikańskiej w Liverpoolu, kościół St. James the Great, do którego należałam, zaprosił na uroczystości dwóch księży z innych diecezji. Jednym z nich był ks. Eric Fisher, który miał poprowadzić w naszym kościele kurs «duchowych uzdrowień».

Odmówiłam udziału w kursie. Po pierwsze, dlatego, że nie wierzyłam już w Boga; po drugie, nie mogłam ruszać się, a nie chciałam, żeby mnie noszono. Nigdy przedtem nie widziałam księdza Fishera. To on zresztą, dowiedziawszy się o moim stanie, chciał mnie koniecznie odwiedzić".

„ZJAWIŁ SIĘ PRZED MĄ JAKIŚ STARY MNICH"

„Przyszedł we wtorek 27 maja. Był to młody, dobroduszny człowiek, zupełnie inny niż go sobie wyobrażałam. Powiedziała mu, że jestem sparaliżowana od siedmiu lat i od razu wyraził mi swe wątpliwości, co do jego mocy «duchowego uzdrawiania». Poprosiłam go również, by nie mówił mi o Bogu. «Dobrze, porozmawiajmy o tobie» - odparł. Wylałam całą gorycz, którą tłumiłam w sobie przez siedem długich bolesnych lat; zwierzyłam się ojcu Fisherowi z moich zamiarów samobójstwa. Dał mi się wyładować, po czym dotknął moich pleców i po raz pierwszy od tylu lat poczułam ciepło i mrowienie, które trwało przez całą noc.

Ojciec Fisher pożegnał się z nami. Moja młodsza córka, Leslie, która miała wtedy 21 lat, zwróciła moją uwagę na to, że w pokoju pozostał silny zapach róż i fiołków. «Ten ksiądz używa jakiejś wody toaletowej lub płynu po goleniu o bardzo intensywnej woni» - zauważyła. Ja nie czułam zaś żadnego zapachu.

Ojciec Fisher wrócił następnego dnia, w środę 28 maja, około godziny 11. Leżałam na podłodze, w najwygodniejszej dla mnie pozycji, a w saloniku siedziała moja córka Leslie i jej mąż Steven. Ojciec Fisher powiadomił mnie od razu, że długo modlił się za mnie i że miał objawienie: moje deformacje i bóle znikną. Powiedział mi: «Ściągnij metalową cholewkę i wyrzuć ją». Kiedy zaczął uciskać rękami moją sparaliżowaną nogę, czułam przeszywający ból, którego nigdy przedtem nie odczuwałam. To był straszliwy ból, jakby przeszywała me ciało rozżarzona szpada. Wstałam z podłogi i usiadłam z trudem na fotelu. «Spróbuj chodzić» - usłyszałam.

Nagle, jakby nałożoną na jego twarz, zobaczyłam twarz starca o gęstej brodzie, ubranego w mnisi habit. Na twarzy miał szramę, zaś jego dłonie były ściśnięte, jakby zeszywniałe. Poruszył się i stanął koło mnie. Zauważyłam, że stary mnich coś mówi.

Mówił w jakimś obcym języku, lecz mimo to rozumiałam wszystkie jego słowa. Powiedział: «Jezu, Jezu», po czym podniósł rękę i niemalże szeptem dodał: «Twoja stopa jest teraz silna, twoja noga jest zdrowa. Wstań i chodź». Zawahałam się. Przez siedem lat nigdy nie zrobiłam kroku bez sztucznej podpory i bez kul. Stary mnich powtórzył swe polecenie tym razem rozkazującym głosem: «W imię Chrystusa, chodź!». Wykonałam polecenie i bez niczyjej pomocy przeszłam sama przez cały pokój.

Mnich nagle zniknął, a na jego miejscu zobaczyłam ponownie ojca Fishera. W tym samym momencie zniknęły wszystkie moje bóle. Nie wiedziałam, czy jestem żywa, czy też przeszłam już do świata zmarłych. Nie wiedziałam, kim był ten mnich. To nie był Jezus, gdyż był zbyt stary. Pomyślałam, nie wiem, dlaczego, że był to Mojżesz.

Ojciec Fisher nakreślił znak krzyża i przed wyjściem z pokoju powiedział: «Teraz już mnie nie potrzebujesz>>». Jak tylko przeszło mi początkowe oszołomienie, pobiegłam do mojego pokoju i wyciągnęłam z szafy stare szpilki, których nie nosiłam od czasu wypadku. Ubrałam je, wzięłam na ręce mojego wnuczka i zaczęłam tańczyć jak oszalała.

Zadzwoniłam od razu do męża, który od 30 lat pracował, jako pielęgniarz na oddziale ortopedycznym miejscowego szpitala. «Frank, Frank, mogę chodzić, mogę ruszać się, nic mnie już nie boli!» - krzyczałam płacząc.

Pomyślałam odruchowo, że zażyłam zbyt silną dawkę środków uspokajających i że mam halucynacje. «Uspokój się, nic nie rób. Zaraz będę w domu» - powiedział. „Dla nauki jestem wciąż jeszcze kaleką”

Frank Jones, obecny przy naszej rozmowie, potwierdza wszystko:, „Kiedy zobaczyłem moją żonę tańczącą w szpilkach, pomyślałem, że to ja mam halucynacje”. Owej nocy nie zmrużyłem oka. O piątej rano zbadałem jej kręgosłup i wszystko było normalne. Przez całe lata była zimna jak lód, a teraz jej ciało było ciepłe i giętkie, krążenie krwi jak u każdego zdrowego człowieka. Po włókniaku nie zostało nawet śladu”.

„Moja córka i zięć - opowiadała dalej Alicja Jones - byli obecni w chwili, kiedy znów zaczęłam chodzić. Nie widzieli zakonnika, ale czuli silny zapach, jaki pozostawił po sobie, a którego - dziwna rzecz - nie czułam jedynie ja.

Następnego dnia poszliśmy wszyscy do kościoła. Ojciec Fisher dał mi obrazek święty. Na jednej jego stronie widniała twarz zakonnika z brodą. «To on!» - krzyknęłam zdziwiona. - «To ten starzec, który pojawił się w mojej wizji. Kim on jest?» - zapytałam. «To Ojciec Pio, przyjaciel cierpiących» - odpowiedział ks. Eric Fisher, po czym dorzucił, iż wiele lat temu poznał go i zaprzyjaźnił się z nim w czasie swego pobytu w San Giovanni Rotondo.

Nigdy przedtem nie słyszałam o Ojcu Pio ani też nie widziałam żadnej jego fotografii. Postanowiłam wybrać się do San Giovanni Rotondo. Ja, mój mąż i ks. Fisher udaliśmy się tam w pielgrzymkę pod koniec roku 1980. Przybywszy do San Giovanni

Rotondo odniosłam wrażenie, jakbym już tu kiedyś była i pewnym krokiem podążyłam w kierunku ołtarza Matki Boskiej.

Od owego dnia nigdy więcej nie używałam kul, środków uspokajających ani nawet najzwyczajszej aspiryny. Byłam tak głęboko przekonana o moim uzdrowieniu, że zwróciłam książeczkę rencistki poświadczającą moje inwalidztwo. Od owego dnia czuję się inną osobą, zupełnie jakby zaczęło się dla mnie nowe życie, pełne miłości i pogody ducha.

Lecz czekała mnie jeszcze jedna wielka niespodzianka. Za poradą doktora Francisa Mooneya, żarliwego katolika i słynnego patologa, 19 sierpnia 1980 roku poddałam się dodatkowym badaniom rentgenowskim. Ku naszemu zdziwieniu ze zdjęć wynikało, że mój kręgosłup jest ciągle jeszcze uszkodzony i sztywny z powodu skoliozy na odcinku lędźwiowym, po lewej stronie. Fakt niesłychany: mam usztywniony kręgosłup, czyli taki, jaki był, kiedy byłam sparaliżowana. A przecież mogę chodzić, tańczyć, zginać się dotykając podłogi palcami dłoni, robić przysiady i skręty tułowia bez najmniejszego bólu i trudu. I nikt nie potrafi wyjaśnić, jak do tego doszło".

HISTORIE WIELKICH NAWRÓCEŃ

„Największymi cudami, których dokonał Ojciec Pio, są nawrócenia" - powiedział mi o. Domenico Mondrone, jezuita, przyjaciel i biograf Ojca Pio. „Nie należą do zjawisk, które można ocenić za pomocą konkretnych pojęć, związane są, bowiem ze światem wewnętrznym człowieka, z jego duszą; i choć często są faktami głośnymi, nie dają się jednakże zbadać do końca.

Nawrócenie - tłumaczy dalej o. Mondrone - to proces duchowy. Oznacza «zmianę myślenia», «powrót do porzuconego Boga». Oznacza dostrzeżenie sprzeczności własnego życia z prawdą, uświadomienie sobie popełnionych błędów i odpowiedzialności za nie oraz wolę dokonania zmiany swego postępowania, rozpoczęcia nowego życia, w zgodzie z odnalezioną prawdą.

Wszystko to wymaga udziału rozumu, który widzi i poznaje prawdę, udziału woli, która wybiera drogę życiową do niedawna odrzucaną, a także «łaski». «Łaska» właśnie, gdyż według teologów nawrócenie to «łaska», czyli «dar Boży», i dlatego nawrócenie może się dokonać tylko dzięki działaniu Bożemu.

Proces nawrócenia jest, więc bardzo złożony. Na ogół zmiana ta w normalnych warunkach wymaga pewnego czasu. Czasu potrzebnego do refleksji, dokonania ocen i powzięcia decyzji. Lecz są również przypadki, kiedy wszystko to rozgrywa się w jednej chwili. Osoba, porażona łaską, decyduje się natychmiast odmienić własne życie.

Typowym przykładem takiego nawrócenia jest Paweł z Tarsu, zwany Szawłem. Przyszły św. Paweł wysłany został z Jerozolimy do Damaszku na czele grupy żołnierzy żydowskich, ażeby prześladować tam chrześcijan. Nagle w drodze ukazał mu się

Chrystus. Paweł spadł z konia i oślepiła go światłość niebieska. Usłyszał głos Chrystusa: «Szawle, Szawle, dlaczego mnie prześladujesz?». Zrozumiał wtedy, że chrześcijanie są Chrystusowymi uczniami. Zobaczył swój błąd, wyczuł intuicyjnie prawdę i zmienił momentalnie swą postawę, przeistaczając się z prześladowcy w apostoła.

Takie są cudowne nawrócenia - cuda w pełnym tego słowa znaczeniu, gdyż dokonują się poza normalnymi procesami psychicznymi, w sferze, która przewyższa prawa natury".

Niemożliwe jest nawet wyobrazić sobie, ile nawróceń dokonało się w San Giovanni Rotondo za sprawą Ojca Pio. „Brat ze stygmatami" spędzał większą część swego czasu w konfesjonale. Nie wygłaszał ani kazań ani wykładów, ani też nie był misjonarzem. Wysłuchiwał spowiedzi osób zwracających się do niego o duchową poradę. Był „lekarzem dusz".

W latach dwudziestych i trzydziestych trwał w konfesjonale do 19 godzin dziennie. Później, z powodu słabego zdrowia, zmuszony został zmniejszyć ilość czasu poświęcanego na taką działalność apostolską. Lecz kiedy tylko mógł, zasiadał w swym małym i niewygodnym konfesjonale, przy którym stała zawsze długa kolejka osób cierpliwie czekających na moment zwierzenia się mu ze swych rozterek duchowych. I niemal zawsze odchodzący od konfesjonu penitent miał łzy w oczach, jakby na znak wielkiej zmiany, która zaszła w jego sercu.

Każdego dnia przy konfesjonale Ojca Pio dokonywały się cudowne nawrócenia. Nadzwyczajne cuda, które na zawsze pozostaną w ukryciu przed ciekawością ludzką. Czasami jednak, kiedy dotyczyły one bardzo znanych osób, dokonywały się jakby na oczach ludzi, stawały się publiczną tajemnicą. Wywoływały zdziwienie oraz dyskusje w gronie prywatnym i na łamach gazet, gdyż były historiami wciągającymi, pełnymi dramatyzmu i głęboko ludzkich, wzruszających momentów, a przy tym obfitowały w tajemnicze treści duchowe.

Do pierwszych nawróceń doszło wraz z pojawieniem się na ciele Ojca Pio stygmatów. Rany te stały się katalizatorem o wielkiej sile. Stykając się z Ojcem Pio, dusze ludzkie doznawały porażenia podobnego temu, jakie przydarzyło się Pawłowi z Tarsu.

ODPRZYSIĘŻENIE SIĘ PRZYWÓDCY ŁOŻY MASONSKIEJ

Jeden z pierwszych głośnych przypadków nawrócenia wiąże się z adwokatem Cesare Festą, kuzynem tego samego doktora Festy, który badał stygmaty Ojca Pio. Cesare Festa, genueńczyk, cieszył się sławą wybitnego prawnika w całej Ligurii. Sprawował zaszczytną funkcję prezesa stowarzyszenia kombatantów włoskich; był burmistrzem Arenzano oraz doradcą Wiktora Emanuela III. Za młodu wstąpił do masonerii, w której doszedł do jednej z najwyższych pozycji.

Z właściwą mu nieugiętością i bezkompromisowością zwalczał wszystkimi swymi siłami Kościół katolicki. Często spotykał się ze swym kuzynem, doktorem Festa, i dyskutowali wtedy o cudach. Któregoś dnia doktor Festa powiedział mu: „Pojeźdź do San Giovanni Rotondo i tam przekonasz się, że cuda, w które ty nie wierzysz, jednak istnieją”. Adwokat przyjął propozycję, pewien, że zdemaskuje oszusta.

Kiedy wszedł do klasztoru, Ojciec Pio rozmawiał właśnie z grupą osób. Zostawił je i podszedłszy do adwokata, zapytał go na przywitanie: „Jak to? Pan tu przyszedł? Przecież pan jest masonem?”. „Tak, to prawda” - odpowiedział zmieszany Cesare Festa. „A na czym polega pańska funkcja w masonerii?” - pytał dalej Ojciec Pio. „Zwalczam Kościół” - odrzekł adwokat ledwo dosłyszalnym głosem.

Ojciec Pio chwycił adwokata za rękę, uśmiechnął się i odeszli na bok. Długo rozmawiali w cztery oczy. Już po godzinie Cesare Festa był inną osobą. Uklęknął przed Ojcem Pio i poprosił go o spowiedź. „Nie, jeszcze za wcześnie. Bóg da ci znak, kiedy przyjdzie na to właściwy moment” - odpowiedział Ojciec Pio.

Po powrocie do Genui Cesare Festa napisał do kuzyna te słowa: „Dzięki. Otworzyłeś przede mną drogę, po której będę szedł. Nie mogę pisać ci o tym w liście. Powiem ci jedynie, że powróciłem stamtąd w wielkim ukojeniu; pragnę ciszy, żeby nic nie wzburzyło mego ducha”.

Nie minął tydzień, i adwokat ponownie zjawił się w San Giovanni Rotondo. Czuł nieodpartą potrzebę kontaktu z Ojcem Pio, który teraz zasugerował mu odbycie pielgrzymki do Lourdes. Wiadomość ta odbiła się głośnie echem w opinii publicznej. Na łamach „Avanti” dużymi literami napisano: „Mason w pielgrzymce do Lourdes”.

Łoża masońska, na której czele stał do niedawna Cesare Festa, znalazła się w trudnej sytuacji. Zwołano tajne zebranie, by pozbyć się Festy. Adwokat chciał być na nim obecny. I właśnie na tym zebraniu dokonał odprzysiężenia, odważnie przyznając się do wiary przed tymi, którzy do niedawna byli jego „braćmi” w walce z religią. Od tego momentu słynny adwokat Cesare Festa stał się zdecydowanym apostołem Wiary i synem duchowym Ojca Pio.

ŁAŃCUCH NAWRÓCEŃ

Za przykładem Festy poszli i inni. Ezio Saltamerenda, również genueńczyk, biolog z wykształcenia, dyrektor Genueńskiego Instytutu Bioterapii, był powszechnie znanym naukowcem w swym mieście. Poruszony do głębi odmianą Festy, pojechał do San Giovanni Rotondo, by zrozumieć, co mogło przeistoczyć tak zawziętego masona w żarliwego chrześcijanina - i on również powrócił do domu nawrócony.

Francesco Ricciardi był lekarzem w San Giovanni Rotondo. Jako przekonany ateista, zawzięcie zwalczał Ojca Pio. W 1928 roku zachorował na raka żołądka. Zwołał konsylium lekarskie, złożone z kilku jego kolegów po fachu oraz paru znanych

specjalistów. Wydali oni bezapelacyjny wyrok: choremu pozostawało niewiele tygodni życia. Krewni starali się go przekonać do spowiedzi, aby mógł umrzeć pojednany z Bogiem, lecz Ricciardi nie chciał nawet o tym słyszeć. Powtarzał wszystkim: „Umrę tak, jak żyłem”.

Ojciec Pio postanowił go odwiedzić. Wszyscy wiedzieli, że Ricciardi był zajadłym wrogiem „brata ze stygmatami”, toteż oczekiwano tego spotkania z wielkim zainteresowaniem. Kiedy Ojciec Pio wyszedł z klasztoru, przywitał go tłumek ciekawskich, który towarzyszył mu aż pod drzwi domu Ricciardiego.

Ojciec Pio wszedł do pokoju chorego i długo stamtąd nie wychodził. Nie wiadomo, o czym rozmawiali. Wiadomo jedynie, że po ich długiej rozmowie lekarz płakał ze wzruszenia oraz pragnął wyspowiadać się i przyjąć Komunię św. „Twoja dusza wyzdrowiała” - oznajmił mu Ojciec Pio wychodząc z pokoju. - „Teraz wyzdrowieje twoje ciało. Niebawem przyjdiesz do mnie, do klasztoru, w odwiedzin” - dodał. I tak też stało się. Ricciardi wyzdrowiał w tajemniczy sposób, zaprzyjaźnił się z Ojcem Pio i długo jeszcze żył.

Luisa Vario z Londynu - piękna, bogata i wykształcona kobieta z pochodzenia włosko-angielskiego - prowadziła w Londynie wykwintne i beztroskie życie. Nie wierzyła w Boga. Jej przyjaciel, anglikanin, usłyszawszy o Ojcu Pio w czasie swego pobytu w Rzymie, pojechała do San Giovanni Rotondo, by go poznać. Spotkanie z Ojcem Pio było dlań wstrząsającym przeżyciem.

Po powrocie do Londynu kompletnie zmieniła swe życie. Luisa Vario naigrywała się z niego, lecz równocześnie rosta w niej ciekawość, by ją zaspokoić, wybrała się i ona do San Giovanni Rotondo.

Było to w 1925 roku. W miasteczku Ojca Pio panowało skrajne ubóstwo. Luisa Vario była tym zdegustowana i poirytowana. Lecz ledwie weszła do klasztoru i zobaczyła Ojca Pio, że wzruszenia wybuchnęła płaczem. Odczuła, że coś niewytłumaczalnego odmieniło ją. Pozostała w San Giovanni Rotondo na zawsze, odmieniła swe życie i stała się wierną córką duchową Ojca Pio.

Słynny w latach dwudziestych pisarz turyński, Pitigrilli, lubił używać życia. Nawrócił się dzięki Ojcu Pio. „Moje pierwsze książki, wydane po pierwszej wojnie światowej - wyznał - przesiąknięte były materializmem, który dawał mi wówczas odpowiedź na wszystkie problemy, ale dziś już mi nie wystarcza. Dlatego też pięć moich książek całkowicie wykreśliłem z mojego katalogu i zabroniłem ich wznowień.

Moja droga do rzeczywistości ducha była powolna i stopniowa. Zaważyły na niej dwie osobowości, które dane mi było poznać: aktorka Eva Lavalliere i Ojciec Pio”.

BOHATER I KOMUNISTKA

Lekarz Michel Boyer, bohater francuskiego Ruch Oporu, nie potrafił wymazać ze swej pamięci okrucieństw wojny. Odebrała mu ona wszelką radość życia. „Lepiej skończyć z tym wszystkim i odejść z tego świata” - myślał często.

Któregoś dnia zwierzył się ze swej udręki przyjacielowi, on zaś zareagował na to: „Dlaczego nie spróbujesz pojechać do Włoch, do Ojca Pio?”. „A któż to jest?” - zapytał. Przyjaciel wyjaśnił mu, że Ojciec Pio jest zakonnikiem ze stygmatami, że dokonuje cudów i rzeczy nadzwyczajnych, a swą niewidzialną obecność sygnalizuje bardzo przyjemnym zapachem nawet tym osobom, które oddalone są od niego o tysiące kilometrów.

Boyer wysłuchał przyjaciela z ironicznym uśmiechem. „To czysta fantazja” - powiedział. - „Jeśli ten Ojciec Pio jest naprawdę taki, jak go opisałeś, niech da mi znak, a ja pojadę do niego”. Minęło sporo czasu. Boyer był właśnie w Lugano. Któregoś wieczoru, w czasie spaceru wzdłuż brzegów jeziora, dręczony mrocznymi myślami, zapatrzył się w głębię wód, gotów na desperacki, samobójczy krok. Nagle poczuł silną woń róż i fiołków. Przypomniał sobie o tym, co mówił mu przyjaciel, i postanowił pojechać do Apulii. Spotkanie z Ojcem Pio odmieniło kompletnie jego życie: pozostał na zawsze w San Giovanni Rotondo, gdzie pracował, jako lekarz w Domu Ulgi w Cierpieniu.

Costante Rosatelli był tuż po wojnie najbardziej bojowym komunistą w Yelletri. Słynął w całym rejonie podrzymskich Castelli, jako organizator wieców i „specjalista” od ulicznych blokad. Nikomu nie udawało się oprzeć jego materialistycznej dialektyce. Lecz jego serce nie było spokojne.

Pewnego dnia 1948 roku, wracając do domu, zobaczył w jednym z okien przyglądającego się mu ze smutkiem zakonnika. Tydzień później ten sam zakonnik przyśnił mu się. Powiedział mu wtedy: „Przyjedź do mnie”. W tychże dniach usłyszał o Ojcu Pio od swej siostry Giny, zaś jakaś znajoma, wróciwszy z San Giovanni Rotondo, pokazała mu jego zdjęcie. Rosatelli zadrżał. Na fotografii widniał prześladowający go zakonnik. Komunista wybrał się do San Giovanni Rotondo, skąd wrócił całkowicie odmieniony.

Najbardziej poruszającym przykładem nawrócenia w okresie tuż po wojnie była zapewne Italia Betti, czerwona „bohaterka” z regionu Emilia, zwana „herod-babą Karola Marksa”. Ukończyła studia matematyczne, lecz w latach trzydziestych musiała zrezygnować z kariery nauczycielskiej, gdyż była przeciwna reżimowi faszystowskiemu.

W czasie okupacji niemieckiej działała w bolońskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego. W dniu wyzwolenia miasta wyszła na powitanie aliantów wraz z innymi przedstawicielami Ruchu Oporu. Maszerowała na czele delegacji, ubrana na czerwono, z rozwianymi włosami i z czerwoną flagą w ręku.

Jak tylko komuniści doszli do władzy w Bolognii, Italia Betti ścięła włosy na męsko, kupiła sobie czerwony motocykl i objeżdżając wsie emiliańskie prowadziła niezmordowaną propagandę ateistycznego komunizmu.

Przypadkiem trafiła do San Giovanni Rotondo, gdzie nagle nawróciła się. Porzuciła wszelką działalność polityczną i zamieszkała na peryferiach osady oddając się modlitwie i pokucie. Zmarła jak święta.

ZAGUBIONY KOMIK

Bardzo głośne stało się również nawrócenie aktora Carla Canipaniniego. Tym razem nawrócenie nie było „natychmiastowe”, nie było spowodowane nagłym wstrząsem. Dokonywało się powoli, ponieważ Campanini, mimo że poznał prawdę, nie poszedł jednak za jej głosem - wołał swe dawne życie. Ale ojciec Pio był cierpliwy. I nastał dzień, w którym aktor uczynił ten decydujący krok. Odtąd też stał się jednym z „apostołów” Ojca Pio i przyprowadził do San Giovanni Rotondo dziesiątki osób.

„Po raz pierwszy wybrałem się do Ojca Pio w 1939 roku, a zrobiłem to z wyrachowania - tak zaczął mi opowiadać Campanini swą historię. - Myślałem, że Ojciec Pio - to po prostu jakiś wielki czarownik i spodziewałem się uzyskać dzięki niemu korzyści finansowe. Byłem aktorem komediowym; pracowałem w teatrze objazdowym. Ciężkie to było życie. Cały rok w ciągłych podróżach, niczym Cygan.

Byłem żonaty i miałem trójkę dzieci. Ze względu na mój zawód traktowano mnie, jako osobę bez stałego zameldowania, toteż nikt nie chciał wynająć mi mieszkania. Żona pracowała razem ze mną, a dzieci wychowywała jej siostra. Takie życie było dla mnie zbyt uciążliwe. Marzyłem o pracy, która pozwoliłaby mi zamieszkać razem z dziećmi, ale byłem tylko aktorem, nie potrafiłem nic innego robić.

Pochodziłem z bardzo biednej rodziny. Skończyłem jedynie szkołę podstawową, czyli pięć klas. Jako dziecko uczęszczałem do szkoły z internatem, prowadzonej przez Ojców Szkół Chrześcijańskich. Codziennie rano obowiązkowo szliśmy na Mszę św. Tak mnie to zraziło, że od czasu, gdy ukończyłem tę szkołę, nie postawiłem już więcej nogi w kościele.

Któregoś dnia w czasie rozmowy z Mario Amendolą, inscenizatorem i reżyserem w jednej osobie, powiedziałem: «Dawniej łatwiej było wierzyć w Boga. Żyli wielcy święci, tacy jak św. Franciszek, św. Antoni, św. Jan Bosco; którzy czynili cuda. Dzisiaj już nie ma ani świętych, ani cudów». «Nieprawda» - odparł Amendola. - «W Apulii mieszka święty zakonnik, który czyni nadzwyczajne rzeczy» - dodał, po czym opisał mi fakt, jaki przydarzył się jego kuzynowi parę lat wcześniej.

Był godnym politowania biedaczyskiem. Bez grosza, bez pracy, toteż by cokolwiek zarobić, zaciągnął się, jako ochotnik do oddziałów wysłanych na wojnę w Hiszpanii. Wróciwszy do domu, usłyszał od żony: «To, że ocalałeś, zawdzięczasz Ojcu Pio, do

którego modliłam się za ciebie. Przysięgłam mu nawet, że jeśli wrócisz, to pojedziesz do niego, by mu podziękować». Mój kuzyn pojechał, więc do San Giovanni Rotondo. W rozmowie z Ojcem Pio przedstawił mu swą nędzną sytuację. Ojciec Pio poradził mu: «Jedź do Falconary». «To niemożliwe» - odparł mój kuzyn. - «W Rzymie mam przyjaciół, którzy wspomagają nas, a w Falconarze umarlibyśmy z głodu». «Jedź do Falconary» - powtórzył raz jeszcze Ojciec Pio.

Kuzyn Amendoli przeniósł się więc z całą rodziną do Falconary. Spotkał się tam ze swą matką, która kilka miesięcy wcześniej opuściła Rzym, by nie być ciężarem dla ich rodziny. Utrzymywała się żebrząc pod kościołami. Spędzili razem dwa niezwykle ciężkie miesiące.

Któregoś dnia przyjechał z Ankony jakiś mężczyzna, który szukał właśnie kuzyna Amendoli. «Sekretarz partii chce z wami rozmawiać. Macie stawić się w jego biurze jutro rano» - powiedział. Kuzyn Amendoli pojechał na spotkanie. Sekretarz spytał go, czy radził sobie dobrze z językiem hiszpańskim. «Nieźle» - odparł, i od razu dostał posadę płatną 100 lirów dziennie, a więc 3000 lirów miesięcznie! Zapewne niektórzy pamiętają jeszcze przebój z owego okresu: «Gdybym tak miał 1000 lirów miesięcznie»>.

Historia ta zrobiła na mnie duże wrażenie i zacząłem marzyć. W okresie Wielkiego Tygodnia nasza trupa przebywała w Bari. Dostaliśmy wtedy dwa dni wolne - czwartek i piątek. Po raz pierwszy, gdyż zazwyczaj odpoczywaliśmy jedynie w Wielki Piątek. «San Giovanni Rotondo leży właśnie w tych okolicach» - powiedziałem do Amendoli. - «Może pojechalibyśmy do tego świętego zakonnika?» - zaproponowałem". „Jesteśmy biednymi artystami" „Wyjechaliśmy w czwartek rano.

San Giovanni Rotondo było biedną miejsciną, niemalże opustoszałą. Odnaleźliśmy kościół, ale powiedziano nam, że Ojciec Pio nie może nas przyjąć. «Jego rany sprawiają mu ogromny ból i krwawią przez cały rok, a podczas Wielkiego Tygodnia jego cierpienia nasilają się jeszcze bardziej i dlatego nikogo nie przyjmuje»> - wytłumaczono nam. «Ale my jesteśmy wędrownymi aktorami i przybywamy z daleka. Mamy do dyspozycji tylko te dwa dni wolne. Musimy się z nim zobaczyć » - próbowaliśmy przekonać kapucyna.

Zostaliśmy i zaczęliśmy krążyć po klasztorze, licząc, że spotkamy Ojca Pio. Byłem wtedy człowiekiem powierzchownym, często bezczelnym. Wszystko było dla mnie zabawą. Nawet tam, w klasztorze, zacząłem opowiadać dowcipy. Nasze głosy zakłócały klasztorną ciszę. Po południu, kiedy tak strasznie hałasowaliśmy, z kościoła wyszedł jakiś zakonnik, który zdał mi się ogromnego wzrostu. «Nawet w takie dni nie dacie mi się spokojnie modlić» - powiedział żałośnie. - «Czego chcecie?» - zapytał. «Ojcze, jesteśmy biednymi artystami» - rzekłem. «Wszyscy jesteśmy biedni» - odparł. «Chcielibyśmy wypowiadać się» - dodałem dla usprawiedliwienia naszej obecności. «A więc przygotujcie się, wypowiadam was jutro rano po Mszy świętej» - powiedział. Ową mszę pamiętam jak jakiś koszmar. Wydawała się nie mieć końca. Musiałem przez cały czas

klęczyć, bo inaczej, stojący za mną niczego by nie widzieli. Pozycja ta była nie do wytrzymania. Bolały mnie wszystkie kości.

Ale w końcu poszedłem do spowiedzi. Nie musiałem nic mówić, gdyż Ojciec Pio wszystko o mnie wiedział. Kazał mi przyrzec, że zmienię swe życie, po czym udzielił mi rozgrzeszenia. Nie miałem odwagi, żeby go o cokolwiek poprosić, lecz w duchu powtarzałem: «Ojcze, pomóż mi znaleźć pracę blisko domu, choćby posadę magazyniera, bylebym mógł być razem z moimi dziećmi». Wróciłem do Bari, a wkrótce potem do Rzymu. W Cinecitta rozpoczęto zdjęcia do filmu Addio giovinezza.

W tamtych czasach role rozdzielało Ministerstwo Kultury. Do roli Leona kandydowało czterech słynnych wtedy aktorów: ówczesny «Mastroianni» Nino Besozzi, Umberto Melnati pracujący z De Sicą i cieszący się sławą w całych Włoszech, Paolo Stoppa oraz Carlo Romano. Ja w tych sferach byłem nieznany, a mimo to rolę przyznano właśnie mnie. I na tym nie skończyło się.

Od tamtej chwili zagrałem w 106 filmach. Stałem się sławny i bogaty. Spełniły się w końcu moje marzenia - miałem własny dom i mogłem mieszkać wraz z rodziną. Tak więc Ojciec Pio wysłuchiwał moich prośb. To ja nie spełniłem przyrzeczenia i nie zmieniłem mego postępowania.

Pieniądze i sława zepsuły mnie jeszcze bardziej. Prowadziłem rozwiązły tryb życia, utrzymywałem wiele niegodziwych związków, nie chodziłem na Mszę św., nie modliłem się. Czułem się winnym wobec Ojca Pio, i dlatego też nie chciałem do niego ponownie pojechać. Taka sytuacja trwała do końca 1949 roku".

„ZACZYNAJ OD ROKU 1946"

„Byłem wówczas u szczytu sławy. Miałem samochody amerykańskie, specjalne nieseryjne modele. Dziennikarze nazywali mnie «pietruszką kina włoskiego», ponieważ pojawiałem się w każdym filmie. Nie brakowało mi niczego. A jednak, w głębi duszy, czułem się zrujnowany, pusty, przygnębiony, zmęczony i niezmiernie smutny. Zazdrościłem tym, którzy mieli odwagę odebrać sobie życie.

Któregoś wieczoru, ledwie wszedłem do domu, żona powiedziała mi: «Odwiedził nas proboszcz, zachęcając, abyśmy oddali nasz dom Najświętszemu Sercu Jezusa. Uroczystość wyznaczona jest na 8 stycznia. Zalecił, byśmy wszyscy przygotowali się do przyjęcia Komunii św. ».

Zalecenie proboszcza zmusiło mnie do działania. Nie mogłem przystąpić do Komunii św. żyjąc tak jak żyłem. Moja młodsza córka nalegała, żona również, a mnie nie przyszła do głowy żadna wymówka. Rano 6 stycznia, w święto Trzech Króli, niespokojny i smutny wałęsałem się bez celu po Rzymie. Wstąpiłem do kościoła Św. Antoniego przy via Merulana. Odprawiano nabożeństwo. W kościele było sporo osób. Wielu stało w kolejce do konfesjonału. Niektórzy rozpoznali mnie i przyglądali mi się z zaciekawieniem.

Konfesjonał miał przeszklone drzwiczki, przez które widać było usadowionego w nim zakonnika, rumianego i ogromnej tuszy. «Ten zapewne lubi sobie zjeść i popić bardziej niż ja» - pomyślałem. - «Nigdy nie wyznałbym mu moich grzechów»>».

W tym samym momencie dostrzegłem innego zakonnika, modlącego się u stóp Ukrzyżowanego. Był chudy, o twarzy naznaczonej cierpieniem. «Ten jest bardziej uduchowiony, przed nim mógłbym otworzyć me duszę» - pomyślałem.

Nagle wychudły zakonnik wstał i poszedł prosto do konfesjonału, gdzie siedział grubas, i zajął jego miejsce. Ostupiałem. Szukając usprawiedliwienia, mówiłem sobie: «Nie mogę przecież czekać. Jest zbyt dużo osób przede mną». Jeszcze nie dokończyłem mych rozważań, kiedy mężczyzna pierwszy z kolejki odwrócił się do mnie: «Proszę, niech pan podejdzie». W ten sposób chcąc nie chcąc klęczałem już przy konfesjonale.

Po półgodzinie wyszedłem z twarzą zalaną łzami. Czułem się jak nowo narodzony. W rodzinie zapanowało wielkie święto. Z radością wziąłem udział w domowej uroczystości, przystępując rodziną do Komunii świętej. Postanowiłem wybrać się do Ojca Pio, by oznajmić mu, że odmieniłem swe życie. Byłem już po spowiedzi, a zatem nie musiałem wyznawać mu swych grzechów.

Lecz ledwie uklęknąłem przy konfesjonale, usłyszałem: «Zaczynaj od roku 1946». «Ależ ja spowiadałem się parę dni temu» - zaprotestowałem. «Powiedziałem ci, żebyś zaczął od roku 1946» - zagrzmiał Ojciec Pio dorzucając, iż jestem tchórzem, jeśli wstydzę się wyznać grzechy, a nie wstydziłem się obrażać Chrystusa.

Ta spowiedź całkowicie odmieniła me życie. Na koniec Ojciec Pio uściśnął mnie, ucałował i dając mi różaniec polecił, bym często modlił się. «Będę zawsze blisko ciebie» - dodał. Niełatwo było mi dotrzymać obietnicy, ale dotrzymałem. Nigdy od owego dnia nie opuściłem codziennej Mszy świętej, zaś każdą wolną chwilę spędzałem u niego. Był on dla mnie wszystkim".

MACARIO, TOTO I INNI

Campanini stał się „apostolem” Ojca Pio. Kapucyn z Pietrelciny odkrył przed nim prawdę, toteż Campanini czuł się w obowiązku dzielić się tą prawdą z innymi. Ale obracał się w światku filmowym - jednym z najbardziej plotkarskich, cynicznych i oportunistycznych środowisk ludzkich.

Rozmawiać o wartościach duchowych i religii z tymi ludźmi, a nade wszystko kierować się w stosunkach z nimi pewnymi normami, znaczyło stać się przedmiotem kpin. Campanini świetnie zdawał sobie z tego sprawę, ale siły, jakie odnalazł dzięki Ojcu Pio, były nie do stłumienia. Nie bał się żadnej krytyki i nie zważał na nic, nawet za cenę utraty pracy. Był konsekwentny w swym postępowaniu, codziennie uczestniczył we Mszy świętej i przy każdej sposobności okazywał swą radość z odzyskania wiary.

Koledzy po fachu określali go nader malowniczymi przezwiskami: „świętoszek”, „kościelny Ojca Pio”, „nabożniś”, „zjadacz hostii”. Campanini nie brał sobie tego do serca. Niektórzy chcieli nawet kopać pod nim dołki, lecz był zbyt dobrym aktorem, i zawsze potrzebowano go do nowych ról. Co więcej, odmawiał wielu producentom filmowym i reżyserom po przeczytaniu scenariusza. Miał odwagę z uśmiechem powiedzieć tym wpływowym ludziom: „Nie jest to zgodne z moimi przekonaniem”.

Publicznie wyśmiewano się z Campaniniego, lecz prywatnie wielu jego kolegów u niego właśnie szukało pomocy zwierając mu się ze smutków, goryczy i osamotnienia. Każdemu z nich proponował: „Pojedźmy do Ojca Pio, on ci pomoże”.

Do San Giovanni Rotondo przywiózł ze sobą dziesiątki aktorów. Niektórzy z nich odnaleźli tu dawną wiarę, odmienili swe życie. Inni, wstrząśnięci, zrozumieli, co powinni uczynić, żeby być w zgodzie z samym sobą, lecz zabrakło im odwagi do podjęcia koniecznych decyzji. Tak czy inaczej, osoba Ojca Pio głęboko wryła się w pamięć każdego z nich i nie dawała spokoju przez wiele lat.

„Wbrew utartym opiniom na temat świata aktorskiego, trzeba przyznać, iż aktorzy są bardzo wrażliwi na wartości duchowe” - powiedział mi Campanini. - „Aktorzy «grają» sceptyków, zaś w rzeczywistości pełni są kompleksów, przesądów, a także zdolni są do porywów autentycznej wiary.

Przecież przywiódł mnie do Ojca Pio człowiek z tego a nie innego środowiska. To właśnie od Maria Amendoli dowiedziałem się o istnieniu Ojca Pio i to on pojechał ze mną do San Giovanni Rotondo.

Do Ojca Pio przywiozłem ze sobą wielu aktorów. Jednym z nich był na przykład Macario. Spytał się Ojca Pio, czy mógłby grać ze mną w tej samej komedii. «Oczywiście, że możesz» - odpowiedział Ojciec Pio. - «Wystarczy, byś już nie grał w tak nieprzyzwoitych widowiskach, co kiedyś. W przeciwnym razie, lepiej żebyś tu nie przyjeżdżał». Wokół stało wiele osób i wszyscy dobrze nas znali. Ojciec Pio wykorzystał ten fakt i zwróciwszy się w naszym kierunku, głośno powiedział: «Zapamiętajcie, miejcie szacunek do samych siebie, bo, jak dotychczas, nie było z tym najlepiej». Macario odmienił swe życie.

Co roku udawaliśmy się razem do Lourdes. Długo, jak zahipnotyzowany, przyglądał się tłumom, a wieczorem często proponował mi: «Carlo, odmówmy razem różaniec». Nie zmyśliłem tego - to szczerza prawda. Osoby, które żyły w bliskości z nim, nie podzielały jego zapatrywań, ignorowały je, lecz Macario od spotkania z Ojcem Pio nigdy już ich nie zmienił. Był dobry, głęboko wierzył. Przez dziewięć miesięcy, w każdy pierwszy piątek miesiąca, szliśmy razem na poranną Mszę św. i przyjmowaliśmy Komunię świętą.

Z Ojcem Pio zapoznałem również Elżę Merlini, Lizę Gastoni, Leę Padovani, Silvanę Pampanini i wiele innych aktorek. Również Tino Scotti był ze mną u Ojca Pio i na zawsze

zachował w pamięci to spotkanie. Pewnego dnia, kiedy był w Syrakuzach, usłyszał od miejscowych o statui Matki Boskiej Płaczącej. Poszedł ją zobaczyć. Napisał potem do mnie wymowny list, który zachowałem na pamiątkę. Wyznał mi, że widział na własne oczy łzy Matki Boskiej, a na zakończenie dodał: «Uklęknąłem i długo modliłem się również i za ciebie, który tak bardzo kochasz Ojca Pio i postępujesz zgodnie z nauką Chrystusa. Modliłem się za wszystkich. Drogi Campa, dziękuję ci za to wszystko, co tyle razy powtarzałeś mi. Pamiętaj o mnie w swych modlitwach. Twój Tino Scotti».

Mój bardzo bliski kolega, Walter Chiari, którego traktowałem niczym rodzonego brata i z którym przygotowałem wiele programów - nigdy nie pojechał ze mną do Ojca Pio, lecz był człowiekiem głęboko wierzącym i dużo modlił się. Uważał, iż jest niegodny, by spotkać się z Ojcem Pio. Trzykrotnie byliśmy w drodze do San Giovanni Rotondo, lecz za każdym razem, ledwie dotarliśmy do Foggii, wracał z powrotem. Chiari tłumaczył mi się w ten sposób: «Wiem, że jeśli pojadę tam, muszę odmienić me życie, ale nie jestem jeszcze gotów do tego kroku».

Kolejnym podobnym przypadkiem był Toto, który nigdy nie zdecydował się na wyjazd do San Giovanni Rotondo. Często rozmawiałem z nim o Ojcu Pio. Słuchał z wielkim zainteresowaniem i wiele razy mówił mi: «Zawieź mnie do niego». Aż wreszcie nadarzyła się do tego okazja. Obaj mieliśmy trochę wolnego czasu i mogliśmy zorganizować tę podróż. Zaproponowałem mu wyjazd, lecz milczał, po czym z całą szczerością wyznał mi: «Carlo, nie mogę pojechać do Ojca Pio, Nie jestem jeszcze gotów. Mam ciągotki, od których nie potrafię się jeszcze uwolnić. Jak tylko wyleczę się z nich, wybiorę się do niego». Niezbyt roztropnie odpowiedziałem mu: «Uważaj, bo w radio informowali, że umiera 250 tysięcy osób dziennie, z których 39 procent nagłą śmiercią, a zatem jest niebezpieczne dla twojej duszy nazbyt kalkulować». Toto był bardzo przesądny. Zaczął biegać po pokoju pukając w niemalowane, a o Ojcu Pio nigdy już mi nie wspominał".

LEKARZ TOGLIATTIEGO

„U Ojca Pio byli także: Franco Scandurra, który otrzymał od niego dużo łask, a potem sam czynił wiele dobra; aktor Enrico Luzzi oraz Benito Lorenzi - sławny piłkarz zwany „trucizną”. Również Nino Manfredi spotkał się z Ojcem Pio, by poprosić go o łaskę dla swych rodziców.

Osobą, której znajomość z Ojcem Pio okazała się dość dziwna był profesor Mario Spallone, słynny lekarz Togliattiego, właściciel Kliniki Villa Gina, gdzie leczyli się zawsze najważniejsi włoscy działacze komunistyczni i socjalistyczni. Wszyscy sądzili, iż Spallone, aktywista komunistyczny, jest człowiekiem niewierzącym. On jednakże na swój sposób wierzył w Boga. Związał go z Ojcem Pio fakt, jaki przytrafił mu się na początku kariery. Sam opowiedział mi o tym. Kiedy był jeszcze młodym lekarzem i wzywany był na nocne wizyty, zabierał ze sobą do samochodu żonę i psa. Pewnej nocy pojechał sam i po paru

minutach zauważył, iż obok niego siedzi jakiś brodaty zakonnik. Rozpoznał w nim Ojca Pio, o którym w owych dniach pisano w gazetach.

Ojciec Pio powiedział mu: «Jedziesz do chorego pod tym właśnie adresem. Znajdziesz tam staruszkę i jego, również niemłodą żonę. Żyją w nędzy. Oto dokładna diagnoza i lekarstwa, jakie powinienesz mu przepisać, jeśli chcesz, żeby wyzdrowiał>>». Spallone ze zdumieniem przyglądał się postaci, która pojawiła się w jego samochodzie już w czasie jazdy. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie śni. Wyciągnął rękę, by sprawdzić, czy postać ta jest realna, lecz Ojciec Pio zniknął. «To była halucynacja» - pomyślał.

Przybywszy na miejsce, przekonał się, że wszystko to, co usłyszał od zjawy, pokrywało się z prawdą. Chory był staruszką, a opiekowała się nim żona, również w podeszłym wieku, i też nie najlepszym stanie. Łatwo można było domyślić się, że wiodło im się nie najlepiej.

Był pod tak silnym wrażeniem sceny, jaka przydarzyła mu się w czasie jazdy, że powtórzył diagnozę Ojca Pio i przepisał choremu poleconą mu przezeń kurację. Kiedy mył ręce, staruszkowie coś między sobą po cichu mówili. «O co chodzi?» - spytał. - «Panie doktorze - wyjaśniła staruszką - mój mąż choruje już od dawna i leczył się u tylu lekarzy, że wydaliśmy na nich wszystko, co mieliśmy. Zapewne pan w te rzeczy nie uwierzy, lecz parę dni temu zjawił mi się we śnie Ojciec Pio i powiedział, że przyjdzie do nas młody lekarz, który wyleczy mego męża. Z opisu Ojca Pio wynika, że to pan jest tym młodym lekarzem. Jestem szczęśliwa, bo teraz wiem, że mój mąż wyzdrowieje». I tak też stało się. Staruszek wyzdrowiał.

Profesor Spallone nigdy nie zapomniał tego faktu. Opowiadał mi o nim wiele razy. Miał dużego już syna, lecz nie ochrzczonego. Poprosił mnie na ojca chrzestnego. Na uroczystość udałem się wraz z żoną. Kiedy schodziliśmy na dół z mieszkania profesora, by pojechać do kościoła, poculiśmy silny zapach róż. «To Ojciec Pio, który chce dać ci znak, że jest przy tobie» - powiedziałem mu. «Lepiej nic nie mów» - odparł, po czym podbiegł do jednej z zaproszonych, by ją obwąchać. - «Idę na Mszę św., a kiedy idę do kościoła, nie perfumuję się» - powiedziała".

MARIO RIVA I FAUSTO COPPI

„Najbardziej popularny konferansjer telewizyjny w latach pięćdziesiątych, Mario Riva, borykał się z poważnymi problemami rodzinnymi. Pozostawał z żoną w separacji i związał się z aktorką. Był wierzącym, lecz w podobnej sytuacji nie mógł przystępować do sakramentów, nad czym bardzo ubolewał.

Pewnego dnia poprosił mnie, żebym napisał parę słów do Ojca Pio, z którymi mógłby do niego pojechać. «Nie potrzeba» - odparłem. - «Ojciec Pio nie wymaga listów polecających» - wyjaśniłem. Przybywszy do klasztoru, Riva podszedł do grupy zakonników, wśród których stał Ojciec Pio. «Przyjechałem tu, jestem przyjacielem

Campaniniego i chciałbym zobaczyć się z Ojcem Pio» - wykrztusił. Na co Ojciec Pio: «Czego od niego chcesz?». «Chciałbym zobaczyć go» - odrzekł Riva. «No cóż, a więc patrz na mnie, to będziemy mogli uznać, że widzieliśmy się i przyglądaliśmy się sobie» - powiedział Ojciec Pio.

Riva, dość zmieszany, wyciągnął z kieszeni zwitek dziesięcioletnich banknotów i powiedział: «Widziałem tu obok szpitala, chciałbym złożyć datek». Ojciec Pio wyciągnął z kieszeni Rivy pióro i napisał na jednym z tych banknotów: «Oj, Riva, Riva, ty już dobiełeś do swego brzegu». «To przyjaciel naszego Karolka. Dlaczego nie wypowiadacie go?» - napomknął brat Daniele. «Nie wiesz, jak bardzo ten nieszczęśnik pogmatwał sobie życie» - powiedział i odszedł.

Mario Riva został ostro potraktowany przez Ojca Pio, a mimo to nigdy o nim nie zapomniał. Wiedział, że nagana, jaką wtedy otrzymał, nie była podyktowana pogardą czy potępieniem, lecz miłością.

Kiedyś spotkałem go w Pałacu Kongresowym w czasie wręczania Złotej Maski. Było tam wielu świetnych aktorów, między innymi Magnani i Toto. Gdy tylko zobaczył mnie, podszedł do mnie krzycząc: «Jak się ma Ojciec Pio? Jak go zobaczysz, powiedz mu, że Mario Riva co wieczór modli się, żeby Ojciec Pio nigdy o nim nie zapomniał!».

Również Fausto Coppi został surowo potraktowany przez Ojca Pio, kiedy wraz z żoną przyjechał do San Giovanni Rotondo. Rozpoznano go w tłumie. Wielu prosiło go o autograf. Ojciec Pio wychodził właśnie z klasztoru i zauważywszy słynnego kolarza podszedł do niego i głośno zapytał: «A gdzie jest pani Coppi?». Z tłumy wyszła żona Coppiego. Ojciec Pio zwrócił się do niej w te znamienne słowa: «Pani Coppi, niech pani uważa, żeby się pani nie ożeniła». Nikt wtedy nie mógł jeszcze zrozumieć tej aluzji. Słowa Ojca Pio wzięto po prostu za zwykły żart. Dopiero po siedmiu dniach Włochy obiegła sensacyjna wiadomość, iż Fausto Coppi zostawił żonę dla swej słynnej «białej damy».

Ale Ojciec Pio wcale o nim nie zapomniał i nieustannie dawał mu o sobie znać. Niektórym przyjacielom kolarza powiedział: «Przekażcie Faustowi, że jeśli nie wróci do rodziny, to spadnie na niego kara Boska». Parę dni później, w czasie treningu, Coppiemu przydarzył się poważny wypadek, wskutek którego złamał sobie miednicę. Wezwania Ojca Pio głęboko drążyły duszę Coppiego. Wielki sportowiec zrozumiał w końcu, jak wielką krzywdę wyrządził swej żonie i córce.

Tuż po jego śmierci Enrico Bassano, redaktor naczelny genueskiego «Secolo XIX», powiedział mi: «Carlo, musisz wiedzieć, że już od miesiąca Fausto nosił się z zamiarem powrotu do żony i czekał na odpowiedni moment, by uporządkować swe życie».

„ODCZUWAŁEM JAKIŚ DZIWNY NIEPOKÓJ”

Innym słynnym nawróconym przez Ojca Pio jest artysta rzeźbiarz Francesco Messina, człowiek, który stał się legendą współczesnej sztuki. Jego rzeźby - niektóre z

nich swymi gigantycznymi rozmiarami przypominają dzieła Michała Anioła - weszły już do historii sztuki naszego stulecia. Jedna z nich to mierzący 3, 70 m posąg papieża Piusa XII, stojący w najświetniejszym kościele chrześcijańskim, bazylice Św. Piotra, obok arcydzieł Buonarrotiego, Berniniego, Canovy.

Messina nawrócił się w szczytowym okresie swej sławy. Również i jego powrót do wiary odbył się w dziwny, ciekawy wręcz sposób. Przytoczę tu jego relację: „Było to w Genui w czasie wystawy mych dzieł w galerii przy Piazza De Ferrari. Któregoś wieczoru wybrałem się z żoną na kolację urządzoną przez naszych wspólnych przyjaciół. Dużo opowiadali mi wtedy o Ojcu Pio, gdyż byli jego wielbicielami.

Na stole leżała książka biograficzna o Ojcu Pio z jego dość ekspresywnym zdjęciem na karcie tytułowej. Wziąłem ją do rąk i długo przyglądałem się straszliwym oczom Kapucyna. «Muszę go poznać» - pomyślałem. Przez cały wieczór, przysłuchując się opowiadaniom osób obecnych na spotkaniu, myślałem tylko o Ojcu Pio.

Słyszałem o nim przy wielu innych okazjach i jakby instynktownie odczuwałem wielkie pragnienie poznania go, lecz hamował je fanatyzm opowiadających mi o nim osób. Wszyscy bez wyjątku rozwodzili się jedynie nad historiami związanymi z zapachem, jaki unosił się tam, gdzie był on obecny w myślach ludzi, czy też nad jego tajemniczymi bilokacjami i zdolnościami czytania w ludzkich sercach, tudzież innymi podobnymi zjawiskami wzbudzającymi sensację. Mój nader racjonalny umysł buntował się, jakkolwiek w głębi duszy czułem coś, co ciągnęło mnie ku Stygmatykowi.

Mówi się, że Ojciec Pio nawrócił mnie, lecz określenie to nie jest dokładne. Nigdy nie byłem ateistą, wierzyłem w Boga, mimo że należałem do zatwardziałych grzeszników. Ojciec Pio, jeśli wolno mi tak się wyrazić, «zregenerował» mnie.

Urodziłem się na Sycylii, w Linguaglossa, w prowincji Catania. Moi rodzice, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, przenieśli się do Genui. Byliśmy bardzo biedni, toteż w wieku 10 lat zacząłem pracować. Nikt nie miał czasu, by pomyśleć o mojej edukacji religijnej. Zostałem wprawdzie ochrzczony, lecz nie przystąpiłem do innych sakramentów. A przecież postać Chrystusa silnie na mnie zawsze oddziaływała. Jako młody chłopak przeczytałem całą Ewangelię i wiele książek na temat Chrystusa. Uważałem, iż jest On moim przyjacielem, towarzyszem życia, który potrafi zrozumieć mnie najlepiej.

Kiedy przechodziłem okresy wielkiego smutku, szukałem schronienia w kościołach i na swój sposób modliłem się. Tak właśnie rosłem. W pewnym momencie mego życia związałem się z kobietą, która nie była wolna, a zatem moja sytuacja w świetle zasad Kościoła jeszcze bardziej pogorszyła się. Kardynał Ildefonso Schuster, doprawdy święty człowiek, powtarzał mi często: «Kościół nie może nic dla ciebie uczynić».

Potem cały szereg okoliczności sprawił, iż moja sytuacja unormowała się. W czasie wojny mogłem wziąć ślub kościelny, oczywiście po przystąpieniu do Sakramentu Komunii świętej i Bierzmowania, ponieważ - jak wcześniej zaznaczyłem - byłem jedynie

ochrzczony. W świetle prawa kościelnego stałem się normalnym chrześcijaninem. Wierzyłem, otrzymałem wszystkie sakramenty, a jednak nie przestałem grzeszyć. Wiara nie miała żadnego wpływu na moje codzienne, zwykłe życie. Myślałem o sławie i sukcesach, byłem pyszny, próżny i egoistyczny.

Owego wieczoru, na kolacji, słuchając opowieści o Ojcu Pio, trzymając w ręku jego biografię i przyglądając się jego zdjęciu, odczuwałem jakiś dziwny niepokój. Frapowały mnie szczególnie tajemnicze rany, jakie nosił na dłoniach, stopach i w boku, a o których mówiono, że były takie same, jak stygmaty Chrystusa.

Wiedziałem, że Kościół, a zwłaszcza Święte Oficjum, wyraził się negatywnie na temat tych ran, ale wiedziałem również, iż wielu znanych mi księży uważało je za autentyczne. Znałem także opinię wybitnych lekarzy, którzy po dokładnym ich zbadaniu doszli do wniosku, iż zjawisko to nie było bynajmniej wywołane histerią".

NOCNY TELEFON

„Owego wieczoru wróciłem do hotelu pełen niespokojnych myśli. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Przewracałem się z boku na bok myśląc bezustannie o Ojcu Pio. Jego twarz ze zdjęcia, które zobaczyłem na okładce książki, ciągle stała mi przed oczyma.

O piątej rano zdarzyło się coś, co uczyniło mnie jeszcze bardziej podnieconym, aż nie do wytrzymania. Kiedy próbowałem choćby na parę godzin zdrzemnąć się, zadzwonił telefon. «A któż to może być o tej godzinie?» - pomyślałem. Portier przeproszał mnie mówiąc, że osoba ta nalegała, by ze mną rozmawiać. «Dobrze, w takim razie proszę mnie połączyć» - powiedziałem rozzłoszczony.

Owym porannym rozmówcą był Ezio Saltamerenda. Poznałem go kiedyś za młodu, później nasze drogi życiowe rozeszły się. Zaczął mi opowiadać jakąś dziwną historię. Powiedział, że poprzedniego wieczoru, kiedy przechodził przez plac De Ferrari, owionęła go nagle fala zapachu Ojca Pio.

Nie, tego już było za wiele. Rozzłościłem się na dobre. «Czym się pan zajmuje, może sprzedawaniem perfum Ojca Pio?» - odparłem. «Proszę nie brać mnie za szaleńca» - odrzekł Saltamerenda. - «Być może nim jestem, ale nie w tym wypadku. Jak już powiedziałem - ciągnął dalej - przechodziłem przez plac De" Ferrari, gdy nagle ogarnęła mnie woń tego świętego zakonnika. Zazwyczaj zdarza się to, gdy chce on coś ważnego zakomunikować. Zastanawiałem się, dlaczego przydarzyło mi się to właśnie w tym miejscu. Przeszedłem parę metrów dalej i zapach ustał. By rzecz sprawdzić, wróciłem się do poprzedniego miejsca i znów poczułem tę woń. Zacząłem rozglądać się wokół i na wprost siebie zobaczyłem duży afisz o pańskiej wystawie. Dla pewności powtórzyłem te same czynności kilka razy, i zawsze, jak tylko stawałem przed tym afiszem, pojawiał się zapach. Wróciwszy do domu - kontynuował przez telefon Saltamerenda - nie zmrużyłem oka. Czułem, że muszę do pana zadzwonić, zawiadomić pana. Wytrzymałem do tej

godziny, dłużej już nie mogłem się pohamować. Oto powód mojego telefonu. Jestem pewien, że Ojciec Pio pragnie się z panem zobaczyć. Musimy pojechać do San Giovanni Rotondo».

Wysłuchałem tej długiej historii kipiąc ze złości. Sposób, w jaki ten mężczyzna przedstawił mi ją, był dla mnie nie do przyjęcia. Kiedy mówił o zapachach, chciałem nawet rzucić słuchawką, lecz coś powstrzymało mnie od tego. W końcu powiedziałem mu: «Nie mogę jechać do San Giovanni Rotondo, gdyż mam zbyt dużo obowiązków zawodowych. Właśnie wyjeżdżam do Mediolanu. Proszę zadzwonić do mnie w przyszłym tygodniu, to zobaczymy, czy znajdę trochę wolnego czasu».

Nie było już, co marzyć o zaśnieciu. Wstałem, obudziłem żonę i zaczęliśmy się pakować przed wyjazdem do Mediolanu. Myśli o Ojcu Pio i o tym przedziwnym telefonie nie dawały mi spokoju. Ciągłe powracały do mej pamięci. W Mediolanie czekało na mnie dużo spraw do załatwienia; pochłonęły mnie bez reszty. Mimo to myśli o Kapucynie ani przez moment nie przestały mnie dręczyć.

Wieczorem położyłem się spać dość wcześnie, lecz znowuż nie mogłem zasnąć. Myślenie o Ojcu Pio stało się moją obsesją. Po drugiej nieprzespanej nocy poddałem się. Zrozpaczony zadzwoniłem do Saltamerendy i powiedziałem mu: «Ten zakonnik nie daje mi spać, muszę do niego koniecznie pojechać». I tak umówiliśmy się, co do naszej podróży".

„NIE MUSISZ MI NIC MÓWIĆ"

„Po paru dniach wyruszyliśmy samochodem w dół Półwyspu. Do San Giovanni Rotondo przyjechaliśmy późnym wieczorem. O takiej porze zakonnik nikogo już nie przyjmował, lecz Saltamerendę znano w klasztorze, toteż od razu wpuszczono nas do środka.

Jak tylko Ojciec Pio zobaczył nas, zwrócił się do Saltamerendy: «To znowu ty, nudziarzu?». Do mnie zaś powiedział: «A ty, czego chcesz?». «Poznać Ojca» - odpowiedziałem. - «Już od dawna pragnąłem tego. Bardzo cieszę się, że tu przyjechałem. Oddaję się w ręce Ojca» - oznajmiłem. «A to jesteś w dobrych rękach» - powiedział z ironią w głosie, po czym kazał nam zejść na dół, do konfesjonału.

Nie chciałem spowiadać się. Nie byłem u spowiedzi od ślubu i nie wiedziałem nawet, co powiedzieć. Nie czułem się do tego przygotowany. Chciałem zaprotestować, ale Ojca Pio już nie było. Nie pozostawało mi nic innego, jak zejść posłusznie do kościoła.

Jak tylko zjawił się Ojciec Pio, podszedłem do niego, by wyjaśnić mu, że nie jestem gotów. On jednak stanowczym głosem powiedział: «Nie musisz mi nic mówić. Odpowiesz tylko na moje pytania». Odprowadził mnie do konfesjonału, kazał mi uklęknąć i zaczął mówić. Opowiedział całe moje życie, jakby czytał w mych najskrytszych myślach. Przypominał mi o wielu faktach, myślach i czynach, z których nigdy nikomu nie

zwierzałem się. Przemawiał poważnym, zasmuconym głosem, lecz zarazem pełnym serdecznej łagodności. W tonie jego słów nie wyczuwało się nagany. Byłem wstrząśnięty faktem, że wiedział o mnie wszystko, ale jednocześnie odczuwałem ogromną radość.

Wyszedłem z tego spotkania zupełnie odmieniony. Ojciec Pio prostymi słowami, aczkolwiek bardzo skutecznymi, wyjaśnił mi, na czym polegają prawdziwe wartości w ludzkiej egzystencji. Od owego momentu zmieniło się całe moje życie. Ojciec Pio stał się moim przewodnikiem, moim punktem odniesienia w podejmowaniu każdej decyzji oraz przy tworzeniu mych dzieł.

Poznałem wiele znakomitych osobistości w czasie mego długiego życia - luminarzy nauki, geniuszy, artystów, papieży, koronowane głowy, przywódców państw; poznałem też ludzi o wielkich cnotach. Nikt jednak nie zafascynował mnie tak jak Ojciec Pio. Od zakonnika ze stygmatyzowanymi dłońmi emanowała przeogromna siła. Przy nim czułem się bezpiecznie".

„CHCIAŁAM CUDU”

Osobą, która zupełnie odmieniła swe życie po spotkaniu z Ojcem Pio, jest Liza Gastoni - zdolna, wspaniała aktorka zawdzięczająca swą popularność dość drastycznym filmom, takim jak Dziękuję ciociu, Magdalena, Uwiedzenie czy też Skandal. Do pewnego czasu była ona „symbolem” seksu i erotyzmu.

Trudno jest sobie wyobrazić, iż aktorka grywająca podobne role może równocześnie być osobą roztrzaskaną sprawy duszy, myślącą o Ojcu Pio, czy nawet odczuwającą kryzysy duchowe, które w końcu doprowadziły ją do odkrycia prawdziwych wartości w życiu. A tak w istocie stało się. Mozolny proces jej przemiany trwał wiele lat.

„Po raz pierwszy pojechałam do San Giovanni Rotondo, by spotkać się z Ojcem Pio, w roku 1961” - powiedziała mi Liza Gastoni Słyszałam, że zakonnik ten jest święty, a ja zaś potrzebowałam wtedy cudu. Mieszkałam we Włoszech od niedawna. Przyjechałam tu, by kręcić film. Miałam wtedy 26 lat. Urodziłam się w Alassio, z ojca Włocha i matki Irlandki. Młodość jednakże spędziłam w Londynie, dokąd przenieśliśmy się tuż po wojnie. Po maturze w liceum klasycznym przez dwa lata uczęszczałam na uniwersytet. Chciałam zostać architektem, lecz wciągnął mnie świat rozrywki. Najpierw byłam modelką, później pracowałam w telewizji, a w 1960 roku zaczęłam karierę filmową. Stawiałam wówczas pierwsze kroki w zawodzie aktorskim. O ile dobrze pamiętam, kręciliśmy wtedy film pod tytułem Syn Attyli albo Pojedynek w górach Sila. Zgodziłam się na tę propozycję, by urwać się z domu, gdzie panowała atmosfera straszliwej udręki.

Mój ojciec był chory na raka mózgu i żołądka. Choroba z wolna zabijała go. Moi rodzice byli wspaniałymi osobami. Mieli duszę dwojga niewinnych dzieci. Nie potrafili nawet dopuścić do siebie myśli, że istnieje zło. Całe swe życie poświęcili pomagając innym, ale wobec cierpienia byli bezbronni.

Miałam poczucie winy pozostając z dala od nich w tak dramatycznym momencie. Myślam wciąż przy moim ukochanym tacie. W owych dniach poznałam Carla Campaniniego, włoskiego aktora komediowego, który był synem duchowym Ojca Pio. Nasza rozmowa zeszła w końcu na temat Ojca Pio i jego wyjątkowych mocy taumaturgicznych.

Gdy Campanini opowiadał o cudownych uzdrowieniach dokonywanych przez Ojca Pio, pomyślałam od razu o moim ojcu i postanowiłam udać się do San Giovanni Rotondo. Powiedziałam o tym Campaniniemu. «Pojadę z tobą, bo właśnie zamierzałem się do niego wybrać» - zaproponował.

Omówiliśmy szczegóły podróży. Pojechaliśmy dwoma samochodami, gdyż dołączył do nas mój znajomy, aktor amerykański, z żoną i jedna z moich przyjaciółek, również Campanini wziął ze sobą żonę. Było to chyba późną jesienią, gdyż, jak pamiętam, dawały się we znaki pierwsze chłody.

W czasie podróży poczułam nagle w samochodzie silny zapach fiołków. Przypomniawszy sobie opowieści Campaniniego, że zapach ten jest jednym z tajemniczych znaków od Ojca Pio, wysyłanych do wielu jego wielbicieli - przestraszyłam się. Nie byłam jego entuzjastką, nie znałam go. A na dodatek byłam osobą racjonalną: nie wierzyłam w tego rodzaju rzeczy. Obwąchałam wszystkich towarzyszy podróży, by odkryć, od którego z nich tak pachniało, lecz bez skutku. Wyglądało na to, że żaden z nich nie użył takich perfum.

Zapach ten ciągle czułam, nawet po wyjściu z samochodu, kiedy zatrzymaliśmy się, by wypić kawę. Wsiadłszy do samochodu spytałam, czy oni też czuli tę woń, lecz odpowiedź była negatywna".

DZIWNY NIEPOKÓJ

Przyjechaliśmy do San Giovanni Rotondo późnym popołudniem. Od razu udaliśmy się do kościoła. Ledwie weszłam na klasztorny dziedziniec ogarnął mnie okropny niepokój. Czułam ogromny ciężar na sercu. Uczucia smutku, osamotnienia, winy, goryczy przytłaczały mnie zupełnie.

W kościele udręka tak bardzo nasiliła się, że musiałam stamtąd wyjść - poirytowana a zarazem zaniepokojona. Spytałam się Campaniniego, jak długo zamierza zatrzymać się w San Giovanni Rotondo. „Przynajmniej parę dni", odpowiedział.

Spojrzałam nań przerażona. Nie miałam odwagi, by protestować, bo to ode mnie wyszła propozycja wyjazdu, lecz w głębi duszy postanowiłam wyjechać stamtąd już następnego dnia. Ponieważ o tak późnej godzinie nie odprawiano już żadnego nabożeństwa, a Ojciec Pio zamknął się w murach klasztornych, poszliśmy do hotelu. «Jutro Ojciec Pio odprawia Mszę św. o piątej rano» - poinformował nas Campanini. - «Trzeba wcześniej położyć się spać, bo pobudka będzie o czwartej rano» - dorzucił.

Wiadomość ta jeszcze bardziej zniechęciła mnie do tego wszystkiego. Byłam nocnym markiem. Nigdy nie szłam spać przed drugą lub trzecią w nocy. Obudzić się o czwartej nad ranem - to było dla mnie rzeczą niemożliwą. Kiedy moi przyjaciele udali się do swych pokoi, powiedziałam sobie: «Nie wiem, co zrobić; zdecyduję jutro rano».

Pobyłam w moim pokoju zaledwie parę minut. Czułam, jakby dusiło mnie coś w środku. Poprosiłam więc przyjaciółkę, by została ze mną. Dla zabicia czasu zaczęłyśmy grać w karty, ale po kwadransie poczułam straszną ociężałość. Zamykały mi się oczy, zupełnie jakbym zażyła jakiś silny środek nasenny. «Nie wiem, co się ze mną dzieje» - powiedziałam do przyjaciółki. - «Strasznie mi się chce spać, muszę się położyć» - dodałam. Poprosiłam ją, by powiedziała Campaninemu i portierowi, aby rano mnie nie budzono. «Nie czuję się na siłach, by wstać o czwartej» - powiedziałam, i zapadłam w głęboki sen.

W pewnej chwili usłyszałam dobijanie się do moich drzwi. Przebudziłam się. Byłam jeszcze otępiała, kiedy ponownie zapukano z tą samą siłą. «Już idę!» - krzyknęłam. Otworzyłam, lecz nikogo nie było. Spojrzałam na zegarek - wskazywał godzinę trzecią. «Chyba mi się śniło», powiedziałam sobie i wróciłam do łóżka zapadając w ten sam dziwnie mocny sen. Znowu usłyszałam walenie do drzwi. Tak silne, że zdawały się drzeć ściany pokoju. Miałam zwyczaj spać z korkami w uszach, a mimo to owo pukanie bębniło mi w głowie. Wstałam poirytowana, otworzyłam drzwi, i tym razem nikogo nie było.

Była czwarta rano. Zeszłam na dół do recepcji, by złożyć skargę. «Przecież prosiłam was, żeby mnie nie budzić» - zaprotestowałam. Portier zapewniał mnie, że wcale nie pukał do mojego pokoju. Poszłam do mej przyjaciółki, do Campaniniego i do innych - nikt mnie nie budził.

Wszyscy oni przygotowywali się do pójścia na Mszę świętą, a ponieważ byłam już na nogach, zdecydowałam się do nich dołączyć. Lecz bez entuzjazmu, przeciwnie - byłam w złym humorze. Kiedy weszłam do kościoła zdumiało mnie, że o tak wczesnej porze było tu takie zatłoczenie wiernych. I Msza święta zaczęła się niemal od razu. Byłam bardzo spięta i czułam się okropnie. Niepokój wewnętrzny przytłaczał mnie coraz bardziej. Czułam żal do samej siebie za to, że przyszłam.

Nic nie pamiętam z owego nabożeństwa. Marzyłam o tym, by jak najszybciej skończyło się, bo chciałam wyjść. Myślę, że nie odmówiłam wtedy najkrótszej choćby modlitwy".

SPOJRZENIE PALĄCE JAK OGIEŃ

„Po zakończonej Mszy św. Campanini, znający dobrze codzienne zwyczaje Ojca Pio, zaprowadził nas na korytarz, którądy przechodził on zawsze z kościoła do klasztoru. «Jak tylko przyjdzie, trzeba uklęknąć - pobłogosławi nas» - powiedział. Wszyscy byli wzruszeni, ja zaś zdenerwowana. Ojciec Pio przybył po kilku minutach. Moi przyjaciele

padli na kolana. Spróbowałam i ja, lecz nic z tego. Moje nogi były jak kołki, nie zgięły się. Campanini pociągnął mnie za spódnicę i wyszeptał; «Uklęknij», lecz ja byłam jak zamurowana.

Nie sparaliżowała mnie ani emocja, ani wiara. To było coś innego. Zawładnęła mną jakaś obca siła. Ojciec Pio przystawał przy każdym z nas, by go pobłogosławić. Stanąwszy przede mną spojrzał na mnie i położył mi ręce na głowę dotykając dwa razy mych włosów. Byłam tak zmieszana, że zrobiłam jakiś dziwny ukłon, lecz nie uklękłam.

Ojciec Pio poszedł dalej rozdzielając błogosławieństwa. U klasztornych drzwi zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na mnie. Nie potrafiłabym opisać jego spojrzenia, ale wciąż we mnie tkwi. To był ogień, który przeniknął najgłębsze pokłady mej duszy, mego ciała i mózgu. Myślałam, że się rozpułnę w nicość. Moje ciało nagle stało się lekkie, ciężar na sercu zniknął, nogi ugięły się i padłam na kolana. Ogarnęła mnie wielka radość. Byłam pewna, że otrzymałam od niego ogromną pomoc.

Ojciec Pio wszedł do klasztoru, a my wróciliśmy do hotelu. Nikt nie zorientował się w zmianie, jaka we mnie zaszła. Nie rozmawiałam o tym z moimi przyjaciółmi. Wręcz przeciwnie, przeszkadzała mi ich rozmowa. Pragnęłam zostać sama. Wymawiając się zmęczeniem, zaraz po śniadaniu poszłam do mojego pokoju. Położyłam się do łóżka w ubraniu i zasnęłam.

W pewnej chwili znowu obudziło mnie pukanie do drzwi. Tym razem nie rozzłościłam się. To był Ojciec Pio, który mnie wzywał. Skoczyłam na równe nogi, włożyłam sweter i pobiegłam do kościoła. Była trzecia po południu. Na dziedzińcu spotkałam jakiegoś zakonnika, który widząc, że zdecydowanym krokiem kieruję się do kościoła, powiedział: «Jeszcze za wcześnie. Otwieramy za pół godziny». Ale w tej samej sekundzie zauważyłam, że inny zakonnik otwiera drzwi kościoła. Ruszyłam dalej, weszłam do środka, podeszłam do pierwszego rzędu ławek i uklękłam.

Czułam palącą potrzebę modlitwy. Pochodziłam z bardzo religijnej rodziny, wychowano mnie po chrześcijańsku. Uczyłam się w szkole prowadzonej przez zakonnicę. Niestety, później wiodłam bardzo beztroskie życie. Miałam wielu wielbicieli, wyszłam za mąż i rozwiodłam się. Nie straciłam wiary, lecz zobojętniałam.

Zaczęłam modlić się po swojemu, a właściwie prosiłam o pomoc. Powtarzałam: «Pomóżcie mi, pomóżcie». I tak rozmawiając sama z sobą wyliczałam moje wątpliwości i cierpienia. Prosiłam o pomoc dla mego ojca.

Kiedy tak dziwnie rozmawiałam, miałam wrażenie, jakby koło mnie ktoś stał. Podniosłam oczy i zobaczyłam Ojca Pio. Stał tuż obok, pochylony, by lepiej słyszeć me słowa".

„NIE ZMIENIŁAM JEDNAK ŻYCIA”

„Nie wiem, jak długo jeszcze mówiłam. Opowiedziałam mu wszystko o sobie i o moim życiu. Odpowiadałam na pytania, które mi zadawał albo może mi się zdawało że słyszeć. To była długa rozmowa - prawdziwa spowiedź. Rozmawiając z Ojcem Pio czułam, jak mój umysł zaczyna pojmować wiele spraw mego życia, dramat cierpień mego ojca. Po raz pierwszy wyraźnie odczuwałam, że jestem w stanie ogarnąć sens własnej egzystencji, przejrzeć do głębi samą siebie.

W końcu Ojciec Pio podniósł swą stygmatyzowaną dłoń i pobłogosławił mnie. Po całym moim ciecie przebiegł dreszcz i mą duszę ogarnęło tak silne wzruszenie, że nie potrafiłam opanować płaczu. Na drugi dzień jeszcze raz poszłam na Mszę świętą odprawianą przez Ojca Pio. Przyjęłam Komunię św. Później wróciliśmy do Rzymu.

Taka jest moja historia spotkania z Ojcem Pio. Po tym wszystkim, co przydarzyło mi się w owych dniach, powinnam była odmienić swe życie, a tymczasem nic się nie zmieniło. Nie zostałam cudownie oświecona przez Ojca Pio. Pomógł mi jedynie zrozumieć, gdzie jest prawda, zaś wybór pozostawił mnie samej. Być może już sam zawód aktorski nie sprzyjał refleksyjności. Reszty dopełnił mój ekstrawersyjny charakter i żądza coraz nowszych emocji.

Prowadziłam to samo życie, co przedtem. Tymczasem zmarł mój ojciec, co być może wpłynęło w jakimś stopniu na rozmycie się wspomnienia o Ojcu Pio, mimo że nigdy go nie zapomniałam.

Moja kariera zaczęła rozkręcać się na dobre. Zagrałam w wielu innych filmach. W 1965 roku dostałam ważną rolę w *Obudź się i zabij*, w reżyserii Carla Lizzaniego, dzięki której zdobyłam popularność. Ale prawdziwy sukces dał mi film *Dziękuję, ciociu*, Salvatore Samperiego. Był to dość pikantny film, z dużą ilością scen gwałtownych i erotycznych. Zabroniony został dla widzów niepełnoletnich. Wszedł na ekrany kin w 1968 roku i wzbudził sporo dyskusji.

W tym właśnie roku zmarł Ojciec Pio. Śmierć zakonnika, którego dobrze zapamiętałam, pobudziła mnie do refleksji, lecz na krótko. Moje filmy przynosiły duże zyski. Niełatwo było zrezygnować z tylu pieniędzy i popularności, dlatego też szłam dalej tą samą drogą. Wkrótce zrozumiałam, że zabrnęłam w ślepy zaułek, z którego niemal niemożliwe jest wyjść.

Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się ani zastanawiać się, czy gdyby cofnąć czas, zagrałabym jeszcze raz w tych filmach. Nie wypieram się tego, co robiłam, ale dopiero teraz zrozumiałam, że moje życie w tamtym okresie było jednym długim ciągiem błędów.

Jestem aktorką, a aktorka podejmuje się ról, jakie są jej proponowane. Na dodatek jestem kobietą impulsywną, która całą swą duszą i ciałem rzuca się w wir życia płacąc za to na własnej skórze. Przez pewien czas udawało mi się chłodno podchodzić do

moich ról, trzymać pewien dystans wobec bohaterów, które grywałam. Niestety, później poddałam się, i był to mój największy błąd".

„PRZYSZEDŁ SIĘ ZE MNĄ ZOBACZYĆ"

„W tym okropnym okresie mego życia Ojciec Pio nie opuścił mnie. Był zawsze przy mnie, w pewnym sensie «prześladował» mnie. Jego duchowa obecność była moją obsesją, gdyż zdawałam sobie sprawę z tego, jak bardzo gani on moje postępowanie.

Ojciec Pio na przeróżne sposoby dawał o sobie znaki. Czasami, kiedy byłam w domu i myślałam o nim, słyszałam okropne walenie do drzwi. Któregoś dnia ciężko rozchorowałam się i potrzebowałam pomocy lekarskiej. Zrozpaczona szukałam lekarza godnego zaufania i kiedy w końcu znalazłam w książce telefonicznej adres poleconego mi specjalisty, w dodatku reklamowym widniejącym obok jego nazwiska ujrzałam ze zdumieniem fotografię Ojca Pio.

Tego już było za wiele. Miałam już dość wszystkiego. Straciłam chęć do pracy. Nie chciałam nawet żyć. Siedziałam w tym właśnie pokoju i myślałam o Ojcu Pio. Zrozumiałam, że tylko on może mi pomóc. Wzywałam go z całej mej duszy: «Musisz mi pomóc, błagam».

Kiedy wypowiadałam te słowa zdarzyło się coś nieprawdopodobnego? W tej samej sekundzie zobaczyłam, jak ktoś powoli naciska klamkę. Drzwi otworzyły się i stanął przede mną Ojciec Pio. Wiedziałam, że umarł parę lat wcześniej, a przecież widziałam go na własne oczy takim, jakim zapamiętałam go z owego spotkania w San Giovanni Rotondo. Nie czułam żadnego lęku. Ojciec Pio podszedł do mnie i spojrzał na mnie tak, jak wtedy. To było to samo straszliwe spojrzenie, płonące ogniem. Nie powiedział ni słowa, lecz rozumiałam wszystko.

Kiedy odszedł, poczułam w mej duszy głęboki spokój. Moje lęki, uczucie smutku i gnębiąca mnie chęć śmierci zniknęły. Poczułam w sobie nowe siły. Zdawałam sobie sprawę z daru, jakiego doświadczyłam, i postanowiłam uczynić wszystko, by nie zmarnować tej tajemniczej wizyty.

Już następnego dnia okoliczności skłoniły mnie do dokonania szybkich i nieodwołalnych wyborów. Doprowadziłam do końca podpisane wcześniej kontrakty, po czym podjęłam wielką decyzję: postanowiłam zerwać raz na zawsze z zawodem aktorskim. Była to dla mnie niezmiernie trudna decyzja. Akurat w tym samym okresie oferowano mi wiele ról i wynagrodzenie przyprawiające o zawrót głowy. Moje ostatnie filmy przyniosły dużo zysków, toteż chcieli mnie do swych filmów poważni reżyserzy, lecz proponowano mi wciąż te same role.

Od owego okresu minęło wiele lat. Moje życie całkowicie odmieniło się. Nie jestem już Lizą Gastoni z tamtych filmów. Odkryłam nowe zajęcia. Mój talent artystyczny

znalazł upust w malarstwie, rzeźbie i pisarstwie. Interesują mnie wartości duchowe; czerpię je z wielu źródeł.

Często jeżdżę do miejsc charyzmatycznych, takich jak Sanktuarium w Loreto, gdzie znajduje się Domek Matki Boskiej, lub Porcjunkula w Asyżu, w której modlił się św. Franciszek. Byłam też w Indiach, by poznać wielkich guru. Lecz najdroższym mi przewodnikiem życiowym pozostał Ojciec Pio".

CZYTAŁ W SERCACH

„Przystąpiłem do spowiedzi u Ojca Pio. Ukląkłem przed nim. Właśnie miałem wyznać moje grzechy, kiedy to on pierwszy zaczął mówić i streścił całe moje życie. Wiedział o mnie wszystko, nawet sprawy, o których dawno już zapomniałem". Stwierdzenia takie wyszły od wielu osób po ich spotkaniu z Ojcem Pio.

W poprzednim rozdziale usłyszeliśmy je od kilku nawróconych słynnych postaci. To szokujące doświadczenie stało się udziałem tysięcy.

Zdolność czytania w myślach innych ludzi, zgłębiania duszy osób szukających u niego pomocy - to jedna z najbardziej fascynujących właściwości Ojca Pio. Zupełnie jakby dusza ludzka nie miała dla niego tajemnic. Ojciec Pio mówił stojącemu przed nim człowiekowi na temat jego osobistych, najbardziej intymnych spraw tak, jakby czytał z otwartej książki.

Stwierdzenia Ojca Pio były dokładne, precyzyjne w każdym szczególe nawet wtedy, gdy czas zatarł już dane wydarzenie w pamięci jego rozmówcy. Nic nie skryło się przed tajemniczą intuicją Stygmatyka. „Czytanie w myślach" należy do umiejętności znanych badaczom zjawisk parapsychologicznych. Wielu magów i czarowników twierdzi, iż posiada taką zdolność. Używają jej, by zaszokować swych klientów.

Nie ma ona jednakże nic wspólnego z tym, co działo się w przypadku Ojca Pio. Zdolność „czytania w sercu", jaką posiadał „brat ze stygmatami", może znaleźć odpowiednik jedynie w mistyce. Określana jest w niej jako „kardiognoza", czyli przenikanie duszy albo też „rozdzielanie j duchów". Nie jest to nie określona bliżej „intuicja" tego, co w danej chwili może pomyśleć inna osoba, lecz „pełna znajomość ludzkiego j serca", czyli całkowite postrzeganie myśli, uczuć, namiętności, pragnień i zamierzeń danej osoby.

Jest to zdolność o niezmiernie wysokiej wartości duchowej, którą może obdarzyć jedynie Bóg. Hiszpański teolog Rojo Marin definiuje ją, jako „nadprzyrodzoną znajomość tajemnic serca przekazaną przez Boga swym sługom". Według Francuza Adolfa Tanquereya jest to „wlany dar czytania w głębiach serc i odróżniania dobra od zła". Termin „wlany" w języku teologów oznacza, iż coś dane jest darmo przez Boga. Że taka zdolność jest wyjątkowo wielkim charyzmatem – podkreśla również najznakomitszy z wszystkich teologów, św. Tomasz z Akwinu, nazywany „doktorem Anielskim". Twierdzi

on, iż „sanktuarium duszy”, wzniesione z rozumu i woli, jest niedostępne dla wszystkich stworzonych mocy. Nawet aniołowie, a zatem istoty i umysły przewyższające naturę ludzką, mogą zgłębiać tajemnice serca tylko za sprawą specjalnego objawienia Bożego.

WIEDZIAŁ WSZYSTKO

Wielu wielkich świętych obdarzonych zostało tym przywilejem, zwłaszcza ci, którym przyszło spełniać rolę „duchowych przewodników”. W przypadku Ojca Pio zdolność ta wyrażała się czasami w dokładnym, wręcz materialnym postrzeganiu myśli danej osoby. Zaczęła przejawiać się już w jego młodości, wiele lat przed stygmatami.

W 1911 roku przebywał w klasztorze w Venafrò, był chory. Jego kierownik duchowy, o. Agostino z San Marco in Lamis, przyszedł do niego w odwiedzin. „Niech ojciec dziś rano odmówi za mnie specjalną modlitwę” - poprosił go Pio.

Schodząc do kościoła o. Agostino postanowił w szczególny sposób wspomnieć imię współbrata w czasie Mszy świętej, lecz później zapomniał o tym. Kiedy wrócił do celi Ojca Pio, ten spytał go: „Czy pomodlił się ojciec za mnie?”. „Zapomniałem” - odpowiedział o. Agostino. Na co Ojciec Pio odparł: „Całe szczęście, że Bóg przyjął postanowienie ojca modlić się za mnie, jakie ojciec powziął schodząc do kościoła”.

Innym razem o. Agostino widząc Ojca Pio w bardzo złym stanie udał się do kościoła, by się za niego pomodlić, obawiał się, bowiem, że może umrzeć. Kiedy po mniej więcej piętnastu minutach wrócił do celi chorego, zobaczył go w dobrym nastroju. Ojciec Pio powiedział mu: „Ojciec poszedł, żeby się za mnie pomodlić, i dobrze ojciec zrobił. Ale myśleć już o mowie pogrzebowej, to zbyt wcześnie”.

Po otrzymaniu stygmatów i rozpoczęciu swej wielkiej misji apostołskiej zdolność przenikania serc ludzkich przejawiała się w nim bezustannie. W konfesjonale, jak to widzieliśmy w przytoczonych już świadectwach, ale i również poza konfesjonalem. Czasami w dość zabawny sposób.

Pewnego dnia Carlo Campanini przywiózł do San Giovanni Rotondo swojego kolegę, zainteresowanego Ojcem Pio, aczkolwiek sceptyka. Campanini przekonał go nawet do pójścia na Mszę świętą. Kościół wypełniony był po brzegi wiernymi. Kiedy przeciskali się do ołtarza, kolega Campaniniego rozglądając się wokół pomyślał sobie: „Ilu idiotów przyjeżdża tu, by zawierzyć temu błaznowi, który udaje świętego”.

W tej samej chwili stojący przy ołtarzu Ojciec Pio odwrócił się twarzą do wiernych i patrząc prosto w kierunku kolegi Campaniniego, powiedział: „Módlcie się, bracia, nie za mnie, lecz za tego nieszczęśnika, który w tym momencie mówi, że jestem błaznem”.

Pewien lekarz z San Marco in Lamis zakazał swym dwóm córkom całowania ręki Ojca Pio. Uważał bowiem, iż jego rany były spowodowane jakąś nieprzyjemną chorobą i obawiał się zarażenia.

Któregoś dnia dziewczynki poszły z koleżankami do klasztoru. Widząc, że wszystkie ich koleżanki całują Ojca Pio w rękę, nie chciały być gorsze i podeszły do niego, by uczynić to samo. Ale Ojciec Pio skrzyżował ręce z tyłu i powiedział: „Nie, macie być posłuszne waszemu ojcu”.

Kardynał Giuseppe Siri, arcybiskup Genui, opowiedział mi tę oto historię: „Przez dłuższy czas nie mogłem zdecydować się co do konkretnych kroków, jakie należało podjąć dla rozwiązania pewnej bardzo poważnej sprawy w mojej diecezji. Miałem do wyboru dwie możliwości, lecz nie wiedziałem, która jest lepsza. Aż w końcu, zmuszony do działania, zdecydowałem się na jedną z nich. Dzień później dostałem telegram od Ojca Pio, w którym upewniał mnie, że powziąłem słuszną decyzję, zachęcał, bym szedł dalej obraną drogą. A przecież nikomu nie zwierzałem się z dręczących mnie niepewności. W jaki sposób Ojciec Pio dowiedział się o wszystkim?”.

ZAGUBIENI

Tajemniczą znajomością „serc” ludzkich posługiwał się zwłaszcza, w doborze swych najbliższych współpracowników. Gdy zaczął myśleć o realizacji wielkiego dzieła społecznego, jakim miał być Dom Ulgi w Cierpieniu, dziś największy szpital na południu Włoch i jeden z największych w Europie - musiał równocześnie szukać do współpracy zaufanych osób.

Było to przedsięwzięcie delikatne, skomplikowane i trudne. Każdy rozważny człowiek zwróciłby się do uznanych fachowców oraz do bezwzględnie pewnych osób. Natomiast Ojciec Pio wybrał sobie na współpracowników osoby dziwne, zagubione, jednostki nie przystające w zupełności do zadań, które ich czekały - lekarza emeryta, niespokojnego farmaceutę, weterynarza zajmującego się produkcją piwa, nader popędliwego robotnika i niepoprawnego obieżyświata.

Farmaceuta nazywał się Carlo Kiswarday i pochodził z Zary. Znalazł się w San Giovanni Rotondo w 1938 roku, całkiem przypadkowo. Był człowiekiem niespokojnym. Czuł się obco w świecie, którego idee nie przekonywały go. Szukał wsparcia duchowego. Kiedy tylko usłyszał o Teresie Neumann, ruszył do Niemiec, lecz dotarwszy do Bressanone, bez żadnego powodu zmienił raptownie kierunek podróży i udał się na południe. Dojechał do Rzymu, a stąd wprost do San Giovanni Rotondo. Poznawszy Ojca Pio, postanowił zamieszkać przy nim na zawsze.

Podobnie było z weterynarzem Mariem Sanvico. Mieszkał w Perugii, gdzie z pasją zajmował się produkcją piwa. Któregoś dnia ktoś opowiedział mu o Ojcu Pio. Zaciekawiony, pojechał do San Giovanni Rotondo i tam już został. Zamknął swą fabrykę piwa, zbudował sobie domek w pobliżu klasztoru OO. Kapucynów i wiódł spokojne życie emeryta.

Najbardziej skomplikowana jest historia lekarza, Guglielma Sanguinetti, tokańskiego „zjadacza księży”, masona i ateisty. Po wielu latach pracy w przychodni dla kolejarzy w podflorenckiej miejscowości Borgo San Lorenzo przeszedł na emeryturę. W 1940 roku zgodził się zawieźć do San Giovanni Rotondo żonę, która pragnęła poznać Ojca Pio. Sanguinetti nie chciał nawet słyszeć o zakonniku i wyraźnie zaznaczył, że odbywa tę podróż wyłącznie w charakterze „kierowcy żony”.

W dzień po przybyciu do San Giovanni Rotondo towarzyszył żonie we Mszy św. odprawianej przez Ojca Pio, zaś po zakończeniu nabożeństwa przeszedł wraz z innymi mężczyznami do zakrystii, by przyjrzeć się z bliska owemu zakonnikowi, o którym tyle rozprawiano. Kiedy Ojciec Pio odwrócił się w kierunku grupy osób chcących się z nim przywitać, od razu utkwiał wzrok w tokańskim lekarzu, po czym zawołał go po nazwisku, zupełnie jakby znali się od lat. „Musisz tu przyjechać i pomóc mi w budowie wielkiego szpitala” - powiedział.

Usłyszawszy tego rodzaju propozycję doktor Sanguinetti wybuchnął śmiechem, lecz był równocześnie zaszokowany zastanawiając się, skąd Ojciec Pio mógł znać jego nazwisko. „Któż mógł z nim o mnie rozmawiać?” - zadawał sobie to dręczące pytanie.

„MASZ PEWNĄ KARTĘ.. ”

Państwo Sanguinetti planowali zatrzymać się w San Giovanni Rotondo tylko parę dni, ale lekarz jakoś nie mógł zdecydować się na powrót do domu. Kilkakrotnie widział Ojca Pio. Któregoś razu zakonnik ponownie poruszył temat szpitala. „Sprzedaj te parę rzeczy, które trzymają cię we Florencji, i przenieś się do San Giovanni Rotondo” - zaproponował. „Ależ to niemożliwe. Jestem na emeryturze i nie mam oszczędności, by wybudować sobie tutaj dom” - odparł Sanguinetti. „Masz pewną kartę, która wkrótce już rozwiąże twoje problemy” - zawyrokował Ojciec Pio.

Sanguinetti wrócił do Florencji. Nie przestawał myśleć o dziwacznym zdaniu Ojca Pio, w którym nie mógł się dopatrzeć żadnego sensu. Aż któregoś dnia otrzymał wiadomość o wysokiej wygranej. Od wielu lat posiadał bony oszczędnościowe i podczas losowania na jeden z jego bonów padła wysoka nagroda. Natychmiast skojarzył ten fakt ze słowami Ojca Pio i zdecydował, że zamieszka w San Giovanni Rotondo. Tam, dzięki wygranej, mógł wybudować sobie domek i stał się prawą ręką Ojca Pio przy budowie kliniki.

Ojciec Pio był bardzo przywiązany do doktora Sanguinetti. Traktował go jak brata. Na wiadomość o jego śmierci płakał jak dziecko. Świadkiem tego wydarzenia był dziennikarz Giovanni Gigliozi. „Wiadomość o śmierci doktora Sanguinetti - powiedział mi - zastała mnie w Rzymie. Natychmiast udałem się do San Giovanni Rotondo.

Przybywszy do klasztoru skierowałem swe kroki w stronę schodów wiodących do celi Ojca Pio, lecz nagle zatrzymałem się: Ojciec Pio stał na półpiętrze wsparty o wielki drewniany krucyfiks. Jego ramionami wstrząsały gwałtowne łkania. Mimo woli byłem świadkiem przejmującej sceny. Ojciec Pio płacząc wypowiedział te nieprawdopodobne słowa: «O Jezu, gdybyś uprzedził mnie, że ma umrzeć, wydarłbym Ci go». To niesamowite zdanie ukazuje, jak bardzo blisko Jezusa żył on, a zarazem, jaką miłością darzył swego przyjaciela".

ROBOTNIK DOBRY DO WSZYSTKIEGO

Wzniesienie tak wielkiego dzieła, jakim był Dom Ulgi w Cierpieniu - które już od samych początków obmyślane zostało przez Ojca Pio jako gmach dużych rozmiarów - wymagało zatrudnienia zdolnych architektów i doświadczonych inżynierów. W ich miejsce Ojciec Pio wybrał niewykwalifikowanego robotnika, łatwo wpadającego w gniew i, co gorsza, uciekającego się do oszustw.

Nazywał się Angiolino Lupi, pochodził z Abruzzów i miał okropny charakter. Wywodził się z biednej rodziny. Jego wykształcenie ograniczyło się do pięciu klas szkoły podstawowej. Nigdy nie wyuczył się konkretnego fachu. Jak tylko widział jakąś wolną posadę, udawał specjalistę i próbował szczęścia. Za młodu, kiedy mieszkał w Castelfreddone, by zarobić trochę grosza, fotografował zmarłych.

Ludzie stamtąd byli bardzo ubodzy, nie wydawali pieniędzy na fotografowanie się. Ale w wypadku śmierci rodzinie żal było, że po zmarłym nie zostanie ani jedno zdjęcie pamiątkowe, i wtedy wkraczał do akcji Angiolino ze swym lichym aparatem fotograficznym. Przecierał twarz nieboszczyka chusteczką namoczoną w letniej wodzie, by na kilka sekund otworzyć mu oczy i zrobić zdjęcie.

Porzuciwszy swe rodzinne strony, Angiolino udał się za pracę do Chieti, Lanciano, Pescary, Rzymu. Był nawet w Syrii i Egipcie. Pracował, jako stolarz, malarz-dekorator, tokarz, scenograf. Był wysokim i silnym chłopem. Nosił pumpy, sweter i wielkie buciska. Miał okropny charakter. Kiedyś, pracując w jakimś klasztorze, pokłócił się z braciszkami i w przyпіtywie złości ośmiu z nich przywiązał do rusztowań.

Kiedy Ojciec Pio postanowił przystąpić do budowy Domu Ulgi w Cierpieniu, przejrzał wiele projektów przedłożonych mu przez uznanych fachowców. Tylko jeden z nich przypadł mu do gustu, a podpisany był przez niejakiego inżyniera Candeloro z Pescary. Ojciec Pio postanowił zrealizować ten właśnie projekt, żaden inny. Wezwano autora projektu i okazało się, że inżynier Candeloro nie istnieje. Projekt przygotowany został przez Angiolina Lupiego, który nie był nawet mierniczym.

Braciszkanie z San Giovanni Rotondo oburzyli się i oszusta chcieli zaskarżyć do sądu, ale Ojciec Pio zaprotestował. Przejrzał serce owego człowieka. Wyczuł, iż jest on

odpowiednią osobą i dlatego wybrał go na swego współpracownika. Lupi stał się w ten sposób wykonawcą projektu i kierownikiem budowy Domu Ulgi w Cierpieniu.

W krótkim czasie przygotował budowę wyjątkową. Sezonowi robotnicy rolni z rejonu Gargano przeistoczyli się w stolarzy, ślusarzy, murarzy, dekoratorów i malarzy. Przewyciężając ogromne trudności techniczne, stworzył dzieło nazwane przez świetnych architektów „istnym cudem”. Pewien inżynier z Foggii zaskarżył jednak Angiolina do lokalnych władz sądowych o „nielegalne wykonywanie zawodu”.

Poinformowawszy Ojca Pio o doniesieniu, Angiolino spytał zaniepokojony: „Wsadzą mnie teraz do więzienia?”. „Nie lękaj się, synu. Sędziowie mają przecież trochę zdrowego rozsądku. Ten, kto cię zaskarżył, dostał swój tytuł od ludzi, ty zaś od Boga” - odpowiedział mu Ojciec Pio. Proces rozpułnął się w powietrzu jak bańka mydlana.

PRZYJECHAŁ CASANOVA

Trzecim współpracownikiem, którego wybrał sobie Ojciec Pio kierując się swym nadzwyczajnym charyzmatem „przenikania serc ludzkich”, był Emanuele Brunatto. Ten sam, który stał się później jego obrońcą, jego „agentem specjalnym” i zarządcą kapitałów przeznaczonych do budowy Domu Ulgi w Cierpieniu.

Ze względu na swoje zwyczaje i swą przeszłość Brunatto był niewygodnym osobnikiem. Bardzo niewygodnym. Dlatego też oficjalne biografie Ojca Pio pomijają go albo zaledwie wspominają. Zdawać by się mogło, iż autorzy nie potrafią podać motywacji decyzji Ojca Pio o wyborze Brunatta na swego współpracownika, i to współpracownika, któremu powierzał ważne i delikatne zadania. Według biografów Ojca Pio w tym jedynym przypadku omylił się on. Ale nie mają racji. Ojciec Pio „czytał w sercach”, i dlatego dostrzegł, iż w Emanuele Brunatto, oprócz wszystkich jego przywar i win, tkwiły również wyjątkowe zalety, które czyniły zeń nader cennego pomocnika.

Ojciec Pio wiedział wszystko o Brunatto już od pierwszego spotkania z nim, a mimo to wybrał go bez wahania na swego syna duchowego. Brunatto przyjechał do San Giovanni Rotondo w 1919 roku. W jego curriculum duchowym było dosłownie wszystko. Ojciec Brunatta należał wprawdzie do ostatnich penitentów św. Jana Bosco, lecz syn nie chciał nawet słyszeć o religii. Uciekł z domu bardzo wcześnie. Kochał życie.

Napisał w swych wspomnieniach: „Kobiety pociągały mnie bardziej niż praca, zmysłowość czyniła mnie niestałym i niekonsekwentnym. Nie ukończyłem nawet 20 lat, gdy popełniłem największą bodaj z mych niedorzeczności, zawierając związek małżeński, który okazał się klęską. Moja narzeczona, a zarazem kochanka, była starsza ode mnie o jedenaście lat i przeżyła przedtem sporo czasu z innym adoratorem. Jej siostry mogły się poszczycić znacznie bogatszymi doświadczeniami, zaś brat odsiadywał karę w jednym z niemieckich więzień za współudział w wielu przestępstwach... ”.

W czasie I wojny światowej Brunatto powołany został do wojska, gdzie również znalazł sposób na to, by kombinować i oszukiwać. Jak tylko jego sztuczki wyszły na jaw, wyrzucono go z wojska i skazano na więzienie. Odsiedziawszy karę zaczął wałęsać się z miasta do miasta, dopóki nie przyszło mu do głowy, za sugestią swej ówczesnej przyjaciółki, by poświęcić się karierze artystycznej. Pracował w Neapolu jako tancerz.

Pewnego dnia w tamtejszym „Mattino” przeczytał artykuł o Ojcu Pio. Była to pobieżna lektura, lecz mimo to historia życia owego zakonnika utkwiała mu głęboko w pamięci. Od czasu do czasu mimo woli wracał do niej myślą. W czasie swego sycylijskiego tournée znowuż wpadł w tarapaty i musiał ratować się ucieczką. Wrócił do Neapolu, gdzie przez pewien okres czasu żył w nędzy.

Któregoś dnia spotkał swą dawną kochankę, która ze śpiewaczki kabaretowej w nocnych kawiarniach przeistoczyła się w krawcową. Zamieszkał u niej. Lecz Brunatto nigdy nie zapomniał artykułu o Ojcu Pio. Często myślał o stygmatyzowanym zakonniku. Postanowił poznać go. Oto, jak przedstawia w swych pamiętnikach pierwszą podróż do San Giovanni Rotondo: „Była księżycowa noc. Przejeżdżałem przez opustoszałą, obcą dolinę i nie spotkałem po drodze ani jednej duszy. Skąły wulkaniczne w białej, zimnej poświacie księżyca zdawały się być ruinami jakiegoś wymarłego miasta. Tu i ówdzie, niczym zjawy, wyrastały pokręcone drzewka fig kaktusowych. Odniosłem wrażenie, jakbym raz jeszcze przeszedł całą moją drogę życiową: nocna wędrówka do nieznanego celu... ”.

INTENSYWNA WOŃ

Przybywszy do San Giovanni Rotondo znalazł nocleg w klasztorze kapucyńskim, gdzie dano mu jedną z cel. Następnego dnia spotkał się z Ojcem Pio. „... Mnich gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na mnie” - napisał Brunatto. - „A właściwie - czytamy dalej - poraził mnie swym ostrym, gniewnym spojrzeniem, jakby zobaczył przed sobą diabła we własnej osobie. Miał zły wyraz twarzy, rysy dość pospolite, okropnie zmierzwioną brodę. I to ma być «święty»? O twarzy rozbójnika? I dlaczego patrzył na mnie z taką nienawiścią?...

Byłem wściekły. Kapucyn zdawał się w ogóle mnie nie zauważać. Ale co się stało ze mną wkrótce po tym spotkaniu? Jaka burza rozpętała się w mojej duszy? Pamiętam jedynie, że wybiegłem z zakrystii jak opętany i ni stąd ni zowąd znalazłem się przy kamiennym ogrodzeniu okalającym zabudowania klasztorne. Trzymając się kurczowo zmurszałych kamieni ogrodzenia, łkałem i lamentowałem niczym poranione dziecko: «O mój Boże, mój Boże!» - powtarzałem bezustannie. Jak długo? Godzinę? Dwie... ? Nie wiem.

Kiedy wróciłem do zakrystii, czekał na mnie Ojciec Pio. Był sam. Jego twarz, o nadprzyrodzonej piękności, jaśniała nieopisaną radością, a broda wcale nie była zmierzwiona. Nie wymówiwszy słowa, gestem ręki kazał mi uklęknąć. Wspomnienia z

całego mojego życia cisnęły się na me usta z siłą rwącego potoku: ile omyłek, ile niegodziwości popełniłem od lat młodości do dziś! Powiedziałem: «Chyba nigdy nie skończę mej spowiedzi». Ojciec Pio odparł na to: «Wyspowiadałeś się w czasie wojny i Bóg przebaczył ci. Nie podnoś kamienia, który został już położony!... ».

... Przyszedł moment rozgrzeszenia. Ojciec Pio musiał kilka razy zaczynać od początku, jakby walczył z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem, który bronił się zawzięcie przed jego ciosami. Sakramentalne słowa to rwały się na kawałki, to znów łączyły i niczym strzały ze świstem przelatywały ponad moją głową, natomiast z ust Ojca Pio wydobywała się intensywna woń róż i fiołków, i falami ogarniała moją twarz...

... Przy wyjściu z klasztoru poprosiłem Ojca Pio, by pobłogosławił jedyny przyzwoity przedmiot, jaki wygrzebałem z kieszeni – parę białych rękawiczek wieczorowych, ostatni element mojego teatralnego ekwipunku. Przez chwilę zawahał się, potem uśmiechnął się do mnie i pobłogosławił je. Od tamtego dnia aż do czasu, kiedy je zgubiłem, emanował z nich, z pewnymi przerwami, ten sam zapach, który czułem w czasie spowiedzi". Ale jak przyszłość pokazała, spotkanie z Ojcem Pio, tak dokładnie opisane, było dla Brunatta jedynie krótkim epizodem.

„PIERWSZY Z MYCH SYNÓW"

Po powrocie do Neapolu, odkrywając, iż jego przyjaciółka zadaje się z jakąś tamtejszą grubą rybą, Brunatto wrócił do swego ulubionego zajęcia - szantażu. Owa „gruba ryba" miała w Neapolu dobrze prosperujące przedstawicielstwo handlowe kilku większych producentów win i wódek.

Minęło kilka miesięcy i Brunatto został dyrektorem przedstawicielstwa, a niedługo potem współwłaścicielem. Interes kwitł na całego. Wobec tego Brunatto postanowił założyć własną firmę. Wziął w dzierżawę całą kamienicę przy via dei Mille i założył salon ekskluzywnej mody. Zaskarbił sobie życzliwość najbardziej wpływowych neapolitanek, które dokonując zakupów w jego firmie, wywindowały ją na wysoką pozycję.

Z okazji corocznej Wystawy Neapolitańskiej Brunatto przygotował retrospektywny przegląd mody, za który otrzymał gratulacje od samego monarchy Włoch i jego ministrów.

Ale od czasu do czasu Ojciec Pio dawał mu o sobie znak. Brunatto widywał go we śnie. Aż wreszcie zrozumiał, iż nadszedł moment, by uporządkować własne życie. Postanowił wówczas zamieszkać w San Giovanni Rotondo. Przywiózł ze sobą swą kochankę. By uniknąć komentarzy, przedstawił ją, jako siostrę. Zmienił nazwisko na De Felice. Wszystko dobrze układało się w tej grze kłamstw przez rok z górą. Lecz kiedy jeden z wielbicieli „siostry" poprosił o jej rękę, Brunatto zrozumiał, że wszystko to jest farsą, i wypędził kobietę ze swego domu. Pozostał wreszcie sam z Ojcem Pio. Podał mu

falszywe nazwisko, skłamał, co do kobiety, z którą żył, z pewnością zataił przed nim wiele ze swych przewinień.

Osobie o tak burzliwej przeszłości nikt by nie zaufał, a jednak Ojciec Pio, który wszystko o nim wiedział, przyjął go jak rodzonego syna. Ujął Brunatta swą dobrocią. Pod koniec lat dwudziestych, w okresie prześladowań Stygmatyka, właśnie Brunatto stanął do walki w jego obronie. Zdemaskował wielu prześladowców i przyczynił się do tego, że Święte Oficjum zawiesiło ograniczenia nałożone na Ojca Pio.

Niemniej jednak Brunatto nigdy nie zerwał ze swym cygańskim życiem, chociaż pozostawał w ciągłym kontakcie z Stygmatykiem. Nazywał siebie „pierwszym z wszystkich synów duchowych Ojca Pio”. Również Ojciec Pio uważał go za takiego. Kiedy był w potrzebie, to jemu właśnie powierzał delikatne zadania.

WIELKIE MARZENIE

Ojciec Pio miał jedno wielkie marzenie do urzeczywistnienia. Profetyczne marzenie. Marzenie wzniesienia wśród pustkowi Gargano dużego szpitala, który w przyszłości okaże się jednym z najlepszych szpitali w Europie. Nigdy nie porzucił swego marzenia. Wiedział, że je kiedyś zrealizuje. Lecz trudności były ogromne i żeby je pokonać, potrzebował pomocy wyjątkowych osób. Zwłaszcza w sprawach finansowych. I do takiego dzieła wybrał właśnie owego „specjalnego” syna: aktora, agenta handlowego, krawca, kobieciarza, który potrafił mimo wszystko być mu „najwierniejszym”.

Na początku lat dwudziestych, kiedy wieści o stygmatach Ojca Pio rozeszły się po całym kraju, do San Giovanni Rotondo zaczęły przybywać tysiące chorych, licząc na cudowne uzdrowienie. Ojciec Pio wiedział, że nie może pomóc wszystkim. Chciał, więc uczynić, co tylko możliwe, aby każdy z przyjeżdżających chorych otrzymał pomoc lekarską świadczoną w duchu miłości chrześcijańskiej.

W owych czasach w całym rejonie, Gargano nie było szpitala. Najbliższy szpital znajdował się w Foggii. By tam dotrzeć, trzeba było pokonać 40 km ciężkiej drogi bardzo prymitywnymi środkami komunikacji.

W centrum San Giovanni Rotondo był stary klasztor klarysek. Ojciec Pio zamienił go na skromny, ale funkcjonalny szpitalik o dwóch salach na 20 łóżek oraz odpowiednio wyposażonej Sali operacyjnej. „Szpital Św. Franciszka” - bo tak nazwano to dzieło, otwarty został w styczniu 1925 roku. Wielu lekarzy zaprzyjaźnionych z Ojcem Pio bezpłatnie pracowało w nim. Później jednak entuzjazm lekarzy osłabł i szpital trzeba było zamknąć.

Ojciec Pio nie zrezygnował jednakże ze swych zamierzeń. Niemniej uświadomił sobie, że podobne dzieło musi posiadać mocne i pewne podstawy finansowe. Toteż zabrał się do ich tworzenia. W biografii oficjalnych Ojca Pio wzmianki o Domu Ulgi w Cierpieniu pojawiają się dopiero w odniesieniu do lat czterdziestych, lecz Ojciec Pio

zaczął pracować nad realizacją swego projektu, w tajemnicy przed opinią publiczną, już dziesięć lat wcześniej.

O tym dziesięcioleciu nie wspomina żaden z jego biografów, zupełnie jakby chciano zapuścić zasłonę na ów czas. Przejrzałem liczne biografie Ojca Pio, książki opisujące historię Domu Ulgi w Cierpieniu - i w żadnej z nich nie znalazłem ani słowa na temat tych dziesięciu lat wytężonej działalności Ojca Pio, której celem było znalezienie funduszy niezbędnych do rozpoczęcia budowy.

Widocznie przemilczenie to wiąże się z faktem, iż w tamtym okresie Ojciec Pio był w stanie oskarżenia, a zatem zabroniona mu była jakakolwiek działalność, a także kontaktowanie się z osobami postronnymi. Czyniąc to, złamałby nałożone na niego ograniczenia. Ale święci niejednokrotnie otrzymują nakazy wprost od Boga.

Wbrew wszystkim ograniczeniom Ojciec Pio zajmował się dalej, w tajemnicy przed światem, największym ze zrealizowanych przez siebie dzieł humanitarnych. Realizacja projektu wymagała ogromnych sum. Ojciec Pio na początku lat trzydziestych obmyślił wyjątkowy plan zdobycia koniecznych funduszy; jego wykonanie powierzył Brunattowi.

PATENTY ZARLATTI

W 1929 roku Ojciec Pio wspomógł cudownie księżną Bajocchi, która z wdzięczności zdecydowała przeznaczyć na realizację jego dzieła zyski, jakie dawała sprzedaż patentów Zarlatti mających zrewolucjonizować światowy system kolei żelaznych.

Autorami patentów byli Fausto Zarlatti i Umberto Simoni, a dla ich spożytkowania utworzono specjalną spółkę Zarlatti. W jej skład weszli książę Vincenzo Bajocchi, książę Alessandroni adwokat Antonio Angelini Rota, inżynier Umberto Simoni (jeden z wynalazców) i książę Edoardo Aluffi, z osobistej ochrony Ojca Świętego.

Za sprawą księżnej Bajocchi do spółki powołano również Ojca Pio, który ze względu na śluby ubóstwa nie mógł przyjąć tej funkcji i w swoim zastępstwie oddelegował do niej Emanuela Brunatta. Znając bogatą przeszłość tego człowieka, oczywiste jest, że podobnego wyboru mógł dokonać jedynie „święty”, taki jak Ojciec Pio, który potrafi czytać w głębi ludzkiej duszy.

Pierwsze próby nowych silników dały pozytywne rezultaty. W okresie od 15 kwietnia do 15 listopada 1930 roku kilka wagonów silnikowych o nazwie Zarlatti pokonało, na odcinku Rzym-Ostia, łącznie 3500 km, co było najlepszym dowodem przydatności wynalazku. Należało, zatem zrobić reklamę patentu również za granicą, by zaoferować go na rynku światowym. Za poradą Ojca Pio zadanie to powierzono Emanuelowi Brunatto. Również od Ojca Pio wyszła propozycja, by w celu uniknięcia typowych włoskich trudności biurokratycznych Brunatto przeniósł się do Paryża i założył tam francuską filię spółki Zarlatti.

Ojciec Pio interesował się każdym krokiem swego przyjaciela, jak to wynika z wielu jego listów do Brunatta, zawierających dokładne instrukcje. O tej „tajnej” współpracy poinformowani byli nieliczni, zaufani przyjaciele Ojca Pio, a wśród nich Francesco Morcaldi, burmistrz San Giovanni Rotondo.

Dnia 4 marca 1931 roku Antonio Massa, przyjaciel Ojca Pio, napisał do Morcaldiego następujący list, w którym Ojciec Pio określany jest umownie „przyjacielem”: „Drogi Ciccillo, nie odwiedzałem przyjaciela z powodu zasp, lecz wczoraj bardzo długo rozmawialiśmy. Co do natychmiastowej odsprzedaży akcji Zarlatti powiedział mi, że jest to zbyt niebezpieczne. Sprzedaży należy dokonać po powrocie Emanuela Brunatta z zagranicy. Mówiłeś mi, że inżynier Simoni dałby 50 akcji po 1500 lirów. Jeżeli nie odstąpił ich jeszcze, powstrzymaj go, gdyż przyjaciel znalazł kogoś z naszych, który chętnie kupiłby je, żeby nie poszły w obce ręce. Drogi Ciccillo, naleganie Ojca jest wyjątkowe, toteż nie traćcie czasu”.

W PODRÓŻY PO EUROPIE

Za granicą Brunatto był bardzo aktywny. Z Paryża pojechał do Berlina, ponieważ patentem zainteresowały się takie firmy, jak Maschinenbau i Krupp. W tymże czasie Świąte Oficjum prawdopodobnie „przechwyciło” jakieś informacje w tej sprawie i skierowało przeciwko Ojcu Pio nowe oskarżenia, z jeszcze ostrzejszymi ograniczeniami.

Zabroniono mu jakichkolwiek kontaktów z najbliższymi nawet przyjaciółmi. Brunatto musiał radzić sobie sam. Niestety, wierny druh Ojca Pio napotykał na coraz to większe trudności. Potrzebował pieniędzy. Za pośrednictwem Morcaldiego poprosił o 20 tysięcy franków pożyczki, czyli sumę jak na owe czasy ogromną. Pozostali współnicy nie byli zachwyceni jego prośbą.

W 1931 roku Brunatto przeniósł się do Brukseli, by uplasować akcje Zarlatti w Belgii. Potrzebował funduszy, lecz z Włoch niczego mu nie nadesłano. Próbował, więc swych starych sztuczek, udając impresaria filmowego, teatralnego, scenografa.

W 1932 roku wrócił do Włoch, gdzie miał poważną scysję z Morcaldim i został oskarżony przez niektórych akcjonariuszy firmy Zarlatti o oszustwa. Brunatto nie zraził się nowymi trudnościami, wręcz przeciwnie - umocnił swą pozycję we Francji i zmienił dawną paryską siedzibę firmy na bardziej reprezentacyjną.

W 1935 roku próbował nawet sfinalizować kolosalną transakcję ze Związkiem Radzieckim. W 1937 roku Ojciec Pio mógł znów kontaktować się ze światem. Do Paryża wysłał natychmiast Morcaldiego z serdecznym listem do Brunatta, z którego wynika, iż tajemniczymi dla nas drogami Ojciec Pio śledził każdy jego krok, nie tracąc przy tym zaufania do swego pomocnika. „Mój najdroższy w Chrystusie - pisał - niech Jezus będzie Ci oparciem i pocieszeniem, niech obdarza Cię obficie swą łaską. Wysłałem do Ciebie naszego wspólnego przyjaciela Ciccilla i przez niego przesyłam Ci mój ojcowski uścisk.

Szczęśliwiec, skoro może dostąpić tej przyjemności. Ileż bym dał, żebym i ja "mógł uścisnąć Ciebie. Ale niech się dzieje wola Boża. Proszę Cię usilnie, byś nie czynił przeszkód w odstąpieniu drugiego patentu przeznaczonego na sprzedaż w Stanach Zjednoczonych. Nie doprowadzaj, mój drogi synu, do rozpacz tych biedaków, gdyż nie mogą pozwolić sobie na najmniejsze nawet straty. Zresztą, trzy procenty to propozycja nie do pogardzenia. Nie zwlekaj w sprawie, którą ci przedstawi Ciccillo, nie trać czasu i dobrej okazji. Myślę o Tobie w Chrystusie i ściskam Cię serdecznie".

Odstąpienie patentów za granicą zaczęło przynosić zyski, jak można wywnioskować z listu Brunatta do współników rzymskich, w którym prosi o przelanie na jego konto należnej mu sumy, poczynając od 1935 roku.

SĄ FUNDUSZE

Ojciec Pio, widząc, że patenty przynoszą zyski, przyspieszył działania we Włoszech. Pod koniec 1939 roku spotkał się z grupą swych przyjaciół, by powierzyć im zadanie stworzenia podstaw do realizacji wielkiego projektu. W dniu 9 stycznia 1940 roku w domu doktora Maria Sanvica i doktora Guglielma Sanguinettiego powołali oni do życia „Komitet założycielski kliniki budowanej zgodnie z intencjami Ojca Pio z Pietrelciny".

W odrębnym diariuszu doktora Sanvica czytamy: „Fundatorem dzieła jest Ojciec Pio z Pietrelciny (nie chce on na razie być wymieniany), sekretarzem dr Mario Sanvico, odpowiedzialnym za część medyczną dr Guglielmo Sanguinetti, kierownikiem organizacyjnym Ida Sitz"

Tuż po spotkaniu Sanvico i pozostali członkowie komitetu udali się do Ojca Pio, by zdać mu relację z zebrania. Ojciec Pio zatwierdził ich decyzje. „Od tego wieczoru zaczyna się moje ziemskie dzieło. Błogosławię Was i wszystkich tych, którzy do tego dzieła dodadzą swą cegiełkę, i będzie ono w ten sposób piękniało i rosnęło" – powiedział wyciągając z kieszeni złotą monetę podarowaną mu kiedyś przez jednego z wiernych.

Komitet informowany był na bieżąco o działaniach Brunatta we Francji. I tak Sanvico w swoim „Diariuszu" odnotował: „Imię budowli wybierze Ojciec Pio. Sądzi on, iż patent Zarlatti byłby dobrym źródłem finansowania".

W owym czasie Francja zaangażowana była w II wojnie światowej. Brunatto wciągnięty został w przykre wypadki polityczne i wylądował w więzieniu. Jako Włoch, jeszcze przed okupacją niemiecką, uważany był tam za wroga. Przewidując, iż sytuacja pogorszy się i że wszystko może się przydarzyć, postarał się o uratowanie pieniędzy na dzieło Ojca Pio. Za pośrednictwem Banque Italo-Francais de Credit 9 czerwca 1941 roku wysłał do San Giovanni Rotondo akredytywę na nazwisko Ojca Pio. Można było uiścić ją w Credito Italiano di Firenze; widniała na niej następująca adnotacja: „Komitet Kliniki w San Giovanni Rotondo". Akredytywa opiewała na sumę 3 milionów franków francuskich, co wówczas było ogromnym majątkiem.

To dzięki tej właśnie sumie Ojciec Pio mógł rozpocząć prace przy budowie Domu Ulgi w Cierpieniu. Marzenie nabiera realnych kształtów. Prace rozpoczęły się tuż po zakończeniu wojny. Teren wokół klasztoru zamienił się w wielką budowę, na której okresami pracowało nawet 250 robotników. Surowce budowlane znajdowały się bardzo daleko. Dlatego też na miejscu zbudowano wapiennik, a do produkcji wapna wykorzystywano materiały skalne wybierane z pobliskiej góry. Zainstalowano również urządzenia do rozdrabniania kamieni i przygotowywania cementu. Marmury użyte do oblicówki wewnątrz i ścian zewnętrznych, do produkcji kafelków, ościeży okien i progów drzwi wydobyte zostały na miejscu. Zakupiono najnowocześniejsze maszyny stolarskie oraz urządzono warsztat do produkcji łóżek, okien i mebli.

Prace trwały około dziesięciu lat. Uroczystego otwarcia szpitala dokonano 5 maja 1956 roku na oczach wielkich tłumów. Ceremonii otwarcia przewodniczył kardynał Giacomo Lercaro. Wzięły w niej udział liczne osobistości, między innymi minister Braschi, jako przedstawiciel rządu, senator Merzagora i poseł Petrilli, przedstawiciele obu izb parlamentu. Był obecny również naukowiec Enrico Medi, śpiewak operowy Beniamino Gigli, generał Lorenzotti.

Przyjechali znakomici lekarze z całego świata. Włochy reprezentowali profesorowie: Dogliotti, Valdoni, Alonzo, Condorelli, Ascenzi, Ghini, Cassano, Puddu. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał prof. Paul White, kardiolog z Eisenhower, oraz prof. Wangestein; ze Szwecji profesorowie Olivecrona i Nylon; z Hiszpanii prof. Cilbert -- Queralto; z Argentyny prof. Tarquini; z Belgii prof. Lequime; ze Szwajcarii prof. Mahaim; z Francji prof. Lian i z Anglii prof. Evans.

Było to wielkie święto z okazji powstania wyjątkowego dzieła, zrealizowanego przez ekipę ludzi zagubionych, którym Ojciec Pio okazał jednak zaufanie, czytając na swój sposób w najgłębszych pokładach ich duszy.

W dniu otwarcia szpitala przemawiał również jego Inicjator. Powiedział wtedy: „Teraz Dom Ulgi w Cierpieniu to małe nasionko, ale wyrośnie z niego wielkie drzewo, miasteczko szpitalne, centrum studiów klinicznych o międzynarodowej sławie”. Tak też stało się. Dom Ulgi w Cierpieniu jest dzisiaj jednym z najnowocześniejszych i najlepiej urządzonych medycznych miasteczek uniwersyteckich.

„WIDZĘ WSZYSTKO W BOGU”

„Pamiętaj, że ja widzę wszystko w Bogu” - wyznał kiedyś Ojciec Pio swemu bliskiemu współpracownikowi, Angelowi Battistiemu. „Poszedłem do niego w odwiedziny - opowiadał mi Battisti - zaraz po tym, jak mianował mnie swym oficjalnym pełnomocnikiem oraz administratorem Domu Ulgi w Cierpieniu. Rozmawialiśmy o tym i owym, i w pewnym momencie z jego ust padło to właśnie zdanie. Powtórzył mi je jeszcze przy wielu innych okazjach.

Przyjmował mnie, co sobotę, wieczorem, i bez żadnych ograniczeń czasowych. Był zwierchnikiem wymagającym. Kiedy składałem mu cotygodniową relację, często powtarzał: «Pamiętaj, że ja widzę wszystko w Bogu». Zdanie to miało głęboki sens. On naprawdę wszystko «widział», wszystko o wszystkich, bliskich i dalekich mu osobach. Miałem sposobność sprawdzenia tego wiele razy, i w bardzo szczególnych okazjach".

PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI

Ojciec Pio nie tylko „czytał w sercach ludzkich", czyli miał ten szczególny charyzmat mistyczny wnikania w „sanktuarium ludzkich sumień", ale posiadał również taką znajomość rzeczywistości, która przekraczała granice czasu i przestrzeni. „Widział" zdarzenia, które działy się współcześnie, ale daleko od jego oczu, oraz fakty, które jeszcze nie zaistniały i miały się wydarzyć w przyszłości.

Właśnie, dlatego była to najbardziej zastanawiająca z wszystkich tajemnic Ojca Pio, trudna do rozumowego wyjaśnienia. Dotyczyła przyszłości, a zatem czegoś, czego jeszcze nie ma i co zależy od wielu spletających się ze sobą czynników, nie poddających się przy tym kontroli ludzkiej, jak chociażby wolna wola.

Przewidywanie przyszłości może być zakładane w pewnej mierze przez zwolenników poglądów deterministycznych, według których wszystkie zdarzenia w życiu ludzkim, włącznie z ostatecznym losem człowieka, są z góry wyznaczone przez wolę boską bądź przez jakąś inną zasadę organizującą świat.

Takie fatalistyczne teorie pojawiały się już w wierzeniach starożytnych Greków i Rzymian, w filozofii indyjskiej, w antycznej filozofii chińskiej. Głosili je stoicy. Dopuszczalne są dzisiaj u mahometan oraz w luteranizmie i kalwinizmie. Odrzuca je całkowicie doktryna katolicka. Głosi ona, że istnieje wolna wola, absolutna wolność jednostki ludzkiej do określenia własnych zachowań. Dlatego też w świetle tej doktryny „przewidywanie przyszłości" jest czymś, czego racjonalnie nie da się wyjaśnić.

„Przewidywanie przyszłości" może być tylko charyzmatem mistycznym, czyli darem, jaki Bóg zsyła w szczególnych przypadkach na wielkie dusze, dzięki czemu mogą one „widzieć" „w Nim" rezultaty „wolnych wyborów" ludzkich. Oto, dlaczego Ojciec Pio powtarzał to dziwne zdanie: „Widzę wszystko w Bogu".

Jedynie z tego punktu widzenia można podjąć się próby wyjaśnienia „proroctw" Ojca Pio, które nie były bynajmniej rzadkością. Wszystkie przepowiedziane przez Ojca Pio wydarzenia potwierdziły się w każdym najdrobniejszym szczególe - dokładnie tak, jak je przedstawił.

Przypadki tego rodzaju są niezliczone. Wiele z nich opisałem już w poprzednich rozdziałach, przytaczając świadectwa osób, które za sprawą Ojca Pio doświadczyły cudownych uzdrowień bądź zostały przez niego nawrócone, czy też stykały się z nim, na

co dzień. W każdej niemal swej interwencji wnikał on w sferę przyszłości, posługując się owym nadzwyczajnym charyzmatem.

„BOŻE MÓJ, ILE KRWI”

„Przyjechałem kiedyś do San Giovanni Rotondo z głównym reporterem «Osservatore Romano», Mario Cinellim” - opowiadał mi Giovanni Gigliozi, dziennikarz telewizyjny. „Staliśmy w klasztornym korytarzu - mówił mi dalej. - Ojciec Pio wyszedł z chóru i skierował swe kroki do celi. Na stojącym w połowie długości korytarza wiklinowym stoliku leżały gazety.

Na pierwszej stronie «Avvenire d'Italia» widniała duża fotografia Aldo Moro, który piastował wówczas urząd premiera. Przechodząc obok stolika Ojciec Pio przystanął, utkwiał przez chwilę wzrok w fotografii, po czym, zasłaniając oczy dłońmi, powiedział: «O Boże, ile krwi, ile krwi». Ani ja ani Cinelli nie mogliśmy wówczas zrozumieć sensu tego zdania. Dopiero po wielu latach reakcja Ojca Pio stała się dla nas zrozumiała”.

W okresie, kiedy do San Giovanni Rotondo zjeżdżały się ogromne tłumy, do klasztoru wysyłano codziennie dwóch karabinierów dla ochrony Ojca Pio. Pewnego dnia, po Mszy św., rozbierając się w zakrystii z szat liturgicznych, Ojciec Pio zwrócił się do jednego z owych karabinierów: „Jak tylko rozbiórę się i podziękuję Bogu za Mszę świętą, przyjdź do mojej celi, gdyż mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia”.

Zadowolony karabinier poczekał cierpliwie, aż Ojciec Pio skończy, po czym poszedł do jego celi. „Posłuchaj synu - zwrócił się doń Ojciec Pio - najdalej za osiem dni umrzesz. Dobrze byłoby, więc, żebyś odwiedził twój dom rodzinny”. „Ależ Ojcze, czuję się doskonale” - odrzekł karabinier. „Nie martw się” - dodał Kapucyn. - „Za osiem dni będziesz czuł się jeszcze lepiej. Czymże jest życie? Pielgrzymowaniem. Podróżą - jak w pociągu. Poproś o przepustkę i jedź do domu”.

Karabinier z przerażeniem zapytał: „Ojcze, czy mogę o tym powiadomić moich rodziców?”. „Na razie nie. Powiesz im to, kiedy będziesz już w domu”.

Młodzieniec wrócił do jednostki i poprosił o kilkudniowy urlop, by pojechać do domu. Nie chciano mu go udzielić tak nagle, bez powodu. Wtedy zainterweniował Ojciec Pio, ponieważ dobrze znał jego przełożonego. „Puść tego biedaczynę na trochę do matki” - poprosił, i chłopak dostał pozwolenie. Przybywszy do domu karabinier oznajmił rodzicom: „Ojciec Pio przepowiedział mi rychłą śmierć, przyjechałem, więc pożegnać się z wami”. Po ośmiu dniach młody karabinier umarł.

„WŁOCHY PRZEGRAJĄ WOJNĘ”

„W czasie mojej pierwszej wizyty w San Giovanni Rotondo, w 1941 roku, Ojciec Pio powiedział mi rzeczy, które uważałem wówczas za nieprawdopodobne” - zwierzył mi się generał lotnictwa, Bernardo Rosini. - „Za nic na świecie - wyznał mi - nie dopuściłbym

do siebie myśli, że mogą się ziścić. A jednak stało się dokładnie tak, jak przepowiedział Ojciec Pio. Byłem młody, znalazłem dobrą posadę rządową, ożeniłem się. Nie musiałem się już martwić o swą przyszłość, ale Ojciec Pio, jak tylko zobaczył mnie, powiedział: «Młodzieńcze, jeśli nie chcesz zostać bez pracy, musisz odejść z tej posady i szukać innej». Zdumiałem się ogromnie, a nawet ostro zaprotestowałem, gdyż uważałem, iż znalazłem sobie idealną posadę. Ponadto byłem z siebie dumny, ponieważ zdobyłem ją własnymi siłami, bez żadnego wsparcia. Nie miałem najmniejszej ochoty, by znowu zawracać sobie głowę konkursami. Dałem, więc Ojcu Pio do zrozumienia, że nie zamierzam wcale pójść za jego radą.

Wobec tego Ojciec Pio z zadziwiającą pewnością siebie powiedział: «Włochy przegrają wojnę, faszyzm upadnie, a posady rządowe zostaną zlikwidowane. Powinieneś zacząć się w lotnictwie". Jego słowa spadły na mnie jak kubeł zimnej wody. Przeraziłem się. Moją przyszłość, jak i losy mej Ojczyzny ujrzałem nagle w czarnych barwach.

My, Włosi, mieliśmy wówczas całkowitą pewność zwycięstwa, nie wynikającą wprawdzie z wiary w siłę naszego oręża, ile z pozycji naszego sojusznika. Niemcy władały wówczas sporą częścią Europy środkowej, zajęły Polskę i Francję i odnosiły zwycięstwa na wielu frontach. Myśleć wówczas, iż słowa Ojca Pio spełnią się, było absurdem. Lecz fakty potwierdziły je całkowicie. Oczywiście poszedłem za radą Ojca Pio. Zgłosiłem się do wojska, wygrałem konkurs i wysłany zostałem do Florencji, do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lotniczych.

W 1944 roku, w samym środku wojny, kiedy służyłem w jednostce w Palese, koło Bari, uratowany zostałem od niechybnej śmierci dzięki cudownej interwencji Ojca Pio. Lotnisko w Palese zaatakowane zostało niespodziewanie przez bombowce amerykańskie. Nadleciały znad morza, na sporej wysokości, dlatego też nie zostały zauważone.

Zbliżywszy się do lotniska, zanurkowały zrzucając dziesiątki bomb. Na ziemi rozpętało się straszliwe piekło. Wszystkie samoloty, włoskie i niemieckie, zostały doszczętnie zniszczone. Były ofiary śmiertelne i wielu rannych. W czasie bombardowania wzywałem usilnie Ojca Pio błagając go o ratunek. Nagle tuż obok mnie wybuchł granat rozpryskując się na wiele odłamków. Jeden z nich musnął mnie po twarzy i upadł niedaleko. Podniosłem go z ziemi i zachowałem na pamiątkę.

Wnet po tym wydarzeniu udałem się do Ojca Pio, by mu podziękować. Postanowiłem wtedy zatrzymać się w San Giovanni Rotondo trzy dni. Czułem się tam tak dobrze, że trzeciego dnia oznajmiłem Ojcu Pio, iż chętnie pozostałbym z nim dzień dłużej. «Nie, nie możesz. Musisz stąd wyjechać jeszcze dzisiaj» - odpowiedział stanowczo.

Próbowałem nalegać, lecz bez skutku. Ojciec Pio poszedł do kościoła, by wypowiadać kobiety, ja zaś pozostałem w zakrystii. Zamierzałem poczekać na niego, by jeszcze raz wyrazić pragnienie przedłużenia mojego pobytu w San Giovanni Rotondo. W

zakrystii poznałem mężczyznę z Bolonii, który opowiedział mi o wstrząsającym fakcie: «Ojciec Pio ma dar widzenia tego, co się zdarzy w dalekiej nawet przyszłości.

Kiedy przyjechałem tu do niego po raz pierwszy, zareagował tymi słowami: 'Szkoda, że przyjechałeś tu właśnie dzisiaj. Musisz natychmiast wracać do Bolonii, gdyż zmarł twój ojciec'. Wsiadłem bezzwłocznie do pierwszego pociągu i dojechałem do Bolonii na godzinę przed pogrzebem mego ojca».

W czasie naszej rozmowy do zakrystii wrócił Ojciec Pio i zobaczywszy mnie, rzekł rozkazującym głosem: «Masz stąd natychmiast wyjechać». Tym razem zrozumiałem, że nie można już więcej nalegać. W podróży byłem bardzo zdenerwowany, obawiałem się jakiegoś nieszczęścia. Przyjechawszy do Offidy, gdzie mieszkaliśmy, przekonałem się jednak, iż nikomu nic złego nie stało się. Dręczyło mnie, pytanie, dlaczego Ojciec Pio tak usilnie nalegał, bym tu wrócił.

Odpowiedź przyniosły wydarzenia następnych dni, kiedy to dowiedziałem się, iż dworzec kolejowy w Foggii został zbombardowany. Zginęło tam wówczas wiele osób. Gdybym, więc opóźnił mój wyjazd z San Giovanni Rotondo o jeden dzień, znalazłbym się w owym piekle i zapewne nie wróciłbym do domu.

„BĘDĘ Z TOBĄ”

Przytoczę teraz historię, jaką opowiedział mi śpiewak neapolitański Aurelio Fierro: „Było to w 1961 roku. Przygotowywałem się do ważnego tournée, jakie miałem odbyć w Brazylii. Przed wyjazdem poszedłem pożegnać się z Ojcem Pio. Poprosiłem go o modlitwę za mnie.

Spojrzał wtedy na mnie dziwnym wzrokiem. Wydawał mi się w owym momencie nieszczęśliwy i wielce zasmucony. Położył dłoń na mej głowie, zamknął oczy i pozostał kilka chwil w milczeniu, po czym błogosławiąc mnie rzekł: «Nie lękaj się, mój synu, będę przy tobie». Nie rozumiałem wówczas jego słów. Nigdy nie bałem się podróżować samolotem. Wyjechałem. Podróż odbyła się bez przygód. Na lotnisku czekał na mnie znajomy. Przyjechał po mnie swym komfortowym amerykańskim samochodem.

Lotnisko w Sao Paulo leży na górującym nad miastem płaskowyżu. Do centrum miasta zjeżdża się drogą pełną zakrętów, wijącą się po krawędzi urwistych wąwozów. W samochodzie było nas sześciu. Jazda przebiegała normalnie. Nagle mój znajomy prowadzący samochód zaczął krzyczeć: «Nie hamuje! Zepsuły się hamulce!». Samochód z coraz większą prędkością zjeżdżał w dół. Z jednej strony drogi była przepaść, z drugiej skaliste zbocza. Tak czy owak spadlibyśmy w przepaść, po odbiciu się od skał. Nie mieliśmy żadnych szans przeżycia. To był już naprawdę nasz koniec.

Zrozpaczony pomyślałem o Ojcu Pio. Wyciągnąłem z kieszeni podarowany mi przez niego różaniec i ściskając w dłoniach jego paciorki, z zamkniętymi oczami myślałem o żonie i dzieciach. Poczułem nagle okropne uderzenie. Wyrzuciło mnie z hukiem na

przednią szybę. Spróbowałem poruszyć się. Byłem żywy! Również moi towarzysze podróży wyszli żywi z tej straszliwej przygody.

Okazało się, iż pędzący samochód na jednym z zakrętów wrył się w zbocze, ale, o dziwo, w miejscu, w którym zamiast twardej skały wznosiła się zbawcza dla nas piaszczysta ściana - w ten sposób siła uderzenia została zamortyzowana i nikomu nic się nie stało. Od razu, na własne oczy mogliśmy sprawdzić, jak groźnego niebezpieczeństwa uniknęliśmy. Kilka kroków dalej, po naszej lewej stronie, otwierała się głęboka przepaść. Patrząc z przerażeniem w dół ścisnąłem różaniec i dziękowałem w myślach Ojcu Pio. Byłem pewien, iż to jemu zawdzięczaliśmy życie.

Po powrocie do Włoch pojechałem od razu do San Giovanni Rotondo, by mu podziękować. Jak tylko spotkaliśmy się, nie zdążyłem nawet otworzyć ust, gdy on powiedział: «Mówiłem ci, żebyś się nie lękał, bo będę przy tobie». A zatem, jeszcze przed moim wyjazdem «widział» wypadek, który miał mi się dopiero przydarzyć".

„POŁÓŻ NA SVOJE MIEJSCE TO, CO WZIĄŁEŚ"

Ojciec Pio nie tylko „widział” przyszłość, pokonując bariery czasu, ale również widział fakty zachodzące z dala od niego. W jego rodzinnej miejscowości, Pietrelcinie, w latach siedemdziesiątych poznałem Parisa De Nunzio, który opowiedział mi bardzo pouczające zdarzenie.

„W 1959 roku przyjechałem do Ojca Pio w odwiedziny. Zabrałem ze sobą Silvia, syna jego przyjaciela z dzieciństwa, Mercuria. Ojciec Pio zapytał go o ich gospodarstwo w Piana Romana, gdzie często przychodził wraz ze swym ojcem i gdzie za młodu spędzał wiele godzin na modlitwie. «Zachowałem na pamiątkę wszystkie przedmioty, które tam były» - odpowiedział Silvio.

Ojciec Pio z nostalgią przypomniał mu kilka szczegółów. «Na skraju zagrody - mówił – są dwa kamienie: jeden duży i ciężki, nie do przesunięcia, zaś drugi o wiele mniejszy. Usadowiony między nimi, jak w fotelu, często oglądałem wschód i zachód słońca».

Wróciwszy do Pietrelciny Silvio poszedł obejrzeć owe dwa kamienie i postanowił wziąć jeden z nich, ten mniejszy, na pamiątkę. Obwiązał go łańcuchem, który przyhaczył do traktom. W ten sposób chciał wyrwać kamień ze swego miejsca. Niestety, aż dwa razy łańcuch zerwał się. Przyjrząwszy się bacznie kamieniowi zauważył, iż pojawił się na nim znak krzyża. Silvio zrezygnował ze swego zamiaru.

Trzy miesiące później raz jeszcze pojechaliśmy do San Giovanni Rotondo. Ujrząwszy Silvia Ojciec Pio powiedział: «Ty draniu! To tak się obchodzisz z drogimi mi pamiątkami! Chciałeś zabrać sobie moje krzeselko! Zostaw ten kamień tam, gdzie jest»".

Oto co opowiedział mi o. Alberto D'Apolito, przyjaciel i uczeń Ojca Pio: „Pewnego dnia, po niesporach, Ojciec Pio, jak to było w zwyczaju, wyszedł do przyklasztornego ogrodu na krótki spacer w towarzystwie kilku bliskich mu osób. Było wśród nich paru lekarzy z Domu Ulgi w Cierpieniu, kilku przyjaciół i ja wraz z paroma innymi zakonnikami.

Ojciec Pio przysiadł na chwilę na jakimś kamieniu, a my obsiedliśmy go kołem. W pewnej chwili zwrócił się do Cosima Jadany z Pietrelciny, z którym znał się od dawna: «Weź klucz od mojej celi i przynieś mi chusteczkę do nosa». Cosimo wrócił po kilku minutach z chusteczką w ręku. «Dziękuję » - powiedział Ojciec Pio, po czym dodał: «A teraz wróć jeszcze raz do mojej celi i połóż na swoje miejsce to, co wzięłeś». Cosimo, czerwony jak burak, nie powiedziawszy ani słowa, na oczach rozbawionego towarzystwa poszedł do celi Ojca Pio, by włożyć do szuflady komódki szmatkę splamioną krwią ze stygmatów zakonnika, którą zabrał wcześniej niczym relikwię".

„DAJ MI LIST TWOJEJ ŻONY"

Angelo Battisti mówił mi, że przychodząc do Ojca Pio przynosił mu często listy, które powierzały mu, jako pośrednikowi osoby szukające u Ojca Pio porady. Ojciec Pio nigdy ich nie czytał. „Brał do ręki - mówił dalej Battisti - każdy list z osobna i nawet nie otworzywszy koperty podawał mi odpowiedź.

Któregoś dnia również moja żona dała mi trzystronicowy list do Ojca Pio. Nie wiedziałem, co zrobić. Ojcu Pio brakowało zawsze czasu, toteż nie miałem odwagi dać mu ten list i zwlekałem. Przy trzecim naszym spotkaniu, od dnia, kiedy wziąłem ze sobą ów list, usłyszałem od Ojca Pio: «Dasz mi w końcu ten list od twojej żony?». Przeprosiłem go i sięgnąłem do torby, lecz nie musiałem nawet wyciągać listu, gdyż Ojciec Pio powiedział: «Przekaż twojej żonie, że już zająłem się tym, o co mnie prosiła w liście».

Do Ojca Pio przychodziły tysiące listów. Jego korespondencją zajmowały się specjalnie powołane do tego biura. Ja osobiście zajmowałem się korespondencją związaną z Domem Ulgi w Cierpieniu. Pomagało mi w tym kilka osób. Lubię porządek, toteż wszystkie dokumenty na moim biurku układałem zawsze według ścisłych kryteriów. Również listy do Ojca Pio, na które musiałem odpowiedzieć, miały swe dokładne miejsce.

Niekiedy zdarzało się jednak, iż po przyjeździe do biura znajdowałem wszystko w nieładzie. Nie mogłem pojąć, ktoś to grzebał w tej korespondencji. Któregoś dnia spytałem Ojca Pio, czy to czasem nie on szukał czegoś na moim biurku. «Tak, to ja, mój synu. Chciałem sprawdzić, jak się mają moje sprawy" - odrzekł. A zatem nie opuszczając klasztoru, przychodził - nie znanym nikomu sposobem – do mojego biura, by od czasu do czasu przejrzeć interesujące go dokumenty.

Kierownikiem biura była Ida Lucibelli. Na samym początku, kiedy jeszcze nie znała dobrze owych tajemniczych zdolności Ojca Pio, przychodziła do mnie, by poinformować mnie z przerażeniem, iż dostawaliśmy odpowiedzi na listy, których nigdy nie napisaliśmy.

Odnosiły się one zazwyczaj do spraw ważnych, związanych z osobami pilnie potrzebującymi pomocy Ojca Pio. Podczas gdy ich listy leżały jeszcze w stosie korespondencji czekając na swą kolej, «ktoś» czytał je potajemnie i odpisywał na nie. Tym, «ktosiem» był oczywiście Ojciec Pio, który nie oddalając się nigdy z klasztoru wysyłał odpowiedzi na adresowane doń listy, zaś my dostawaliśmy podziękowania".

„MAMY PRZED SOBĄ PIĘĆDZIESIĄT LAT"

Ojciec Pio znał nawet dokładny dzień swej śmierci. Dawał temu wyraz przy wielu okazjach, w rozmowach ze swymi zakonnymi współbraćmi i przyjaciółmi - i to nie tylko poprzez aluzje, ale także wyrażając się w tej kwestii jednoznacznie. Uświadomiono sobie ten fakt dopiero po jego śmierci.

Na ten temat opowiada się szokującą nieco historię. Ciągnęła się ona przez pięćdziesiąt lat, kiedy to Ojciec Pio, co jakiś czas oznajmiał dokładną datę swej śmierci. Czynił to z ironią, niemal dla zabawy, a także naigrywając się po trosze ze swego przyjaciela, który był przekonany, iż mowa jest o nim. Aż w końcu, po upływie owych 50 lat, wszystkie jego przepowiednie ziściły się ze zdumiewającą dokładnością. Szczegóły tej historii przekazał mi o. Alberto D'Apolito. W pewnym stopniu dotyczy go ona osobiście. Kiedy Ojciec Pio otrzymał stygmaty - zaczął o. Alberto – Jezus powiedział mu zdanie, którego Stygmatyk nigdy nie zanotował w swych listach, jakkolwiek powtórzył je niektórym ze swych przyjaciół, w tym i mnie.

Zobaczywszy owego ranka, 20 września 1918 roku, na swych dłoniach, stopach i boku krwawiące rany, Ojciec Pio błagał Chrystusa o usunięcie tych znaków: «Niechaj cierpię, niechaj umrę z cierpienia, ale zabierz mi te znaki, które mnie zawstydzają". Jezus odrzekł mu: «Będiesz je nosił przez pięćdziesiąt lat, po czym przyjdiesz do mnie». Tak też stało się, gdyż dokładnie po pięćdziesięciu latach znaki zniknęły i Ojciec Pio umarł.

Modesto Vinelli, młody fotograf z San Giovanni Rotondo, w miesiąc po stygmatyzacji Ojca Pio zdołał mu zrobić parę zdjęć, na których stygmaty na dłoniach były bardzo dobrze widoczne. Fotograf sprzedawał zdjęcia wiernym.

Któregoś dnia, w Rodi Garganico, zdarzył mu się niemiły wypadek. Pewien mężczyzna na widok zdjęć Ojca Pio zaczął mu złorzeczyć. Wziął jedno z nich, podarł je na kawałeczki i podeptał. Vinelli ostro zareagował, nie żałując winowajcy kopniaków i pięści. Wywiązała się między nimi zażarta bójka. Za pobicie przesiedział Vinelli w więzieniu czterdzieści dni.

Zaraz po wyjściu z więzienia udał się do Ojca Pio, by opowiedzieć mu o całym zajściu. «Ojcze, to przez Ojca wylądowałem w więzieniu» - zaczął swą opowieść. W odpowiedzi usłyszał: «Modesto, zapamiętaj, mamy jeszcze przed sobą pięćdziesiąt lat!». Vinelli nie zrozumiał sensu tego zdania, ale o nic nie pytał. Jednakże każdego roku, dokładnie 20 września, czyli w rocznicę stygmatyzacji Ojca Pio, kiedy przychodził do

niego, by złożyć mu z tej okazji życzenia - słyszał to samo zdanie o «latach, jakie mieli jeszcze przed sobą». Oczywiście za każdym razem owym tajemniczym pięćdziesięciu latom ubywało rok. Z upływem czasu liczba lat zmniejszyła się do czterdziestu, trzydziestu, dwudziestu... Vinelli zaczął się martwić, gdyż przyszło mu na myśl, iż w ten sposób Ojciec Pio przepowiedział mu rok jego śmierci. Toteż z rosnącym niepokojem liczył upływające lata, a wizyta, jaką składał Kapucynowi zawsze 20 września, stała się dla niego prawdziwym koszmarem. Za każdym razem Ojciec Pio wypowiadał to prorocze, tajemnicze zdanie: «Modesto, pamiętaj, mamy jeszcze przed sobą piętnaście... dziesięć... osiem lat... ».

W 1968 roku, w pięćdziesiątą rocznicę stygmatyzacji Ojca Pio, Vinelli był przestraszony: minęło pięćdziesiąt lat! Ilekcó spotykałem go próbowałem przekonać, że to nieprawda, lecz nie trafiały do niego żadne perswazje. Myślał o 20 września i o tym, co powie mu Ojciec Pio. Aż wreszcie nadszedł ów fatalny dzień. Jak zawsze, 20 września towarzyszyłem Vinellemu w czasie jego wizyty u Ojca Pio. Zakonnik czuł się bardzo źle, lecz jak tylko ujrzał swego przyjaciela, uśmiechnął się doń czule i spokojnym, nieco smutnym głosem wyrzekł: «Modesto, minęło właśnie pięćdziesiąt lat». Vinelli o mało, co nie zemdlął. Podtrzymałem go, bo drżał jak listek osiki. W dwa dni później Ojciec Pio zmarł. Modesto przeżył go o piętnaście lat".

NICZYM FANTAZJOWANIE

Ojciec Pio, człowiek o tylu charyzmatach, zdawał się pochodzić z nieznanego świata: przypominał kogoś pozaziemskiego, przybysza o nadzwyczajnej mocy, jakby bohatera opowieści o spotkaniu z kosmitami. Nie dziw więc, że przytoczone wcześniej fakty pobudzają do pytań, czy nie mamy tu do czynienia z legendą, pobożnym tworem, fanatyczną przesadą.

Człowiek czasów nowożytnych żąda dowodów naukowych. Czy istnieją takie dowody dla tajemniczych faktów związanych z osobą Ojca Pio? Ojciec Pio żył wśród nas przez osiemdziesiąt lat. Jego charyzmaty ujawniały się niemal codziennie i na oczach wszystkich. O żadnym z owych nadzwyczajnych faktów nie można powiedzieć, że zaistniał w ukryciu, z dala od oczu ludzkich. Wręcz przeciwnie - miliony osób były ich świadkami, a tysiące ich uczestnikami.

WYZWANIE RZUCONE NAUCE

Chorzy zjeżdżający się do San Giovanni Rotondo w nadziei na cud - to zazwyczaj ludzie nieszczęśliwi, którzy po bezskutecznym szukaniu pomocy u najślynniejszych specjalistów, w odruchu rozpaczcy zwracali się do Ojca Pio. Ich choroby były „bardziej niż pewne", skoro próbowali je wyleczyć doświadczeni lekarze, i to zazwyczaj w wyspecjalizowanych szpitalach. Nie mogło być, zatem mowy o jakimkolwiek błędzie w

postawionej diagnozie. Również w leczeniu farmakologicznym, też bezskutecznym, zastosowano z całą pewnością najlepsze środki.

Stąd też nagłe wyzdrowienie za sprawą Ojca Pio któregoś z nieuleczalnie chorych stawało się od razu głośnym wydarzeniem, które zdumiewało cały świat lekarski. Ludzie medycyny, urażeni w swej ambicji, zawzięcie roztrząsali każdy przypadek w najdrobniejszych szczegółach. Wiedzieli, że to coś niezwykłego, coś, co jest straszliwym wyzwaniem rzuconym nauce oraz ich doświadczeniu, lecz mimo wszystko nie chcieli przyznać się do własnej niemocy.

Dlatego też w precyzyjnych relacjach z badań laboratoryjnych na próżno szukać by ściślejszych i bogatszych dokumentów naukowych związanych z wyzdrowieniem osób uleczonych dzięki interwencji Ojca Pio. Podobnie potraktowana została sprawa stygmatów. Były to prawdziwe, wciąż otwarte rany, i w świetle nauki nie mogły „trwać” przez długi czas nie zabliźniając się bądź nie przechodząc w gangrenę.

Przez wiele lat były badane przez słynnych lekarzy, po czym badania te przerwano, gdyż nie prowadziły do żadnych konkretnych wniosków. Rany nie zniknęły. Widziały je tysiące osób w czasie Mszy odprawianych przez Ojca Pio. Oglądali je codziennie jego współbracia zakonnicy pomagający mu w trakcie wieczornej czy porannej toalety. Przez pięćdziesiąt lat rany pozostawały „świeże” - było to prawdziwym wyzwaniem rzuconym nauce.

O wiele trudniej jeszcze jest wskazać obiektywne, tzn. naukowo niepodważalne dokumenty, jeśli chodzi o inne nadzwyczajne fakty związane z osobą Ojca Pio, a więc bilokacje, zapachy, nawrócenia, czytanie w ludzkich myślach i przepowiadanie przyszłości. Fakty owe potwierdzone zostały przez jak najbardziej wiarygodnych świadków oraz poprzez pewne „zbieżności”, które można by uznać za dowody, niemniej i tutaj brak takich danych, których dostarcza naukowy, materialny opis.

Ale skoro Ojciec Pio był w stanie wyleczyć z chorób udokumentowanych naukowo, a także żyć nosząc na swym ciele świeże, nigdy nie gojące się rany, które przez pół wieku stanowiły zagadkę dla nauk medycznych - można pozwolić sobie na uznanie tychże faktów za autentyczne poświęcając im należytą uwagę. Charyzmaty Ojca Pio były zatem rzeczywiste i autentyczne – co do tego nie ma wątpliwości.

Z przyczyn, których nie znamy, Ojciec Pio wybrany został przez Boga do pełnienia wśród ludzi wyjątkowej misji. Dla tego celu obdarzony został szczególnymi zdolnościami. Tak zresztą zawsze było w historii niezwykłych duchowych doświadczeń. I to zarówno na Zachodzie, u wielkich chrześcijańskich świętych z różnych epok, jak i na Wschodzie u guru, mahatm czy avatar.

MSZYCE PADAŁY NICZYM PORAŻONE GROMEM

Życ blisko Ojca Pio - to jakby oglądać z pierwszego rzędu pokaz najwyższej magii. Wielkie cuda, jak uzdrowienia nieuleczalnie chorych bądź czytanie w cudzych myślach, nie były w życiu Ojca Pio faktami codziennymi. Ale wiele innych, małych zdarzeń, pięknych i niewytłumaczalnych, które wyglądały, jako dziwny i nieoczekiwany zbieg okoliczności takie rzeczy działały się nieustannie w otoczeniu Ojca Pio. Zwłaszcza jego przyjaciół, osób związanych z nim uczuciowo, które przywoływały go na pomoc w bardzo błahych nawet sytuacjach.

Najwięcej takich dziwnych faktów zdarzyło się w młodości Ojca Pio, kiedy jeszcze nie przylgnęła doń opinia o świętości. Któregoś roku - było to w latach sześćdziesiątych - wybrałem się do Pietrelciny, by przeprowadzić wywiady z bezpośrednimi świadkami wydarzeń z młodości Ojca Pio, o czym miałem napisać kilka artykułów.

Żyło jeszcze wiele osób pamiętających go z okresu, kiedy jako młody kapłan trapiiony był tajemniczymi chorobami i spędził w domu rodzinnym sześć lat. Były to lata niewyjaśnionych gorączek, sięgających 48°C, które opisałem już obszernie w poprzednich rozdziałach.

Osoby, które stykały się wówczas z Ojcem Pio, opowiedziały mi historie niesamowite - niczym z bajki. Ojciec Pio lubił modlić się w polu, gdzie cisza i samotność były o wiele głębsze niż gdziekolwiek indziej. Czasami nie wracał do domu przez wiele dni i nocy. Rodzony brat, Michele, w trosce o zdrowie Pio, zbudował mu szałas, by mógł w nim schronić się przed żarem słońca i nocną wilgocią. Wieśniacy widzieli często, jak nad ranem do szałas Ojca Pio podążał kruk, który niósł mu pożywienie.

Pewnego wieczoru, spacerując ze swymi przyjaciółmi, Ojciec Pio nagle przystanął i zapytał: „Słyszycie?”. „Co?” - zareagowali zdumieni. „Piękny chór i dzwony bijące na święto”. Nikt niczego nie słyszał. Rozbawieni, wszyscy zaczęli żartować z Piuccio (bo tak pieszczotliwie zwali go) i z jego „przywidzeń”.

Przypomnieli sobie jego słowa po czterdziestu latach, kiedy w miejscu, w którym Piuccio słyszał dzwony i chóry, stanął duży kościół. Grazio Forgione, ojciec zakonnik, pracował w pocie czoła kopiąc na swym podwórku studnię. Był bardzo rozzłoszczony, gdyż dokopał się już do głębokości trzech metrów, i bez skutku - ani kropli wody. „Nie złość się, tato” - powiedział mu Piuccio. - „Powinieneś kopać nieco dalej, bo Jezus powiedział mi, że to tam jest woda”. „Jeśli nie znajdę jej tam, zakopię cię”, zażartował Grazio. Ale woda rzeczywiście była tam.

Któregoś wieczoru 1909 roku Piuccio wracał ze spaceru w towarzystwie księdza Ciecía Masone i proboszcza Pannulla. W pewnym momencie przystanął i powiedział: „Kiedyś będzie się tu wznosić kościół i klasztor”. I tak też stało się.

Maria Masone opowiedziała mi, że w tych latach Piuccio dokonał cudu, o którym długo się mówiło. Zdarzyło się to drugiej połowie kwietnia, w czasie kwitnienia bobu, którego plantacje obsiadły wówczas mszyce. Owady pożerały liście bobu i hamowały w ten sposób wzrost owoców. Zniszczyłyby zapewne całe zbiory, wyrządzając wielkie szkody tutejszym gospodarzom.

Jeden z nich, człowiek prosty i pełen wiary, prosił Piuccia, żeby poszedł na jego pole i rzucił klątwę na mszyce. Ojciec Pio wysłuchał go. W miarę jak kroczył wśród roślin, modląc się i błogosławiąc, mszyce spadały z liści bobu niczym porażone gromem.

Wiść o tym rozeszła się błyskawicznie po całej okolicy. Młodego zakonnika wzywali na pomoc również i inni gospodarze, i wszędzie jego modlitwy niszczyły szkodniki. W ciągu tygodnia wszystkie plantacje bobu były wolne od plagi mszyc, co więcej, zbiory owego lata okazały się wyjątkowo obfite.

DIARIUSZ CUDÓW

Jednym z naocznych świadków wielu zadziwiających faktów, które działy się za sprawą Ojca Pio w latach dwudziestych, był Emanuele Brunatto. Jak już wiemy, ten szczególny człowiek – dawny aktor, donżuan, impresario - nawróciwszy się zamieszkał w San Giovanni Rotondo, w pobliżu klasztoru OO. Kapucynów. Wstawał codziennie o czwartej rano, by uczestniczyć w odprawianej przez Ojca Pio Mszy św., po czym aż do późnego wieczora pozostawał w klasztorze. Często spożywał posiłki wraz z zakonnikami. Zależało mu na tym, by zawsze być u boku Ojca Pio. Stał się jakby jego osobistym sekretarzem. Była to idealna sytuacja dla obserwacji wielu ciekawych rzeczy.

Brunatto zdawał sobie sprawę z wagi i wyjątkowości swych doświadczeń, dlatego też wszystko, co widział, postanowił zanotować w swym dzienniku. Był z natury człowiekiem przebiegłym. Poznał najciemniejsze strony życia, toteż nie wpadał łatwo w entuzjazm. Nikomu nie udałooby się go oszukać. Dlatego też to, co napisał, ma wyjątkową wartość. „Oglądane” było, bowiem i „oceniane” krytycznym okiem człowieka pozbawionego złudzeń.

Udało mi się przeczytać wiele fragmentów z jego dziennika. Udostępnił mi go Giuseppe Pagnossin, przemysłowiec spod Wenecji, syn duchowy Ojca Pio, a zarazem przyjaciel Brunatta. Lektura owych zapisków jest wzruszająca. Zawiera rewelacyjne informacje o codziennym życiu Ojca Pio w latach dwudziestych. Notatki Brunatta bodaj najlepiej pokazują, jak często Ojciec Pio - za sprawą licznych darów charyzmatycznych, jakie posiadał - zachowywał się chcąc nie chcąc niczym bohaterowie powieści fantastyczno-naukowych.

Przytoczę tu kilka zdarzeń opisanych piórem Brunatta; mają one coś z klimatu „Kwiatków” św. Franciszka. „Właśnie graliśmy w kule na dziedzińcu klasztornym. Ojciec Pio był niezgorszym zawodnikiem. Cisnął właśnie swą kulą, gdy przechodzący obok kot

wystraszył się i rzucił się ślepo prosto w kierunku lecącej kuli. Oberwałby, lecz kula nagle zatrzymała się w powietrzu i spadła na ziemię".

Kiedy rąbałem drzewo na opał w przyklasztornym ogrodzie, głęboko do kciuka weszła mi drzazga, której żadnym sposobem nie udało się nikomu wyciągnąć. Próbowali jeden braciszek, potem drugi, ale bez skutku - nie było, za co chwycić. Wtem zobaczyliśmy Ojca Pio. Szedł w moim kierunku i uśmiechał się. Zrozumiałem w mig, co miał na myśli, i wyciągnąłem do niego dłoń. Wziął w swe ręce mój kciuk i ledwie gestem, bezboleśnie, wydobyl drzazgę.

Kiedyś nabawiłem się jakiejś ropnej infekcji kciuka lewej stopy, prawdopodobnie zakonnicy. W niedzielę nie byłem w stanie iść pieszo na Mszę św., pożyczyłem, więc osła i na jego grzbiecie przybyłem do klasztoru. Po nabożeństwie usiadłem sobie chwilę na placyku. Wiem podszedł do mnie Ojciec Pio i zapytał: „Na co czekasz?». «Na osiołka od Antoniego, bo nie mogę chodzić» - odpowiedziałem. «O nie, ty pójdziesz piechotą. Przechadzka dobrze ci robi» - zawyrokował z uśmiechem, lecz kategorycznie. Posłuchałem go. Krok po kroku ból ustępował, a kiedy dotarłem do domu, całkiem zniknął. Odwinąłem opatrunek; gaza nasiąknięta była krwią i ropą, ale w miejscu rany widniała biała, całkiem zagojona blizna. Byłem zdrowy!".

„Angela Serritelli siedząc na skraju drogi czytała list od Ojca Pio. W pewnej chwili list wypadł jej z rąk, a wiatr zaczął go gnać coraz dalej i dalej, po zboczu. Wreszcie zatrzymał się na kamieniu i Angelina mogła go odzyskać. Nazajutrz Ojciec Pio powiedział jej: «Na drugi raz uważaj na wiatr. Gdybym nie położył stopy na moim liście, na pewno stoczyłby się w dolinę»".

„OT I DOIGRAŁŚ SIĘ"

„Zamknąwszy się w jednej z klasztornych cel pisałem dramat religijny pod tytułem «Brat Słońce», wystawiony potem w teatrze Adriano w Rzymie. Doszedłem już do końcowej sceny, w której św. Franciszek mówi: «Ten, który przemawia wargami oślicy Baalama nie znajdzie na całej ziemi stworzenia nędzniejszego ode mnie» - kiedy zastukał do drzwi Ojciec Pio wołając: «Hej kawalerze, pora wypoczynku!» «Już idę, Ojcie» - odparłem przez zamknięte drzwi. Dokończyłem zdanie i zszedłem do ogrodu. Ojciec Pio przywitał mnie nieco figlarnym uśmiechem i zapytał: «No i cóż tam mówi oślica Baalama?»".

„Zima roku 1922 była wyjątkowo ostra. Przez prawie cały styczeń byłem jedyną osobą przemierzającą codziennie rano drogę do klasztoru: dwa kilometry w śniegu po kolana. Kiedy wchodziłem do zakrystii, zastawałem już Ojca Pio grzejącego sobie ręce przy piecyku. Przez trzy lub cztery dni z rzędu witał mnie tymi słowami: «Zobaczysz, nicponiu, że zachorujesz!», na co śmiałem się. A jednak któregoś wieczoru chwyciły mnie dreszcze. Rozpaliłem duży ogień w kominku, w mojej samotni, żeby się ogrzać, ale nic z tego. Z trudem oddychałem, a głowa, piersi, nerki zaczynały dawać, mi się we znaki.

Zwróciłem się w myśli do Ojca Pio, jakby stał tuż obok mnie, i powiedziałem: «Skoro mam się już rozchorować, Ojcze, spraw, by stało się to w klasztorze, a nie tutaj, z dala od ciebie». Potem dowlokłem się do łóżka i straciłem przytomność. W nocy, odzyskawszy przytomność, wyciągnąłem spod poduszki dużą chustkę w kratkę, którą dostałem kiedyś od Ojca Pio, i ledwie przyłożyłem ją do nosa, dostałem silnego krwotoku. Dzięki niemu poczułem wyraźną ulgę, a nawet spadła mi gorączka.

Nad ranem, około czwartej, jak zwykle udałem się do klasztoru. W drodze rozszalała się zamieć śnieżna. W zakrystii, plecami do drzwi, stał Ojciec Pio i grzał się przy piecyku. Nie odwracając się zapytał: «Co ci się tej nocy stało, łobuzie?». Opowiedziałem mu o wszystkim i o opatrnościowym krwotoku. «To dopiero pierwszy, będą jeszcze następne» - odparł. Istotnie, w drodze powrotnej dostałem nagle drugiego krwotoku, a trzeciego wieczorem, już w domu. Przyniosły mi dużą ulgę.

Minęło kilka dni. Któregoś rana, przed wyruszeniem z klasztoru do domu, chciałem najpierw ogrzać się przy kominku we wspólnej sali. Przysiadłem się do Ojca Pio i wyciągnąłem dłonie ku buchającym płomieniom. Byłem w tej samej pozycji, co owego wieczoru przy kominku, kiedy przywoływałem Ojca Pio. Poczułem dokładnie te same bóle, dreszcze i gorączkę, jak wtedy.

Ojciec Pio podniósłszy głowę rzekł krótko: «No, tym razem, łobuzie, doigrałeś się!». Po czym zwracając się do gwardiana poprosił: «Emanuele ma 40 stopni gorączki i będzie musiał poleżeć ze dwa tygodnie. Może by mu tak przygotować celę numer 6, która jest wolna?». Istotnie, termometr wskazał 40°C gorączki, a ja przeleżałem równo dwa tygodnie z obustronnym zapaleniem oskrzeli, zapaleniem jelit i korzonków".

KSIAŻKI ZE SKRZYDŁAMI

„Grazia, 29-letnia wiejska dziewczyna, niewidoma od urodzenia, od wielu lat chodziła na nabożeństwa do przyklasztornego kościółka. Pewnego dnia Ojciec Pio zagadnął ją niespodzianie, pytając, czy chciałaby odzyskać wzrok. «Pewnie, że chciałabym, ale żeby nie dało mi to okazji do grzechu» - odpowiedziała. «Dobrze, wyzdrowiejesz!» - oświadczył Ojciec Pio i wysłał Grazie do Bari, polecając ją żonie bardzo dobrego okulisty, dr. Durantego.

Ten jednak, zbadawszy bardzo dokładnie jej oczy, powiedział do żony: «Dla tej dziewczyny nic się nie da zrobić. Ojciec Pio może ją uleczyć cudem, ale nie ja. Muszę odesłać ją do domu, operacja nie ma sensu». «Ale skoro to on ci ją przysłał - nalegała pani Durante – mógłbyś zoperować przynajmniej jedno oko». W końcu doktor dał się przekonać. Najpierw zoperował jedno oko, potem drugie - i okazało się, że Grazia widzi".

„Po nawróceniu się słynny adwokat Cesare Festa szukał budujących lektur. Pewnego dnia odwiedził w Rzymie swego kuzyna, dr. Giorgia Festę, którego poprosił o wskazanie jakiegoś tytułu. Doktor zaproponował mu książkę o Świętej Rodzinie, w dwóch

tomach, autorstwa o. Pietra Bergamaschiego. «Niestety, nie mam jej. Czytałem ją u Ojca Pio w San Giovanni Rotondo, ale spróbuj poszukać jej w specjalistycznej księgarni na via Cavour, obok której będziesz przechodził idąc na dworzec».

Adwokat tego samego wieczoru odjeżdżał do Genui: nie miał szczęścia, bo księgarnia była akurat zamknięta. Następnego dnia rano, przybywszy do domu, położył się spać. Gdy spał, do jego drzwi zadzwonił jakiś nieznany młodzieniec, który przekazując do rąk gosposi paczkę powiedział: «To dla Szanownego Pana», po czym odszedł. Były to dwa tomy książki Bergamaschiego, już czytane, owinięte w gazetę. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem adwokata w Genui, opisał mi całe to wydarzenie, a na koniec powiedział: «Mam jeszcze w gabinecie te dwa tomy». Zdjął je z półki, by mi je pokazać. Rozpoznałem je natychmiast, gdyż na ich grzbietach widniały numery biblioteki zakonnej w San Giovanni Rotondo, wypisane czerwonym ołówkiem, i to moją własną ręką".

LIST I ANIOŁ STRÓŻ

Cleonice Morcaldi, ciotka Giovanniego Pennellego, sędziego z San Giovanni Rotondo a zarazem jednego z administratorów Domu Ulgi w Cierpieniu, opowiedziała mi następujące zdarzenie: „Podczas ostatniej wojny mój wnuk dostał się do niewoli. Minął rok i nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Wszyscy sądzili, że już nie żyje. Rodzice Giovanniego zamartwiali się na śmierć. Pewnego dnia jego matka upadła do nóg siedzącego w konfesjonale Ojca Pio błagając: «Ojcze, powiedz mi, czy mój syn żyje. Nie odejdę stąd, dopóki mi nie powiesz». Ojciec Pio wzruszył się do łez i rzekł jej: «Wstań i idź w pokój».

Minęło kilka dni. Nie mogłam znieść rozpaczy rodziców Giovanniego, dlatego też zdecydowałam się poprosić Ojca Pio o cud i, pełna wiary, powiedziałem do niego: «Ojcze, napiszę list do mojego wnuka, lecz bez zaznaczenia adresu. Na kopercie napiszę jedynie jego imię. Ty, Ojcze, i Twój Anioł Stróż zanieście list tam, gdzie Giovannino teraz przebywa».

Ojciec Pio nic nie powiedział. Napisałam list i przed pójściem do łóżka położyłam go na szafce nocnej. Na drugi dzień rano ogromnie zdziwiłam się, a nawet nieco wystraszyłam, bo listu nie było. Pobiełam przejęta do Ojca Pio, by mu podziękować. «Podziękuj Najświętszej Maryi Pannie» - powiedział.

Po mniej więcej dwóch tygodniach wszyscy płakaliśmy, ale z radości, dziękując Bogu i Ojcu Pio za list z odpowiedzią na moją przesyłkę do osoby, którą uważaliśmy za zmarłą".

Luisa Vario, bogata i piękna dama pochodzenia włosko-angielskiego, nawrócona przez Ojca Pio, w czasie wojny przeniosła się do San Giovanni Rotondo. Miała syna, oficera Brytyjskiej Marynarki Wojennej, za którego codziennie modliła się: o zachowanie go od śmierci i nawrócenie.

Pewnego dnia do San Giovanni Rotondo przybył jakiś pielgrzym angielski. Przywiózł ze sobą plik angielskich gazet. Luisa zaczęła je czytać. W trakcie lektury natrafiła na notatkę o zatonięciu okrętu, na którym pływał jej syn. Pobiegła z płaczem do Ojca Pio. «Ależ, kto pani powiedział, że on nie żyje?» - Pocieszył ją, po czym podał jej dokładny adres hotelu, gdzie młody oficer przebywał do czasu podjęcia służby na nowym okręcie, po tym, jak cudem uratował się z katastrofy na wodach Atlantyku. Luisa Vario wysłała natychmiast list do swego syna i wkrótce otrzymała odpowiedź.

„KRANEM ZAJMIJ SIĘ TY”

„W czasie mego pobytu w Bari - opowiedział mi generał lotnictwa Bernardo Rosini - poznałem oficera, który niedawno nawrócił się dzięki spotkaniu z Ojcem Pio. Pewnego dnia pojechaliśmy razem do San Giovanni Rotondo. Ojciec Pio powiedział wtedy oficerowi: «Najwyższy czas, żebyś pomyślał o ożenku». «Nie mam nawet narzeczonej» - odrzekł mój kolega. - «A poza tym niełatwo jest dzisiaj znaleźć mieszkanie» - dorzucił. «Niebawem znajdziesz odpowiednią dla ciebie dziewczynę» - oznajmił Ojciec Pio. «Ale jak ją rozpoznam?» - zapytał oficer.

W odpowiedzi usłyszał: «Jak tylko dowie się, że znasz mnie, poprosi cię o moją fotografię, a w zamian da ci medalion z wizerunkiem Matki Boskiej Pompejańskiej. Kiedy poprosisz ją o rękę, na początku będzie wahała się i przyjdzie do mnie po poradę. Zjawicie się tu oboje i wkrótce potem pobierzecie się». I rzeczywiście, wypadki potoczyły się dokładnie tak, jak przepowiedział Ojciec Pio”.

Żona dr Sanguinettiego, Emilia, opowiedziała mi ciekawy fakt ze swego życia. Któregoś dnia, w czasie Mszy świętej, na którą udawała się codziennie rano, pomyślała sobie, iż chyba nie zakręciła wody w kuchni. Wprawdzie nie była tego zupełnie pewna, jednakże, gdyby okazało się to prawdą, woda zalałaby gabinet męża. Kolanko w kuchennym zlewie było zapchane, toteż woda zalałaby nie tylko kuchnię, ale przeciekając przez drewnianą podłogę przedostałaby się do leżącego piętro niżej gabinetu lekarskiego. Co robić? Czy wysłuchać do końca Mszy świętej, czy biec do domu i sprawdzić, co się tam dzieje?

Zwracając się w myślach do celebrującego właśnie Ojca Pio powiedziała: „Ja wysłucham Mszy św., a kranem zajmij się ty”. Jak tylko nabożeństwo skończyło się, pobiegła, czym prędzej do domu. Kran był otwarty, ale woda zaczęła tryskać z niego dopiero po jej wejściu do kuchni. Wcześniej nie spłynęła z kranu ani jedna kropla wody. Ojciec Pio posiadał również dar języków. Pisał i mówił po francusku, po grecku, a nawet po niemiecku, mimo że nigdy nie uczył się tych języków.

Swemu kierownikowi duchowemu, zaciekawionemu tym faktem, napisał dla wyjaśnienia: „Wysłańcy niebios nie przestają składać mi wizyt i pozwalają mi smakować w szczęściu Błogosławionych”.

Innym tajemniczym zjawiskiem związanym z osobą Ojca Pio i potwierdzonym przez licznych świadków było rozmnażanie chleba. Podczas wojny chleb był racjonowany. Do klasztoru w San Giovanni Rotondo przybywało, jak zawsze, wielu gości, a także zjawiało się, prosząc o pomoc, coraz więcej ubogich. Któregoś dnia po zejściu do refektarza zakonnicy zauważyli, iż w koszu na pieczywo leżało nie więcej niż pół kilo chleba. Po modlitwie zasiedli do stołu i zaczęli jeść zupę. Ojciec Pio pozostał na chwilę w kościele. Dołączył do współbraci w parę minut później, niosąc ze sobą dużo bochenków świeżego chleba. „Skąd tyle bochenków?” - spytał go przełożony. * „Przyniosła nam je jakaś pątniczka” - odpowiedział. Nikt nie wyrzekł słowa, ale wszyscy wiedzieli, że tylko Ojciec Pio mógł spotkać „pewnych” pątników.

Któregoś ranka kościelny zapomniał przygotować komunikanty do konsekracji. W puszcze było ich niewiele. Skończywszy spowiadać, Ojciec Pio zaczął udzielać Komunii św. wiernym, których tego dnia przybyło wyjątkowo dużo. Komunikantów wystarczyło dla wszystkich, a nawet wiele zostało jeszcze w puszcze.

„ZWRÓĆ SIĘ DO NIEGO”

„Po tym, jak Ojciec Pio uzdrowił moją matkę, zaczęłam nosić ze sobą jego fotografię. Nie przestałam nosić jej nawet po śmierci mamy” - powiedziała mi aktorka Silvana Pampanini. - „Gdziekolwiek przyjechałam - mówiła dalej - pierwszą moją czynnością było ustawienie jego fotografii na stole, w najbardziej widocznym dla mnie miejscu, gdyż czułam, że obecność Ojca Pio ochroni mnie od wielu nieprzyjemnych sytuacji.

Tak było na przykład w czasie jednego z moich pobytów za granicą. Mieszkałam wtedy w luksusowym hotelu. Któregoś dnia po obiedzie na krótko zdrzemnęłam się. Śniła mi się moja matka. Leżała w szklanym sarkofagu, ale była wciąż żywa. Zaczęła do mnie mówić, lecz jej głos nie docierał do mnie. Czułam, że miała mi coś ważnego do przekazania i byłam bardzo zmartwiona, gdyż nie mogłam jej usłyszeć.

W tym samym momencie stanął koło mnie Ojciec Pio. Wtedy moja mama, wskazując nań, rzekła: «Skoro nie mogę z tobą rozmawiać, zwróć się do niego». Obudziłam się. Cała ta senna wizja była tak wyraźna, że po przebudzeniu ciągle myślałam, co ona znaczy. Wstałam z łóżka, by pójść do łazienki. Przechodząc koło stołu, na którym leżało zdjęcie Ojca Pio, powiedziałam na głos: «Co chciała mi przekazać moja mama?». Poczekalam chwilę na odpowiedź, lecz daremnie.

Weszłam do łazienki. Była to wielka, luksusowa łazienka. Do jednej ze ścian przymocowana była masywna, wysoka aż do sufitu szafa pełna buteleczek, luster i lampek. Robiła wspaniałe wrażenie. Miałam właśnie podejść do umywalki, gdy nagle usłyszałam jakiś wołający mnie po imieniu głos. Był to męski głos o niskim tonie. «Kto to?», spytałam zdziwiona, myśląc, że ktoś wszedł bez pukania. Wyszłam z łazienki, by sprawdzić któż to. W tej samej chwili pokojem wstrząsnął silny huk. Owa ogromna

łazienkowa szafa runęła na ziemię. Gdybym nie wyszła z łazienki, zapewne zostałabym zgnieciona".

„NAZWIJMY TO ZBIEGIEM OKOLICZNOŚCI"

Po nawróceniu się w 1950 roku Carlo Campanini spędzał cały swój wolny czas w San Giovanni Rotondo. Przyjeżdżał do Ojca Pio nawet wtedy, gdy miał tylko dwa dni przerwy w pracy. W klasztorze znali go wszyscy. Był świadkiem wielu niezwykłych wydarzeń, toteż po śmierci Ojca Pio, w czasie swych wojaży po świecie, opowiadał wszystkim o tym, co widział.

Spotykałem się z nim często, w jego domu w Rzymie. Opowieści Campaniniego, pełne cennych szczegółów i momentów wzruszających, chłonałem z wielkim zainteresowaniem. Wiele z tych zdarzeń dotyczyło jego osoby. Zwał je „zbiegiem okoliczności”, dlatego chyba, by uniknąć przypisywania im charakteru „nadprzyrodzonego” i posądzenia go o fanatyzm. Niemniej pod koniec swych opowieści, rzucając na swego rozmówcę chytre i nieco ironiczne spojrzenie, dodawał: „Nazwijmy to zbiegiem okoliczności!”.

„Brałem właśnie udział - mówił mi - w kręceniu ważnego filmu w Cinecittà, z bardzo znanymi aktorami i słynnym reżyserem. Film ten kosztował sporo pieniędzy. Po pewnym czasie dano mi dwa dni przerwy. Reszta zespołu miała kręcić sceny, w których nie występowałem. Owe dwa dni wykorzystałem na wypad do San Giovanni Rotondo.

Aktorzy są jak żołnierze. W czasie zdjęć do filmu nie wolno nam oddalać się od zespołu bez pozwolenia reżysera. Ponadto musimy zawsze pozostawiać informacje o miejscu naszego pobytu, aby można było nas znaleźć na wypadek zmiany programu. Kto pozwala sobie na uchybienia regulaminowi, musi płacić wysokie kary.

Dlatego też jadąc wtedy do San Giovanni Rotondo dużo ryzykowałem. W tamtych czasach podróżowanie koleją utrudniały nader rzadkie połączenia. Jazda do San Giovanni Rotondo z Rzymu była nie lada przedsięwzięciem. Na wszelki wypadek pomyślałem o zabezpieczeniu. Moja żona miała pozostawać w kontakcie telefonicznym z kierownikiem zdjęć, by co wieczór uzyskiwać informacje co do programu następnego dnia, po czym miała dzwonić do mnie, do San Giovanni Rotondo. Musiała jedynie pamiętać, by uczynić to przed dziewiętnastą, ponieważ o tej godzinie, w latach pięćdziesiątych, zamykano urzędy pocztowe i San Giovanni Rotondo aż do rana następnego dnia było całkowicie odizolowane od świata.

Moja żona pilnie wypełniała swe zadanie. W dzień mojego przyjazdu do San Giovanni Rotondo, o wpół do szóstej wieczorem, przekazała mi, iż następny dzień będę miał wolny. «Bądź spokojny, jutro nie pracujesz>> - powiedział,

„POCIĄG STAŁ”

„Byłem z tego powodu bardzo zadowolony. Zdążyłem już zobaczyć się z Ojcem Pio i wiedziałem, że również następnego dnia spotkam się z nim, i to nie raz. Niestety, o godzinie dziewiętnastej kierownik zdjęć zadzwonił do żony, by poinformować ją, iż program został zmieniony i następnego dnia miałem się stawić na planie o wpół do ósmej rano.

Na te słowa moja żona zamarła. Spojrzała z przerażeniem na zegarek. Choć zdawała sobie sprawę, iż skontaktowanie się ze mną o tej godzinie jest niemożliwe, pobiegła do najbliższego urzędu pocztowego. «Sądzę, że nic tu nie wskóramy, gdyż poczta w San Giovanni Rotondo została zamknięta już przeszło pół godziny temu. Niemniej jednak spróbować nie zaszkodzi» - powiedziała telefonistka. Wykręciła numer i po kilku chwilach usłyszała kobiecy głos: «Słucham». «Jak to, jeszcze odbieracie telefony?>> - spytała swą koleżankę po fachu. «Czysty przypadek» - odpowiedziała telefonistka z San Giovanni Rotondo. - «Wróciłam na chwilę do biura, bo zapomniałam czegoś». Tak więc dzięki temu «przypadkowi» mogłem zostać poinformowany o zmianie programu w Cinecitta.

Ale jak wrócić do Rzymu, skoro nie było, czym dostać się do Foggii, a ostatni ekspres z Foggii do Rzymu miał odjazd za niecałą godzinę? Teoretycznie było niemożliwe, żebym zdążył na ten pociąg. Wpadłem w rozpacz. Rozglądałem się wokół nie wiedząc, co zrobić. Wtem zauważyłem profesora Franco Lottiego, lekarza zaprzyjaźnionego z Ojcem Pio, który - jak mi później powiedział – przechodził tamtędy «przypadkiem». Spytałem go, czy może podrzucić mnie do Foggii. «Chętnie» - odpowiedział.

Wskoczyłem do jego samochodu i siedziałem jak na szpilkach, ale on był człowiekiem spokojnym. Chciał najpierw wpaść do swojej matki, by powiedzieć jej, że odwozi mnie do Foggii i że wróci późno. W końcu ruszyliśmy. Zapadał już zmrok. Profesor oznajmił mi, że nie będzie mógł pędzić, bo po ciemku źle widzi. Jechał pięćdziesiątką, a niekiedy nawet i wolniej. Było, zatem absolutnie niemożliwe przyjechać na stację przed odjazdem pociągu.

Patrzyłem na zegarek i z nerwów trzęsły mi się ręce. Byłem zdruzgotany. Dotarliśmy na stację z ogromnym opóźnieniem, a mimo to pociąg wciąż jeszcze stał. Wskoczyłem z samochodu profesora Lottiego i dopadłem ostatniego wagonu. Zawiadowca stacji krzychał do kontrolera: «Już od dawna macie zielone światło, więc, na co czekacie!». W tym samym momencie maszynista dał sygnał i drzwi wagonów zamknęły się. Pociąg ruszył. Dzięki temu dziwnemu opóźnieniu, niezrozumiałemu dla zawiadowcy stacji, mogłem na czas wrócić do domu i uniknąć wielu kłopotów".

„MUSIAŁEM PRZEZ CIEBIE UDAWAĆ KONTROLERA”

„Pewna nauczycielka z Potenzy opowiedziała mi zadziwiające zdarzenie. Było to w czasie jej podróży pociągiem. Z przedziału wyszli wszyscy pasażerowie oprócz jednego mężczyzny o dość podejrzanym wyglądzie. Brakowało jeszcze godziny do następnej stacji. Nauczycielka drżała ze strachu.

Mężczyzna przysunął się do niej, dziwnie się uśmiechając. Zaczął ją oblesnie dotykać. Dziewczyna była przerażona. Wzywała o pomoc Ojca Pio. Wtem do przedziału wszedł kontroler i na jego widok mężczyzna ulotnił się. Dziewczyna wiedziała jednak, że ów typ zapewne wróci zaraz po wyjściu kontrolera, toteż nie przestawała prosić w myślach Ojca Pio o pomoc. «Zrób coś, proszę cię» - powtarzała.

Kontroler sprawdził bilety, po czym otworzył drzwi, by przejść do następnego wagonu, lecz nagle zatrzymał się i po chwili zastanowienia usiadł przy drzwiach. Wyciągnął z kieszeni blankiet z biletami i zaczął coś pisać. Pozostał przez prawie godzinę, aż do następnej stacji, czyli stacji docelowej nauczycielki.

Po kilku dniach udała się ona do San Giovanni Rotondo. Wypowiadawszy się u Ojca Pio, usłyszała na koniec: « W pociągu najadłeś się sporo strachu, a ja przez całą godzinę, by cię obronić, musiałem udawać kontrolera»".

„Beniamino Gigli zetknął się z Ojcem Pio dziwnym zbiegiem okoliczności. Pewnego dnia, gdy dzwonił do swej przyjaciółki, weszła do pokoju jego żona i spytała: „Z kim rozmawiałeś?”. «Z kimś, kto chce mnie zawieźć do Ojca Pio» - odpowiedział Gigli. By nie wzbudzać podejrzeń żony, musiał naprawdę pojechać do San Giovanni Rotondo.

Kiedy czekał w przyklasztornym ogrodzie, mówił ze śmiechem do znajomych: «Nie sądzicie chyba, że będę temu braciszkowi opowiadał o moich sprawach». Po chwili zszedł do ogrodu Ojciec Pio. «Młodzieńcze, zmień koszulę» - zwrócił się do Gigliego. «Przecież włożyłem czystą dzisiaj rano» - odparł śpiewak. «Nie tę mam na myśli» - powiedział Ojciec Pio i ująwszy słynnego tenora pod rękę, odszedł z nim ogrodową aleją. Kiedy wrócili, Gigli nie krył wzruszenia. Od owego dnia zmienił swe życie i stał się jednym z synów duchowych Ojca Pio".

„PANI MĄŻ TO CHYBA FAKIR”

„Mój przyjaciel z Conegliano Veneto stał w zakrystii kościoła Matki Bożej Łaskawej. Ojciec Pio dopiero, co skończył odprawiać Mszę świętą i mył sobie ręce. Mój przyjaciel wyciągnął z kieszeni świeżą chusteczkę i podając ją Ojcu Pio rzekł: «Proszę, niech ojciec wytrze się». Ojciec Pio wziął ją, wytarł nią ręce i przetarł czoło, po czym z uśmiechem oddał ją właścicielowi.

Mój przyjaciel traktował tę chusteczkę jak cenną relikwię. Nosił ją zawsze ze sobą i każdego ranka, by dobrze zacząć dzień, całował ją prosząc Ojca Pio o błogosławieństwo.

W pierwszą rocznicę śmierci Ojca Pio, 24 września 1969 roku, przebywał on w San Giovanni Rotondo. Opowiadał właśnie grupce osób o tej chusteczce i chciał ją pokazać. Lecz kiedy wyciągnął ją z kieszeni, zauważył, że jest poplamiona. «Kto jej używał?» - zastanawiał się poirytowany. Podszedł do przykościelnej fontanny, by ją przepłukać. Płukając ją nagle zauważył, iż na tkaninie pojawił się jakiś wizerunek. Patrząc pod światło rozpoznał rysy Ojca Pio i twarz Chrystusa. Od owego dnia nigdy one nie zniknęły, a chusteczka przechowywana jest pod szkłem i może być oglądana przez wszystkich".

„Wyjechałem do Brazylii na sześciomiesięczne tournée. Na dzień przed podróżą powrotną, wieczorem, przypomniałem sobie, że nie byłem jeszcze na Mszy świętej. Przejrzałem informator. O 18, 30 odprawiano Mszę w katedrze w Sao Paolo. Zamówiłem taksówkę i pojechałem tam. Chciałem się wypowiadać, lecz do jedynego spowiednika była zbyt długa kolejka, bym zdążył, a nadto nie znałem ani słowa po portugalsku.

Zwróciłem się w myślach do Ojca Pio: «Ojcze, dziś w nocy będę w samolocie. Mogłaby to być moja ostatnia podróż, toteż pragnąłbym bardzo wypowiadać się. Gdybyś tak znalazł dla mnie jakiegoś księdza, który zrozumiałby mnie». W tym samym momencie z drugiego konfesjonatu wyrzwał jakiś ksiądz i zwrócił się do mnie poprawną włoszczyzną: «Proszę, niech pan podejdzie». Po spowiedzi poczułem nagle, jak ogarnia mnie ów charakterystyczny zapach Ojca Pio.

Podróż była dramatyczna. Znaleźliśmy się w samym środku burzy, radary nie działały i wszyscy pasażerowie krzyczeli z przerażenia. Nasz impresario zemdłał i stewardesa musiała podawać mu tlen. Siedzieli przy mnie dyrygent Lelio Luttazzi i piosenkarz Fred Bongusto. Jak tylko wyszliśmy z samolotu na dworcu lotniczym w Rzymie, żonie, która po mnie wyszła, powiedziano: «Pani mąż to chyba fakir! Wszyscy krzyczeli ze strachu, a on spał». A przecież z natury jestem bardzo strachliwy. Fakt, że spałem, świadczy o tym, że ktoś nade mną czuwał. Powiedzmy, że był to zbieg okoliczności!"

WALKA Z SZATANEM

Ojciec Pio obdarzony został charyzmatami, aby być „świadkiem” rzeczywistości nadprzyrodzonej. Jego właściwa misja, wynikająca z wyboru życia zakonnego i stanu kapłańskiego, polegała na kierowaniu ludzi ku Bogu. „Rany”, jakie nosił, czyniły go podobnym do Chrystusa. I właśnie to podobieństwo stawało się „specjalnym współdziałaniem” w odkupieniu ludzkości poprzez cierpienie.

Misja wyjątkowa - o ogromnej roli społecznej, jeśli patrzeć na nią poprzez pryzmat wiecznego losu ludzkości. Misja, która czyniła z Ojca Pio postać z „Historii absolutnej”, przekraczającej granice przestrzeni i czasu. Ale ta właśnie misja była nie w smak wrogom Boga i człowieka, czyli siłom zła, z szatanem na czele - siłom ciemności, które prowadzą wieczną walkę ze światłem, jak czytamy w Starym i Nowym Testamencie.

Dotykamy tu trudnej tajemnicy: istnienia i działania szatana. Był najjaśniejszym z aniołów Dla niewierzących taka sprawa nie istnieje. Bóg, szatan, aniołowie, demony, nieśmiertelność, zmartwychwstanie ciała, życie wieczne – to dla nich puste słowa. Dla wierzących zaś oznaczają one najbardziej konkretną rzeczywistość i najistotniejszą treść Wiary. Rzeczywistość o wymiarach nieskończonych, która ogarnia czas i wieczność, świat widzialny i niewidzialny, czyli ten który poznamy dopiero po śmierci, kiedy wejdziemy do obiecanego nam przez Chrystusa „Królestwa Niebieskiego”.

Lecz również wśród wierzących są i tacy, którzy z trudem dopuszczają bądź zupełnie odrzucają istnienie szatana i sił zła. Wielu uważa, bowiem, iż temat ten, szeroko potraktowany w Nowym Testamencie, ma wyłącznie sens symboliczny. Są jednakże w błędzie. Według Kościoła istnienie szatana należy do prawd Wiary, to znaczy do prawd, których nie wolno pomijać lub zniekształcać, gdyż czyniąc to wypacza się obiektywną i całościową wizję świata widzialnego i niewidzialnego.

Biblia przekazuje nam, iż na początku Bóg stworzył „niebo i ziemię”. Stworzył również aniołów - czyste duchy, swoich posłańców, istoty wspaniałe, obdarzone rozumem i wolą, nieśmiertelne, przewyższające doskonałością wszystkie stworzenia widzialne.

W pewnym nieokreślonym momencie przeszłości aniołom dana była możliwość okazania wierności Bogu: zostały poddane próbie. Było to przed stworzeniem człowieka, który istniał wtedy jedynie w zamyśle Bożym. Bóg zechciał zapoznać owe Czyste Duchy ze swym planem: człowiek, istota z ciała i duszy, niższa względem aniołów, miał stać się w tajemniczych i szczególnych okolicznościach „synem Bożym”.

Plan niesłychany. Aniołowie byli nim zdumieni. Część z nich pod wodzą Lucyfera (lucyfer oznacza: „niosący światło”), anioła najbliższego Bogu, zbuntowała się. Pozostali, pod wodzą archanioła Michała, wybrali drogę wierności Bogu. Między dwoma obozami rozpętała się zażarta walka. Zwyciężyli aniołowie wierni Stwórcy, zaś zbuntowani zostali wypędzeni z nieba i stali się demonami, czyli mocami zła, pod wodzą Lucyfera, zwanego również szatanem.

PRZECIWKO CZŁOWIEKOWI

Opowieść ta nie jest bajką. Według Biblii jest to zdarzenie prawdziwe i od niego wzięta swój początek „historia absolutna”, czyli historia łącząca w sobie dzieje świata widzialnego i niewidzialnego, ziemi i nieba, Boga i człowieka. Od owego wydarzenia, a więc od buntu części Czystych Duchów, zmaganie się dobra i zła nieprzerwanie toczy się do dziś. Szatan i demony nie ustają w walce przeciw Bogu.

Są jednakże bezsilni wobec Niego. Nie są w stanie Mu „zaszkodzić” „zwieść” aniołów, czy inne stworzenia żyjące w królestwie Bożym, ponieważ znają one „prawdę

absolutną", a zatem nie dają się oszukać. Jedynym celem, na którym demony mogą skupić swe przewrotne działania, by zaprzeczyć Bogu, jest człowiek.

Człowiek jest, bowiem istotą „w rozwoju”. Jest utworzony z materii i ducha, przebywa w wymiarze przestrzenno-czasowym, który jest jego „okresem próby”. Człowiek obdarzony został wspaniałym przymiotem, którego nie posiadają nawet aniołowie – wolną wolą. W czasie tak rozumianej „próby”, czyli po prostu w czasie swej ziemskiej egzystencji, człowiek może wybrać postępowanie według prawa, które Bóg złożył w jego sercu i które jest prawem Prawdy, albo może pójść za głosem egoizmu, kłamstwa, buntu.

Nie posiadając całościowej wizji Prawdy i będąc „utrudzonym” pod ciężarem materii, człowiek jest istotą słabą. I w tej właśnie słabości ludzkiej szatan i jego złe moce znajdują pole do działania. Zły, o którym Biblia mówi, iż jest „zabójcą od początku”, czyni wszystko, by zwieść człowieka i nakłonić go do zapomnienia o „Prawie wypisanym w jego sercu”, a zatem do sprzeniewierzenia się własnej naturze.

I to jest tajemnica walki pomiędzy mocami zła i dobra, światła i ciemności, prawdy i kłamstwa - walki, która toczy się od zawsze. Jest to klucz do odczytania „historii absolutnej”. Uczy tego Kościół, który - ku zdziwieniu świata i powątpiewaniu wielu wierzących - głosi, iż istnienie szatana jest prawdą Wiary. Prawdą, na którą ostatni papież, zwłaszcza Jan Paweł II, z niepokojącą uporczywością zwracają szczególną uwagę.

Ojciec Pio, podobnie jak wszyscy wielcy święci w dziejach ludzkości, wpisuje się w te dzieje, jako nasz przewodnik, postać uprzywilejowana, wysłana przez Boga, żeby wskazywać ludziom prawdę i pomagać im w zwalczaniu kłamstw szatana. Ojciec Pio zatem wyjątkowy wróg szatana, i dlatego szatan wylał na niego swój gniew z niesłychaną gwałtownością.

CZAJĄCE SIĘ NAŃ POTWORY

Przyszły Stygmatyk już od dziecka dręczony był przez szatana. Wspominałem, że pierwsze charyzmatyczne dary objawiły się u Ojca Pio, kiedy miał zaledwie pięć lat. Były to wizje Jezusa, Matki Boskiej i Anioła Stróża. Szatan od razu przystąpił do zemsty.

Oto, co zapisał w swym diariuszu jeden z kierowników duchowych Ojca Pio, o. Benedetto z San Marco in Lamis: „Diabeł zaczął dręczyć Ojca Pio już od czwartego roku jego życia. Pojawiał mu się w okropnych postaciach, częstokroć zatrważających i groźnych. Była to dla niego istna tortura, nie dająca mu nawet spać”. Sam Ojciec Pio zwierzył się kiedyś: „Jak tylko moja matka gasiła światło, nawiedzały mnie potwory, a ja płakałem. Gdy zapalała światło, uspokajałem się, bo one zniknęły. Kiedy gasiła je ponownie, wracały do mnie i ja znowu płakałem”.

Ksiądz Nicola Caruso z Pietrelciny poznał Ojca Pio w okresie, kiedy nosił on jeszcze swe imię chrzcielne: Francesco. Oto, co odnotował: „Wiele razy Francesco opowiadał mi, że wracając ze szkoły spotykał na progu swego domu jakiegoś księdza, który nie chciał go wpuścić do domu. Wtedy Francesco zaczynał modlić się. Pojawiał się od razu jakiś bosy chłopiec czyniący znak krzyża i ów ksiądz znikał”.

By przezwyciężyć strach przed potworami i wszelakimi straszhliwymi zjawami, Francesco oddawał się surowym jak na swój wiek pokutom. Jedna z jego mieszkających po sąsiedzku rówieśniczek zeznała, iż dziewięcioletni Francesco mało bawił się. Wolał czytać pobożne książki i brać udział w nabożeństwach. Umówił się z kościelnym, że będzie on go zamykał na parę godzin w kościele w tajemnicy przed wszystkimi. O ustalonej godzinie kościelny wracał i otwierał mu drzwi.

Diabelskie prześladowania przybrały na sile po tym, jak Francesco wstąpił do zakonu kapucynów przyjmując imię brata Pio. W 1905 roku, jeszcze, jako student teologii, przebywał w klasztorze Sant'Elia w Pianisi. Jego towarzysze studiów opowiadali, że często z celi brata Pio dochodziły dziwne odgłosy.

Pewnej letniej nocy Pio nie mógł zasnąć z powodu duchoty. Z sąsiedniej celi dało się słyszeć czyjeś nerwowe kroki. „Biedny Anastazy też nie może zasnąć” - pomyślał młody brat Pio, pewien, iż w celi obok mieszka jego współbrat o imieniu Anastazy. - „Zawołam go. Dobrze nam zrobi krótka pogawędka”. Podeszedł do okna, by zawołać swego sąsiada, lecz słowa utknęły mu w gardle: z pobliskiego okna wychylał się straszhliwy czarny pies o ogromnym łbie i żarzących się oczach. Brat Pio nie zdążył wykrzyknąć ni słowa, gdy ów przerażający pies wskoczył na przeciwległy dach i zniknął. Następnego dnia Pio dowiedział się, iż cela obok już ponad miesiąc była niezamieszkała.

„BIJE MNIE CODZIENNIE”

Diabeł nie tylko ukazywał mu się w okropnych postaciach, lecz również bił go do krwi. Brat Pio zanotował w swym pamiętniku. „Ubiegłej nocy myślałem, że demony chcą mnie zatłuc na śmierć. Już nawet nie wiedziałem, którego świętego wzywać na pomoc. Wezwałem mego anioła stróża. Po kilku chwilach oczekiwania zjawiła się przy mnie jego uskrzydłona postać”.

Ojciec Pio męczony był przez szatana również w klasztorze w Venafrò, gdzie przebywał przez pewien czas tuż po święceniach kapłańskich. Był wtedy chory, nic nie jadł i całymi dniami leżał w łóżku z powodu gorączki.

Ojciec Agostino, jego spowiednik, był świadkiem przerażających scen. Oto, co czytamy w jego diariuszu: „Zły zjawiał mu się czasami pod postacią czarnego, strasznego kota (...), obnażonych, lubieżnie tańczących dziewczyn (...), biczącego go kata (...), krzyża (...), młodego przyjaciela zakonników (...), a nawet jego własnego kierownika

duchowego. Czasami przybierał postać jego anioła stróża. Wszystkie te postaci pluły mu w twarz i zamęczały go ogłuszającymi hałasami".

Listy Ojca Pio z tamtych lat pełne są wzmianek o jego zmaganiach z diabłem. W marcu 1912 roku napisał do swego spowiednika: „Ostatnio diabeł próbuje ze mną wszystkiego". „Nie chce - pisał 18 stycznia 1912 roku - dać za wygraną. Przybiera rozmaite formy. Od paru dni nawiedza mnie ze swymi kompanami uzbrojonymi w pały i żelazne łomy. Ileż razy zrzucił mnie z łóżka na ziemię".

Miesiąc potem: „Szatan bije mnie za wyjątkiem środy codziennie i niemalże do śmierci. Dodają mi jednak otuchy odwiedziny Boga i innych niebiańskich istot". „Ostatniej nocy - pisał 18 czerwca 1912 roku - od dziesiątej aż do piątej nad ranem bił mnie bez ustanku. Zdawało mi się, że są to ostatnie godziny mego życia. Kiedy o piątej rano poszedł sobie, całe me ciało ogarnął przejmujący ziąb. Drżałem jak trzcina na szalejącym wietrze. Po paru godzinach dostałem krwotoku z ust".

Zaś 8 kwietnia 1913 roku odnotował: „Demony nie przestają bić mnie, prześladować i zrywać mnie z łóżka. Czasami ściągają ze mnie koszulę, by potem tłuc mnie po gołym ciele. Jezus okazuje mi wielką serdeczność, podnosząc mnie z ziemi i kładąc na łóżko".

CIAŁO POKRYTE SINIAKAMI

Jako że stan zdrowia Ojca Pio pogarszał się coraz bardziej, lekarze zalecili mu powrót do jego rodzinnej miejscowości, Pietrelciny. Pozostał tam przez prawie sześć lat, lecz również w Pietrelcinie musiał ustawicznie walczyć z szatanem. W 1969 roku, a więc w rok po śmierci Ojca Pio, spotkałem się z Marią Pennisi z Pietrelciny, która dobrze знаła młodego Ojca Pio. „Wiedzieliśmy - opowiedziała mi - że każdej nocy walczył z szatanem. Niekiedy dobiegający z jego pokoju łomot był tak głośny, że słysząc go było na sporą odległość.

Ileż razy w samym środku nocy jego sąsiedzi wychodzili z domów, przerażeni tym, co dobiegało do ich uszu. Nad ranem matka Ojca Pio wchodząc do jego pokoju znajdowała wszystko - materac, łóżko, krzesła - poprzewracane. Ciało Ojca Pio pokryte było siniakami. Pokój ten nawiedzany był przez złe moce długo jeszcze po wyjeździe Ojca Pio z naszej miejsciny. Przez wiele miesięcy słyszeliśmy te same odgłosy i uderzenia po ścianach. Garnki, krzesła same łamały się. Wtedy Michele, starszy brat Pio, przywołał księdza, by poświęcić dom. Po odprawieniu egzorcyzmu owe odgłosy ustały".

Oto, co pisał Ojciec Pio do swego kierownika duchowego przebywając jeszcze w Pietrelcinie: „Ów parszywiec bił mnie bezustannie od około dziesiątej, czyli, od kiedy położyłem się spać, aż do piątej rano. Myślałem, że to moja ostatnia noc (...). Te paskudne istoty rzuciły się na mnie jak wygłodniałe tygrysy, złorzecząc mi i grożąc, że zapłacę im za wszystko. Mój ojciec, dotrzymał słowa, gdyż od owego dnia biły mnie

codziennie (...). Już od 22 dni bez przerwy Jezus pozwala im wyładowywać złość na mej osobie. Jestem cały potłuczony od ich niezliczonych uderzeń...".

Złe moce niszczyły nawet pocieszające listy, jakie wysyłał do Ojca Pio jego kierownik duchowy. W jednym z listów Ojca Pio czytamy: „Ojcze, wasz ostatni list otworzyłem w obecności proboszcza i znaleźliśmy w kopercie pustą kartkę. Szatan wszystko wymazał”.

Kierownik duchowy Ojca Pio pisał doń po francusku lub po grecku, naiwnie myśląc, iż szatan nie zrozumie tekstu. Któregoś dnia napisał doń po francusku. Proboszcz z Pietrelciny otworzył kopertę i zobaczył na liście wielką plamę z atramentu. Wiedząc o diabelskich złośliwościach względem Ojca Pio, spróbował poświęcić list. Jak tylko pokropił kartkę wodą święconą, plama na tyle wyblakła, że udało się jakoś list przeczytać. Fakt ten potwierdził na piśmie ks. Salvatore Pannullo.

Od proboszcza z Pietrelciny dowiadujemy się również, iż kierownik duchowy Ojca Pio napisał doń kiedyś list po grecku. Młody zakonnik nie znał greki, a mimo to list ten odczytał. Na pytanie zdumionego proboszcza, jakim sposobem to uczynił, Pio odpowiedział: „Wyjaśnił mi wszystko Anioł Stróż”.

BISKUP WYSTRASZYŁ SIĘ I UCIEKŁ

W 1916 roku Ojciec Pio wysłany został do klasztoru w Foggii. Fama o jego „dziwności” dotarła tam znacznie wcześniej. Braciszkanie owego konwentu usłyszeli, iż po nocach w celi Ojca Pio działy się nieprawdopodobne rzeczy. Choć w to nie wierzyli, byli jednak ciekawi. Ich przełożony, o. Nazareno z Arpaise, postanowił nawet notować codziennie wszystkie wydarzenia związane z nowo przybyłym współbratem.

Udało mi się przejrzeć jego notatki. Opisane w nich zostały niesamowite historie. „Któregoś wieczoru - pisze o. Nazareno - Piuccio spytał mnie, czy może iść wcześniej do łóżka rezygnując z kolacji. Nie miałem powodu, by mu odmówić, skoro i tak nie jadłby. Gdy wszyscy siedzieliśmy przy stole, usłyszeliśmy nagle okropny huk w celi Piuccia, leżącej tuż nad refektarzem.

Wysłałem o. Francesca z Torremaggiore, by zobaczył, co się stało. Pomyślałem, że Piuccio będąc w potrzebie przywoływał nas, a zniecierpliwiony brakiem odzewu, chcąc byśmy go usłyszeli, rzucił krzesłem o podłogę. Jednakże, gdy zaszedł do niego, nasz współbrat powiedział mu: «Nikogo nie wołałem i niczego nie potrzebuję».

Ten sam łomot powtórzył się wielokrotnie w następnych godzinach. Braciom robiło się coraz bardziej nieswojo. Poszliśmy w końcu do celi Ojca Pio. Zastaliśmy go w straszliwym stanie. Łał się z niego gęsty pot. Pomogliśmy mu przebrać się. Wyżymając jego odzież napełniłem wodą całą miskę.

Pewnego wieczoru zatrzymał się u nas ks. biskup D'Agostino, z diecezji Ariano Irpino. Opowiedziałem mu o wszystkim. «Ojcie gwardianie - odrzekł - średniowiecze skończyło się już dawno temu, a wy wciąż jeszcze wierzycie w podobne bajdy?». Nadeszła godzina kolacji. Zeszliśmy wszyscy do refektarza. Wtem, jak co wieczór, zaczęły dochodzić do nas te same odgłosy, po których nastąpił ów straszliwy huk. Służący biskupa, który jadł w pokoju przeznaczonym dla gości, przybiegł do refektarza oniemiały z przerażenia. Biskup owej nocy bał się spać sam, zaś nad ranem w dziwnym pośpiechu opuścił nasz klasztor".

„TO JA ZBIŁEM GO TEJ NOCY... ”

Diabeł nigdy nie przestał dręczyć Ojca Pio. Czynił to ze wzmożoną siłą każdej nocy poprzedzającej przybycie doń grzesznika, który później nawrócił się, bądź też opętanego. Ojciec Pio był bowiem egzorcystą o wielkiej mocy. Wystarczała jego obecność, by uwolnić opętanego od demona.

W 1964 roku Ojciec Pio miał 77 lat. Był schorowany i słaby, lecz mimo to szatan nękał go bezustannie fizycznymi torturami. O. Alberto D'Apolito opowiedział mi, iż we wrześniu owego roku przywieziono do Ojca Pio osiemnastoletnią dziewczynę z Bergamo będącą już od dłuższego czasu we władzy demona, który wszedł w jej ciało i zmuszał ją do obrzydliwych czynów. Rodzice i krewni opętanej byli zrozpaczeni: żaden z egzorcystów, do których ją zaprowadzili, nie mógł jej uwolnić. Postanowiono, więc uciec się do pomocy Ojca Pio.

W nocy poprzedzającej przybycie dziewczyny do San Giovanni Rotondo w celi Ojca Pio rozpętało się piekło. Do uszu jego współbraci dochodziły z niej przerażające odgłosy. Nie interweniowali, lecz jak tylko usłyszeli głośny jęk, wtargnęli do środka. Ojciec Pio leżał na podłodze, miał spuchniętą twarz, a na czole broczącą krwią, ciętą ranę. Wezwano lekarza, który odkaziwszy rany i stłuczenia opatrzył je, tak, że Ojciec Pio był cały obandażowany.

Nad ranem nie mógł zejść do kościoła, by odprawić Mszę świętą. Był tak potłuczony, że nie miał siły, by się podnieść z łóżka. A tymczasem już od wczesnych godzin rannych plac przed kościołem zapełniał się wiernymi, którzy przyszli na Mszę świętą.

W tłumie była również opętana dziewczyna, która wykrzykiwała: „Tej nocy uderzyłem starego! Zobaczcie, że nie zejdzie do ołtarza!”. Nikt nie wierzył krzykom opętanej. Kiedy jednakże ojciec gwardian zapowiedział zgromadzonym, że Ojciec Pio źle się czuje, wszystko stało się jasne. Dziewczyna krzycząc powtarzała: „Słyszeliście! Stary nie odprawi Mszy! To ja zbiłem go tej nocy!”.

Tego samego dnia Ojca Pio odwiedził o. Alberto d'Apolito; dowiedział się od samego Ojca Pio, iż ranę na czole zadał mu właśnie diabeł i że szatan zbił go do krwi, ponieważ nie chciał, by wypędzono go z ciała opętanej.

Ojciec Pio przeleżał w łóżku trzy dni, po czym ściągnięto mu opatrunki i mógł odprawić Mszę świętą. W kościele była również opętana dziewczyna i jej rodzina. Na widok Stygmatyka opętana wydała z siebie okropny krzyk i zemdłała. Przeniesiono ją pod ołtarz, by Ojciec Pio pobłogosławił ją. Doszedłszy do przytomności była już spokojna i pogodna. Została uwolniona od szatana raz na zawsze.

OTO PRAWDZIWY OJCIEC PIO

Nasza opowieść dobiega końca. Staraliśmy się przedstawić charyzmaty i cudotwórcze moce Ojca Pio - widome oznaki rzeczywistości duchowej, które przyciągały i wręcz hipnotyzowały tłumy ludzi, stawiając zarazem „brata ze stygmatami” w wymiarze bardzo odległym od zwyczajnego życia. Toteż mimochodem nasuwa się pytanie: Jaki naprawdę był Ojciec Pio?

Wszystko to, co opowiedzieliśmy, było częścią jego życia. Należy jednakże pamiętać - zwróciliśmy na to uwagę już na samym wstępie - iż charyzmaty mistyczne są darami, których Bóg łaskawie udziela niezależnie od zasług osoby, a zatem są „czymś”, na co nie ma ona wpływu, czymś „z zewnątrz”. Kościół, wielki mistrz w osądzaniu ludzi, kiedy w procesie beatyfikacyjnym ma ocenić, czy ktoś jest święty, nie bierze pod uwagę mistycznych charyzmatów kandydata na ołtarze, lecz bada jedynie jego postępowanie. Liczą się konkretne działania człowieka, jego uczynki.

NAPADY GNIEWU

Wielkość i świętość Ojca Pio nie sprowadza się do jego cudów, uzdrowień, bilokacji, przepowiadania przyszłości, czy też innych wyjątkowych darów, jakie otrzymał: świętość Ojca Pio potwierdza się w jego sposobie życia - skromnym, podobnym do większości zwykłych ludzi, życia przepojonego cierpieniem, które on zawsze akceptował z godnością prawdziwego dziecka Bożego.

To właśnie cierpienie uczyniło zeń człowieka wielkiego i świętego - niebywałe cierpienie moralne i fizyczne. Od kiedy Chrystus, Syn Boży, umarł na krzyżu, cierpienie stało się dla każdego chrześcijanina drogą wiodącą ku „nie przemijającej” chwale. I Ojciec Pio kroczył tą drogą, jak najwytrwalszy z wytrwałych.

W swym codziennym życiu był zwykłym człowiekiem, takim jak każdy inny. Miał swe zalety i wady. Przy pierwszym zetknięciu się z nim miało się wrażenie, iż stoi przed nami nieruchomy i milczący, niczym wzięty wprost ze średniowiecza mnich, o szorstkim i oschłym sposobie bycia - wielki samotnik żyjący z dala od świata. Wystarczyło poznać go

trochę lepiej, by zmienić opinię. Odkrywało się człowieka wielkiej dobroci i niebywałej życzliwości. Od razu stawał się sympatycznym i wzbudzał serdeczność.

Był sangwinicznego temperamentu. Wystarczyła drobnostka, by wzbudzić jego gwałtowną reakcję. Łatwo wpadał w gniew, lecz kiedy trzeba było okazywał skrucę. Zdarzały mu się często nagłe zmiany humoru. Zresztą, tak liczne dolegliwości i straszliwe, nigdy nie ustające cierpienia fizyczne złamałyby każdego. Nieludzkie męczarnie, jakim poddawany był przez całe życie, bez przerwy, nieustannie, bez litości - nie mogły nie mieć wpływu na jego usposobienie. Człowiek trapiiony tak okropnym bólem fizycznym mógłby oszaleć, lecz Ojciec Pio zdołał zachować pogodę ducha, nawet jeśli zdarzały mu się niekiedy wybuchy złości, które potrafił jednakże od razu stłumić.

„DOŚĆ TEGO!", KRZYKNAŁ.

Kiedy spotkałem się z Ojcem Pio po raz pierwszy, we wrześniu 1967 roku, miał już osiemdziesiąt lat, był już, więc stary. Wysłano mnie do niego z gazety. Miałem napisać o nim parę artykułów. Znałem go z różnych, krążących wśród ludzi opowieści. Polecone mi zadanie nie wzbudzało we mnie entuzjazmu.

Po porannej Mszy świętej poszedłem za Ojcem Pio do zakrystii wraz z grupką uprzywilejowanych, którzy chcieli ucałować jego dłoń. Wykorzystałem tę okazję. Podczas gdy Ojciec Pio przystawał przy każdej osobie, celowałem w niego obiektyw i robiłem zdjęcia jedno po drugim. Nie chciałem mu przeszkadzać, toteż zrezygnowałem z lampy błyskowej. Jedyny problem mogły stanowić niemal nie dosłyszalne, charakterystyczne „pstryknięcia”. Chyba słyszał je nazbyt dobrze, gdyż po czterech, czy może pięciu zdjęciach zwrócił się w moją stronę w tak gwałtowny sposób, że stanąłem jak wryty, po czym rzuciwszy na mnie piorunujące spojrzenie, krzyknął: „Dość tego!”.

Ostępiałem, lecz w głębi duszy nie przejąłem się zanadto jego reakcją, albowiem nie byłem czcicielem Ojca Pio. Patrząc mu prosto w oczy, z uśmiechem na ustach odrzekłem: „Ojcze, to moja praca”. Zrozumiał. Oczy jego złagodniały. Wpatrywał się we mnie jeszcze przez parę chwil, tym razem w zupełnie inny sposób, niemal po ojcowsku. Potem wrócił do rozmowy z przybyłymi, a ja dalej fotografowałem go. Nie upomniął mnie już ani słowem.

Chciałem porozmawiać z Ojcem Pio w cztery oczy. Poradziłem się w tej sprawie ojca gwardiana. Zgodnie z jego wskazówkami poszedłem na pierwsze piętro klasztoru, gdzie mieściły się cele zakonników, by tam, pod celą nr 1, czekać cierpliwie na Ojca Pio.

Przez wiele lat mieszkał w celi nr 5, lecz pod koniec życia przeniesiono go do nieco większej celi nr 1. „To cela Ojca Pio. Tu będzie pan mógł z nim porozmawiać” - powiedział mi gwardian. Wszedłem na górę i czekałem. Panowała tam niesamowita atmosfera: poprzez duże okna widniejące u końca długiego korytarza o łukowym sklepieniu

przedostawały się do wnętrza słabe, poranne promienie słońca. To łagodne światło rozpraszało się w głębokiej klasztornej ciszy.

Nagle w głębi korytarza na wprost mnie pojawiła się sylwetka jakiegoś mnicha. Tak, to był Ojciec Pio. Szedł sam, powoli, podpierając się prawą ręką o ścianę. Robił sześć, siedem kroków, po czym przystawał, z trudem łapiąc oddech. Jego sposób poruszania się nie był normalny, nie ze względu na powolny chód osoby starszej wiekiem, o schorowanych, zeszywniałych od reumatyzmu stawach. Było to coś w rodzaju podskakiwania. Posuwał się naprzód drobnymi skokami, przypominającymi poruszanie się kaleki, który nie może stawiać kroków całą stopą. Ujrzałem przed sobą biednego starca. Dziwnie to wyglądało. Patrzyłem z zaciekawieniem i zastanawiałem się, dlaczego Ojciec Pio tak podskakuje.

Dopiero po pewnym czasie przyszły mi na myśl jego rany. Od prawie pięćdziesięciu lat nosił stygmaty. Jego stopy przebite były na wylot - prawdziwe rany, istne dziury, badane przez wielu lekarzy. Nacisk całym ciężarem ciała na tak zranione stopy sprawiał mu zapewne okropny ból.

Zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy zobaczyłem przed sobą tego biednego starca, tak dziwnie i śmiesznie podskakującego. Pomyślałem, że może podskakiwał w ten sposób od pięćdziesięciu lat, i od pięćdziesięciu lat odczuwał przy każdym kroku te same straszliwe cierpienia, które odczytać teraz mogłem z wyrazu jego twarzy.

Wypuściłem z rąk aparat fotograficzny. Zwisał z mej szyi jak bezużyteczny przedmiot. Nie miałem żadnej ochoty na robienie zdjęć. Nie mogłem ochłonąć z oszołomienia, ogarnęło mnie nagle jakieś obezwładniające uczucie. Ojciec Pio tymczasem ruszył z miejsca i z ogromnym wysiłkiem, podskakując, zbliżał się do swej celi. Mogłem przyjrzeć się mu dokładniej. Nie zauważył mnie. Był zbyt skupiony na stawianiu kroków. Zdawał się być tak bardzo tym wycieńczony, że uchodziło jego uwadze wszystko, co działo się wokół.

Ciężko oddychał. Był strasznie zgarbiony, lecz mimo to można było łatwo domyślić się, iż ma, co najmniej 180 centymetrów wzrostu. Zanosił się silnym, rozrywającym piersi kaszlem. Przystanął. Kiedy znów próbował uczynić krok, by pokonać następny kawałek korytarza, na jego pochylonej ku ziemi twarzy pojawił się niesamowity grymas bólu. Ze ściśniętymi zębami, podpierając się ściany, zaczął posuwać się naprzód charakterystycznymi podskokami, lecz po paru metrach musiał się zatrzymać.

Teraz stał tuż obok mnie. Spojrzałem na jego stopy. Były duże, ciężkie, opuchłe, jak u osób chorych na serce. Ubrane w zniszczone skarpety i skórzane, okropnie zdeformowane sandały. Jego stopy nie dotykały ziemi. Sprawiały wrażenie skurczonych. Zdawało się, że Ojciec Pio trzyma je zawieszone w powietrzu, a o podłogę podpira się jedynie palcami, by uniknąć straszliwej udręki, jaką sprawiałoby mu stąpanie całą stopą.

Chwyciwszy oddech i odczekawszy parę chwil, Ojciec Pio wyprostował się. I wtedy mnie zauważył. Staliśmy na wprost siebie. Przed oczyma miałem jego twarz: ściągniętą bólem, z głębokimi bruzdami zmarszczek wokół ust. To nie była promienna twarz cudotwórcy, charyzmatycznego ascety, jak sobie ją kiedyś wyobrażałem - to była twarz starca wyniszczonego cierpieniem, u kresu sił, patrzącego na mnie złęknionym wzrokiem, jakby prosił o pomoc i litość.

Ogarnęło mnie niezmiernie poczucie winy. Wstydzilem się mej ciekawości. Podszedłem do niego i pocałowałem go w rękę. Podałem mu ramię, by się podparł, i pomogłem mu dojść pod drzwi celi. Dzieliło go od nich zaledwie parę metrów, lecz dla osoby w podobnym stanie zdawały się być nieosiągalne. Idąc razem z Ojcem Pio mogłem zamienić z nim parę słów. Sądzę jednak, iż była to najdłuższa z wszystkich przeprowadzonych dotychczas przeze mnie rozmów, ponieważ dialog ten trwa nieprzerwanie.

„MOJA NAJDROŻSZA CÓRKO”

Po tym spotkaniu zrozumiałem, kim jest naprawdę Ojciec Pio, święty, którego imię zapisało się już w historii. Dostrzegłem w nim nagromadzenie ogromnych cierpień. Nieco później, w trakcie innych spotkań z nim i długich rozmów z dobrze znającymi go osobami, mogłem lepiej poznać niektóre rysy jego osobowości.

Ojciec Pio był człowiekiem szorstkim, szorstkim z natury, lecz w istocie niezmiernie dobrym, nie potrafiącym wyrządzić najmniejszej nawet przykrości. Przywiązywał się do wszystkich, którzy okazali mu, choć trochę sympatii. Swych przyjaciół darzył czułością. Cieszył się, kiedy go odwiedzali, i smucił, kiedy zbliżał się moment pożegnania.

Ani stan zakonny, ani doświadczenia mistyczne nie wynaturzyły, ani nie zadrasnęły jego ogromnej wrodzonej uczuciowości. Ojciec Pio lubił pisywać listy. Napisał ich tysiące. Po jego śmierci zebrano je i opraciono w okazałe tomy. Listy pisał głównie do kobiet, wśród których nie brakowało osób bardzo młodych. Osoby te zwracały się doń po poradę, a on nazywał je „córkami duchowymi”.

Z listów tych przebija - fakt to nader ciekawy - ogromna, pogodna i czysta uczuciowość. Uczucie życzliwości z całą pewnością odwzajemnione uczuciem nie mniej czystym i nie mniej głębokim od prawdziwej przyjaźni.

Jego listy zaczynają się zawsze od zwrotu: „Moja najdroższa córko”. Zawierają różne zalecenia, wskazówki, porady sformułowane w tonie łagodnym i pełnym szacunku. Często powtarza: „Pisz do mnie, kiedy tylko zechcesz. Traktuj mnie jak ojca gotowego pomóc ci w każdej potrzebie”. W liście do Marii Pyle, Amerykanki, która stała się jego córką duchową, napisał: „Twój w słodkim Chrystusie”. Był również pełen uczucia dla swych współbraci oraz osób z nim zaprzyjaźnionych, z którymi stykał się, na co dzień.

Kiedy spotykał przyjaciela, entuzjastycznie witał się z nim ściskając go i całując, zaś na pożegnanie, na znak przyjaźni, przesyłał mu pocałunek ręką.

Często zasmucał się na myśl o rozstaniach i mówił do wyjeżdżających: „Zostań ze mną jeszcze parę dni” lub „Nie wyjeżdżaj jeszcze”. W chwili pożegnania jego głos przybierał czuły, macierzyński ton. „Jak to? Już wyjeżdżasz?” – pytał. Utrzymywanie kontaktów z ludźmi było dlań pierwszą potrzebą. Już w 1916 roku pisał do swego spowiednika: „Cóż na to poradzić, sercu nie rozkażesz”.

O osobach, które go otaczały, myślał zawsze pozytywnie. Jeśli fakty wskazywały na to, iż bliska mu osoba chce go oszukać, cierpiał, ale nie wypowiadał żadnego sądu. Kiedy był zmuszony do tego, jego słowa wyrażały jedynie wyrozumiałość. Cieszyły go ogromnie najdrobniejsze nawet niespodzianki. Reagował na nie z dziecięcą wprost spontanicznością. Sprawiało mu radość, kiedy częstowano go tabaką, bądź, kiedy mógł skosztować parę łyków piwa, za którym przepadał w letnie upalne dni.

Na widok ludzi schorowanych, cierpiących dzieci – jego oczy napełniały się łzami. Widać było, iż w owych momentach jego serce ogarniała niewystłowiona czułość i że uczyniłby wszystko, byleby uśmierzyć ból cierpiących. Dokonywane przezeń cuda i uzdrowienia wypływały z uczucia bólu, jaki sprawiał mu widok cierpiących. Żarliwie błagał Boga o ich powrót do zdrowia, w zamian biorąc na siebie wszystkie ich cierpienia, dając w ofierze swe pełne udręki noce.

NAGANY I DOWCIPY

Często powtarza się, iż Ojciec Pio był mało wyrozumiały i ostry wobec osób, które się u niego spowiadały. Ale to tylko legenda. Owszem, zdarzało się, iż przepędził kogoś spod krutek konfesjonału, czynił to jednak z pełną świadomością, chciał, bowiem w ten sposób wywołać u grzesznika reakcję wewnętrznego bólu. Przeanalizowawszy dokładniej swe przewinienia, penitent wracał do niego, gotów do zmiany własnego życia.

Aktor komediowy Carlo Campanini, przyjaciel Ojca Pio, często przyprowadzał do jego konfesjonału swych kolegów po fachu, lecz Stygmatyk zazwyczaj odsyłał ich z kwitkiem. Campaninemu było z tego powodu przykro. Pewnego dnia zwrócił się do Ojca Pio: „Ojcze, powiedziano mi, iż o. Leopold Mandic, święty kapucyn z Padwy, spowiada po 18 godzin na dobę i nigdy nikogo nie przepędza”.

Ojciec Pio spojrzał mu głęboko w oczy i odrzekł: „Wiem, bo najgorszych grzeszników odsyła do mnie”. „Ale Ojciec bierze na siebie niemą odpowiedzialność, odsyłając grzesznika bez rozgrzeszenia. A gdyby ten, wyszedłszy z kościoła, nagle umarł?” — Campanini nie dawał za wygraną. Na to Ojciec Pio, rozkładając ramiona i ze wzrokiem zwróconym ku niebu, odparł: „Jeśli ja się pomyliłem, to chcesz żeby i On się mylił? On ustawi wszystko na swoim miejscu” W rzeczywistości Ojciec Pio miał dużą wyrozumiałość dla grzeszników.

„Ojczy, nie wierzę w Boga” - powiedział mu kiedyś pewien mężczyzna. „Cóż, mój synu, za to On wierzy w ciebie” - odparł mu z uśmiechem Ojciec Pio.

Inny znowuż rzucił mu się do stóp i z twarzą w dłoniach powtarzał: „Ojczy, strasznie grzeszyłem”. Zakonnik głaszcząc penitent po włosach powiedział: „Mój synu, zbyt dużo Go kosztowałeś, by cię teraz miał opuścić”.

Wspomniałem niejednokrotnie o fizycznych cierpieniach Ojca Pio o ranach zadających ból jego ciału, o chorobach wstrząsających całym jego organizmem. Były to dla niego bez wątpienia wielkie męczarnie, lecz błahe w porównaniu do cierpień moralnych. Już na samym początku swego życia zakonnego musiał zność posądzenia o oszustwo.

Choroby, z których powodu Ojciec Pio wciąż zmieniał klasztor i przez długie okresy czasu pozostawał w domu rodzinnym, uważane były w zakonie za obmyślony przezeń wybieg, by uchylć się od surowej dyscypliny klasztornej. Przełożony prowincji napisał w związku z tym do generała zakonu wnioskując o usunięcie Ojca Pio, który już był po święceniach, gdyż uważał, iż swym niegodnym postępowaniem daje on zły przykład. Tak niesprawiedliwy sąd nie mógł nie wstrząsnąć duszą biednego zakonnika.

NAJGORSZE Z UPOKORZEŃ

Po pojawieniu się stygmatów upokorzenia i zniewagi pod jego adresem mnożyły się. Święte Oficjum - czyli najwyższy trybunał kościelny - pięciokrotnie zawyrokowało, iż rany Ojca Pio są fałszywe i że sam zakonnik je wywołał oszukując w ten sposób ludzi. Sąd ten opublikowany został na łamach „Osservatore Romano”, oficjalnego organu prasowego Stolicy Apostolskiej, i przedrukowany przez prasę całego świata. Jakże wielkie musiało być wówczas cierpienie i upokorzenie Stygmatyka!

Ale Ojciec Pio znośł wszystko. W milczeniu. To był jego krzyż. Straszliwy krzyż. Co działo się w owych momentach w jego duszy? Co czuł spotykając przyjaciół, współbraci, krewnych, matkę? Wszyscy oni znali oskarżenia ze strony Kościoła.

Były w jego życiu również okresy pogodne, kiedy kary i ograniczenia nałożone mu przez Święte Oficjum zostały zawieszone. Ale przecież same oskarżenia nigdy nie zostały wycofane. Nigdy. Ojciec Pio zmarł nie doczekawszy się formalnego odwołania stawianych mu zarzutów.

W 1960 roku, kiedy miał już 73 lata, a zatem zbliżał się do kresu swego życia, nie oszczędzono mu jeszcze jednej, okropnej porcji cierpień i upokorzeń. Oskarżono go o bardzo ciężkie przewinienia, a oskarżenia te doszły do samego papieża Jana XXIII. Ojciec święty czuł się w obowiązku wysłać do San Giovanni Rotondo specjalnego inspektora, który przeprowadził wówczas w tej sprawie urzędowe dochodzenie. O jakie przewinienia chodziło? Ojca Pio oskarżono tym razem, że jest nieprzyzwoitym, sprośnym starcem. Obwiniono go, że dwa razy w tygodniu ma stosunki seksualne z kobietami.

Stary stygmatyzowany kapłan poddany został przesłuchaniom. Musiał odpowiadać na nie kończące się, drobiazgowe pytania, bronić się wiedząc, iż podejrzenia te doszły nie tylko do jego zakonnych przełożonych, lecz nawet do samego papieża. Były to zbyt poważne podejrzenia, skoro Ojciec święty zdecydował się na specjalne śledztwo.

Zakończyło się ono karami dyscyplinarnymi, co oznaczało potwierdzenie straszliwych obwinień. Trudno zgodzić się z tym zdaniem autora książki. Po pierwsze, „kary” były raczej zaleceniami o charakterze porządkowym; miały również na celu wykluczyć okazję do różnych plotek i podejrzeń, których w tamtym czasie nie brakowało. Po drugie, gdyby rzeczywiście „kary” miały „oznaczać potwierdzenie straszliwych obwinień”, to z całą pewnością byłyby nieporównanie cięższe (przyp. wydawcy). Stary Ojciec Pio płakał z bólu, lecz znosił wszystko w wierze, podobnie jak ongiś cierpliwy Hiob, podobnie jak wielu wielkich świętych.

NAJWAŻNIEJSZA PRAWDA

„Kto kocha mnie, niechaj weźmie swój krzyż i idzie za mną” - czytamy w Ewangelii. Ojciec Pio przez całe życie szedł na Kalwarię. Cierpienie budzi sprzeciw i zgorszenie, lecz po śmierci Chrystusa na krzyżu - cierpienie dla chrześcijanina jest tajemnicą Odkupienia.

Tajemnicą wielką i bardzo ważną. Uprzytomnił mi to kardynał Giuseppe Siri, arcybiskup diecezji genueńskiej. Należał do nader nielicznych dostojników kościelnych darzących Ojca Pio należnym mu szacunkiem. Po śmierci Ojca Pio odwiedziłem kiedyś kardynała, by zapytać go, jakie, jego zdaniem, przesłanie zostawił „Brat ze Stygmatami” ludziom XX wieku.

Kardynał w długim wywodzie nawiązał do ciała Chrystusa i do Jego cierpienia. Wywód ten bardzo dobrze oświecla chrześcijańską tajemnicę cierpienia, dając w ten sposób klucz do zrozumienia prawdziwej wielkości Ojca Pio. „Poprzez stygmaty, które nosił przez całe swe życie – powiedział kardynał Siri - oraz cierpienia moralne Ojciec Pio zwraca uwagę ludzi na ciało Chrystusa, jako środek zbawienia. Chrystus umarł na krzyżu, by uratować człowieka, i na tej prawdzie, jednej z głównych w religii chrześcijańskiej, opiera się cała teologia odkupienia. Chodzi o tak bardzo ważną prawdę, iż ilekroć w historii ludzkości zapominano o niej lub próbowano ją wypaczyć, tylekroć Bóg interweniował za pomocą faktów, zdarzeń, cudów.

Dzieje Kościoła pełne są takich Bożych interwencji, które miały zwrócić uwagi ludzi na ciało Chrystusa. Na przykład w XIII w., stuleciu zażartych dyskusji teologicznych i pierwszych uniwersytetów, kiedy to filozofowie roztrząsali kwestię uniwersaliów - doktryna chrześcijańska zagrożona była nadmiarem sofizmatów i przeintelektualizowaniem, zaś prawdzie o ciele Chrystusa groziło odjęcie jakiejkolwiek konkretności. I w tym właśnie czasie pojawił się św. Franciszek ze swym ideałem «spontanicznego przeżywania Ewangelii», zaś jego stygmatyzacja miała zwrócić uwagę ludzi na tajemnicę ciała Chrystusa.

W tym samym okresie, w Belgii, błogosławiona Giuliana Cotillon, augustianka, apelowała do wszystkich w sprawie ogłoszenia świątadła uczczenia człowieczeństwa Chrystusa. To właśnie sam Chrystus inspirował ją ku temu w wielu wizjach. Siostra Giuliana nie dawała za wygraną i wkrótce w diecezji Liege ustanowiono „Corpus Domini”, czyli „Boże Ciało”, święto ku czci fizycznego ciała Chrystusa. Spowiednikiem siostry był Jacques Pantaleon, który w 1261 roku zasiadł na Stolicy Piotrowej przybrawszy imię Urbana IV. Siostra Giuliana zwróciła się do nowego papieża z prośbą o ustanowienie święta Bożego Ciała w całym Kościele, lecz papież wahał się, nie był do końca przekonany, co do słuszności takiej decyzji.

Właśnie wtedy Bóg uczynił jeszcze jeden znak: cud w Bolsenie. Zdarzyło się to w 1263 roku w kościółku nad jeziorem Bolsena podczas Mszy odprawianej tam wtedy przez niemieckiego księdza, którego ogarnęła nagle wątpliwość, czy w konsekrowanej hostii jest rzeczywiście obecne ciało Chrystusa. Kiedy w momencie konsekracji podniósł do góry hostię, trysnęła z niej krew, która zalała cały ołtarz.

Na wieść o cudzie krwi pod kościół nadciągały tłumy ludzi. Miejsce zostało ogrodzone i do wnętrza nie wpuszczano nikogo. Zawiadomiono o tym papieża, który znajdował się wtedy w Orvieto, około trzydzięci kilometrów od Bolseny. Urban IV przybył natychmiast do kościółka, obejrzał wszystko, przepytał świadków i przekonawszy się o autentyczności zjawiska skojarzył je z wizjami siostry Giuliany. Zrozumiał, iż był to kolejny znak od Boga. W rok później bullą „Transiturus” ustanowił dla całego Kościoła uroczystość Bożego Ciała”.

„WIELKI ZNAK DLA LUDZI DZISIEJSZEJ EPOKI”

W drugiej połowie XVII w., we Francji, podobnie jak i w całej Europie, szerzył się jansenizm. Teorie głoszone przez jego zwolenników wypaczały ponadczasową prawdę o odkupieniu ludzkości przez Chrystusa. Wówczas Chrystus objawił się wielokrotnie francuskiej mistyczce Małgorzacie Marii Alacoque, której polecił szerzyć kult Jego Serca.

To kolejne wskazanie na ciało Chrystusa, na jego najbardziej wrażliwą część, na Serce, siedlisko uczuć. Po wielu sporach i wahaniach Kościół ustanowił uroczystość Przenajświętszego Serca Jezusowego.

W dzisiejszej epoce pokusa zapomnienia o rzeczywistości ciała Chrystusa jest bardzo silna. Liczni współcześni teologowie, zwłaszcza ci o mentalności hegliańskiej, próbują szerzyć mylne i zgubne teorie na ten temat. Bóg interweniuje rozlicznymi znakami.

Jednym z nich, najbardziej znamienitym, był z pewnością Ojciec Pio, który ponad pięćdziesiąt lat nosił na swym ciele stygmaty Chrystusowe – był żywym znakiem mającym wskazywać na to, że cierpienie nie jest czymś bezużytecznym czy bezsensownym, lecz jest środkiem odkupienia”.

W epoce postępu naukowego i zdobywania kosmosu Ojciec Pio swymi zadziwiającymi zdolnościami i mistycznymi charyzmatami ofiaruje nadzieję tym wszystkim, którzy odczuwają w sobie potrzebę powrotu do Edenu, „utraconego Raju”; swoim cierpieniem wskazuje właściwą drogę tym, którzy pragną podążać ku tajemnicy «domu Ojca». Droga ta jest najtrudniejszą z wszystkich dróg, najbardziej kamienistą, wyboistą i pełną stromizn, lecz chyba jedyną, która nie zdradzi.



Dodatek do wydania polskiego

KALENDARIUM ŻYCIA OJCA PIO

- ✓ Urodził się 25 V 1887 w Pietrelcinie, jako czwarte z kolei dziecko Grazia i Marii Giuseppy di Nunzio.
- ✓ Został ochrzczony w kościele Matki Boskiej Anielskiej, położonym w górnej części Pietrelciny, zwanej "Zamkiem" otrzymując imię Franciszek.
- ✓ 1897 - 10-letni Francesco Forgione przyjmuje w swej rodzinnej parafii Pierwszą Komunię świętą.
- ✓ 1899 – 12 - letni Francesco przystępuje do sakramentu bierzmowania.
- ✓ 6 I 1903 - Opuszcza swój dom rodzinny i wstępuje do nowicjatu kapucynów w pobliskim Morcone.
- ✓ 22 I 1903 - Po odprawieniu rekolekcji przyjmuje kapucyński habit oraz imię zakonne brata Pio (Piusa) z Pietrelciny.. Złożył pierwsze (czasowe) śluby zakonne.
- ✓ 25 I 1904 - Udaje się do zakonnego seminarium w San Elia a Pianisi, by studiować filozofię, a potem do Montefusco gdzie studiuje teologię.
- ✓ W tym też czasie (26 I 1907) złożył wieczyste śluby zakonne.
- ✓ 19 XII 1908 - Otrzymuje niższe święcenia kapłańskie.
- ✓ 18 VII 1909 - Otrzymuje święcenia diakonatu.
- ✓ 10 VIII 1910 W katedrze w Benewencie otrzymał święcenia kapłańskie.
- ✓ 1911 - 1916 - Ojciec Pio (Pius) z powodu ciągłych i niewytłumaczalnych chorób przebywa najczęściej w rodzinnej Pietrelcinie.
- ✓ 1915 - 1918 - Kilkakrotnie, w czasie wojny światowej, powoływany do służby wojskowej i zwalniany z uwagi na zły stan zdrowia.
- ✓ W marcu 1918 r. Zwolniony został z wojska z powodu obustronnego odoskrzelowego zapalenia płuc.

- ✓ 28 VII 1916 - Przybywa do San Giovanni Rotondo, gdzie pełni obowiązki kierownika duchowego chłopców przygotowujących się do stanu zakonnego.
- ✓ 20 IX 1918 Pierwsze pojawienie się stygmatów. Klęcząc przed wizerunkiem Ukrzyżowanego w kościele Matki Bożej Łaskawej w San Giovanni Rotondo O. Pio otrzymuje stygmaty – pięć ran Chrystusowych
- ✓ Pojawienie się widocznych krwawiących stygmatów na dłoniach, stopach i w boku. Wiadomość o tym wywołuje ogromne poruszenie. Do San Giovanni Rotondo zaczynają przybywać tłumy ludzi.
- ✓ W coraz liczniejszych publikacjach Ojciec Pio nazywany jest przez jednych „świętym”, a przez innych „oszustem i zwodzicielem”.
- ✓ 1919 - Pierwsze medyczne badania niezwykłych ran stygmatyzowanego zakonnika. Rozpoczynają się, trwające pół wieku, odwiedziny dostojników kościelnych, dziennikarzy, zakonników, pobożnych pielgrzymów, ludzi niewierzących, pragnących zobaczyć O. Pio i przekonać się osobiście o surowej świętości życia tego zakonnika.
- ✓ 31 V 1923 Kongregacja Świętego Oficjum ogłasza stanowisko w tej sprawie: „Po przeanalizowaniu wybranych faktów z życia Ojca Pio i jemu przypisywanych nie stwierdza się charakteru ich nadprzyrodzoności”.
- ✓ 17 VI 1923 Decyzja Świętego Oficjum: „Ojciec Pio nie może odprawiać Mszy świętej publicznie o ustalonej godzinie, ale niech to czyni w wewnętrznej kaplicy klasztoru prywatnie. Nie pozwala się nikomu uczestniczyć w jego Mszy świętej. Ojciec Pio nie może odpisywać na listy zarówno sam, jak i przez inne osoby”.
- ✓ 26 VI 1923 - wskutek żądań wzburzonej ludności Foggii i okolic władze zakonne postanowiły, że O. Pio będzie nadal jak dotychczas odprawiać Mszę świętą w kościele.
- ✓ 3 I 1929 - W San Giovanni Rotondo umiera będąca w odwiedzinach u syna matka O. Pio, Giuseppa Forgione.
- ✓ 9 VI 1931 Decyzją Świętego Oficjum Ojciec Pio otrzymuje zakaz sprawowania funkcji kapłańskich, z wyjątkiem prywatnego odprawiania Mszy świętej. Nie może natomiast spowiadać.
- ✓ 14 VI 1933 Złagodzenie nałożonych uprzednio ograniczeń: Ojciec Pio powraca do odprawiania Mszy świętej w kościele; po kilku miesiącach wznowi posługę w konfesjonale.
- ✓ 9 I 1940 - O. Pio inicjuje budowę szpitala, który sam nazwał Domem Ulgi w Cierpieniu.
- ✓ 1949 W San Giovanni Rotondo powstają „Grupy Modlitwy” osób skupionych wokół Ojca Pio.
- ✓ 5 V 1954 Ojca Pio odwiedza kardynał Ottaviani, prefekt Kongregacji Świętego Oficjum.

- ✓ 5 V 1956 Otwarcie w San Giovanni Rotondo Domu Ulgi w Cierpieniu - wielkiego szpitala wzniesionego staraniem Ojca Pio.
- ✓ 1959 - O. Pio zostaje sam uzdrowiony w sposób trudny do wyjaśnienia przez medycynę.
- ✓ VII - IX 1960 Wizytacja apostolska w klasztorze w San Giovanni Rotondo.
- ✓ 31 I 1961 Kolejne ograniczenie działalności duszpasterskiej Ojca Pio, choć nie tak dotkliwie, jak w czerwcu 1923 i w czerwcu 1931.
- ✓ XI 1962 Dwa listy biskupa Karola Wojtyły do Ojca Pio.
- ✓ 1966 - Coraz bardziej pogarszający się stan zdrowia sprawia, że O. Pio otrzymuje zezwolenie na odprawianie Mszy świętej "na siedząco". W tym też roku przybywają tłumnie goście, by uczcić 50 rocznicę pobytu O. Pio w San Giovanni Rotondo.
- ✓ 31 VII 1968 Stolica Apostolska zatwierdza „Grupy Modlitwy”, jako oficjalne stowarzyszenie religijne i powierza opiekę nad nimi każdorazowemu gwardianowi z San Giovanni Rotondo.
- ✓ 22 IX 1968 - 50 rocznica stygmatyzacji. W tym dniu O. Pio, jak zwykle odprawił cichą Mszę świętą o godz. 5 rano.
- ✓ 22 IX 1968 - O. Pio odprawia ostatnią w życiu Mszę świętą dla przedstawicieli "Grup Modlitwy" zebranych w San Giovanni Rotondo z okazji 50 - rocznicy stygmatyzacji ich Założyciela.
- ✓ 23 IX 1968 - O godz. 2.³⁰ rano O. Pio umiera. Tuż przed śmiercią zaczęły goić się stygmaty, a zdjęcia zrobione tuż po skonaniu ukazują gładką skórę w miejscach, z których przez pół wieku sączyła się krew.
- ✓ Jezus, Maryjo i Józefie Święty, Wam oddaję duszę i ciało moje, bądźcie ze mną w chwili konania!" - Ostatnie słowa Ojca Pio.
- ✓ 23 XI 1969 Rozpoczął się w diecezji manfredonńskiej proces informacyjny w sprawie beatyfikacji Ojca Pio.
- ✓ 3 V 1973 List episkopatu Polski do papieża Pawła VI z prośbą o wyniesienie Ojca Pio na ołtarze.
- ✓ 29 XI 1982 Rozpoczął się właściwy proces beatyfikacyjny Ojca Pio.
- ✓ 3 V 1986 Stolica Apostolska zatwierdza nowy Statut „Grup Modlitwy Ojca Pio".
- ✓ 23 V 1987 W setną rocznicę urodzin Ojca Pio do San Giovanni Rotondo przybył papież Jan Paweł II.
- ✓ 21 I 1990 Zakończenie procesu diecezjalnego w sprawie beatyfikacji Ojca Pio. Akta procesu przesłane zostały do Rzymu, do Kongregacji do Spraw Świętych.
- ✓ 18.12.1997 - Ogłoszenie Dekretu o heroiczności cnót Ojca Pio.
- ✓ 2. 05.1999 - Beatyfikacja Ojca Pio przez papieża Jana Pawła II.
- ✓ 16.06.2002 – Kanonizacja Ojca Pio przez papieża Jana Pawła II.
- ✓ W nocy z 2 na 3 marca 2008 roku, cielesne zwłoki z Ojca Pio zostały ekshumowane (ciało - według biskupów- dobrze zachowane) po 40 latach od śmierci. Poddano je

konserwacji, a 24 kwietnia 2008 zostały wystawione na widok publiczny. Twarz zmarłego została pokryta woskową maską, zamówioną w firmie, która tworzy rzeźby dla słynnego Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud

JAN PAWEŁ II O ŚWIADECTWIE ŻYCIA OJCA PIO

BĄDŹCIE ZAWSZE PRZYKŁADNI W PRZYLGNIECIU DO NAUKI KOŚCIOŁA

Rzym, IX 1983

Przemówienie do Pielgrzymki Grup Modlitwy Ojca Pio z okazji Jubileuszowego Roku Odkupienia

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Drodzy Bracia i Siostry,

Jestem szczerze uradowany tym, że dzisiaj mogę przyjąć waszą Pielgrzymkę, która chce reprezentować w sposób duchowy wobec Papieża w Rzymie dwa tysiące Grup Modlitwy O. Pio. Moja radość jednoczy się z radością każdego z was, którzy w sposób uroczysty pragniecie uczcić „Jubileusz Odkupienia”. Odpowiadając wielkodusznie i entuzjastycznie na moje zaproszenie, nie tylko spełniliście wymogi obchodu Jubileuszu w waszych diecezjach, ale chcieliście dać wspólnotowo żarliwe świadectwo waszej więzi ze Stolicą Apostolską poprzez okazaną dzisiaj przykładną manifestację wiary.

Pozdrawiam was wszystkich, a w sposób szczególny i specjalny Księdza Riccardo Ruotolo, Przewodniczącego Dzieł O. Pio. Wasza obecność i wasze chrześcijańskie zaangażowanie są nierozdzielnie związane z osobą i dziełem O. Pio z Pietrelciny, pokornego brata kapucyna, który ponad pięćdziesiąt lat żył w klasztorze w San Giovanni Rotondo, realizując swoją zakonną konsekrację Bogu, trwając prawie wyłącznie na nieustannej, codziennej, żarliwej modlitwie i pełnieniu posługi pojednania, prowadząc i kierując tysiącami wiernych, którzy szukali autentycznej drogi chrześcijańskiej doskonałości i świętości.

Życie O. Pio zakończyło się na ziemi we wrześniu 1968 r., a więc piętnaście lat temu. Ale tajemnicza płodność jego długiego życia zakonnego i kapłańskiego, jako duchowego syna św. Franciszka z Asyżu trwa nadal; można by powiedzieć, że widzialnie wzrasta w szczególności w dwóch dziełach, które są „typowo jego dziełami”, gdyż narodziły się z jego wielkiego serca, otwartego na miłość do Boga i do braci, a mianowicie w „Grupach Modlitwy” i w „Domu Ulgi w Cierpieniu”, powszechnie znanego ze swoich zasług, także i na polu ludzkim i społecznym. Podobnie jak wszystkie stowarzyszenia i ruchy katolickie, i wy również, którzy przynależycie do „Grup Modlitwy”, chcecie współpracować w budowaniu Królestwa Bożego zgodnie z nauką Jezusa, streszczoną w „Ojcie nasz”: Przyjdź Królestwo Twoje!

Wasze zaangażowanie znamionuje świadomość, że pierwszym i nieodzownym środkiem dla wzrostu Królestwa Bożego w duszach jest modlitwa: modlitwa ciągła, pokorna i pobożna. Chrześcijanin winien zawsze modlić się i „nigdy nie ustawać” za przykładem Jezusa, który modlił się często w miejscach pustynnych i samotnych; modlił się zwłaszcza w związku z niektórymi wydarzeniami o szczególnym znaczeniu dla Jego misji: podczas chrztu w Jordanie, przed wyborem apostołów, w czasie przemienienia i wówczas, gdy uczył swoich uczniów modlitwy „Ojcze nasz”.

Naśladując pierwotną wspólnotę chrześcijańską z Jerozolimy, która, mając jedno serce, trwała na ustawicznej modlitwie – winniście modlitwę uczynić podstawą waszego chrześcijańskiego życia: modlitwę adoracji, modlitwę chwały, modlitwę błagania - jak to wyraźnie podkreślają wasze Statuty - „z Kościołem, przez Kościół i w Kościele”.

Ta modlitwa jednostki staje się modlitwą wspólnotową, wyraża się w świadomym i aktywnym uczestnictwie w liturgii, znajduje swoją moc w sakramentach, a w szczególności w Eucharystii i Sakramencie Pojednania; staje się wymogiem jedności i posłuszeństwa wobec Nauczycielskiego Urzędu Kościoła, wobec Wikariusza Chrystusa, wobec Biskupów, według słów skierowanych przez Jezusa do apostołów, mających znaczenie także i dla ich następców, a to ze względu na cel kierowania ludem Bożym: „Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi; lecz kto Mną gardzi, gardzi Tym, który Mnie posłał” (Łk 10, 16). Ten duch jedności i posłuszeństwa nie oznacza ani nie zakłada jakiegoś ograniczenia władzy myślenia u chrześcijanina. Dla zachowania wiary Bóg sam wybrał odpowiednie środki i ludzkie narzędzia jej utrwalenia, przekazywania i interpretacji depozytu Prawdy, którą On zechciał ludziom objawić.

Wy, członkowie „Grup Modlitwy”, bądźcie zawsze przykładnymi w tymże duchu całkowitego i bezwarunkowego przyłgnięcia do nauczania Kościoła katolickiego, kierowanego przez Papieża i Biskupów, jak to wam zawsze przypominał wasz Założyciel.

Modlitwa nie izoluje nas od innych ludzi, od ich konkretnych problemów. Chrześcijanin, kiedy zwraca się do Ojca niebieskiego, nie może być w swoim wnętrzu pozbawiony głębokiej jedności z braćmi. Oto z modlitwy uwielbienia, skierowanej do Boga, wynika wymóg braterskiej miłości, która pobudza do otwarcia się na innych, do szukania wszelkich środków i odpowiednich sposobów dla niesienia im dobra duchowego, a także materialnego.

Miłość do Boga znajduje swoje konkretne zastosowanie w rzeczywistej i czynnej miłości na rzecz cierpiących i potrzebujących. Jest ona waszym znamieniem, a swój dotykalny wyraz znajduje w „Domu Ulgi w Cierpieniu”, który stanowi Ośrodek duchowy i siedzibę Międzynarodowego Stowarzyszenia Grup Modlitwy.

Niestety, także i dzisiaj istnieje ubóstwo, głód, choroby, poniżanie drugich; zjawiska te winny być przezwyciężone przez współpracę i przy pomocy środków w wymiarze międzynarodowym. Jednakże każdy z was, przyjmując wewnętrznie ofiary i

cierpienia z nimi związane w praktyce życia chrześcijańskiego, zechce wielkodusznie poświęcić się dla dzieł miłości ożywianych wiarą, która pozwala w biednym, chorym i potrzebującym pomocy rozpoznać oblicze cierpiącego Jezusa, który uczył, że każdy gest solidarności i zrozumienia okazany głodnym, spragnionym, wydziedziczonym, nagim, chorym i uwięzionym będzie uznany za czyn wobec Niego samego!

Oto, najmilsi, podstawowe cechy, którymi winny się odznaczać „Grupy Modlitwy” O. Pio, i to w taki sposób, aby zachodziła ścisła więź między waszą wiarą a waszym życiem. Święty Augustyn ubolewał, mówiąc do swoich wiernych, że wielu uznaje się za chrześcijan, ale nie objawia tego w rzeczywistości: „w życiu, w obyczajach, w nadziei w miłości”.

Wszyscy członkowie „Grup Modlitwy” winni z całą oczywistością i odwagą wyrażać to, kim są, to jest, że są autentycznymi i gorliwymi chrześcijanami: „z życia, obyczajów, w nadziei i w miłości!”. Wyrażając te życzenia proszę Pana przez wstawiennictwo Najświętszej Maryi, Matki Jezusa i Kościoła, o obfitości darów Bożych i udzielam wam z serca apostołskiego błogosławieństwa.

(Po odczytaniu tekstu oficjalnego papież powiedział)

Dziękuję wam za obecność w tak wielkiej liczbie, która jest większa niż może pomieścić ta aula Pawła VI. Dziękuję wam za waszą modlitwę! Nie tylko nazywacie się „Grupami Modlitwy”, ale jesteście „grupami modlitwy”, a to znaczy, że modlicie się w tychże grupach. Dziękuję wam za modlitwę, którą ofiarujecie w intencji mojej misji, za moją osobę. Również i ja w moim życiu kapłańskim mogłem spotkać się ze Sługą Bożym, O. Pio. Spotkałem się z nim w latach czterdziestych (1947 r.) i rozmawiałem z nim osobiście. Mogłem przynajmniej raz wypowiadać się u niego. Już, jako kardynał odwiedziłem po raz drugi sanktuarium O. Pio, a także i „Dom Ulgi w Cierpieniu” w San Giovanni Rotondo.

Słowa te niech będą uzupełnieniem mego przemówienia. Winienem wam złożyć podziękowania za złożone dary, i to liczne, które przywieźliście z sobą. Dary nie tylko duchowe, bo te są wprost niewymierne, ale także i dary materialne, które zostały złożone tam, przed tym podium.

Moi umiłowani, Moi umiłowani! Teraz pomódlmy się odmawiając „Anioł Pański”, gdyż zbliża się południe.

(Tekst wydrukowany został w oficjalnym organie „Grup Modlitwy” La Casa Sollievo della Soffrenza, nr 20, 15-31 X 1983 r. Tłumaczenie na język polski podano według: O. Gracjan Franciszek Majka OFM Cap, Z Chrystusem przybity do krzyża,

OO. Kapucyni, Kraków 1992, str. 339-341)

OŁTARZ I KONFESJONAŁ

DWA OŚRODKI KAPŁAŃSKIEGO ŻYCIA O. PIO

23 V 1987 r. San Giovanni Rotondo,

Przemówienie Ojca św. do przedstawicieli franciszkańskich rodzin zakonnych, wygłoszone w kościele Matki Bożej Łaskawej

Drodzy Ojcowie Franciszkanie,
Drodzy Bracia i Siostry!

1. Najpierw serdecznie dziękuję O. Flawiuszowi Robertowi Carraro, generałowi Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów, za serdeczne powitanie i słowa, jakie skierował do mnie w imieniu całej franciszkańskiej rodziny, która tu jest reprezentowana w swoich wspólnotach. Z różnych powodów to spotkanie napełnia mnie wielką radością.

Jak wiecie, z tymi miejscami wiążą mnie osobiste wspomnienia, to jest moje odwiedziny i spotkanie z Ojcem Pio czy to za jego życia, czy później, duchowe spotkanie z nim, po jego śmierci, przy jego grobie. A ponadto jest to dla mnie radosna okazja spotkania się z synami św. Franciszka, których dzisiaj widzę tak wielu. Bardzo kocham franciszkańską duchowość.

Jedną z pierwszych moich podróży apostolskich po Włoszech odbyłem do grobu Serafickiego Ojca w Asyżu. Wszyscy zapewne pamiętacie ekumeniczny dzień przeżyty tam w październiku ubiegłego (1986) roku. Cieszę się w końcu, że mogę znaleźć się w tej świątyni, poświęconej Matce Bożej Łaskawej. Niewątpliwie to święte miejsce jest dzisiaj znane dzięki wielkiemu promieniowaniu duchowemu dzieła O. Pio: czyż to dzieło nie dokonało się dzięki nieustannemu wylewaniu się łaski, która – poprzez Maryję - zstąpiła na rzesze, które tu przybywały i przybywają, aby szukać pokoju i przebaczenia? O. Pio był czcicielem Matki Bożej, Matki Kapłanów, która względem nich spełnia misję specjalną, służącą upodobnieniu się do najwyższego wzoru - do Jej Syna.

2. Szczególnie żywe było u O. Pio pragnienie naśladowania Chrystusa. Wrażliwy od dzieciństwa na łaskę, już w wieku piętnastu lat miał od Boga ten dar, że widział jasno swoje życie. Wspominając ten okres życia, O. Pio tak opowiada: „Miejscem bezpiecznym, oazą pokoju jest służba w szeregach kościelnych. I gdzie lepiej mógłbym służyć Ci, Panie, jak nie w klasztorze i pod sztandarem Biedaczyny z Asyżu?... Oby Jezus udzielił mi tej łaski, abym był bardziej godnym synem św. Franciszka i abym mógł być przykładem dla moich współbraci”.

I możemy powiedzieć, że Pan wysłuchał go ponad wszelkie oczekiwania. Albowiem, jako zakonnik O. Pio żył wielkodusznie ideałem brata kapucyna, jak też żył ideałem kapłana. Dlatego dzisiaj stanowi on punkt odniesienia, gdyż w nim w sposób szczególny przyjęty się i znalazły duchowy oddźwięk dwa aspekty, znamionujące

katolickie kapłaństwo: władza konsekrowania Ciała i Krwi Pana oraz odpuszczania grzechów. Czyż ołtarz i konfesjonał nie były dwoma biegunami jego życia? To kapłańskie świadectwo stanowi ogromnie doniosłe i aktualne wezwanie.

3. Wystarczy w tym względzie przypomnieć to, co mówi Sobór Watykański II na temat sakramentu kapłaństwa, zwłaszcza w dekrecie „O posłudze i życiu kapłanów”. Potwierdza on ponownie istotne i ponadczasowe wartości kapłaństwa, które w osobie O. Pio spełniły się w sposób wybitny. Niewątpliwie proponuje on także i nowe perspektywy i formy świadectwa, bardziej dostosowane do sposobu myślenia ludzi naszych czasów. Jednakże byłoby wielkim błędem i w złym kierunku szłaby zachęta od odnowy, gdyby kapłan zapomniał o tych podstawowych wartościach, i nie można by było powoływać się na Sobór, uzasadniając takie przeoczenie.

Istotny aspekt tej świętej posługi, tak dostrzegalny w życiu O. Pio, to Ofiara, w której kapłan składa siebie samego w Chrystusie i z Chrystusem, jako żertwę na wynagrodzenie i zadośćuczynienie za grzechy ludzi. Kapłan winien mieć zawsze przed oczyma klasyczną definicję własnego posłannictwa, wyrażoną w Liście do Hebrajczyków: „Każdy, bowiem arcykapłan z ludzi brany, dla ludzi bywa ustanawiany w sprawach odnoszących się do Boga, aby składał dary i ofiary za grzechy” (Hbr 5, 1). W tej definicji zawiera się echo Soboru, który uczy, że „Prezbiterzy, jako szafarze rzeczy świętych, zwłaszcza w ofierze Mszy świętej, zastępują w specjalny sposób osobę Chrystusa, który dał samego siebie, jako żertwę ofiarną dla uświęcenia ludzi” (DK 13).

Ta żertwa ofiarna winna znaleźć swą najwyższą formę w sprawowaniu Ofiary eucharystycznej. Któż nie pamięta żaru, z jakim O. Pio w czasie Mszy św. przeżywał Mękę Pańską? Z niej rodził się szacunek dla Mszy św., którą on nazywał „wstrząsającą tajemnicą” (misterium tremendum), jako moment decydujący o zbawieniu i uświęceniu człowieka poprzez uczestnictwo w tych samych cierpieniach, jakie przeżywał Ukrzyżowany. **„We Mszy świętej - powiadał O. Pio – znajduje się cała Kalwaria”**. Dla niego Msza święta była źródłem i szczytem, punktem oparcia i ośrodkiem całego jego życia i działania.

4. To zażyłe i miłosne uczestnictwo w Ofierze Chrystusa było dla O. Pio racją dla oddania się i gotowości do służenia duszom, a nade wszystko tym, którzy uwikłali się w sidła grzechu i przeżywali trudności własnej ludzkiej nędzy. Jest to sprawa tak znana, że nie zamierzam się nad tym zatrzymywać; chciałbym jednak podkreślić niektóre punkty, które moim zdaniem zdają się mieć wielkie znaczenie, gdyż znajdujemy w nich zbieżność postawy O. Pio i soborowego nauczania.

Ten pokorny zakonnik przyjął z uległością wylanie „ducha łaski i rady”, o którym mówi sam Sobór, tego ducha, który winien pobudzać i oświecać pasterza dusz „w niesieniu pomocy i kierowaniu ludem czystym sercem” (por. DK 7). W sposób szczególny oddał się on - jak to wyraził Sobór - kierownictwu duchowemu, szcudroliwie spiesząc z

pomocą duszom, by odkryły i doceniły dary i charyzmaty, których Bóg udziela tak, jak chce, w swojej jakże tajemniczej dobroci (por. DK 9).

Także i to może stanowić dla wielu kapłanów przykład w podejmowaniu czy doskonaleniu „służenia braciom”, tak ściśle związanego z ich właściwym posłannictwem, które zawsze, a zwłaszcza dzisiaj, winno być bogate w duchowe owoce dla całego ludu Bożego, nade wszystko na rzecz uświęcenia i świętych powołań.

5. Jeśli elementem wyróżniającym kapłaństwo jest sprawowanie sakramentów, to ta posługa nie może stać się wiarygodną w oczach ludzi, jeśli kapłan jednocześnie nie spełnia wymogów braterskiej miłości. Także i w tym znaczeniu rozumiemy dobrze i wiemy, co czynił O. Pio: jakże żywe było jego poczucie sprawiedliwości i miłosierdzia, jego współczucie dla cierpiących, jak bardzo angażował się on przy pomocy szlachetnych i wielkodusznych współpracowników w działalność dla ich dobra. „Wydaje mi się, że w głębi duszy - mówi O. Pio sam o sobie - Bóg złożył wiele łask, dzięki którym okazuję współczucie dla nędzy bliźnich, a zwłaszcza dla ubogich i potrzebujących... Gdybym poznał, że jakaś osoba jest udręczona, czy to na ciele czy na duszy, to czyżbym nie nalegał usilnie na Pana, aby jak najrychlej stała się wolna od zła? Gdyby Pan na to zezwolił, to chętnie wziąłbym na siebie wszystkie utrapienia owej osoby, zostawiając jej wszystkie owoce, aby tylko widzieć ją wyzwoloną z jej udręk”.

Razem z wami pragnę podziękować Panu, że dał nam tak drogiego Ojca, że go dał naszemu, tak udręczonemu wiekowi, temu naszemu pokoleniu. W swej miłości do Boga i do braci jest on znakiem wielkiej nadziei i zaprasza nas wszystkich, zwłaszcza nas kapłanów, byśmy go nie pozostawiali samego w spełnianiu tego posłannictwa miłości.

Najświętsza Dziewica Różańcowa, którą on tak czcił i którą my również czcimy w sposób szczególny w tym miesiącu Jej poświęconym, niech nas wesprze, byśmy byli doskonałymi naśladowcami jedyne go Mistrza, a Jej Syna Jezusa Chrystusa.

Z moim serdecznym błogosławieństwem

(Tekst wydrukowany został w L'Osservatore Romano (wyd. włoskie, tygodniowe), Nr 21 (27 V 1987), str. 4-5. Tłumaczenie na język polski podano według: O. Gracjan Franciszek Majka OFMCap, Z Chrystusem przybity do krzyża, str. 345-347)

„DOM ULGI W CIERPIENIU” WSPÓLNOTĄ ZBUDOWANĄ NA MIŁOŚCI DO CHRYSTUSA

San Giovanni Rotondo, 23 V 1987

Przemówienie Ojca św. do pracowników szpitala w San Giovanni Rotondo

Drodzy Bracia i Siostry,
Drodzy Chorzy,

1. Serdecznie dziękuję Księdzu Prałatowi Riccardo Ruotolo, przewodniczącemu tego Dzieła, za skierowane do mnie słowo powitania. Moje serdeczne pozdrowienie przekazuję wam wszystkim: personelowi lekarskiemu i pomocniczemu, kapłanom, chorym i wiernym. Z wielkim wzruszeniem nawiedzam jeszcze raz to miejsce, które odwiedziłem tak dawno, bo, w 1947 r., kiedy rozpoczynano budowę tego szpitala.

Cieszę się, że widzę to nowoczesne urzeczywistnienie myśli, którą prorocznie wypowiedział O. Pio: „Ma to być szpital - miasto, urządzone pod względem technicznym i klinicznym na najwyższym poziomie, a jednocześnie z zachowaniem zasad ascetycznych żywotnego franciszkanizmu. Ma to być miejsce modlitwy i nauki, gdzie ludzki rodzaj będzie się odnajdywał w Chrystusie Ukrzyżowanym jak jedna trzoda pod jednym pasterzem". I to miasto nadal wzrasta. Jest to „miasteczko miłości", zbudowane obok sanktuarium Matki Bożej Łaskawej, które - wedle woli O. Pio - nosi wymowną nazwę: „Dom Ulgi w Cierpieniu".

2. Ulga w cierpieniu! W tym miło brzmiącym wyrażeniu streszczają się istotne wymiary chrześcijańskiej miłości, owej braterskiej miłości, o której uczył Chrystus, a która - przez Niego wcielona w życie - winna być wyróżniającym rysem Jego uczniów; chodzi o taką miłość, która wyrażona w czynnej postawie, zwłaszcza wobec potrzebujących, jest nierozdzielny motywem wiarygodności orędzia Prawdy, Miłości i Zbawienia, które chrześcijanin ma obowiązek głosić światu. To dzieło, za które O. Pio tak się modlił i o które tak zabiegał, jest zdumiewającym świadectwem chrześcijańskiej miłości.

Dzięki szczególnej intuicji O. Pio to dzieło jednoczy wiedzę i służbę chorym z wiarą i modlitwą: wiedza medyczna nieustannie postępuje naprzód w zwalczaniu choroby; wiara i modlitwa, uwzględniając postęp medycyny, przemieniają i wynoszą wartość cierpienia. Dlatego tu na ziemi medycyna pozostanie w jakiejś mierze potrzebą ludzkiego życia.

3. Z tego względu - według wielkiego planu O. Pio – istotne znaczenie dla pobytu w tym szpitalu miało i ma staranie się o zdrowie ciała, ale także i staranie się o samowychowanie do miłości, zmierzającej do przyjęcia cierpienia po chrześcijańsku. A to może stać się przede wszystkim wówczas, gdy posłudze chorym będzie towarzyszyło świadectwo miłości, okazywane przez personel lekarski, pomocniczy i kapłański. W taki sposób winna tworzyć się prawdziwa i dobrze rozumiana wspólnota, oparta na miłości do Chrystusa: winna to być wspólnota, która dokonuje dzieła, zbratani tych, którzy troszczą się o chorych i tych, którzy są leczeni. „Každy - mówił w 1957 roku O. Pio - przebywający w szpitalu, lekarze, kapłani niech będą jakby zbiornikami miłości, która będzie tym obfitsza w jednym, im bardziej będzie się udzielać innym". Takie było życzenie O. Pio i niech zawsze pozostaje ono podstawowym założeniem tej pięknej instytucji!

Zapewniając o mojej serdecznej bliskości przy chorych, przebywających w tym Domu, życzę, by zawsze i coraz usilniej tworzyli klimat miłości i solidarności, znajdując

oparcie w wierze i modlitwie. „W każdym chorym - mówił O. Pio - obecny jest Jezus, który cierpi; w każdym ubogim jest Jezus, który znosi niedostatek. W każdym chorym i ubogim objawiają się te dwa oblicza Jezusa”.

4. Proszę Boga, by duch braterskiej miłości ożywił ten „Dom Ulgi w Cierpieniu”, by zapewniał mu rozkwit i postęp. Wasze świadectwo, drodzy lekarze, pielęgniarze, drodzy kapłani, jest ogromnie cenne nie tylko ze względu na tych, którzy tutaj przychodzą na leczenie, ale również jest ważnym znakiem dla całego Kościoła i społeczeństwa.

A wam, drodzy Chorzy, niech Najświętsza Dziewica wyjedna światło i moc, byście w blasku wiary mogli pojąć i zrozumieć wartość krzyża, który właśnie dźwigacie! Wam wszystkim oraz waszym drogim bliskim udzielam mego serdecznego błogosławieństwa.

(Tekst wydrukowany został w L'Osservatore Romano (wyd. włoskie, tygodniowe), Nr 21 (27 V 1987), s. 5. Przekład polski według: O. Gracjan Franciszek Majka, Z Chrystusem przybity do krzyża, str. 348-349)

GRUPY MODLITWY OJCA PIO

„Grupy Modlitwy” są owocem kapłańskiej działalności Ojca Pio. Wiernym, którzy przybywali do kapucyńskiego kościoła i klasztoru ze swoimi troskami i kłopotami, Ojciec Pio radził, by się modlili. Modlitwa była jakby złotą nicią jego nauczania, mądrością jego kapłańskiego i zakonnego życia.

Z czasem powstała spontaniczna potrzeba modlitwy wspólnej. Pierwsze grupy modlitwy powstały około 1947 r. Była to odpowiedź na apel papieża Piusa XII, by modlitwą zwyciężać zło w świecie. Wkrótce, bo w 1949 r., powstał pierwszy statut „Grup Modlitwy”. Od samego początku „Grupy Modlitwy” Ojca Pio były związane ze szpitalem w San Giovanni Rotondo, który nosi znamienne nazwę: „Dom Ulgi w Cierpieniu”. Szpital ten wskazuje na praktyczną postawę modlącego się chrześcijanina. Modlitwa rozpoczyna dobre dzieło, a wypełnienie swe znajduje w miłości wobec cierpiącego.

Z czasem „Grupy Modlitwy” zaczęły powstawać w różnych parafiach Włoch i poza ich granicami. Są również w Polsce, najczęściej przy klasztorach i kościołach franciszkańskich.

ZE STATUTU GRUP MODLITWY OJCA PIO

Wstęp

Grupy Modlitwy, powstałe z inicjatywy Ojca Pio, w obliczu potrzeb duchowych naszych czasów, chcą współpracować w urzeczywistnianiu Królestwa Bożego według nauki Jezusa, który wielokrotnie podkreślał konieczność modlitwy i uczył jej sposobu. Chcą działać w duchu posłuszeństwa wielokrotnym wezwaniom papieży i hierarchii,

formułowanym w tej dziedzinie, zgodnie z tradycją, wspaniale wyrażoną przez sobory powszechne, a zwłaszcza przez Sobór Watykański II.

Grupy chcą kierować się ogólnymi zasadami franciszkańskiej duchowości Ojca Pio:

- a) Pełne i bezwarunkowe przyłgnięcie do nauki Kościoła katolickiego, kierowanego przez papieża i biskupów.
- b) Posłuszeństwo papieżowi i biskupom, których rzecznikiem jest kapłan, dyrektor duchowny, mianowany przez biskupa.
- c) Modlitwa z Kościołem, za Kościół i w Kościele, z czynnym uczestnictwem w życiu liturgicznym i sakramentalnym, przeżywanym, jako szczyt wewnętrznej jedności z Bogiem.
- d) Wynagrodzenie poprzez udział w cierpieniach Jezusa Chrystusa, według nauki św. Pawła.
- e) Czynna miłość, niosąca ulgę cierpiącym i potrzebującym, jako urzeczywistnienie praktyczne miłości ku Bogu.

Siedziba

Art. 1. Ustanawia się Międzynarodowe Stowarzyszenie Grup Modlitwy, którego działalność jest określona normami niniejszego Statutu, a którego Centrum duchowym i siedzibą jest Fundacja „Dom Ulgi w Cierpieniu” - dzieło Ojca Pio z Pietrelciny w San Giovanni Rotondo.

Opiekę nad Międzynarodowym Stowarzyszeniem Grup Modlitwy sprawuje Stolica Święta.

Grupy Modlitwy

Art. 2. Grupy Modlitwy są tworzone z wiernych, którzy pragną wprowadzić w czyn wezwanie Jezusa Chrystusa do modlitwy, ponawiane tyle razy przez papieży. Są powoływane przy jakimś kościele lub kaplicy przez ordynariusza miejsca albo przynajmniej przez niego zatwierdzone.

Członkowie grupy gromadzą się tam okresowo pod kierunkiem dyrektora duchownego, aby się modlić i innych do modlitwy pociągać, w jedności z hierarchią Kościoła, według wskazań duchowych podanych przez Ojca Pio z Pietrelciny.

Członkowie Grup będą się troszczyć o swoją formację duchową, uczestnicząc w spotkaniach, poświęconych zgłębianiu nauki katolickiej, będą pełnić apostołat, propagując szczególne inicjatywy ewangelizacyjne w pełnej zgodzie z aktualnymi działaniami duszpasterskimi Kościoła lokalnego.

Art. 3. Członkami Grupy Modlitwy mogą być zarówno świeccy, jak i kapłani oraz osoby zakonne. Dyrektor duchowny Grupy wpisze ich nazwiska do odpowiedniej księgi.

Zarząd generalny

Art. 4. Międzynarodowe Stowarzyszenie Grup Modlitwy jest kierowane przez dyrektora generalnego, który jest aktualnym przewodniczącym Fundacji „Dom Ulgi w Cierpieniu” - Dzieła o. Pio z Pietrelciny. Mianuje go kardynał sekretarz Stanu, zgodnie ze Statutem Fundacji i ma określone w niniejszym Statucie prawa i obowiązki.

Gdyby aktualny Przewodniczący Fundacji nie był kapłanem, funkcja dyrektora duchownego Grup Modlitwy winna być oddzielona i powierzona kapłanowi mianowanemu przez kardynała sekretarza Stanu.

Art. 5. Zarząd generalny tworzą: dyrektor generalny, jeden lub dwóch wicedyrektorów generalnych i sekretarz generalny.

Dyplom agregowania Grup

Art. 6. Poszczególnym Grupom, które spełniają warunki dotyczące wystarczającej liczby członków i możliwości działania, dyrektor generalny po otrzymaniu aprobaty odpowiedniego ordynariusza diecezjalnego wystawia dyplom agregacji do Międzynarodowego Stowarzyszenia Grup Modlitwy.

Grupy Modlitwy będą się troszczyć o utrzymanie więzi z zarządem generalnym poprzez okresowe relacje oraz podczas ewentualnych pielgrzymek i wizyt w San Giovanni Rotondo.

Relacje z biskupem diecezjalnym

Art. 7. Grupy Modlitwy podlegają jurysdykcji ordynariuszy diecezjalnych według norm Prawa kanonicznego. Członkowie Grup Modlitwy w pełnej jedności z własnym biskupem będą iść za wskazaniem duszpasterskim, wydanym dla danego kraju czy diecezji, w pełnej zaś lojalności wobec własnej organizacji będą się kierować pouczeniami, wydanymi przez zarząd generalny, dla zachowania koniecznej jedności wspólnotowej.

Działalność Grup Modlitwy

Art. 14. Każda Grupa będzie mieć swoje zwyczajne spotkanie miesięczne, w czasie, którego zostanie odprawiona Msza św. z odpowiednią homilią. Przed nią lub po niej zostaną odprawione inne modlitwy, szczególnie zaś Liturgia Godzin lub różaniec.

Można też przeprowadzać ćwiczenia rekolekcyjne, dni skupienia, dni duchowości i inne dzieła pobożne według potrzeby i zgodnie ze wskazaniem właściwej władzy kościelnej.

Art. 15. Zaleca się Grupom Modlitwy następujące intencje ogólne: Kościół, papież, biskupi, powołania kościelne i zakonne, uświęcenie duchowieństwa, wzrost w gorliwości chrześcijańskiej, nawrócenie grzeszników i ateistów, chorzy, zwłaszcza nieuleczalnie, ludzie starzy i inne intencje w potrzebach Kościoła i społeczeństwa.

Art. 16. Członkowie Grup oddają się modlitwie wynagradzającej i idąc za nauką św. Pawła, ofiarują swoje cierpienia uczestnicząc w cierpieniach Chrystusa, Odkupiciela świata.

Członkowie Grup Modlitwy będą spełniać czyny pokuty i wynagrodzenia, żeby ich modlitwy były bardziej miłe Bogu, a także będą starać się być przykładem w przyjmowaniu cierpień i ofiar związanych z własnym stanem i szczerym praktykowaniem życia chrześcijańskiego. W szczególności poświęcą się dziełom miłości, zwłaszcza w stosunku do chorych, starych i żyjących na marginesie.

Art. 17. Nie są przewidziane obowiązkowe składki dla członków Grup Modlitwy. Gdyby Grupy pragnęły wnieść swój wkład w wydatki stowarzyszenia i wspomóc fundację „Dom Ulgi w Cierpieniu”, mogą w tym celu przeprowadzać zbiórki, za pozwoleniem właściwych ordynariuszy diecezji, a także, gdzie to jest wymagane, za pozwoleniem właściwych władz cywilnych.

Organ oficjalny

Art. 19. Oficjalnym i jedynym organem Grup Modlitwy jest czasopismo „La Casa Sollievo della Sofferenza” z ewentualnym dodatkiem dla Grup Modlitwy.

Powyższy Statut został zatwierdzony listem sekretarza Stanu, kardynała Agostino Casaroli, z dnia 3 maja 1986 r.

(Szczegółowe informacje zawarte o „Grupach Modlitwy”, a także wyjątki z ich Statutu podano według: O. Gracjan Franciszek Majka OFMCap, „Z Chrystusem przybity do krzyża”, st. 503-506.)

Wydawnictwo WAM poleca:

1. Bp Kazimierz Romaniuk, Biblijne wzorce świętości. Sylwetki osób, które swoim życiem objaśniają najważniejsze rysy duchowości biblijnej, m. in. Abrahama, Hioba, Miłosiernego Samarytanina, Ojca syna marnotrawnego, Tomasza...
2. Annemarie Ohler, Postacie kobiet w Biblii. Przedstawione również na tle naszych współczesnych niepokojów i w taki sposób, "że to nie mężczyzna stoi w punkcie centralnym, lecz Bóg ze swoim orędziem odkupienia i wyzwolenia, które dotyczy zarówno mężczyzn i kobiet".
3. Carlo M. Martini, Życie Mojżesza, życie Jezusa, paschalne życie chrześcijanina.
4. Stanisław R. Rybicki FSG, Jan de la Salle. Patron nauczycieli.
5. Marc Joulin OP, Krótki życiorys Teresy de Lisieux.
6. Hugues Didier, Krótki życiorys Karola de Foucauld.
7. Czesław Drązek SJ, Posługacz trędowatych.
8. Biografia o. Jana Beyzyma, jezuita, misjonarza na Madagaskarze (1898-1912), z wyborem jego listów, uznawanych za klasykę.

9. Angelo Montonati, Przygoda chrześcijańska Giuseppe Lazzatiego. Biografia jednego z najwybitniejszych przedstawicieli katolicyzmu włoskiego - działacza Akcji Katolickiej, polityka, współtwórcy Konstytucji Republiki Włoskiej. Jego "przygoda chrześcijańska" pomaga zrozumieć wiele naszych polskich problemów.

10. Renzo Allegri, Matka ubogich. Rozmowa z Matką Teresą z Kalkuty.

O AUTORZE KSIAŻKI

BIOGRAFIA RENZO ALLEGRI

RENZO ALLEGRI. pisarz, dziennikarz i krytyk muzyczny. Obecnie pełni funkcję głównego redaktora działu widowisk w tygodniku «Noi», drukowanym przez wydawnictwo «Silvo Berlusconi Editore». Jest autorem głośnych wywiadów i reportaży, tłumaczonych na kilka języków. Spośród jego książek wielkim zainteresowaniem czytelników cieszyły się m. in. Cronista all inferno (1990); La vera storia di Maria Callas (1991) i bestseller Padre Pio, l'uomo della speranza.

O KSIAŻCE AUTORA

Niniejsza książka opisuje wszystkie te zjawiska, które do San Giovanni Rotondo przyciągały tłumy i o których mówiono, jako o cudach Ojca Pio: stygmaty — krwawiące przez pięćdziesiąt lat rany, których żadnemu z lekarzy nie udało się wyleczyć bądź wyjaśnić; tajemniczy zapach roztaczający się wokół osoby zakonnika; temperatura ciała osiągająca 48, 5°C, nigdy przedtem nie odnotowana w historii medycyny; zdolność odczytywania myśli innych osób i przepowiadania przyszłości; ekstazy; rozmowy z umarłymi; wizje istot nadprzyrodzonych; nadzwyczajny dar nawracania (jak w przypadku kilku słynnych postaci ze świata kultury); wreszcie niezliczone i głośne uzdrowienia.

Wszystko to opowiedziane zostało językiem jasnym i potoczystym. Zaskakujące fakty, relacje naocznych świadków, pamiętniki, listy, poufne sprawozdania składają się na mozaikę wydarzeń racjonalnie niewytłumaczalnych, a przy tym niesamowicie wciągających. „Brat ze stygmatami” spędzał większą część swego czasu w konfesjonale. Nie wygłaszał ani kazań, ani wykładów, ani też nie był misjonarzem. Wysłuchiwał spowiedzi osób zwracających się do niego o duchową poradę. Był „lekarzem dusz”. Każdego dnia przy konfesjonale Ojca Pio dokonywały się nawrócenia, nadzwyczajne cuda, które na zawsze pozostaną w ukryciu przed ciekawością ludzką. Czasami jednak, kiedy dotyczyły one bardzo znanych osób, działały się jakby na oczach ludzi, stawały się publiczną tajemnicą.

„Ojcie, nie wierzę w Boga” - powiedział mu kiedyś pewien mężczyzna. „Cóż, mój synu, za to On wierzy w ciebie” - odparł mu z uśmiechem Ojciec Pio.

Inny znowuż rzucił mu się do stóp i z twarzą w dłoniach powtarzał: „Ojcze, strasznie grzeszyłem”. Zakonnik, głaszcząc penitenta po włosach, powiedział: „Mój synu, zbyt dużo Go kosztowałeś, by cię teraz miał opuścić”.

Tłumaczenie:
Loretta Micek Bartalini

WYDAWNICTWO:
WAM KRAKÓW 1998

